

Judith Gould

Grzechy

tom I



Prószyński i S-ka

Judith Gould

Grzechy

Tom I

Czy można w zgodzie żyć z pyszałkami,

Co ponad bliźnich dumnie się wynoszą,

Słabymi gardzą, łaski silnych proszą?

Czemu tak trudno jest współżyć z
głupcami?

Grzechem jest ich poczęcie, poród -
matki łkaniem,

Ich życie - pomyłek nieszczęsnych
tłumami,

A śmierć - okropnym, powolnym
konaniem.

John Webster „Księżna d' Amalfi”, akt IV

DZISIAJ Wtorek, 9 stycznia

Rozdział 1

Samolot lądował na odległym pasie startowym. Przez okienko mogła dojrzeć podwójne rzędy świateł, które migotały w wirującej mgiełce. Siedziała sama w małej kabinie dla pasażerów, niecierpliwie wyczekując, kiedy wreszcie będzie mogła stąd wyjść.

Czekał na nią na końcu pola startowego. Jak daleko mógł sięgnąć pamięcią, zawsze pragnął tylko tej jednej kobiety, która ciągle mu się wymykała. Właśnie

stała w drzwiach odrzutowca, miękka i delikatna jak jedwab, krucha jak porcelana, a jednocześnie twarda jak stal. Tyle lat czekał na nią cierpliwie. Wezwała go niecałą godzinę temu.

Zacząła iść ku niemu gibka i sprężysta, rozjaśniona światłem reflektorów. Wysokie obcasy stukały o beton. Ruszył ku niej spiesznie i spotkali się w połowie drogi. Uścisnęli się mocno. Kiedy go objęła, zamknął oczy, a chwilę później poczuł, że się odsunęła.

- Witaj, kochanie - powiedział ciepło. - Zaraz po twoim telefonie wsiadłem w samochód. Ile masz czasu?

- Już straciłam godzinę, bo musiałam

nadłożyć drogi. Za niespełna godzinę muszę wracać.

- Jest aż tak źle?

W milczeniu skinęła głową.

Poszli w kierunku jego samochodu.

Otworzył drzwi, a kobieta wsunęła się do środka i starannie podciągnęła spodnie na kolanach. Obszedł auto i usiadł obok niej, po stronie kierowcy. Bez słowa sięgnął do wewnętrznej kieszeni na piersi i wyjął złożony kawałek papieru. Czek na jedenaście milionów dolarów. Jej oczy spochmurniały.

- Nie - powiedziała stanowczo. - Nie po to tu przyleciałam.

- Proszę, chcę ci pomóc. Weź to - nalegał łagodnie. Uśmiechnęła się przepaszająco.

- Przykro mi, nie mogę. - Wpatrywała się teraz w przednią szybę, na coś, co tylko ona mogła zobaczyć.

- Gdybyś zmieniła zdanie... - urwał i położył czek na tablicy rozdzielczej w zasięgu jej ręki. Kilkanaście metrów dalej migotały światła samolotu; okrągłe okienka rzucały błyszczącą poświatę.

Godzinę później siedział w samochodzie sam, wsłuchując się w narastający

warkot silników, kiedy odrzutowiec odrywał się od ziemi, by zniknąć w ciemnościach.

Jeszcze długo po tym, gdy wygaszono światła pasa startowego, mężczyzna siedział tam i wpatrywał się w noc. Zawsze w najtrudniejszych chwilach przede wszystkim pragnęła być blisko niego.

Czek wciąż leżał na desce.

Rozdział 2

Karl von Eiderfeld spojrział na zegarek od Piageta. Minuta po ósmej, informowały cyfry na tarczy wykonanej ze złota i lazurytu. Jeszcze pięć godzin

do wyjścia, pomyślał ponuro. Siedział w swoim luksusowym apartamencie w hotelu Pierre na stylowym krześle, nerwowo bębniąc palcami w rzeźbione oparcie. Rzadko zdarzało mu się być tak zdenerwowanym. Wszyscy, którzy go znali, twierdzili, że Karl von Eiderfeld zawsze panuje nad swoim życiem, tak samo jak nad losami innych ludzi.

Wysoki, szczupły von Eiderfeld roztaczał wokół siebie aurę arystokraty, co działało na ludzi tak silnie, że prawie nie dostrzegali, że był albinosem. Skórę miał przeraźliwie białą, a wąska głowa, pokryta przerzedzonymi siwymi włosami, przywodziła na myśl trupa czaszkę. Jego niesamowite różowe oczy

i rzadko spotykana bladość nie mogły przyćmić władczej postawy, mimo że był już wyniszczony wiekiem. I absolutnie nic nie mogło zaszkodzić bogactwom Karla i jego fabrykom stali, flocie tankowców, rafineriom i niezliczonym milionom dolarów.

Karl von Eiderfeld stworzył swoje przemysłowe imperium na popiołach powojennych Niemiec. Tysiącletnia Rzesza runęła. Zwycięzcy złamali ducha narodu.

Koleiny czołgów przeorały krainę, po której kiedyś kroczył niezwyciężony Barbarossa. Miasta legły w gruzach. Niedawne Wielkie Niemcy były jedną rozległą ruiną.

Ale von Eiderfeld nie czuł się nieszczęśliwy. Nie wierzył w klęskę. Poza tym z Ameryki napływały olbrzymie pieniądze w związku z planem Marshalla... Tak, Karl dostrzegł wielkie możliwości dla tych, którzy chcieliby się zająć odbudową pokonanego Vaterlandu. A była to jeszcze większa szansa dla tych, którzy patrzyli w przyszłość, mieli wyobraźnię i odwagę, dla tych, którzy potrafili załatwiać sprawy. Nawet nieistotne sprawy. Małe sprawy, choćby takie jak ta, gdzie można dostać najbardziej potrzebne rzeczy. Artykuły, za które zasobniejsi obywatele chcieli płacić. Dużo płacić.

Karl wiedział, gdzie znajdują się zapomniane zapasy cennego propanu. Pod osłoną nocy po cichu wykopał cylindry z tajnych składów i przetransportował gaz konnymi furgonami do opuszczonej wytwórni win w Moselle River. Zajęło mu to dwa miesiące, ale zimą zwróciło się tysiącrotnie. Natura była po jego stronie, bo tego roku przyszła najmroźniej sza od lat zima. Brakowało opału i paliwa. Karl sprzedał propan, zarobił fortunę i uruchomił swoją pierwszą fabrykę stali.

W 1946 roku Karl von Eiderfeld stał się jednym z twórców powojennego boomu przemysłowego. Jego fabryki pomagały

odbudowywać spalone miasta i zbombardowane drogi, dostarczając niezbędnych materiałów. Jego rafinerie zapewniały dopływ paliwa potrzebnego do funkcjonowania kolei i całej gospodarki. A jego statki dostarczały to paliwo do Hamburga, Bremy i Bremenhaven. Wkrótce znalazł się w czołówce przemysłowej kraju. I odkrył coś bardzo interesującego. Im więcej gromadził, tym szybciej jego majątek się pomnażał. To były czary. Pieniądze rzeczywiście robiły pieniądze.

Do roku 1946 Karl stał się milionerem. Do 1960 jego przedsiębiorstwa wyszły poza granice kraju i rozwinęły się w koncerny o zasięgu ogólnoswiatowym. A

dziś? Teraz jego pozycja jednego z trzech największych i najbardziej wpływowych potentatów przemysłowych w całym Zagłębiu Ruhry była niepodważalna.

Karl rozejrzał się bacznie po zaciemnionym, luksusowo umeblowanym salonie znajdującym się na piętnastym piętrze hotelu Pierre. Sześć okien apartamentu wychodziło na Piątą Aleję. Widok Central Parku był wspaniały, ale von Eiderfeld nigdy go nie

podziwiał. Grube adamaszkowe zasłony zawsze pozostawały zaciągnięte. Jego delikatne oczy, pozbawione naturalnej pigmentacji, były ogromnie wrażliwe na

światło.

W swoim nowojorskim apartamencie nie miał nic niemieckiego. Te wnętrza jak gdyby żywcem przeniesiono z Wersalu. Ściany salonu pokrywały drogocenne osiemnastowieczne boazerie, niedawno zabrane z pałacyku we Francji i dostarczone statkiem do Nowego Jorku. Ułożono je pod czujnym okiem dekoratora i historyka sztuki. Z sufitu zwisały dwa wspaniałe kandelabry z weneckiego szkła. W błyszczącym weneckim lustrze odbijały się sofy i krzesła w stylu Ludwika XVI - wszystkie wyściełane prawdziwym adamaszkiem. Oczywiście materiał był oryginalny: przetarty, wyblakły i

pocerowany. Na ścianach wisiały
oprawione w pozłacane ramy trzy
obrazy Moneta, dwa Goi i jeden mały
Fragonarde.

Skończywszy oględziny, von Eiderfeld z
wyrazem zamyślenia na twarzy podniósł
się z krzesła i zaczął powolnymi
krokami spacerować po pokoju. To był
dzień, na który czekał przez te wszystkie
lata.

Powinien czuć triumf, jak zawsze, kiedy
udało mu się dokonać zemsty. Ale tym
razem to co innego. Zemsta ma gorzki
smak, kiedy czeka się na nią zbyt długo.

Pokiwał głową. Zawsze błyskawicznie
niszczył swoich wrogów niczym anioł

mściciel. Mając potężną Von Eiderfeld Industrien GmbH za sobą, nigdy nie musiał czekać na to zbyt długo. Ale w każdej regule zawsze istnieje jakiś wyjątek. Jego wyjątkiem była Helenę Junot. Czuł się wobec niej bezsilny jak Goliat wobec Dawida. Jej broń wszakże była jedyną, z jaką musiał się liczyć: ta kobieta znała pewne sprawy. Jego sprawy. A jej wiedza z biegiem lat nie traciła na wartości. Nawet przeciwnie, stawała się z upływem czasu coraz cenniejsza. Dała Helenę kontrolę nad ludźmi. I ta kobieta go wykorzystała. Został zmuszony do kupna udziałów jej wydawnictwa. Nie chciał mieć z nianie wspólnego, ale postawiła sprawę jasno. Wiedział, że ta kobieta nie blefuje.

Niebezpieczeństwo wciąż wisiało nad jego głową jak miecz Damoklesa. Rozumiał to aż za dobrze.

Tak, pomyślał, Helenę Junot, założycielka Helenę Junot International, Inc., wydawca „Les Modes”, najślawniejszego na świecie magazynu dla kobiet, była kimś więcej niż piękną kobietą. Dużo więcej. Była błyskotliwym, zdolnym do szantażu

potworem o stalowej woli. Krótko mówiąc, stała się niebezpieczna. Mogła go zniszczyć. Już raz prawie wykorzystwała swoją wiedzę; pamiętał to doskonale.

I nie miał złudzeń. To mogło się

powtórzyć.

Znajoma nienawiść sprawiła, że zrobiło mu się gorąco. Gott im Himmel! Jakże nią gardził. Westchnął. Ale dzisiaj on i wszyscy pozostali mogli wreszcie stanąć do ostatecznej rozprawy z tą kobietą. Czas Helenę Junot się kończył.

Była ósma czterdzieści rano, kiedy podróżujący pierwszą klasą Marcello d'Itri zabrał się do mdłego śniadania serwowanego przez włoskie linie lotnicze. Odchylony do tyłu w fotelu wyciągnął pusty kieliszek po szampanie w kierunku stewardesy.

- Już nalewam, proszę pana -
odpowiedziała z uśmiechem.

Uśmiechnął się również, kiedy nalewała mu kolejną porcję Piper Heidsieck. Wyjątkowo urocza dziewczyna, pomyślał. Z radością pociągnął łyk szampana. Ale dzisiaj wszystko było urocze. Cieszył go nawet przytłumiony, miarowy warkot silników boeinga, dochodzący z tyłu. Marcello nie mógł sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek chmury w dole wyglądały piękniej, i pierwszy raz zupełnie nie przeszkadzały mu ostre promienie słońca. Nie miał zamiaru opuszczać żaluzji. Nie dzisiaj. Zjadł nawet z apetytem jajka bez smaku, z których rezygnował za każdym razem, kiedy podróżował samolotem. Dziś wszystko sprawiało mu radość.

Za dwie godziny wyląduje na lotnisku Kennedy'ego i wtedy wreszcie wszystkie kółeczka, które tak skrupulatnie ze sobą połączył, zaczną się obracać. Machina pójdzie w ruch.

Czuł narastającą satysfakcję.

Czterdziestodwuletni Marcello d'Itri był średniego wzrostu i miał oliwkową cerę. Jego gęste szpakowate włosy wydawały się ciągle -jakby specjalnie - nieuczesane. Policzki miały stale niebieskawy cień popołudniowego zarostu, niezależnie od tego, ile razy się golił. Ubrany był w elegancką marynarkę z szarego aksamitu, szare spodnie i czerwoną kraciastą koszulę z cienkim szarym krawatem. Z wyjątkiem

artystycznie potarganych włosów wyglądał wprost nienagannie; miał zadbane paznokcie, zrobione na miarę półbuty lśniły, a wąski pasek otaczający jego szczupłą talię był ze skóry kobry, z klamrą z osiemnastokaratowego złota. Szarą skórzaną walizkę Marcella ozdobił wzór

składający się z ciągu liter - M d'I... M d'I... M d'I. Nie przeszkadzało mu, że taki sam bagaż mają tysiące podróżnych, skoro były to jego inicjały.

Obecnie d'Itri był postrzegany jako najbardziej liczący się włoski projektant mody ostatniej dekady, ale początkowo jego szanse na sukces w tej dziedzinie

wydawały się bardzo niewielkie. Jego fantastyczne, czasami niezrozumiałe projekty, tak samo jak skromne, chłopskie pochodzenie, odstraszały zarówno potencjalnych klientów, jak i szefów przemysłu odzieżowego. W okresie dominacji arystokratów - kiedy tytuły „książę”, „księżna”, „hrabia” czy „baronessa” widniały na każdej metce - jego proste „Marcello d'Itri” wystarczyło, by zniechęcić potencjalnych klientów.

Na jego drodze pojawiła się jednak dobra wróżka. Helenę Junot zobaczyła jego projekty i uznała, że d'Itri ma potencjał. Uparte lansowanie strojów Marcella na łamach jej pism

wystarczyło, by na stałe wszedł do świata mody, wyprzedzając nawet uwielbianego przez kobiety z towarzystwa Valentino. Lecz za tę przysługę, co d'Itri odkrył dużo później, musiał słono zapłacić. Helenę oplótł jego interesy jak elegancka ośmiornica, a jej macki sięgały wszędzie. W końcu miała wpływ nie tylko na projekty Marcella d'Itri, lecz także na niego samego.

Westchnął, wracając myślami do przeszłości. No cóż, mogło być gorzej. W końcu sukces, który zawdzięczał Helenę, miał jedną dobrą stronę: pieniądze. Krok po kroku, po cichu, pod przykrywką różnych fikcyjnych

korporacji, Marcello wykorzystywał swoją rosnącą wciąż fortunę, aby wykupić udziały w Helene Junot International, Inc. Zanim zorientowała się, co się stało, wszedł do zarządu.

Teraz, po latach upokorzeń doznanych z pięknych rąk Helene, zbliżał się wreszcie do celu.

Jej dzieło pomoże w unicestwieniu jej samej.

W ekskluzywnym apartamencie Manhattan Sutton Place zamyślona Z.Z. Bavier wyglądała przez wysokie drzwi balkonowe z rżniętego szkła, zachwycając się widokiem. Sople lodu na cisach stojących w oszronionych

donicach na tarasie jej penthouse'u połyskiwały w promieniach słońca. W dole maleńkie auta mknęły ulicą Pięćdziesiątą Dziewiątą, a w ich karoseriach odbijało się światło poranka.

Gryzący dym z papierosa marki Dunhill zasnuł falą zasłony z fioletowej mory. Z.Z. odłożyła słuchawkę telefonu z kości słoniowej usatysfakcjonowana tym, co przed chwilą usłyszała. „Helenę Junot wróciła już do miasta” - poinformował ją rozmówca. Helenę Junot, ta piękna, arogancka dziwka, zawsze ubrana z najwyższą klasą, bez wątpienia wyczuwała już nadchodzące kłopoty. Prawdopodobnie zaczyna się już bać,

myślała Z.Z. z sadystyczną przyjemnością. Wreszcie się z nią rozprawią. Po blisko dziesięciu latach nadszedł czas ostatecznej rozgrywki. Po prostu rozkoszne!

Trzydziestoośmioletnia Z.Z. Bavier była chuda, drobna, a swój wysoki wzrost zawdzięczała niebotycznym obcasom. Miała teraz na sobie fioletowo-brązowy stylizowany na wschodni kaftan firmy Pucci, złoty naszyjnik ze starożytnych bizantyjskich monet i złote sandały. Jej włosy o barwie miodu sterczały sztywno polakierowane, a oczy, przypominające rysie ślepień, były małe, zielone i wiecznie czujne, nos zaś zadarty. Nikt z kręgu licznych znajomych Z.Z. nie znał

jej prawdziwego imienia ani nie wiedział, co oznaczają te litery. Z.Z. uwielbiała zagadki.

Gdy odwróciła się od okna i przeszła energicznym krokiem przez kilkupoziomowy salon, monety wokół jej szyi zabrzęczały delikatnie.

Powróciła myślami do chwili, kiedy to wszystko się zaczęło. Dziesięć długich lat temu. Była wówczas czarującą żoną Siegfrieda Bawiera, znanego i podziwianego finansisty, który miał niesamowitego nosa do korzystnych inwestycji i którego fortuna rosła w oczach.

Potem, w 1965 roku, wszystko się

rozpadło. Ukochany Sigi zmusił Z.Z. do rozwodu. Nie przejmował się, że była wówczas w ciąży. Myślał jedynie o Helenę Junot. Z.Z. pozwoliła mu odejść do tamtej, przekonana, że wkrótce mąż wróci do niej na kolanach, błagając o przebaczenie. Była tego tak samo pewna jak tego, że dostanie następne zaproszenie na przyjęcie u hrabiego Blackwella, znajdzie się w „Celebrity Register”, i tego, że ma w szafie najnowszą kolekcję strojów zaprojektowanych przez Suzie. A jak już Sigi przyczołga się z powrotem, co wtedy? Cóż, będzie go karać przez odpowiednio długi czas i w końcu mu wybaczy. Zdarzało się tak już wcześniej, aczkolwiek nigdy nie doszło do

rozvodu. Miała zamiar cierpliwie przeczekać jego miłosną aferę. Na otarcie łez dostała siedem milionów dolarów, apartament przy Sutton

Place, a także dom w Easthampton, dwa obrazy Picassa i jeden Braque'a, kolekcję dzieł Georgii O'Keeffe oraz fundusz powierniczy dla nienarodzonego dziecka.

Ale stało się coś, czego się nie spodziewała. Mąż do niej nie wrócił. Dzień po orzeczeniu rozvodu on i ta kobieta wypowiedzieli słowa przysięgi małżeńskiej w urzędzie stanu cywilnego w centrum Nowego Jorku. A dwa miesiące później Sigi padł martwy w gmachu giełdy, pozostawiając Helenę

piętnaście milionów dolarów i sprawiając, że Z.Z. zaczęła przedwcześnie rodzić.

Jak strasznie pragnęła mieć to dziecko! Miała stuprocentową pewność, że sprowadzi ono Siegfrieda z powrotem, że staną się sobie jeszcze bliżsi, że bycie ojcem zmusi go do zaprzestania miłosnych podbojów i usatkwowania się. Nawet wybrała już imię: Carla - dla dziewczynki, a Wilfred -jeśli byłby to chłopiec.

Lecz kiedy ciemnoskóra pielęgniarka przyniosła i pokazała jej noworodka, Z.Z. odruchowo zasłoniła oczy dłońmi. Wystarczyło jej jedno krótkie spojrzenie

na tę okropną, zdeformowaną istotę.
Ujrzała wykrzywioną różową
twarzyczkę, szeroko rozstawione oczy,
które synek z pewnością odziedziczył po
niej, czerwone, zaślinione usteczka i
odrażająco zniekształcone rysy. Jej
dziecko przeżyło przedwczesny poród,
ale urodziło się z nieodwracalnymi
uszkodzeniami mózgu.

- To moje dziecko? - Jej ochrypły głos
odbijał się echem od biało-zielonych
ścian. Pielęgniarka poważnie kiwnęła
głową.

Oczy Z.Z. wypełniły się przerażeniem.

- To niemożliwe! -jęknęła zszokowana. -
Nie jest moje! Nie może być! Nie może!

-zawodziła, uderzając głową o metalowe oparcie łóżka i łkając gwałtownie.

Nie mogła w to uwierzyć. Urodziła potworka. Ta świadomość doprowadziła ją do załamania.

Kiedy doszła do siebie, powiedziała wszystkim pytającym znajomym, że dziecko urodziło się martwe. Marząc, aby to była prawda, przyjmowała przeprosiny i kondolencje, a także dziękowała za natrętne współczucie i troskę.

Nigdy nie mogła wymazać Wilfreda z pamięci. To, że go porzuciła, gnębiło ją dniem i nocą. Czy kiedykolwiek myśli o

swojej matce? - zastanawiała się ciągle.
I jak wygląda teraz?

Zamknęła oczy i zadrżała. Stale
powracała do niej ta sama myśl: do
kogo jest podobny jej syn. Ale zawsze
bała się to sprawdzić.

Helene zapłaci za to, przysięgła sobie
Z.Z. O tak, zapłaci. To wina tej suki.
Gdyby nie Helene, Z.Z. odziedziczyłaby
dwadzieścia dwa miliony dolarów
zamiast marnych siedmiu, którymi
musiała się zadowolić. A przede
wszystkim nie musiałyby samotnie
rodzić... - przełknęła ślinę - ...synka
Sigiego. Nie musiałyby sama dźwigać
tak okropnego brzemienia, świadomości
wydania na świat nienormalnego

dziecka. Sigi byłby przy niej, wspólnie znosiliby ten ból i cierpienie nie byłoby aż tak przygniatające.

Toteż kiedy nadarzyła się okazja po temu, Z.Z. kupiła udziały Helenę Junot International, Inc. warte trzy miliony dolarów. Uważała, że było to warte każdych pieniędzy. Czuła satysfakcję z tego, że zasiadała w zarządzie i mogła przeciwstawić się każdemu posunięciu kobiety, której nienawidziła ze wszystkich sił.

Ale dotąd były to tylko mało znaczące potyczki. Prawdziwa batalia dopiero się zaczynała.

Wielka limuzyna marki Mercedes

torowała sobie drogę przez zatłoczone ulice. Na szarym welurowym siedzeniu wyciągnął się tylko jeden pasażer, hrabia de Léger. Jechał właśnie ze swojej wytwornej kamienicy przy Wschodniej Sześćdziesiątej Ósmej do Junot Building, głównej siedziby Helenę Junot International, Inc. przy Piątej Alei.

Bankier, właściciel słynnych winnic, kuzyn premiera Francji, hrabia de Léger zasiadał w zarządzie firmy Helenę Junot. Ten zgorzkniały Francuz był alkoholikiem. Miał czerwoną twarz o przystojnych, ale znamionujących okrucieństwo rysach, którym kobiety nie mogły się oprzeć, i twarde, czarne jak węgiel oczy. Bujne szpakowate włosy

zaczesał do tyłu, jak gdyby po to, by stawiały mniejszy opór wiatrowi. Był wysoki i szczupły. Ubierał się elegancko - dziś włożył niebieski garnitur szyty na zamówienie na słynnej Savile Row, a do niego czarny krawat z naturalnego jedwabiu. Na spinkach od mankietów znajdował się wygrawerowany herb rodziny de Légerów: lew i salamandra, które podtrzymywały umieszczoną między nimi tarczę. Owe spinki były rodzinną pamiątką i przechodziły w spadku na każdego następnego dziedzica tytułu. Natomiast złote kolczyki, które w 1546 roku król Franciszek I podarował pierwszej hrabinie de

Léger, otrzymywała zawsze małżonka

kolejnego hrabiego. Lew i salamandra symbolizowały związki de Légerów z tronem francuskim.

W tej chwili hrabia nie myślał o korkach. Czuł się koszmarnie, miał mdłości. Spędził tę noc, pijąc bez końca. Dobrze po północy dostał wiadomość telefoniczną z Paryża. „Helenę Junot wynajęła odrzutowiec Lear i opuściła lotnisko Orly w ogromnym pośpiechu” - poinformował go cichym szeptem dzwoniący.

Hrabia potrafił należycie ocenić wagę tej informacji. To oczywiste, że Helenę nie wzięła wytwornego samolotu Grumman Gulfstream II, należącego do przedsiębiorstwa, ponieważ nie chciała,

żeby pozostali dowiedzieli się o jej niespodziewanym powrocie.

Nie chciała dać im czasu, aby zdążyli się przygotować. Hrabia uśmiechnął się złośliwie. Jakby mogła jeszcze cokolwiek zrobić! Czy nie zdawała sobie sprawy z tego, że już za późno?

Jakże była naiwna, uważając, że zdoła ich przechytrzyć. Przecież wszyscy czworo czekali tak cierpliwie i tak długo. De Léger spodziewał się jakiegoś ruchu z jej strony i przygotował się na to. Cały ten czas była śledzona aż do Orly i jeszcze zanim odrzutowiec otrzymał pozwolenie na start, hrabia już o tym wiedział. A kiedy wylądowała na

lotnisku Kennedy'ego jakieś piętnaście minut temu, wiedział o tym również. Zaskoczyło go jedynie to, że potrzebowała tak dużo czasu, aby wykonać ten ruch.

Ach, jakie to wspaniałe uczucie wreszcie być górą!, myślał dalej. Biedna, naiwna Helenę. Miała się za królową, podczas gdy tak naprawdę była tylko pionkiem. Jego pionkiem. Uśpiło ją fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Łatwo uważać, że ma się wszystkie atuty w ręku, wiedząc, że pewne dokumenty spoczywają bezpiecznie w sejfie prawnika. Uśmiechnął się tajemniczo. Ale nawet najlepiej zabezpieczone sejfy można otworzyć.

Limuzyna szarpnęła i ponownie się zatrzymała. Mdłości powróciły. Mały drink pomoże mu dojść do siebie, uznał de Léger.

Otworzył barek i nalał sobie dużą porcję armaniaku do kryształowego kieliszka. Wypił go jednym łykiem.

Od razu zrobiło mu się lepiej, kiedy poczuł ciepło alkoholu w żołądku. Nalał sobie ponownie.

Nagle wargi zacisnęły mu się z wściekłości; uderzył pięścią w welurowe siedzenie.

- Je suis betel - wykrzyknął. Jakże głupio z jego strony, że nie dostrzegł

tego, co oczywiste! Powinien był zwrócić na to uwagę wcześniej.

Zniknęły gdzieś ponad dwie godziny! W pierwszej chwili nie skojarzył sobie tego, że podróż Helenę trwała sto czterdzieści minut dłużej, niż powinna. Zawiadomiono go o starcie i lądowaniu. A co robiła w ciągu tych dwóch godzin? Z pewnością nie latała w kółko nad Atlantykiem. Lear nie miał tak dużych zbiorników paliwa.

Musiała przerwać lot i gdzieś wylądować. Ale gdzie? I w jakim celu?

Chwycił słuchawkę telefonu. Ktoś powinien porozmawiać z pilotem i dowiedzieć się wszystkiego.

Limuzyna hrabiego podjeżdżała właśnie do Junot Building, kiedy James Cortland Gore III brał do ust kolejny polany syropem kawałek naleśnika. Siedział w pokoju śniadaniowym swojej rezydencji w Connecticut, zaledwie czterdzieści pięć minut jazdy od środkowego Manhattanu. W małym, jasnym pokoju były zielone tapety z wytłoczonymi liśćmi paproci; podłogę pokrywały ciemnoszare marmurowe płytki. Żona siedząca po przeciwnej stronie stołu wykonanego z żelaza i szkła w milczeniu spoglądała w duże wykuszowe okno. Był to cudowny moment. W porannym słońcu drzewa rzucały wydłużone cienie na oślepiający śnieg, pokrywając łąkę pasiastym dywanem podobnym do skóry

zebry.

Potem popatrzyła na męża.

Niski, sześćdziesięcioletni James swoją tuszą przypominał wieprza. Miał obwisłe policzki, wąskie, czerwone usta, a jego twarz pokrywały niezliczone zmarszczki. Był łysy; szare, podobne do koralików oczy spoglądały spod szpakowatych brwi. Garnitur w drobne prążki określał pozycję towarzyską Gore'a. James był wiceprezesem banku i otrzymywał pensję w wysokości stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów rocznie, którą lekką ręką wydawał. Należał do ekskluzywnych klubów dostarczających rozrywki pracującym dżentelmenom. Odniósł sukces i znajdował się u szczytu

kariery.

Oderwał teraz wzrok od porannego wydania „The Wall Street Journal” i spojrzął na żonę.

Geraldine Gore była zadbaną kobietą. Skończyła pięćdziesiąt siedem lat, ale nie wyglądała na więcej niż trzydzieści dziewięć. Niemal anorektycznie chuda, miała wydatne, podobne do indiańskich, kości policzkowe, a jej opalenizna była efektem weekendów spędzanych na Florydzie. Cytrynowy szlafrok, wykończony strusimi piórami, pochodził z firmy Martha w Bal Harbour. Jasne, jakby przysypane popiołem włosy, spłwiała na słońcu, opadały na

ramiona. W każdy czwartek, przed jej piątkowym lotem do Palm Beach, układał je fryzjer w salonie Susumu na Piątej Alei. Nos Geraldine, wąski i delikatny, stanowił efekt operacji plastycznej w ekskluzywnej klinice w pobliżu Lozanny ponad piętnaście lat temu. Błyszcząca diamentowa bransoleta otaczała nadgarstek. Geraldine wypatrzyła ją u Bulgariego tydzień temu i dotąd ani na chwilę nie zdjęła.

Gore odchrząknął.

- Niestety, kochanie, mam dla ciebie złe wieści. - Policzki mu drżały, kiedy to mówił.

- Złe wieści?

- Będę dziś musiał pracować do późna.

- Och, nie, James -jęknęła. - Nawet mi nie mów, że nie możesz! Nie dziś!

Przecież obiecałeś, że dziś nic ci nie przeszkodzi. Zostaliśmy zaproszeni do Asburych na kolację, nie pamiętasz?

Gore był rozdrażniony. Nie pamiętał? Jakże mógłby zapomnieć?

- Przykro mi, kochanie - starał się mówić łagodnie. - Zadzwoń do nich i przeproś, że nie przyjdziemy.

Do diabła! Kolejny miły wieczór zepsuty, pomyślała Geraldine. A tak bardzo cieszyła się na tę wizytę. Asbury mieli gości z Francji i wprost umierała z

chęci pochwalenia się swoim na wpół już zapomnianym francuskim z Sorbony, a także kreacją z domu mody Gres, rok temu przywiezioną z Paryża. Bez wątpienia było to arcydzieło. Suknia z tafty podkreślała figurę Geraldine dokładnie tam, gdzie powinna, ale nie była zbyt obcisła; raczej... tak, pieściła ją delikatnie.

Teraz wszystko przepadło. Nie mogła pójść do Asburych bez osoby towarzyszącej, tak się po prostu nie robi. „G-ó-w-n-o” - przeliterować w myślach. Spokojnie, powiedziała do siebie. Opanuj się. Zachowuj się z godnością.

Spojrzała na męża.

James, któremu nie wystarczyła jedna
dokładka, pochłaniał następną porcję
naleśników, by zaspokoić swój
wyjątkowo duży apetyt. Był szczerze
zmartwiony, że zepsuł plany Geraldine.
Nikt lepiej od niego nie wiedział, jak
bardzo czekała na spotkanie z Asburymi
i ich przyjaciółmi z Francji. Nie zrobił
tego specjalnie, ale na ten wieczór miał
inne plany. Dziś musiał podjąć
najważniejszą decyzję w życiu.

Zostały jeszcze tylko trzy dni, myślał. Za
trzy dni upływa termin zwrotu pożyczki
zaciągniętej przez Helenę Junot. Jeżeli ta
suma nie zostanie spłacona, od banku -
czyli od niego - będzie zależał dalszy

los zabezpieczenia - dwudziestu procent akcji H.J.I.I. Niezwykle ważnych dwudziestu procent z osobistego kapitału Helenę Junot, wynoszącego pięćdziesiąt jeden procent wartości całego przedsiębiorstwa, gdyż była to prywatna pożyczka. Członkowie zarządu tej firmy nawiązali z nim kontakt: dyskretnie w klubach, otwarcie, za pośrednictwem doradców i adwokatów, a nawet odbierał tajemnicze anonimowe telefony. Złożyli mu kuszącą propozycję: milion dolarów wolnych od podatku, jeżeli Helenę nie otrzyma przesunięcia spłaty i bank zdecyduje się zaoferować akcje po ich cenie rynkowej pozostałym udziałowcom.

Tamci wszyscy czekają jak chciwe sępy, by wbić w nią szpony, myślał James. Z takiego czy innego powodu reszta akcjonariuszy postanowiła ją zniszczyć.

Och, jak bardzo pomógłby mu milion dolarów! James nigdy nie potrzebował bardziej tych pieniędzy. Lubił życie w luksusie, a styl Geraldine wymagał... cóż, trudno w ogóle mówić tu o jakimś stylu. Była więc rezydencja w Greenwich i druga w Palm Beach - obydwie konieczne ze względu na pozycję towarzyską Gore'ów, lecz niezwykle kosztowne. Obydwie obciążone hipoteką od piwnic po strych. Na lotnisku za miastem czekał samolot Beechcraft Bonanza, którym co weekend

latali do Palm Beach. Miodowozłoty bentley stał w ogrzewanym garażu między najnowszym cadillakiem Seville i ostatnim modelem lincolna continental. Poza tym były ekstrawaganckie zakupy w Paryżu, gdzie madame Gore stała się bardzo znaną klientką. Witano ją z niezwykłą czołobitnością i zawsze podczas pokazów mody dostawała miejsce w pierwszym rzędzie. No i wreszcie był osiemnastometrowy. pełnomorski jacht „Chris Craft”, którego kupno Geraldine dosłownie wymusiła. Poza wszystkim, argumentowała w typowy dla siebie sposób, dom w Palm Beach wygląda prawie nędznie z pustą przystanią.

Sugestia Jamesa, żeby pozbyli się tego domu, nie tylko nie spotkała się z odmową Geraldine, lecz wywołała wręcz jej przerażenie.

A wreszcie, dwa miesiące temu, pani Gore znalazła sobie najkosztowniejszą rozrywkę - wyszukiwanie błyskotek u Harry'ego Winstona lub Bulgariego. James skrzywił się, widząc diamenty połyskujące na nadgarstku żony.

Trudno było z tym wszystkim sobie poradzić, mając sto pięćdziesiąt tysięcy rocznie. Geraldine nic nie wiedziała, i, na Boga, James nie mógłby złamać jej słodziutkiego serduszka, przyznając się, że ich finanse są w opłakanym stanie.

Zaczął więc „pożyczać” pieniądze z banku. Po cichu sam udzielał sobie od czasu do czasu owych pożyczek i zawsze wierzył, że je spłaci, gdy już złapie wiatr w żagle albo kiedy Geraldine przestanie go tyle kosztować.

Do diabła z tym wszystkim! - pomyślał ze złością. Tak trudno było powiedzieć „nie”. ^^

Nie mógł się oprzeć milionowi oferowanemu za oddanie udziałów Helenę Junot pozostałym właścicielom akcji. To była odpowiedź na jego modły.

I, co najważniejsze, nikt nigdy nie musi się o tym dowiedzieć. James odsunął

gazetę. Zbyt dużą przyjemność sprawiały mu marzenia o milionie dolarów, żeby przeglądać wiadomości.

I właśnie dlatego przeoczył nagłówek na drugiej stronie. Głosił on: „Trzęsienie ziemi w Junot Publications?”.

Kiedy podchodził do budki telefonicznej, lodowaty wiatr dmuchnął mu mocno w twarz. Kameleon zatrzasnął za sobą drzwi kabiny, włożył dziesięciocentówkę w otwór i wykręcił numer innej budki gdzieś w mieście. Ze zmarszczonymi brwiami słuchał cichego sygnału. Pierwszy. Drugi. Trzeci. Odłożył słuchawkę na widełki i moneta spadła do dolnego otworu. Wyjął ją i poczekał dwadzieścia sekund. Dookoła

miął ruchliwy i głośny Times Square.

Papiery i śmieci unosiły się na wietrze. Neony błyszczały jarmarcznymi reklamami. Sklepy obuwniczy i muzyczny były jeszcze zamknięte.

Teatryki porno stały puste i ciche. Nikt nie pędził do salonów masażu ani z nich nie wychodził. Było zbyt wcześnie. W

sumie Times Square przedstawiał widok godny pożałowania, jak księżna wdowa wyrzucona przez spadkobierców z pałacu na bruk. Nie jest jednak tak najgorzej, uznał Kameleon. Times Square nigdy nie wyglądał źle o dziesiątej trzydzieści rano. A wpół do dziesiątej wieczorem? To już inna

historia.

Zeszłej nocy wyglądał jak babilońska nierządnicą. Rzędy migających reklam kusiły obrazkami wyuzdanych dziewczyn, salony peep-show za ćwierć dolara proponowały rzut oka na sceny rodem z Sodomy. Dziwki w futerkach z królików paradowały z gołymi, przemarzniętymi udami. Drag queen kroczyły dumnie, chwiejąc się na wysokich obcasach, a ich płaszcze rozchyłały się szeroko, ukazując sterczące, kosztowne piersi. Chłopcy o głodnych oczach stali w pozach podkreślających ich okrągłe tyłki w obcisłych lewisach. Wszystko dostępne za odpowiednią cenę.

Na Czterdziestej Czwartej podeszła do niego portorykańska dziewczyna w białych plastikowych botkach i krótkiej spódniczce. Długie, gołe nogi miała czerwone z zimna.

- Masz ogień? - zapytała miękko.

Błyszczące czarne oczy popatrzyły na niego zapraszająco.

Kameleon wyjął z kieszeni zapalniczkę. W blasku płomyka zauważył złotą skórę i wilgotne czerwone wargi Portorykanki. Policzki miała upudrowane, ale mimo to widać było delikatną zapowiedź zarostu. Drżące palce, w których trzymała papierosa, wydawały się zbyt grube i zbyt męskie.

Pokręcił głową i poszedł dalej. Jeszcze jedna drag queen. Lubił prawdziwe dziwki. Westchnął; czy na tych ulicach nie pracują już żadne kobiety?

Zatrzymało go czerwone światło. Postawił walizkę na chodniku i zapalił papierosa. Potem zaczął szukać hotelu.

Na Czterdziestej Ósmej, tuż obok Broadwayu, znalazł odpowiednie miejsce. Prawdziwa wylęgarnia pcheł. Ośmiopiętrowy budynek z fasadą pomalowaną na ohydny szary kolor. Wąska uliczka prowadziła na znajdujący się z tyłu parking. Na bocznej ścianie zobaczył łamane schody pożarowe. Pulsujący czerwony neon oznajmiał: „Hotel Zanzibar”. „Pokoje od pięciu

dolarów wzwyż. Witamy stałych i przejeżdżających gości” -głosił stary napis poniżej.

Z pewnością to miejsce gwarantowało całkowitą anonimowość, tutaj nikt nie zadawał pytań. Płać za norę z góry, a potem wchodź i wychodź, kiedy ci się podoba.

I o to chodzi.

Rzucił papierosa na ulicę i patrzył, jak opadał. Potem, pogwizdując cicho, wszedł na schody z betonu, otworzył drzwi i znalazł się w holu.

Hol był niesamowity. Cały wyłożony kafelkami, wyglądał jak skrzyżowanie

łaźni tureckiej z teatralnym foyer z lat dwudziestych. Wyszczerbione i zardzewiałe kinkiety na ścianach musiały być kiedyś dobrej jakości, ale dawno utraciły abażury i teraz żarówki świeciły ostrym blaskiem, rażąc oczy. W jednym z pokoi na parterze ryczało na cały regulator radio. Głośna melodia salsy była zniekształcona i przykra dla ucha. Parowe grzejniki syczały i szczekały jak sapiące lokomotywy.

Na prawo, zaraz za drzwiami, znajdowała się kabina z drewna i ze szkła. Prawie zupełnie zakrywała niską, wyglądającą na zmęczoną blondynkę, która siedziała za ladą, przeglądając jakiś magazyn sensacji.

Kameleon chrząknął.

Dziewczyna niechętnie odłożyła pismo na ladę i zwróciła ku niemu bladą twarz.

- Tak? - mruknęła obojętnie. Postawił walizkę na podłodze.

- Chciałbym wynająć pokój - powiedział grzecznie.

- Dziś nie ma dużego wyboru - odrzekła schrypniętym głosem. - Został tylko jeden. - Zrobiła balon z gumy do żucia. - Reszta zajęta.

- Czy okna wychodzą na ulicę?
Potrząsnęła głową.

- Nie, na podwórze. A właściwie to na parking. Trzecie piętro. Naprawdę jest tam cicho.

-Ile?

- Dwadzieścia dolców za noc.

- Dwadzieścia dolców...? Na wywieszce przed hotelem jest „pięć”!

- Tak - odrzekła znudzonym głosem - wiem. To stara wywieszka. Możesz go wziąć albo nie. - Była zirytowana. Chciała już wrócić do sensacyjnych historii w magazynie.

Westchnął.

- W porządku, biorę.

- Na ile?

Zastanowił się przez chwilę.

- Hm... Powiedzmy, że na tydzień.

Podsunęła mu książkę meldunkową i obserwowała, jak pochylił się i złożył czytelny podpis. „A. Samuels - przeczytała - z Waszyngtonu, dystrykt Columbii”. Wreszcie jakaś odmiana po nieczytelnych Johnach Smithach, którzy wypełniali rejestr, uznała. Odwróciła się i wzięła klucz z jednej z przegródek za sobą. Kameleon sięgnął po niego.

- Chwileczkę... - Powstrzymała go. - To

będzie sto czterdzieści dolców. Płatne z góry.

Wyciągnął z portfela trzy pięćdziesięciodolarowe banknoty.

- Pokój numer trzy-zero-cztery - oznajmiła dziewczyna, rzucając banknot dziesięciodolarowy i klucz na ladę. - To na trzecim piętrze. Winda jest tam, po prawej stronie. - Kiwnęła głową w nieokreślonym kierunku. - I musisz zostawić klucz w recepcji, jak będziesz wychodził. Kierownictwo nie lubi, kiedy goście biorą klucze ze sobą.

- Jasne - odparł. Podniósł walizkę i poszedł do windy. Pokój był taki, jakiego oczekiwał, ciasny i obskurny.

Sztywne prześcieradła na łóżku zakrywały zaplamiony, nierówny materac. W łazience woda z ciekącego kranu kapiała do zabrudzonej na zielono umywalki. Z pokoju obok przez cienkie ściany dochodziły ostre głosy i muzyka rockowa.

Kameleon rozsunął spłowiałe zasłony i spoglądał w ciemność. Nie mógł znaleźć lepszego miejsca. Wszędzie wokół miał tylne ściany starych biurowców, o tej porze pustych. Poniżej był ciemny, opustoszały parking, zavalony śmieciami. Zaraz za oknem miał schody pożarowe, które prowadziły wprost na parking. Własna, prywatna klatka schodowa. Po zapadnięciu zmroku, a

nawet w ciągu dnia, jeśli zachowa ostrożność, będzie mógł tędy swobodnie wchodzić i wychodzić. A co najważniejsze, hotel Zanzibar znajdował się daleko od eleganckiego świata, z którym będzie miał teraz styczność. Pobyt tutaj może się wprawdzie skończyć pogryzieniem przez pluskwy, ale z pewnością nikt nie połączy go z wykonaną robotą; kiedy to nastąpi, policja zacznie przeczesywać kręgi

pięknych i bogatych, a nie nędzne hotele dla anonimowych gości. Ale niezależnie od tego wszystkiego Kameleon wówczas zamierzał już być daleko.

Zasunął zasłony, odwrócił się od okna i podszedł do łóżka. Podniósł walizkę i ją

otworzył. Dotąd wszystko przebiegało zgodnie z planem. Na dworcu autobusowym znalazł w dwóch oddzielnych skrytkach klucz i walizkę.

Była ciasno zapakowana płasko poskładanymi ubraniami. Bez ceregieli wywalił je na podłogę. Wyciągnął scyzoryk i rozciął podszewkę wieka. Potem wsunął rękę między materiał a winylowy wierzch. Uśmiechnął się, gdy wyczuł pod palcami papier.

- Och, kochane moje! - wyszeptał. -
Takie słodkie i kochane! Zrobiłbym dla
was wszystko.

Wyciągnął zza podszewki dwadzieścia sześć kopert. Najpierw otworzył

dwadzieścia pięć grubych. W każdej były nowe, szeleszczące studolarowe banknoty. Ułożył je w równy stos. Poślinił palec i szybko je przeliczył. Suma się zgadzała: pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Zaliczka za morderstwo.

Na końcu otworzył dwudziestą szóstą kopertę. Wydawała się pusta, ale znalazł w niej starannie poskładany wycinek prasowy. Rozłożył go i wygładził.

Aż gwizdnął z niedowierzania i zamrugał oczami. Potem usiadł na łóżku, wpatrując się w zdjęcie pierwszej kobiety, którą przyjdzie mu zabić. Szkoda, pomyślał. Boże, ona jest taka

piękna. I w dodatku to dama. Ale ta ślicznotka nie miała najmniejszej szansy.

Nie z Kameleonem.

Był najlepszy w branży. Zapalił papierosa i ponownie utkwił wzrok w fotografii z prostym podpisem: „Helenę Junot”.

Rozdział 3

Junot Building znajdował się na rogu skrzyżowania Piątej Alei i ulicy Dwunastej. Wśród spokojnych starych kamienic wyróżniał się jak błyszczący diament. Helenę poleciła architektom z firmy Kevin Roche John Dinkeloo and Associates, żeby zaprojektowali

dziewiętnastopiętrowy biurowiec.

- Chcę mieć coś wspaniałego -
powiedziała. - Coś zaskakującego i
eleganckiego, a jednocześnie z
charakterem. Coś, co będzie się rzucać
w oczy.

I właśnie to otrzymała. Budynek
dosłownie wstrzymywał ruch uliczny.
Zapowiadał, oczywiście na mniejszą
skalę, słynny U.N. Plaza Hotel Kevina
Roche Dinkeloo and Associates.
Architekci zaprojektowali dla Heleny
imponujący graniastosłup o ścianach z
lustrzanego szkła. W świetle poranka
stał mroźny i zimny, w ciągu dnia
chwycił ruch i wydawał się ożywać.
Nocą sprawiał wrażenie, jakby miliony

świec migotały w jego fasadzie. Ale najbardziej olśniewająco wyglądał o zachodzie słońca. Stał zwrócony na zachód i zamierające słońce przekształcało lustrzane ściany w płonący ogień.

O dziewiątej trzydzieści, kiedy Helenę wysiadała ze swojego białego rolls-royce'a z nowojorską rejestracją HJII, fasada budynku błyszczała zimnym srebrem. Samochód odbijał się w ścianach budynku, gdy szofer w szarej liberii otworzył drzwi. Kilku przechodniów spojrzało na elegancką pasażerkę. Helenę była typem kobiety, za którą wszyscy się oglądali. Zauważano ją wszędzie, gdziekolwiek

się pokazała. Było to efektem jej sławy i pozycji, a jednocześnie wyjątkowej urody.

Każdy, kto jej nie znał, mógłby się założyć, że Helenę nie ma jeszcze trzydziestu lat i na pewno jest modelką. W rzeczywistości skończyła trzydzieści osiem i była właścicielką kontrolnego pakietu akcji Helenę Junot International, Inc., imperium wydawniczego, któremu nadała swoje imię. Założyła i rozwinęła swoje wydawnictwo drukujące najbardziej wpływowe i najbardziej znane w świecie magazyny mody. Helenę była szczupła, wysoka, miała królewską postawę i mnóstwo wdzięku. Jej owalna twarz o subtelnych rysach

nasuwała skojarzenie z figurką z dreźdeńskiej porcelany. Uderzająco fiołkowe oczy błyszcząły niczym rzadkie klejnoty, a ich odcień zależnie od oświetlenia zmieniał się od przydymionego ametystu do półprzezroczystego fioletu z drobnymi

plamkami szafiru. Bujne kruczoczarne włosy nosiła upięte w kok, a to klasyczne uczesanie podkreślało kości policzkowe zaznaczone wyraźnie jak u baleriny teatru Bolszoi. Wargi miała pełne i zmysłowe, a zęby białe. Podniesiony kołnierz lśniącego futra z norek zakrywał długą, smukłą szyję.

Spojrzała w głąb Piątej Alei na Washington Square. Była to głównie

dzielnica mieszkaniowa. Ulice wydawały się teraz prawie wymarłe. W oddali wciąż stała olbrzymia świąteczna choinka. Na widok drzewka Helenę zacisnęła wargi.

Wesołe święta, pomyślała, kręcąc głową. Ale dla niej był to smutny czas. Bardzo smutny, ponieważ to inni świętowali. Inni, czyli wszystkie te niezagrożone bezimienne rodziny w zasypanych śniegiem, staroświeckich domach z trzeszczącymi, twardymi krzesłami, kolorowymi narzutami i cudownymi krewnymi, którzy zjechali się, aby razem obchodzić Boże Narodzenie.

Ona też miała kiedyś cudowną rodzinę.
Helenę zadrżała, ale nie z zimna.
Odruchowo przyciągnęła kołnierz futra
do szyi i przytrzymała go dłonią.

- Pani Junot? - Usłyszała grzeczny głos
za plecami.

Odwróciła się wyrwana z zadumy.
Szofer wciąż przytrzymywał otwarte
drzwi limuzyny, których nie mógł
zamknąć, ponieważ Helenę stała zbyt
blisko.

- Och, przepraszam, Jimmy -
powiedziała gardłowym głosem z
francuskim akcentem. Jej oddech
zmieniał się w małe białe chmurki.
Cofnęła się szybko.

Zamknął drzwi.

- Czy auto będzie pani potrzebne w porze lunchu? Zastanowiła się chwilę.

- Nie... o piątej trzydzieści wystarczy.

- Dobrze, madame. Czy życzy sobie pani czegoś jeszcze? Pokręciła głową.

- Nie, dziękuję, Jimmy. Zawieź tylko bagaż do mojego mieszkania.

Nie mogła opanować lekkiego uśmiechu, kiedy stuknął obcasami, pochylając jednocześnie głowę w ukłonie i dotykając palcami daszka czapki. Po chwili rozległ się warkot silnika i wielkie auto odjechało.

Nic się nie zmieniło przez ten tydzień, kiedy jej tu nie było. Poza wybudowaniem Junot Building nic się tu nie zmieniło od dziesięcioleci. Po drugiej stronie Piątej Alei masywny szary budynek głównego biura „Forbesa” emanował solidnością, której należy

oczekiwać po wydawnictwie zajmującym się finansami. Bawiło ją, że ta solidna klasyczna budowla stoi naprzeciw jej gmachu. Junot Building nie pasował do szacownej świątyni Malcolma Forbesa wzniesionej ku czci wszechmogącego dolara. Tak samo jak nie pasował do wyniosłych przedwojennych budynków stojących

wzdłuż alei aż do łuku.

Ale lokalizacja była odpowiednia. Poza tym jej imperium było tym dla świata mody, czym „Forbes” dla świata ekonomii. Nazwisko Junot stało się synonimem haute couture tak jak nazwisko Fairchilda rezydującego w przysadzistym, podobnym do fabryki budynku obok. Ten wydawca „Woman Wear Daily” i „W” nie był konkurencją dla Helenę Junot tak samo jak Conde Nast z „Vogue’a” czy Hearst z „Harper’s Bazaar”. Mimo to powstawały żarty o dwóch wydawcach, którzy stukają do siebie łokciem w ścianę.

Uśmiechając się do siebie, Helenę

ruszyła w kierunku wejścia do budynku. Krzykliwy snobizm nowojorskich bogatych firm zawsze ją bawił. Świetna Upper East Side to był szczyt marzeń jej zarządu. A gdzie osiadł Conde Nast? Gdzie są te wszystkie agencje modelek? Helenę postawiła na swoim. To ona przesunęła oś elegancji i dobrego smaku do centrum. Kiedy zdecydowała o przeniesieniu ich biura na spokojną ulicę Dwunastą, cały zarząd był w szoku.

Czy te śmieszne snoby nigdy niczego nie rozumieją? Jeżeli dzielnica willowa została uznana za modną, co może być modniejszego od słynnej śródmiejskiej Piątej Alei? Co można porównać ze spokojną elegancją przywodzącą na

myśl Paryż i dostojność Londynu?

Szklane drzwi Junot Building rozsunęły się same i Helenę weszła do ciepłego, przytulnego holu. Kiwnęła głową recepcjoniście siedzącemu za biurkiem z marmuru i ruszyła w kierunku prywatnej windy. Chodziła tędy niezliczoną ilość razy, a mimo to zawsze rozglądała się wokół z dumą. To był jej świat - świat, który stworzyła, nad którym niepodzielnie panowała. Pracownicy biegali, wykonując swoje zadania, a ich szybkie kroki odbijały się echem od czarnych marmurowych posadzek. Wszystkie te odgłosy łączyły się w jednostajny szum, który ulatywał pod sufit, a nagłe kaszlnięcia rozbrzmiewały

jak głuche uderzenia pękniętego dzwonu. Z oddali nieustannie dochodziły stłumione dzwonki telefonów. To właśnie lubiła Helenę. Jej świat był pełen życia.

Spojrzała na olbrzymie, srebrne drukowane litery umieszczone na ścianie holu. „HJII” - przeczytała. Pod spodem mniejsze litery wyjaśniały: „Helenę Junot International, Incorporated”. To był rytuał - zawsze czytała ten napis. Chciała mieć pewność, że nie śni.

- Dzień dobry, pani Junot! - zawołał wesoły głos za jej plecami. Odwróciła się szybko. Henry, strażnik dzienny, uśmiechnął się szeroko. - Szczęśliwego nowego roku - powiedział.

Helena uśmiechnęła się także.

- Nawzajem, Henry - odpowiedziała.

- Dziękuję pani.

Doszli do jej prywatnej windy. Henry przycisnął guzik na zewnętrznym panelu i drzwi cicho się otworzyły. Z kurtuazją przytrzymał je, gdy wchodziła do środka.

- Miłego dnia, pani Junot - powiedział, rzeczywiście jej tego życząc.

- Dziękuję, Henry - odrzekła, chociaż wiedziała, że nie będzie to dobry dzień. Weszła do małej kabiny wykładanej

orzechową boazerią i przycisnęła guzik z numerem

19”.

Dziewiętnaste piętro należało do kierownictwa. Oświetlona lampami recepcja była przestronna i elegancko urządzona. Tutaj bogactwo imperium uwidoczniło się w pełni, żeby każdy mógł je dostrzec. Helenę nie żałowała pieniędzy. Nawet recepcjonistka za olbrzymim marmurowym biurkiem w kształcie elipsy była olśniewająca i miała na sobie kostium w brzoskwiowym kolorze zaprojektowany specjalnie dla firmy Helenę. Podłogi wyłożono mahoniem, mahoniowa boazeria pokrywała również

ściany aż do wyciszonego sufitu. Wyściełane zamszem meble od Bruetona - dwadzieścia cztery tysiące dolarów za sofę - rozstawiono wokół mosiężnych stolików, na których leżały stosy najnowszych czasopism wydawnictwa Junot. Nie było listy wydawanych magazynów, w zamian za to na ścianach wisiały okładki najnowszych numerów. Podświetlone od spodu wyglądały jak dwanaście małych ekranów. Wymieniano je raz w miesiącu, w momencie kiedy dany numer trafiał do sprzedaży.

Helena przesunęła po nich wzrokiem władczyni. Każdą okładkę widziała setki razy i ostatecznie zatwierdzała

każdą z nich; pomagała wybierać układ,
kolor, krój i wielkość

czcionki, ale chociaż robiła to setki razy,
zawsze czuła tę samą matczyną dumę. To
były jej dzieci. Każde z nich nosiło imię,
które mu nadała:

„Les Modes” „Les Modes”

(wersja amerykańska) (wersja
angielska)

„Les Modes” „La Moda”

(wersja francuska) (wersja włoska)

„Modę” „Les Modes Homme”

(wersja niemiecka) (wersja francuska)

„La Moda Uomo” „Glamorous Miss”

(wersja włoska) „Ladies Bazaar”

„Brides World” „Yachting and Boating”

„Beauté”

Wszystkie piękne i interesujące, o łącznym nakładzie prawie dwudziestu ośmiu milionów egzemplarzy.

Sprzedawane na całym świecie.

Elementy imperium wydawniczego, które rozpowszechniały nowe trendy i zmieniały styl życia całego globu.

Piękna dziewczyna z recepcji spojrzała na nią z nieukrywanym zdumieniem.

- Pani Junot - powiedziała. - My... my nie oczekiwaliśmy, że przyjdzie pani tak szybko. Nie przed popołudniem.

Helena zaczęła rozpinać guziki futra.

- Zdecydowałam się wrócić wcześniej, Maggie.

Maggie rozejrzała się wokół nieufnie i ściszyła głos do konspiracyjnego szeptu.

- Hrabia de Léger już jest. Przyjechał ze dwadzieścia minut temu. Zupełnie jakby wiedział, że przyjdzie pani rano, a nie po południu.

Helena przestała rozpinać futro. Hubert de Léger? Jak zwykle jest nawet zbyt

dobrze poinformowany. Nikogo nie zawiadamiała o wcześniejszym powrocie. Mógł się tego dowiedzieć tylko w jeden sposób: prawdopodobnie miał w Paryżu kogoś, kto obserwował jej mieszkanie na Ile Saint-Louis. Ktoś ją śledził. Więc doszło aż do tego! Podejrzewała, że wcześniej czy później tak się stanie.

- Tylko on jeden? - zapytała. Maggie kiwnęła głową.

- Na razie tak. Ale zdaje się, że mamy czerwony alarm. Krążą wieści, że po południu zjawi się tu cały zarząd.

To nie była niespodzianka. Helenę zaplanowała spotkanie zarządu ponad

miesiąc temu. Dla tych, którzy nie wiedzieli, było to zwykłe zebranie. Dla tych, którzy wiedzieli... Poczwała, że coś ściska ją w gardle.

- Tak, wszyscy będą tu wkrótce - wykrztusiła nieswoim głosem. Maggie rzuciła jej zdumione spojrzenie.

- Wszystko w porządku, pani Junot?

Helena zmusiła się do uśmiechu i kiwnęła głową.

- Tak. Dziękuję, Maggie.

Zadzwonił telefon i recepcjonistka podniosła słuchawkę. Helena odwróciła się i poszła długim korytarzem,

wysłanym grubym dywanem, w kierunku swojego gabinetu. Jak przez mgłę dolatywały do niej fragmenty odpowiedzi Maggie: „Tak... jest już... właśnie wchodzi...”.

Ale Helenę nie zwracała na to uwagi. Następną zimą, znowu ta lodowata, okropna zima, myślała.

- Pani Junot!

Zatrzymała się i odwróciła. Biegł ku niej Albert Lourie, asystent zarządu. Był szczupłym mężczyzną około trzydziestki, miał ziemistą twarz i włosy mysiego koloru. W dłoni ścisnął złożoną gazetę.

- Co się stało, Albercie? - zapytała

Helenę. - Ty biegniesz?!

- Dzięki Bogu, udało mi się panią dogonić! - wysapał, nie mogąc złapać tchu. Jego ziemistą twarz pokrył rumieniec. - Maggie właśnie mi powiedziała, że pani wróciła. Mam tu coś, co powinna pani natychmiast przeczytać.

Z jego wzburzenia mogła wywnioskować, że sprawa jest poważna. Albert nie należał do ludzi, którzy podnoszą fałszywy alarm.

- Więc? - zapytała.

- Nie tutaj. - Wskazał ręką mały pokój konferencyjny w głębi korytarza.

Helenę kiwnęła głową. Weszli do wyłożonego orzechową boazerią pokoju, zamknęli drzwi i usiedli naprzeciw siebie na obitych brązową skórą krzesłach od Tucroma.

- Słucham - zaczęła. - Co to za sprawa życia i śmierci?

- Chodzi o to. - Albert machnął gazetą trzymaną w dłoni. - Dzisiejszy „The Wall Street Journal”. Nie widziała go pani jeszcze?

- Nie miałam czasu. O co chodzi?

Bez słowa podał jej gazetę i oskarżycielsko wskazał palcem artykuł na drugiej stronie. Helenę spojrzała na

tytuł. Wielki nagłówek wydawał się do niej krzyknąć: „Trzęsienie ziemi w Junot Publications?”.

Zrobiło jej się sucho w ustach, gdy przeczytała podtytuł: „Kolos wydawniczy w poważnych kłopotach?”.

Oszołomiona czytała dalej:

Zaplanowane wcześniej, aczkolwiek nienagłośnione w prasie spotkanie zarządu Helenę Junot International, Inc. ma się odbyć dzisiaj. Z wiarygodnego źródła, które zastrzegło sobie anonimowość, wiemy, że to zebranie ma wreszcie położyć kres utajonej walce o kontrolę nad HJII.

Ogólnie wiadomo, że firma pani Junot jest zadłużona, a „You!”, nowy magazyn, przeznaczony dla pracujących kobiet, poniósł finansową klęskę i naraził spółkę na milionowe straty.

Obserwatorzy rynku wydawniczego i Wall Street spekulują, że tym razem walka o władzę prawdopodobnie przyniesie szkodę finansom HJII i może niekorzystnie wpłynąć na już i tak obniżony kurs akcji.

Władzę nad tym wydawniczym gigantem sprawowała od zawsze Helenę Junot, słynna Francuzka, która założyła magazyn „Les Modes” w 1957 roku w Paryżu i przekształciła swoją firmę w światowej sławy imperium, kreujące

trendy współczesnej mody i niezwykle arbitralne w swoich opiniach o jej twórcach.

Dwa lata temu Helenę Junot wykorzystwała wielki pakiet własnych akcji HJII jako poręczenie pożyczki na sfinansowanie Junot Publications, odrębnej jednostki pod swoją wyłączną kontrolą. Wkrótce upływa termin spłaty tej pożyczki. Jeżeli pani Junot nie wywiąże się na czas ze swoich zobowiązań, wielki pakiet akcji HJII prawdopodobnie

przejdzie na własność Manhattan Bank N.A., który będzie mógł rozporządzać nimi, jak uzna za stosowne. A wówczas założycielka HJII zostanie z niewielką

liczbą udziałów, ledwo wystarczającą do egzekwowania weta dotyczącego publicznej sprzedaży akcji HJII...

Gazeta zaszeleściła, kiedy zirytowana Helenę odrzuciła ją na dywan.

Wiedziała, co znaczy ten artykuł. Ktoś z zarządu HJII celowo doprowadził do przecieku tych informacji do prasy, zdecydowany podważyć jej rangę jako prezesa i osłabić jej pozycję w negocjacjach z bankami. Była to podstępna taktyka mająca na celu podanie w wątpliwość jej zdolności do kierowania firmą. W ten sposób można też było ujawnić jej uparty sprzeciw wobec propozycji publicznej sprzedaży akcji i w efekcie zmusić ją do

ponownego rozważenia tej kwestii. Inni członkowie zarządu mieliby olbrzymie zyski finansowe, gdyby się na to zgodziła, ale żaden z nich nie zauważał, że to ona zarobiłaby najwięcej. Jednak Helenę przerażała myśl o nieznanym inwestorach w korporacji, o którą walczyła tak wiele razy i którą tak trudno było stworzyć. Ci obcy weszliby do firmy tylko po to, aby zdobywać coraz większe i większe profity. W pogoni za zyskiem jakość jej czasopism musiałaby niewątpliwie się pogorszyć. Dla Heleny było to nie do pomyślenia. Przede wszystkim przecież to HJII lansowało wysoką jakość. Jej przedsiębiorstwo miało tylko kilku udziałowców i chciała, żeby tak zostało.

Albert kręcił się nerwowo na krześle.

- Bardzo... bardzo mi przykro, pani Junot - wyjąkał. - Myślałem, że powinna to pani przeczytać, zanim... - Bezradnie rozłożył ręce.

Spojrzała na niego półprzytomnie.

- Tak. Dziękuję ci, Albercie - powiedziała głuchym głosem. - Doceniam to. Naprawdę.

Potem wstała, klepnęła go lekko po ramieniu, wyszła z pokoju konferencyjnego i powoli ruszyła korytarzem w kierunku swojego gabinetu. Została zdradzona, myślała ze smutkiem. Nie po raz pierwszy. Jedyna

rzecz, która się nie zmieni, to gorzki smak, jaki zawsze pozostawia zdrada.

Oczywiście, że HJII ma kłopoty, przyznała sama przed sobą. Która spółka ich nie ma? Ale podanie tych informacji do publicznej wiadomości pod pretekstem artykułu w „The Wall Street Journal” było niewybaczalną podłością. Kto zdradził? Hubert de Léger? Stawiała na niego. Ale nie mogła mieć pewności. Pozostali nie są lepsi.

Mogła być pewna tylko jednego. Przeciek w „The Wall Street Journal” nie był uderzeniem ostrzegawczym. To zapowiedź otwartej wojny. Wiedziała, że wcześniej czy później dojdzie do ostrego konfliktu. Jedno z nich, a może i

wszyscy członkowie zarządu chcieli przejąć kontrolę nad Helenę Junot International, Inc. Dążyli do tego od lat.

I wiedziała dlaczego. Tym sępom nie chodziło wcale o udziały w firmie. Nie zależało im ani trochę na zyskach, modzie ani czasopismach. Nienawidzili Helenę wystarczająco silnie, żeby próbować odebrać jej to, co najbardziej kochała i na czym jej tak naprawdę zależało -jej wydawnictwo.

W końcu korytarza skręciła w lewo i zatrzymała się przed wypolerowanymi drzwiami z tekowego drewna. Na wysokości oczu małe złote litery informowały „Prezes”. To określenie

wydawało jej się dziwne. Zbyt poważne. Wolałaby, żeby zamiast tego napis głosił: „Założyciel i dyrektor programowy”. Właśnie z tego była najbardziej dumna.

Nacisnęła gałkę i otworzyła drzwi. Powitał ją jednostajny stukot maszyny do pisania. Julie, jej sekretarka, była zajęta odpowiadaniem na stos listów, które nagromadziły się w czasie przerwy świątecznej. W całym budynku Julie była znana jako Sfinks. Jej umiejętność bronięcia dostępu do gabinetu Helenę stała się wręcz legendarna.

Słyszając dźwięk otwieranych drzwi, Julie zerknęła podejrzliwie w górę, ale nie przerwała pracy. Aż zamrugała oczami

ze zdziwienia.

- Ależ to pani Junot! - wykrzyknęła.
Natychmiast przestała pisać i
wprostowała się na krześle.

Helenę uśmiechnęła się do sekretarki.

- Dzień dobry, Julie.

- Wróciła pani wcześniej! Nie
zawiadomiono nas nawet, że samolot...

- Tak, wiem - odpowiedziała Helenę. -
Chciałam przyjechać tak, żeby nikt nie
wiedział, i wynajęłam odrzutowiec
Lear. - Umilkła na chwilę, a potem
powoli kontynuowała: - Nie udało mi
się jednak. Słyszałam, że hrabia już

czeka.

Julie wykrzywiła usta.

- Jest w gabinecie - powiedziała. Potem zmarszczyła brwi, pochyliła się i przyłożyła ucho do interkomu na biurku.

Helene popatrzyła na nią zdziwiona.

-Co, dodia...?

Ale Julie szybko przyłożyła palec do ust. Potem wyprostowała się i z satysfakcją wskazała na interkom. Helene zrozumiała; kiwnęła głową, pochyliła się i słuchała z uwagą. Usłyszała cichy, szumiący dźwięk. Hubert de Léger włączył interkom w gabinecie.

Podsłuchiwał.

Helenę pokiwała głową. Wcale jej to nie zaskoczyło. Znała tego człowieka lepiej niż ktokolwiek inny. Przebiegły i brutalny, był w stanie siłą utorować sobie drogę, dokądkolwiek chciał. Nawet stanowczość Sfinksa nie mogła go powstrzymać. Nikt oprócz uzbrojonych strażników by go nie powstrzymał. Wzruszyła ramionami.

- Sajakięś wiadomości?

- Są. - Julie pokazała jej różową kartkę z wypisanymi informacjami. - Dzwonił także pani brat. Chce się z panią koniecznie widzieć sam na sam dziś po południu przed spotkaniem zarządu.

Mówił, że to bardzo ważne.

Helenę kiwnęła głową. Zobaczy się z Edmondem, jak tylko uda jej się pozbyć hrabiego, postanowiła.

- Dziękuję, Julie - powiedziała. -I proszę, dopilnuj, by nikt nam nie przeszkadzał. Nie łącz żadnych rozmów.

Julie kiwnęła głową i wróciła do pisania. Helenę podeszła do drzwi swojego gabinetu i zaczęła obracać gałkę, ale zatrzymała się na chwilę. Zamknęła oczy na kilka sekund, by przygotować się do konfrontacji z Hubertem de Légerem. Potem weszła.

Narożne biuro składało się z czterech

pomieszczeń: właściwego gabinetu, aneksu kuchennego, małej sypialni i łazienki. Pozostałe pomieszczenia w Junot Building urządziły drogie firmy dekoratorskie, ale Helenę zakazała im wstępu do swojego biura. „Trzymaj się z daleka!” - poleciła przerażonemu projektantowi. „Jeżeli spróbujesz zmienić tu cokolwiek, przyniosą mi twoją ściętą głowę na talerzu!” - ostrzegła go.

W największym pokoju, który służył jej do pracy, dwie przeciwległe ściany zajmowały olbrzymie okna od podłogi do sufitu. Jedno wychodziło na nobliwy gmach Forbesa, drugie na Piątą Aleję i okazały łuk strzegący wejścia do parku

przy Washington Square. Helenę wybrała właśnie te pomieszczenia na swoje biuro z powodu widoku. Łuk przypominał jej Łuk Triumfalny w ukochanym Paryżu.

Pozostałe ściany były pomalowane na biało; na podłodze leżał beżowy wełniany supełkowy dywan. Pod tym względem pokój wyglądał jak każdy inny narożny gabinet w Nowym Jorku. Jednakże Helenę wykorzystała cały swój dobry gust, poczucie stylu i elegancję, żeby stworzyć sobie luksusowe i jak najwygodniejsze miejsce do pracy.

Na ścianach wisiały w ramkach jej ulubione zdjęcia z poprzednich numerów „Les Modes”. Umeblowanie stanowiły

jej własne, cierpliwie wyszukiwane stare francuskie meble, a ich renowację sama nadzorowała. Niezależnie od tego, czy pracowała w gabinecie, czy nie, na biurku stał wazon pełen świeżych kwiatów.

Wystarczyło jedno spojrzenie, aby Helenę dostrzegła, że hrabia czuje się w jej schronieniu jak u siebie w domu. Siedział na delikatnym, rzeźbionym francuskim fotelu, za jej biurkiem w stylu Ludwika XV. Wazon z kwiatami był przestawiony na bok, bo de Léger nonszalancko oparł stopy w skórzanych butach na błyszczącym blacie. W jednej czerwonej ręce trzymał kieliszek napoleona, którego sam sobie nalał z

barku, w drugiej papierosa z olbrzymim kawałkiem wypalonego popiołu.

Wydmuchał teraz w górę kłęb dymu i popatrzył na Helenę. W jego czarnych oczach dostrzegła rozbawienie.

- Wejść! - rzucił. Popiół z papierosa opadł na nieskazitelny beżowy dywan. - Moja piękna Helenę - powiedział po francusku. - Czekałem na ciebie. Proszę, wejdź. Nie gryzę. A nawet gdybym gryź, to w tej chwili nie jestem chory na wściekliznę. - Jego głos przeszedł w cienki ostry chichot.

Helenę cicho zamknęła za sobą drzwi. Przez chwilę patrzyła na mężczyznę, a potem odwróciła głowę. Czuła do niego

wstręt. Wiedziała, że dużo pił, ale, jak można upić się do tego stopnia o dziewiątej trzydzieści rano!

- Czy mogę zaproponować drinka, moja piękna Heleno? - zapytał szyderczo, podnosząc kieliszek. - Berek w tym gabinecie jest doskonale zaopatrzony.

- Dziękuję, nie - odpowiedziała zimno.

- Hm. Szkoda. - Zrobił dziecinny grymas.

W tej chwili przypomniała sobie, jak kiedyś wyglądał. Był wtedy młody i przystojny, miał czarne włosy, prostą sylwetkę, szczupłą i sprężystą, a z jego twarzy biła inteligencja i stanowczość.

Teraz policzki miał obwisłe, włosy mu poszarzały, a czarne,

bystre niegdyś oczy były zamglone od alkoholu. Czy to ten sam mężczyzna, który kiedyś ją oczarował? - spytała samą siebie. Ten sam Hubert de Léger, który tak żarliwie o nią zabiegał?

Zacisnęła wargi, przeszła przez pokój i w milczeniu wbiła wzrok w stopy intruza. Ogarnęła ją wściekłość. Ten drań próbował grać z nią w te swoje brudne gierki, żeby zobaczyć, co mu się uda uzyskać. Gwałtownie chwyciła jego stopy i zepchnęła je z biurka.

Hubert westchnął i opuścił nogi na dywan.

- Moja droga, to nie było zbyt uprzejme z twojej strony - zauważył karcącym tonem.

- Hubercie - ostrzegła go Helenę - posuwasz się za daleko.

Uniósł brwi, ale się tym nie przejęła. Postawiła wazon tam, gdzie zawsze stał. Potem zdjęła futro i rzuciła je za siebie na jedno z dwóch małych krzeseł w stylu Ludwika XV obitych zieloną skórą, ustawionych obok biurka. Następnie zbliżyła się i stanęła nad Hubertem. De Léger spojrział w jej kierunku, udając, że nie rozumie, o co chodzi.

- Czy muszę ci o tym przypominać? - zapytała wreszcie, gdy nie reagował. -

To mój gabinet.

Spojrzał na nią, udając, że nie rozumie. Potem uderzył się dłonią w czoło, jakby nagle sobie przypomniał.

- Jakże to bezmyślnie z mojej strony! - powiedział szyderczo. - Oczywiście, że to wciąż jeszcze twój gabinet, moja droga. Jaki jestem głupi. - Zmarszczył ostentacyjnie brwi, wpatrując się w kieliszek, i dodał powoli: - Cóż, możemy być ze sobą szczerzy. To wciąż jeszcze twoje biuro. I tak będzie przynajmniej do końca tego tygodnia.

- Przynajmniej - odpowiedziała szorstko ostrym jak brzytwa głosem. - I mój fotel, Hubercie...

- Twój...

- Fotel. A jeżeli zamierzasz mnie dręczyć swoim towarzystwem, musisz to robić z tego miejsca. - Wskazała puste krzesło z drugiej strony biurka.

De Léger uniósł kieliszek w aroganckim toaście i powoli wstał z fotela. Usta wykrzywił mu wstrętny uśmiech. Po uprzejmej, ale nieszczerzej próbie pomocy Helenę w zajęciu miejsca usiadł tam, gdzie mu poleciła.

- Uroczy gabinet... co za wspaniałe widok - zachwycił się złośliwie. - Ale ten pokój wymaga zmian. Jest zbyt kobiecy jak na mój gust... zbyt wiele tu skomplikowanych francuskich akcentów.

Helena sztywno złożyła ręce, wpatrując się w palce. Może, jeżeli nie będzie nic mówić, Hubert się wyniesie.

- Wiesz - kontynuował - możliwe, że w następny poniedziałek wynajmę firmę dekoratorską, aby na nowo urządzono to wnętrze. „Usuńcie to wszystko” - powiem im. „Zróbcie, żeby było reprezentacyjne i męskie”.

Helena prawie go nie słuchała; myślała gorączkowo, jak mogłaby się pozbyć intruza z gabinetu. Musiała zrobić to szybko i w taki sposób, by nie dać hrabiemu szansy urządzenia awantury.

Hubert strząsnął popiół do kryształowej popielniczki. Potem, udając, że dopiero

teraz zauważył futro Helenę, sięgnął do krzesła obok i uniósł jeden z rękawów.

- To norki od Blackglama? - zapytał.

- Tak - odpowiedziała krótko.

Roześmiał się.

- Jesteś cudowna! Każda kobieta w mieście popełniłaby przestępstwo, żeby je dostać. A ty? Wystarczy, żebyś po prostu zaprezentowała w swoim magazynie jeden płaszcz i...presto! Jesteś żywą reklamą Blackglama. Ergo, Helenę Junot, która ma szafy pełne futer, dostaje jeszcze jedno za darmo. I nie tylko norki, ale również rozgłos! - Spojrzał na nią z ukosa. - Zawsze chciałaś być sławna, co, Helenę?

Spojrzała na niego spokojnie.

- Nie wydaje mi się, że przyszedłeś tu, aby dyskutować o moich futrach, Hubercie - powiedziała sucho.

- W rzeczy samej, nie.

- Zatem po co przyszedłeś?

- Porozmawiać o naszych wspólnych interesach - odpowiedział. - Chodzi mi o Helenę Junot, oczywiście. Korporację i kobietę.

Zesztywniała, a jej fiołkowe oczy zabłyśły czujnie.

- W takim razie sądzę, że nie mamy o

czym rozmawiać. -Nie?

- Nie. Jak ci wiadomo, spotkanie udziałowców odbędzie się dziś po południu. Proponuję, żebyś wtedy wystąpił otwarcie z zażaleniami co do moich decyzji.

- Chcesz, abym wystawił na widok publiczny nasze brudy, co? - Mlasnął językiem. - Boże, cóż za odwaga! Ty nigdy nie rezygnujesz, prawda, Helenę? Zawsze dostawałaś wszystko, czego zapragnęło twoje nieustraszone serce, czyż nie?

- Hubercie - powiedziała zmęczonym głosem. - Przejdź do rzeczy. Zapalił następnego papierosa.

- Ach, spokojnie, już się do tego zbliżam. Przyszedłem, żeby cię uprzedzić. Chcę, żebyś się dobrze przygotowała, zanim przestąpisz próg sali zebrań.

- Przygotowała? Na co?

- Na zarżnięcie twojej firmy.

WCZORAJ I MORDERSTWO

Rozdział 1

Paryż, 1944

Było po trzeciej i Helenę bawiła się w parku. Tego styczniowego popołudnia, zimnego i wietrznego, wąskie uliczki wyglądały na prawie wymarłe. Wokoło panowała cisza. Niebo ponad głowami było błękitne, świeciło słońce. Otoczony kamienicami malutki park pogrążył się w głębokim cieniu.

Jej dom znajdował się po drugiej stronie ulicy. Był taki sam jak inne ponure, pochylone budynki, przyciśnięte do siebie niczym ustawione jedna przy

drugiej kostki domina, z których każda czekała na wsparcie ze strony następnej. Ale ten dom wyglądał dumniej od innych. W oknach suterren znajdowały się grube żelazne kraty powyginane w fantazyjne esy-floresy, a frontowe drzwi były pomalowane na kolor jasnożółty. Kanarkowożółty, jak mówiła maman. Ponad ośnieżonym dachem można było dostrzec białe mury i kopuły Sacré Coeur, błyszczące w słońcu.

Zdawało jej się, że coś usłyszała. Przestała się bawić Antoinette, swoją porcelanową lalką, i zaczęła przysłuchiwać się uważnie. Grzmiący hałas wciąż jeszcze był odległy, ale zbliżał się nieuchronnie. To samochód

ciężarowy, pomyślała Helenę.

Czekała z niepokojem. Ruch uliczny w tej dzielnicy, zamieszkiwanej przez rodziny robotnicze, był niewielki.

Nie pojawiały się tu taksówki ani prywatne samochody. Paryżanie jeździli wszędzie rowerami. Tylko szkopy i kolaboranci mogli sobie pozwolić na luksus podróżowania autami i ciężarówkami. Stare i kręte ulice Montmartre' u okazywały się często zbyt wąskie, by pomieścić nawet mały pojazd tego typu.

Warkot silnika ciężarówki potężniał. Helenę przyłożyła usta do ucha lalki.

- Patrz uważnie, Antoinette - uprzedziła ją szeptem. - Zaraz zobaczysz swoją pierwszą ciężarówkę. - Wygładziła pożółkłą koronkę lalczynej sukienki. Mimo wszystko

Antoinette była damą, a damy muszą wyglądać jak najlepiej, kiedy są wystawione na widok publiczny.

Dwie minuty później szara ciężarówka wyjechała z warkotem zza rogu rue Durantin.

Helene patrzyła, jak samochód zwolnił i piął się pod górę. Był coraz bliżej. Ośnieżone łańcuchy brzęczały, a szary brezent rozpięty nad tylną częścią wozu powiewał na wietrze. Dokładnie

widziała swastyki wymalowane na bokach. Nawet dziecko wiedziało, co to jest.

Po chwili ciężarówka minęła dziewczynkę. Helenę zmarszczyła nos, kiedy poczuła drażniący zapach spalin. Z ciekawością patrzyła za samochodem. Zastanawiała się, czemu pojawił się na Montmartrze. Dobiegł ją zgrzyt zmieniania biegów. Ciężarówka skręciła za róg i zniknęła. Hałas silnika powoli zamierał. Minutę później zapanowała cisza. Szara chmura wciąż unosiła się w powietrzu.

Helenę rozejrzała się, by sprawdzić, czy nikt jej nie obserwuje. Nikogo nie dostrzegła. Potem zrobiła to, co często

robili inni ludzie: splunęła na ulicę. Miała dopiero siedem lat, ale już zauważała nawyki starszych paryżan. Nikt nie mógł jawnie pluć na Niemców. To było zbyt niebezpieczne. Można było jednak pluć za nimi, gdy nie widzieli.

Prawie pół godziny po tym jak ciężarówka znikła, Helenę poczuła, że coś jest nie w porządku. Lepiła ze śniegu malutkiego bałwana dla Antoinette na siedzeniu ławeczki w parku i nagle to do niej dotarło.

Dreszcz przebiegł jej po plecach.

Coś było nie w porządku.

Spojrzała na swój dom po drugiej

stronie ulicy. Wszystko wydawało się takie jak zawsze, normalne i spokojne. Nic nie wskazywało, że coś jest nie tak. Nic... Tylko drzwi od frontu były szeroko otwarte. Stała przed nimi jakaś kobieta. Helenę nie mogła dostrzec jej twarzy pod narzuconym czarnym wełnianym szalem, ale wydawało jej się, że to madame Courbert, żona telefonisty z prefektury policji. Jednak nie była tego pewna. Kobieta gestykulowała gwałtownie, mówiąc coś do kogoś w środku, i cały czas rzucała nerwowe spojrzenia przez ramię. Potem spiesznie odeszła. Helenę wciąż nie była w stanie dostrzec jej rysów. Zsunięty nisko szal okrywał cieniem postać kobiety.

Helenę nie dowiedziała się nigdy, co wywołało to wrażenie, ale w momencie kiedy poczuła dreszcz wzdłuż kręgosłupa, wiedziała, że jest potrzebna mamą. Nie traciła czasu. Chwyciła Antoinette, przebiegła przez ulicę i dopadła do kanarkowożółtych drzwi. Otworzyły się, zanim sięgnęła do klamki.

- Szybko! - wysyczała do niej Michelle, potężnie zbudowana gruba służąca. Nie poczekała nawet, żeby Helenę wytarła buty ze śniegu. Gwałtownie złapała dziewczynkę za ręce i wciągnęła ją do środka. Potem zatrzasnęła drzwi i zamknęła je na zasuwę. Korytarz był ciemny. Zaciągnięte zasłony

przepuszczały tylko wąską smugę światła.

Helenę spojrzała na pełną napięcia, czerwoną, okrągłą jak księżyc twarz służącej.

- Co się stało? - zapytała.

Kobieta bez słowa wzruszyła ramionami. Możliwe, że była zła, ponieważ w domu zrobiło się zimno, bo tygodniowy przydział węgla już się skończył. Pomimo swojej tuszy Michelle nie znosiła chłodu.

Michelle miała grubokościstą figurę chłopki i duże piersi. Była pokojówką, gosposią i niańką w jednej osobie.

Traktowali ją jak członka rodziny, a Michelle zrobiłaby dla nich wszystko. Helenę wiedziała, że maman nie może sobie pozwolić na płacenie pensji służącej - nie teraz, kiedy ojca cały czas nie było. A jednak Michelle z nimi została.

Dziewczynka rozejrzała się po małym przedpokoju. Maman stała przy oknie, odwrócona tyłem. Wciąż wyglądała na zewnątrz przez szparę w zaciągniętych zasłonach, nerwowo wyłamując szczupłe palce. Helenę zauważyła, że brzuch matki zrobił się większy niż kiedykolwiek, i wiedziała dlaczego. Maman ostatnio wyjaśniła jej, że będą mieli wkrótce małego braciszka lub

siostrzyczkę.

Maman była wysoka i chuda. Kiedyś miała gładką cerę i wesołe oczy. W blond włosach nie widziało się wtedy siwizny. Nagle zmieniła się i postarzała w ciągu jednej nocy. Bez przerwy wyglądała na zmęczoną. Jednak pozostała bardzo elegancką kobietą i nawet trudne lata okupacji tego nie zmieniły.

Chociaż miała dom i dzieci, pracowała zawodowo. Od 1939 roku utrzymywała rodzinę z pensji szwaczki u Madeleine de Rauch. Od dnia, gdy salon madame Chanel, gdzie szyła przed wojną, został zamknięty.

Och, jak pięknie szyła maman! Tworzyła jedną kreację za drugą na swojej staroświeckiej maszynie, bez końca naciskając stopą pedały. Albo nawet w rękach. I po długich godzinach spędzonych w pracowni Madeleine de Rauch, gdzie szyła dla Niemek, których nienawidziła, przynosiła jeszcze robotę do domu. Czasem nawet szyła jakieś drobne rzeczy dla sąsiadek, które mogły płacić cennymi kartkami, a nie pieniędzmi.

Maman przestała wpatrywać się w okno. Zamiast tego zaczęła nerwowo przechadzać się tam i z powrotem po przedpokoju.

- Mon Dieu! - powiedziała cichutko. -

Catherine wciąż nie ma. Jej lekcja gry aktorskiej powinna się już skończyć.

- Zatem musimy iść bez niej -
oświadczyła Michelle stanowczo. -
Jeżeli ktoś chce być nową Sarah
Bernhardt tak bardzo, że spędza cały
czas w tym teatrze...

- Iść bez Catherine? - Maman spojrzała
na Michelle przerażona. - Musimy na nią
poczekać.

Służąca wydała głośny jęk i z rozpaczą
podniosła grube czerwone ręce.

- Nie mamy czasu! Słyszałaś, co mówiła
madame Courbert. Ryzykowała życie,
żeby nas ostrzec! Nie ma chwili do

stracenia. Nie możemy czekać!

- Musimy - odrzekła maman, szcękając zębami. - Zobaczysz, że Catherine będzie tu za minutę.

- Minutę! - wykrzyknęła Michelle przeraźliwie. - Nie mamy już minut! Liczą się sekundy!

Maman załamała ręce.

- Michelle, musimy poczekać, nie rozumiesz tego? Catherine jest moją córką!

- Dla mnie też jest jak córka - odparła służąca.

- Widzisz, sama rozumiesz więc -
powiedziała maman nieskładnie.
Michelle wydała z siebie gniewny
pomruk.

- Nic do ciebie nie dociera - warknęła. -
W takim razie wezmę coś ze spiżarni.
Albo spakuję cokolwiek. Będziemy
potrzebowali jedzenia. To długa droga.

Maman półprzytomnie kiwnęła głową i
ruszyła w stronę Helenę.

- Edmond! - zawołała Michelle i
pobiegła do kuchni szybciej niż
kiedykolwiek przedtem.

Maman spojrzała na Helenę znużonym
wzrokiem. Potem zatrzymała się i objęła

ją szczupłymi ramionami. Ścisnęła ją mocno, zbyt mocno - to bolało. Helenę była przerażona. Bardziej niż kiedykolwiek wiedziała, że dzieje się coś naprawdę bardzo złego.

- Edmond! - zawołała z kuchni Michelle niebezpiecznie wysokim głosem. - Pomóż mi, ty leniwy nicponiu!

- Idę! Idę! - Jedenastoletni brat Helenę schodził po schodach. Miał na sobie najcieplejsze zimowe ubrania.

- Maman? - zapytała Helenę, patrząc w górę.

- Tak, mapetite!

- Czy papa wróci niedługo?

Maman nie odpowiedziała. Jej oczy zrobiły się wilgotne. Otarła je wierzchem dłoni. Z dziecinnego pokoju na górze dał się słyszeć płacz maleńkiej Marie. Była głodna albo przestraszona, a może miała mokro.

Maman łagodnie odsunęła Helenę od siebie.

- Idź na górę - powiedziała miękko. - Prędko ubierz Marie w coś ciepłego. Niebieskie wełniane ubranko i ciepły płaszczyk. Potem przynieś ją tutaj. Pospiesz się!

- Idziemy dokądś, maman? Kiwnęła

głową.

- Wybieramy się w podróż.

Helena bardzo się ucieszyła. Podróż? To brzmiało jak zapowiedź dobrej zabawy. Uwielbiała podróżować.

- Będziemy jechać pociągiem, maman? - zapytała. - Och, proszę, jedźmy pociągiem. Bardzo lubię pociągi.

- Tak, mapetite - szepnęła maman. - Pojedziemy pociągiem. Ale musisz się pośpieszyć. Inaczej się spóźnimy.

- Będę się spieszyć! - obiecała i zarzuciła jej ręce na szyję.

Maman uśmiechnęła się słabo i pogładziła włosy Helenę. Dziewczynka pobiegła na górę. Ze schodów spojrzała w dół. Maman znowu stała przy oknie i niespokojnie wyglądała przez szczelinę w zasłonach. Już się nie uśmiechała. Wyglądała na przerażoną.

Helenę przebiegła korytarz i weszła do pokoju dziecinnego. Gdy tylko Marie ją zobaczyła, przestała płakać, a na jej okrągłej różowej buzi pojawił się uśmiech. Malutka miała błyszczące błękitne oczy, tak jak maman.

Helenę posadziła Antoinette na komodzie, wyjęła z szuflady niebieskie wełniane ubranko i maleńki płaszczyk. Potem szybko, starannie ubrała małą.

Marie chichotała i wierciła się pełna radości, kiedy siostra wkładała jej kaftanik i zapinała guziki. Zwykle śmiech małej rozweselał również Helenę. Ale nie teraz. Dzisiaj działo się coś strasznego. Helenę nie rozumiała co, ale to jeszcze zwiększało jej niepokój.

Ostrożnie wzięła Marie na ręce i zaniósła na dół. Maman nadal chodziła po korytarzu. Miała na sobie gruby, brązowy, zimowy płaszcz. Michelle i Edmond stali cicho z boku. Każde z nich dźwigało pękatą torbę pełną brukwi. Helenę jęknęła w duchu. Nienawidziła brukwi. Wydawało jej się, że już całe życie będą jedli tylko smażoną brukiew, ale i tak nigdy nie było jej dość, żeby się

najeść do syta.

Po raz kolejny maman zrobiła szparę w zasłonie i wyjrzała na ulicę. Tym razem westchnęła z ulgą.

- Idzie! - zawołała cicho. - Catherine idzie!

- Dobrze, powiedz, żeby się pospieszyła! - rzuciła Michelle.

Maman zignorowała jej słowa, odryglowała drzwi i wpuściła Catherine, a potem znowu założyła zasuwę.

Siostra Helenę skończyła trzynaście lat, ale wyglądała na starszą. Wyrosła już z

dziecięcych krągłości, miała wielkie brązowe oczy, długie do ramion kasztanowe włosy, które upinała w kok, i stawała się już uroczą młodą kobietą. Helenę dostrzegała pełne podziwu spojrzenia, jakimi na ulicy mężczyźni obrzucali Catherine. Nie miała wątpliwości, że jej siostra będzie sławną aktorką, kiedy dorośnie.

Catherine weszła i popatrzyła na nich w milczeniu. Na jej twarzy odmalowało się zaskoczenie.

- Idziecie dokądś? - zapytała.

- Wreszcie jesteśmy wszyscy! - krzyknęła Michelle histerycznie. Jej obfity biust falował ze zdenerwowania.

- Teraz biegnij i włóż na siebie najcieplejsze ubrania. Nie mamy chwili do stracenia.

- O co chodzi? - zapytała Catherine. - Co się stało? W oczach służącej pojawił się groźny błysk.

- Nieważne, co się stało! - warknęła. - Rób, co ci każę! Masz się ciepło ubrać! Natychmiast! - Jej ostry głos nakazywał posłuch.

Catherine spojrzała z niemym pytaniem na mamę, która kiwnęła poważnie głową. Dziewczyna bez słowa odwróciła się i poszła do swojego pokoju. Mama ostrożnie wzięła Marie od Heleny i mocno przytuliła. Dłonie jej

drżały.

Dwie minuty później byli gotowi.

- Szybko! - komenderowała Michelle, przejmując dowodzenie. - Uciekamy tylnym wyjściem. Przez ogród.

Przy kuchennych drzwiach Helenę nagle przypomniała sobie o czymś. Zatrzymała się i popatrzyła na Edmonda.

- Antoinette - powiedziała. - Zapomniałam o Antoinette.

- Daj spokój! - rzucił szorstko. - To tylko lalka.

- Nieprawda! - odparła z gniewem. - To

moja przyjaciółka. Maman łagodnie dotknęła jej ramienia.

- Nie ma czasu, mapetite - powiedziała.

- Będziemy musieli wrócić po nią później. Helenę stała nieruchomo, zdecydowanie odmawiając zrobienia kroku.

- Chcę zabrać Antoinette. Natychmiast! Nie pójdę bez niej!

Michelle zamknęła oczy i wydała z siebie złowieszczy syk. Gdyby można było zabić kogoś wzrokiem, Helenę już by nie żyła. Służąca spojrzała na mamę. Maman zacisnęła usta i westchnęła.

- Dobrze. Ale pospiesz się!

Helenę uśmiechnęła się i pobiegła do pokoju dzieciennego. Nie zostawi Antoinette. Za nic w świecie. Dostała

Antoinette od mamany na urodziny. To była pierwsza naprawdę jej lalka. Wszystkie pozostałe należały wcześniej do Catherine.

Antoinette siedziała na komodzie, tam, gdzie ją dziewczynka zostawiła. Helenę złapała ją i uściskała mocno. Biegła już do drzwi, kiedy usłyszała ogłuszający warkot na ulicy. Podskoczyła do okna, uniosła koronkową firankę i spojrzała w dół.

Przed domem zatrzymał się lśniący czarny daimler eskortowany przez

motocykle, a za nim kilka szarych ciężarówek. Do przednich zderzaków były przyłączone proporczyki. Helenę rozpoznała te kolory. Kto ich nie znał? Powiewały nad Paryżem, będąc stałym, znieawidzonym przypomnieniem klęski i okupacji.

Serce zatrzepotało jej gwałtownie. Zadrżała. Niemcy.

Ogarnął ją nagły strach. Przyszli po nią, pomyślała. Bo napluła na ulicy za przejeżdżającą ciężarówką.

Patrzyła, jak z samochodów wysypali się żołnierze i uformowali szereg wzdłuż krawężnika. Ciężkie buty waliły głośno o bruk. W ciągu paru

sekund utworzyli idealnie prostą linię. Bagnety błyszcząły na karabinach. Część była w szarych mundurach, a reszta w czarnych. Ci w szarych mundurach mieli hełmy podobne do wiader na węgiel i to oni stali w szeregu. Helenę zaczęła liczyć żołnierzy, ale po chwili przestała. Było ich około dwudziestu. A jeszcze trzech w czarnych, ozdobionych srebrem mundurach, czapkach z daszkiem i wypolerowanych do połysku butach stali niedbale z boku. Dał się słyszeć szczekliwy rozkaz i ci w szarych mundurach złamali szereg, a połowa z nich rzuciła się do drzwi. Druga połowa ze stukotem ruszyła ulicą i po chwili zniknęła za rogiem. Helenę odskoczyła od okna i zaczęła biec na dół.

- Helenę! - zawołała maman. - Szybko!
Szybko! - Jej głos drżał ze strachu, twarz
była biała. Szła przez korytarz z Marie
w ramionach.

Michelle stała u podnóża schodów.

- Złaż na dół! - wrzeszczała histerycznie.
- Natychmiast, ty mała niewdzięcznico!
W jej głosie brzmiały nuty paniki.
Widocznie Helenę nie posłuchała
wystarczająco

szybko, bo służąca wzięła głęboki
oddech i zaczęła iść po schodach.
Patrzyła ze złością na dziewczynkę, a jej
wielkie piersi wznosiły się i opadały z
emocji. Zbliżyła się do Helenę, złapała
ją za rękę i pociągnęła za sobą,

mamrocząc jakieś modlitwy.

Chwilę później rozległo się gromkie walenie we frontowe drzwi. Maman westchnęła i zastygła w bezruchu. Drzwi zatrzęsły się, ale wytrzymały. Tamci nawet nie zapukali, po prostu natarli na drzwi z całej siły.

- Chodźże! - ponaglała maman Michelle.
- Szybko! Nie mamy sekundy do stracenia! Zapomniałaś o swoich dzieciach?

Maman otrząsnęła się z szoku i zrobiła krok naprzód. Helenę rzuciła ostatnie pełne strachu spojrzenie w tył, kiedy ruszyli do kuchni. Frontowe drzwi trzeszczały. Deski pękały przy każdym

uderzeniu. Nagle Helenę zaczęła żałować, że wróciła po Antoinette.

Maman ostrożnie podała Marie Catherine. Potem powoli uchyliła kuchenne drzwi i wyjrzała. Było to wyjście na podwórze, wspólne dla kilku domów. Podczas wojny ich mieszkańcy zrobili tam sobie ogródek warzywny.

Maman wyjrzała, zatrzasnęła drzwi i zarygłowała. Na podwórzu również byli żołnierze.

Zamknęła oczy i oparła się o ścianę.

- Niemcy! - wykrztusiła szeptem.

Michelle patrzyła na nią przerażona.

Wypchana torba wypadła jej z rąk i uderzyła głucho o podłogę. Cenna brukiew rozsypała się i potoczyła we wszystkie strony. Nikt nie zaczął jej zbierać.

- Dzieci! - szepnęła maman. - Gdzie schowamy dzieci?

- Nie wiem! - odparła Michelle. - Czy gdzieś we Francji można się ukryć przed Niemcami?

Nagle drzwi kuchenne zatrzeszczały przeraźliwie, a potem rozległ się ciężki odgłos uderzeń przypominający grzmot. Michelle pisnęła i przeżegnała się. Marie zaczęła żałośnie płakać. Odsunęły się od drzwi.

- Cichutko, mała! - powiedziała Catherine łagodnie, kołyszając siostrzyczkę w ramionach.

Maman rozejrzała się w rozpacz.

- Musi być jakieś miejsce... - Głos jej się załamał. Wrócili do jadalni. Helenę upuściła Antoinette. Wiedziała, że lepiej jej nie podnosić. Nie teraz.

- Ależ oczywiście! - wykrzyknęła nagle Michelle. - Winda do naczyń!

Szybko zagarnęła dzieci i popchnęła je w stronę windy. Pociągnęła do siebie stare dębowe drzwi w ścianie.

Zatrzeszczały jak stare, wypaczone okno, którego od dawna nie otwierano.

Będziemy się bawić, pomyślała Helenę. Ona, Edmond i Catherine wiele razy wykorzystywali windę jako kryjówkę, bawiąc się w chowanego.

Pamiętała, że Michelle raz ich na tym przyłapała i dostali niezłą burę.

- Głuptasy! - krzyczała na nich. -
Chcecie się zabić? Ta winda pochodzi z czasów rewolucji. Drewno jest przegniłe. A niechby zerwały się liny! Moglibyście spaść i się zabić!

A teraz chciała ich schować w miejscu, od którego zawsze trzymała ich z daleka. Umysł Helenę nie mógł tego ogarnąć. Czy Michelle kompletnie zwariowała? A może to świat oszalał?

- Właźcie tam - rozkazała teraz. -
Wszyscy.

Jej ton wskazywał, że lepiej posłuchać bez protestu. Przytrzymała im otwarte podwójne drzwi. Catherine oddała Marie mamie i wsunęła się do środka. Edmond i Helenę poszli w jej ślady. Winda zakołysała się, kiedy maman ponownie podała Marie Catherine.

- Ani słowa! - upominała ich Michelle. Jej ciemne oczy spoglądały niemal wrogo, kiedy tak groźnie machała pięścią. - Jeśli usłyszę choć jedno słowo, przyjdę i stłukę was na kwaśne jabłko!

Helenę aż skuliła się z przerażenia.

Maman pochyliła się nad nimi. Dłoń zadrżała jej lekko, kiedy dotykała czoła każdego z dzieci, robiąc kciukiem znak krzyża. Na co dzień nie była religijna, ale w tej chwili była od niej jakaś dziwna moc. Nie wyglądała już na przerażoną. Jasnoniebieskie oczy patrzyły spokojnie i śmiało, a na ustach pojawił się zrezygnowany, ale pełen czułości uśmiech.

- Edmondzie - powiedziała maman łagodnie. - Musisz stać się mężczyzną wcześniej, niż powinieneś. Mój synu, bądź silny jak twój ojciec, którego miejsce przyjdzie ci teraz zająć. I ty, Catherine. Jesteś najstarsza, więc musisz zająć moje miejsce. We dwójkę

zaopiekujecie się Helenę i małą Marie.
Zrobicie to! Potem spróbujcie
zapomnieć o wszystkim. Kiedy już
będzie bezpiecznie... uciekajcie. Wasza
ciotka Janine jest dobrą kobietą.
Mieszka w Saint-Nazaire, tam gdzie
Loara wpada do Zatoki Biskajskiej. Nie
wiem, jak to zrobicie, ale musicie się
przedostać do cioci Janine. Bóg wam
wybaczy, jeżeli będziecie musieli zrobić
coś złego, żeby tam dotrzeć! Przed wami
niełatwa droga, ale bądźcie dzielni.
Niedługo zjawią się tu Anglicy i
Amerykanie, a wtedy będziecie już

bezpieczni. Nie są takimi łotrami jak
Niemcy. Zobaczycie, nie minie rok, a
wypędzą niemieckie świnie z Francji z

powrotem za Ren do ich chlewu!

Tra-a-ach! Blokada frontowych drzwi nie wytrzymała uderzeń i pękła z przeszywającym dźwiękiem. Helenę zadrżała ze strachu. Maman spojrzała za siebie.

- Czas się pożegnać. Moi drodzy, pamiętajcie zawsze, że wasza maman kochała was bardziej, niż kiedykolwiek będziecie w stanie to pojąć.

- Tak, maman - szepnęła Catherine poważnie, bardzo dorosłym tonem, i pocałowała mamę w rękę. - My też cię kochamy.

Maman nagle cofnęła dłoń i zaczęła

poruszać palcami. Patrzyli na nią bez słowa. Zdjęła obrączkę i wcisnęła ją w dłoń Edmonda.

- Weź to, mój synu - szepnęła. - Może będziesz musiał kogoś przekupić. Palce chłopca zacisnęły się na złotym kółku.

- Zostańcie z Bogiem, dzieci - wyszeptała maman. - Niech On was kocha i chroni. - Nie płakała, ale oczy miała wilgotne i pełne bólu.

Edmond odwrócił głowę. Wstydził się łez.

- Pamiętajcie, co wam powiedziałam - ostrzegła ich Michelle grubym drżącym głosem. - Ani słowa!

Pociągnęła nosem i wytarła go wierzchem dłoni. Jej oczy także były wilgotne. Łagodnie odsunęła mamą i zamknęła drzwi windy. Zatrzasnęły się jak paszcza wieloryba, otoczyła ich ciemność. Odgłosy uderzeń i trzasków na moment ucichły.

Dzięki zabawom w chowanego Helenę wiedziała, co robić, żeby nie zostać zauważoną. Obok siebie znalazła dziurę w desce. Kiedyś był tam sęk, który wypadł. Gdy oczy dziewczynki przywykły do ciemności, dostrzegła otwór wpuszczający cieniutką nitkę światła, w którym tańczyły miliony pyłków kurzu.

Trzaski i odgłosy walenia w drzwi

rozległy się ponownie. Towarzyszył im okropny, ogłuszający hałas. Helenę wzięła Catherine za rękę i mocno ścisnęła. Łomotanie było coraz głośniejsze. Ręka siostry zrobiła się wilgotna i drżała.

Nagle nastąpił porażający huk, jakby zawalił się dach. Winda zatrzęsała się, a Helenę cicho krzyknęła. Marie zaczęła płakać żałośnie. Catherine zaczęła kołysać małą w ramionach i wsunęła kciuk do jej buzi. Głodne maleństwo zaczęło ssać.

- Dach - szepnęła Helenę do Catherine. -
Dach się zapadł.

- Nie - odszepnęła siostra. - To drzwi.

- Ale maman...

- Cicho! - syknął Edmond.

Załomotały ciężkie buciory i usłyszeli ostre komendy po niemiecku. Helenę przyłożyła ucho do otworu, żeby lepiej słyszeć, ale nic nie mogła zrozumieć. Znała tylko kilka przypadkowych słów. Wyjrzała ostrożnie.

Mogła zobaczyć jedynie małą część pokoju i kilka bezgłowych postaci. Winda znajdowała się zbyt nisko, żeby móc dojrzeć w całości kogokolwiek wyższego od dziecka. Widziała natomiast schludne mundury i wyglansowane czarne buty. Potem dostrzegła szare wełniane pończochy i

stare znoszone pantofle matki. Stanowiły smutny kontrast z sukienką i płaszczem.

- Dzięki Bogu, potrafię dobrze szyć - żartowała zawsze maman. - Niestety, nie umiem uszyć butów ani zrobić jedwabnych pończoch.

Dziewczynka nie musiała widzieć głowy, by rozpoznać Michelle.

Dostrzegła jej ogromny, podobny do balii korpus przy ścianie obok kuchennych drzwi. Coś w wyglądzie ich opiekunki zdziwiło Helenę, ale dopiero po chwili zrozumiała co to takiego.

Michelle miała ręce założone do tyłu. A przecież zawsze trzymała dłonie na biodrach, nigdy na plecach.

Helenę zerknęła na prawo. Zobaczyła Antoinette pozostawioną na podłodze. Kiedy patrzyła na swoją przyjaciółkę, nadepnął na nią lśniący czarny bucior. Aż drgnęła z bólu, gdy porcelanowa buzia ukochanej lalki rozpadła się z chrzęstem na kawałki. Gruby bucior kopnął je i rozrzucił po pokoju.

Helenę usłyszała szczekliwy niemiecki głos mówiący nieskładną francuszczyzną, więc poruszyła się znowu, żeby spojrzeć w kierunku mamy. Tłumaczyła coś jednemu z ubranych na czarno Niemców, ale mówiła za cicho, aby Helenę mogła zrozumieć poszczególne słowa. Nagle któryś z nich wymierzył mamę

policzek. Zachwiała się i jęknęła z bólu.

Edmond usłyszał głos matki i ze zduszonym krzykiem sięgnął do drzwi, chcąc biec jej na pomoc. Catherine wbiła mu paznokcie w ramię.

- Nie słyszałeś, co mówiły maman i Michelle? - wysyczała. - Mamy się zaopiekować siostrami! Chcesz, żeby nas wszystkich zabili?

Posłuchał jej i usiadł z powrotem. Westchnął ze złością. Catherine ma rację, pomyślał. Maman i Michelle wydały im obojgu wyraźne polecenia.

Niemiec zapytał o coś po francusku. Akcent miał okropny i Helenę musiała

dobrze nadstawiać uszu, by coś zrozumieć.

- Jacqueline Junot - usłyszała odpowiedź maman.

- Co? - szczechnął ostry głos. - Nic nie słyszę. Głośniej!

- Jacqueline Junot! - krzyknęła maman. - Jacqueline Junot!

- Nie waź się podnosić głosu na oficera Rzeszy! - warknął Niemiec. Rozległ się odgłos następnego uderzenia, a maman znowu krzyknęła.

- Co powiedziałaś? - zapytał oficer.

- N-nic - odrzekła maman drżącym głosem.

- Dobrze... - Jego głos wyrażał satysfakcję. - Teraz będziesz mówić?

- Tak - wykrztusiła maman chrapliwie. - Tak.

- Więc gdzie ukryłaś nadajnik?

- Nadajnik? - zapytała maman. - Nie wiem, o co chodzi. Co, do diabła... Trzask! Kolejny wymierzony policzek był tym razem mocniejszy i głośniejszy.

Maman jęknęła i upadła w pobliżu windy i Helenę widziała ją teraz dobrze. Maman klęczała skulona, głową

dotykając podłogi. Helenę wiedziała, że matka bardzo cierpi. Kaszłała i krztusiła się, wymiotowała, z nosa i ust ciekła jej krew. Zawstydzona odwróciła zaczerwienioną twarz w drugą stronę, aby nie widzieli jej z windy. Żołądek Helenę zacisnął się z żalu. Maman nigdy nie chciała, żeby jej dzieci były świadkami takiego poniżenia.

Tamten Niemiec ruszył w kierunku mamy. Przez swoją szczelinę Helena mogła dostrzec tylko jego wysokie buty i czarne spodnie.

- Co do tego nadajnika...

- Nie wiem, o czym pan mówi! -
zawołała mama, krztusząc się krwią z

rozciętych warg. - Przysięgam, że nie wiem!

- Kłamiesz! - Wypucowany but aż błysnął, kiedy Niemiec kopnął ją, celując w brzuch. Okropny, pełen rozpaczony krzyk odbił się echem od ścian pokoju i zamkniętej windy. Edmond zakrył uszy dłońmi. Pochlipywał cicho.

Helene zamknęła oczy. Nie mogła znieść dłużej męczarni matki. Maman pozbierała się jakoś i otoczyła rękami wielki brzuch, aby ochronić maleństwo, chłopca albo dziewczynkę, które niedługo miało przyjść na świat.

- Maman - szepnęła bezgłośnie Helene. - Co oni zamierzają ci zrobić? Dowódca

wydał rozkaz. Dziewczynka otworzyła
oczy. Mężczyźni w szarych

mundurach natychmiast rozdzielili się na
cztery grupy. Głuche uderzenia ciężkich
kroków rozległy się echem, kiedy biegli
po schodach na piętro i do piwnicy.

Helenę usłyszała trzask drzwi, brzęk
rozbijanego szkła, stłumione głosy, gdy
żołnierze niszczyli meble i plądrowali
cały dom. Gdzieś z góry dał się słyszeć
niesamowity łoskot, który wstrząsnął
budynkiem.

- Umrzemy - zapłakała Helenę.

- Cicho! - szepnęła Catherine.

Trwało to całą wieczność. Potem ktoś

zawołał coś z góry. Niemiec stojący nad mamą przykucnął, złapał ją za włosy i szarpnął jej głową. Mama jęknęła z bólu.

- Ty głupia! - roześmiał się. - Już go znaleźli. Warto było nas oszukiwać? Warto? Potem splunął jej w twarz. Helenę widziała grymas i drgnienie powiek matki, kiedy

plwocina spłynęła po jej policzku. Oficer puścił włosy mamy i jej głowa opadła na podłogę. Ale wcześniej Helenę zobaczyła jego oblicze pod daszkiem czapki.

Patrzyła z niedowierzaniem. Jego twarz przypominała trupa czaszkę. Usta miał

wąskie, okrutne i bez kropli krwi. Na wysuniętym podbródku widniała nieduża blizna w kształcie półksiężyca. Ale najbardziej zdumiała dziewczynkę jego skóra. Cerę miał bladą, niemal białą, oczy zaś świeciły odrażającym różowym blaskiem. Z rogami wyglądałby jak prawdziwy diabeł.

Wstał, wygładził mundur i poszedł na górę. Helenę poczuła wielką ulgę, gdy zniknął. W dziwny sposób bardziej przerażała ją brzydota Niemca niż jego okrucieństwo. Teraz dwaj żołnierze w szarych mundurach pilnowali mamą. Za każdym razem, kiedy poruszyła choćby palcem, kopali ją brutalnie.

Helenę odwróciła się ostrożnie i

spojrzała na Michelle. Służąca nadal stała obok kuchennych drzwi. Ręce wciąż trzymała splecione z tyłu, jej pucołowata twarz miała ponury i zacięty wyraz.

Dziewczynka usłyszała głuchy tupot kroków idących po schodach Niemców. Wrócili do jadalni. Widocznie znaleźli to, czego szukali. Jeden z żołnierzy znosił to na dół. Spora metalowa skrzynka kryła jakieś skomplikowane urządzenia z przewodami i wyłącznikami. Helenę nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziała.

Oficer o białej twarzy podszedł do dwóch Niemców stojących obok mamy.

- Pokażcie jej, jak karzemy kłamców i zdrajców - rozkazał. - A kiedy z nią skończycie, zabierzcie ją do dowództwa! - Opuścił pokój, zakładając do tyłu dłonie w skórzanych rękawiczkach.

Strażnicy stuknęli obcasami.

- Zu befehl!* - zawołali chórem.

Potem spojrzeli w dół na mamą. Leżała cicho, ale oczy miała otwarte.

* Rozkaz! (niem.)

Żołnierze pochyłili się i podnieśli ją. Stała, chwając się niepewnie na nogach. Helenę patrzyła, jak jeden z nich

zbliżył się do matki i zacisnął pięść. Z całej siły uderzył maman w brzuch.

- Zdrajczyni! - krzyknął. Jęknęła i osunęła się na podłogę.

- Moje dziecko! - zawołała. - Stracę dziecko! - Po jej policzkach spływały łzy. Pięść mężczyzny ponownie opadła na jej brzuch. Maman znowu krzyknęła. Helenę

poczuła, jak ogarniają straszliwa złość.

Nagle zauważyła jakiś ruch przy drzwiach do kuchni. Michelle po cichu skradała się w kierunku żołnierzy niczym ogromny tłusty kot. Powoli i ostrożnie wysunęła zza pleców grubą,

potężną rękę. Dziewczynka dostrzegła w czerwonej dłoni Michelle jakiś błyszczący przedmiot. Był to kuchenny nóż - najdłuższy i najbardziej ostry, jaki mieli w domu.

Nagle Michelle rzuciła się do przodu i wbiła ostrze w plecy najbliższego Niemca. Mężczyzna wydał chrapliwy jęk i osunął się na kolana. Z otwartych ust płynęła krew, w

oczach pojawiło się zdumienie. Potem stały się szkliste, zamglone. Upadł na twarz, a Helenę widziała, że nóż utkwiał głęboko w jego plecach.

Ciemnobrązowy uchwyt drżał.

Pozostali żołnierze patrzyli na Michelle

z mieszaniną strachu i szoku na twarzach. Wreszcie jeden wycelował w nią z karabinu. Instynktownie wyciągnęła ręce przed siebie, potem nastąpił pomarańczowy błysk i wydawało się, że cały pokój eksplodował. Michelle poleciała do tyłu na ścianę i osunęła się jak bezwładna kukła na podłogę. Na jej kolanach rozlała się olbrzymia czerwona plama, nieruchome oczy zdawały się patrzeć przez drzwi windy prosto na Helenę.

Naziści z wściekłością pochwycili mamę i pociągnęli ją do ciężarówki. Słaniała się, na twarzy miała krwawe smugi. Nagle Helenę dostrzegła, że szare pończochy również są zabrudzone

krwią. Maman dwukrotnie potknęła się i upadła na kolana; za każdym razem żołnierze szarpali ją i kopali.

- Vive la France! - zawołała maman w ostatnim przyływie sił. - Vive la Republique!

Jej odważne słowa rozległy się echem na całej ulicy jak zabroniona przez okupanta pieśń. Nawet ukryte w windzie dzieci usłyszały je wyraźnie. Przez chwilę panowała głucha cisza, a potem zawarczały motory odjeżdżającego daimlera i ciężarówek.

W pokoju zostało dwóch żołnierzy.

Zdjęli hełmy i oparli karabiny o futrynę

drzwi kuchennych obok ciała Michelle.

Jeden z nich usiadł i zapalił papierosa. Drugi mówił coś gniewnym tonem. Ze złości kopnął krzesło tak mocno, że aż się przewróciło.

I wtedy Marie zapłakała.

Żołnierz, który kopnął krzesło, odwrócił się i zaczął nasłuchiwać. Podeszedł do windy. Dziura po sęku, przez którą Helenę obserwowała pokój, stała się ciemna. Nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem i do wnętrza windy wpadło oślepiające światło.

Rozdział 2

Zamrugali oślepieni nagłą jasnością.

- Ach, seh' mal was ich hier gefunden habe!* - zawołał żołnierz.

* Popatrz, co tu znalazłem! (niem.)

Jego twarz pozostała w cieniu na tle jasnego pokoju. Odwrócił się do swojego kolegi i przywołał go ręką.

Edmond i Helenę skulili się przy Catherine. Przytulili się do siebie jak przerażone szczenięta, które zostały zabrane od matki. Helenę czuła, jak jej siostra drży. Catherine ze spuszczonej oczami mocno przyciskała do piersi Marie. Malutka płakała głośno i trzęsła się spazmatycznie.

Drugi żołnierz podszedł i spoglądał przez chwilę do środka. Mruknął coś i zapalił zapalną. Migotliwy płomyk oświetlił twarze obu Niemców i ich ponuro zaciśnięte wargi. Mężczyźni zignorowali ją, Edmonda i Marie, natomiast wpatrywali się chciwie w Catherine w taki sam sposób, jak dzieci pożerające wzrokiem ciastka na wystawie pobliskiej cukierni. Catherine, chociaż najstarsza z nich, w tej chwili wydawała się najbardziej bezbronna i przerażona. Miała suche wargi, a w jej szeroko otwartych brązowych oczach czaił się niepokój.

- Ty - powiedział drugi żołnierz kiepską francuszczyzną. - Ty, chodź tutaj.

Catherine spojrzała na niego, ale się nie poruszyła. Zastygła skulona tak samo jak

rodzeństwo przyciskające się do siebie mocniej niż kiedykolwiek wcześniej.

- Ty - powtórzył żołnierz zimnym głosem. - Mam cię stamtąd wyciągnąć? Catherine uroczyście oddała Marie Helenę. Potem bez słowa odsunęła Edmonda i

powoli wygramoliła się z windy. Potknęła się i niezgrabnie upadła na kolana.

- Ach! - wykrzyknął żołnierz, spoglądając na nią z uznaniem. Powoli, jak rekin, okręzał swoją ofiarę.

Jego kolega rzucił niedopałek na dywan, rozgniół go butem i spojrzał na towarzysza ostro.

- Ich gehe zuernst* - oznajmił w końcu. Dla podkreślenia słów wskazał palcem na siebie.

Ten drugi gwałtownie potrząsnął głową.

- Nein! Ich habe sie von dorf mus gebracht!** - Wskazał na winę.

* Ja pierwszy (niem.)

** Nie, to ja ją stamtąd wyciągnąłem (niem.)

Wciąż klęcząc, Catherine spojrzała

przez ramię i napotkała wzrok Helenę. Jej wargi się zacisnęły, a ramiona opadły. Helenę często widziała na ulicach ludzi, którzy tak wyglądali. Była to postawa poddania się i klęski.

Zawstydzona Catherine odwróciła się od niej i spojrzała na martwą Michelle opartą niezgrabnie o ścianę. Helenę także na nią spojrzała. Krew, która zaczęła już krzepnąć, pokrywała przód sukienki ich opiekunki wielką rdzawą plamą. Helenę poczuła, że robi jej się niedobrze, i szybko odwróciła głowę.

Spierający się Niemcy doszli do porozumienia. Jeden wyciągnął z kieszeni skórzaną portmonetkę, sięgnął do środka i wyjął monetę. Postępując

zgodnie z jakimś dziwnym rytuałem, potarł ją, pocałował i rzucił w górę. Moneta zawirowała, błysnęła i opadła. Złapał ją szybkim ruchem dłoni i położył z kłaśnięciem na nadgarstku.

Obydwaj popatrzyli z bliska na monetę. Ten, który wygrał, wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu triumfu. Drugi wymamrotał coś niechętnie.

Zwycięzca schował monetę i wsunął portmonetkę z powrotem do kieszeni. Potem pochylił się i chwycił dziewczynę za ramiona. Podniósł ją jednym szybkim ruchem.

- Ładna mała - powiedział łamaną francuszczyzną. - A teraz się

przekonamy, jaka jesteś naprawdę.
Prawdopodobnie za chuda. - Wykrzywił się z pogardą. - Wszystkie Francuzki są chude. - Poklepał japo policzku wielką dłonią.

Catherine odruchowo szarpnęła się do tyłu. W jego oczach błysnęło rozbawienie.

- Ona jest dziewicą- oświadczył koledze. - Zawsze to poznam. Miła, słodka dziewica... Nie ma nic lepszego.

Ten drugi wzruszył ramionami.

- Miewałem dziewice - odpowiedział równie kiepskim francuskim. - Nic specjalnego.

Helenę spojrzała pytająco na Edmonda.

- Co oni chcą zrobić?

Popatrzył na nią zimnym, pustym wzrokiem.

- Nie bój się - odrzekł głosem zbyt dojrzałym jak na swój wiek. Helenę poważnie kiwnęła głową.

- Spróbuję.

- Cisza! - krzyknął któryś z Niemców.

Helenę podskoczyła. Edmond ścisnął jej rękę i uśmiechnął się, ale zauważyła, że jego oczy pozostały zimne.

W drugim końcu pokoju Niemiec przybliżył twarz do Catherine.

- Nie co dzień mężczyźnie trafia się dziewczica, nieprawdaż? - urągał głośno. Pochylił się, aby ją pocałować.

Nagle wrzasnął, obrócił ją dookoła i pchnął, aż z głuchym stuknięciem wylądowała na blacie stołu w jadalni. Włosy opadły jej na twarz. Oddychała ciężko, z trudem chwytając powietrze.

Niemiec zaklął i ostrożnie dotknął dolnej wargi. Miał na ustach krew. Spojrzał na palce, zaklął i wytarł dłoń o spodnie.

Drugi chichotał z satysfakcją.

- Mensch - zawołał. - Kannst du nicht einmal ein Mädchen handeln?*

Ugryziony popatrzył na niego ze złością.

- Halt's Maul!** - warknął. Potem rzucił się gwałtownie na Catherine. Zdarł z niej płaszcz i cisnął go na dywan.

* Człowieku, nie możesz sobie poradzić z dziewczyną? (niem.) ** Zamknij się! (niem.)

- Nie! - wrzasnęła Catherine. - Och, proszę. Boże, nie!

Niemiec wyszczerzył zęby i oblizał wargi. Catherine oparła się o stół. Ręce splotła przed sobą błagalnym gestem jak do modlitwy. Helenę usłyszała trzask

materiału, kiedy

mężczyzna rozdarł sukienkę uszytą przez mamę. Guziki odskoczyły jeden po drugim i uderzyły o blat stołu. Sukienka opadła do kostek Catherine.

- Proszę - łkała dziewczyna. - Zostawcie mnie...

Stanik też miała podarty. Przyciskała go do siebie rozpaczliwie, ale żołnierz go z niej ściągnął. Obronnym gestem zasłoniła małe piersi.

- Proszę... Proszę, nie - powtarzała drżącym głosem.

- Cicho! - warknął Niemiec i wymierzył

jej policzek.

Drgnęła z bólu, kiedy ją uderzył. Potem zgięła palce niczym szpony i z nienawiścią przeorała mu paznokciami twarz. Na policzku prawie natychmiast pojawiły się cztery czerwone ślady.

- Verdammt! - Helenę usłyszała, jak zaklął.

Potem rozległy się następne odgłosy uderzeń, a Catherine upadła na blat stołu. Kopała i szarpała się, kiedy żołnierz zdierał z niej wełniane pończochy i majtki. Była teraz naga, po jej policzkach spływały strugi łez. Napastnik chwycił ją za ramiona i ściągnął ze stołu. Wyrывała się, żeby

stanąć na nogach, ale zaplątała się w ubrania krępujące jej kostki i upadła. A wtedy Niemiec rozpiął spodnie i rzucił się na nią podniecony.

Rozdział 3

W jednej chwili Helenę ogarnęła wściekłość. Nigdy wcześniej nie czuła do nikogo nienawiści. Doświadczyła jej po raz pierwszy tego popołudnia, kiedy zobaczyła leżącą na podłodze siostrę i przyciskającego ją Niemca. Z całej siły starała się opanować mdłości, które paliły ją w żołądku żywym ogniem i unosiły się do gardła.

- Nie - błagała Catherine. - Nie! - Jej twarde, dziewczęce piersi podnosiły się

i opadały w przerażonym oddechu.

- Puść ją! - wrzasnęła nagle Helenę.

Żołnierze zerknęli w kierunku windy i zaczęli rechotać rozbawieni. Potem ten, który trzymał Catherine za ręce, przeniósł wzrok na jej uda. Dziewczyna próbowała się uwolnić, ale była za słaba. Nadgarstki miała przyciśnięte do podłogi i tylko mięśnie ramion napinały się i drżały bezsilnie pod ciężarem ciała mężczyzny. Zagryzła wargi z bólu.

-Mensch, mach's schnell!* -

Przyglądający się żołnierz niecierpliwie ponaglił

kolegę.

* Pospiesz się, człowieku! (niem.)

Niemiec leżący na Catherine zignorował jego słowa.

Edmond niedostrzegalnie szturchnął łokciem Helenę i ostrożnie zerknął w kierunku drzwi do kuchni. Spojrzała w tę samą stronę. Na pewno nie chodziło mu o to, aby popatrzyła na Michelle. Nie, to musiało być coś innego. Coś bardzo ważnego... Nagle Helenę zrozumiała. Za ciałem ich opiekunki stały karabiny Niemców oparte o futrynę. Zerknęła na brata i ich spojrzenia się spotkały. W oczach obojga pojawił się ten sam bezlitosny

wyraz. Helenę delikatnie skinęła głową. Wiedziała już, co muszą zrobić. Ostrożnie posadziła Marie na podłodze windy. Teraz oboje czekali na okazję.

Niemiec przyciskający Catherine do podłogi napał mocno na swoją ofiarę i wszedł w nią jednym twardym pchnięciem. Powietrze przeciął ostry krzyk dziewczyny. Na moment jej ciało wygięło się w łuk i Helenę myślała już, że siostra zrzuci z siebie

gwałciciela, ale po chwili Catherine opadła bez sił. W pokoju dał się słyszeć jej rozdzierający szloch.

Helenę dzieliła z siostrą poniżenie i ból, Edmond także. Oddychał z trudem. Cały

się trząsał.

- Zaraz - szepnął bezgłośnie do Helenę.
- Zaraz. Mrugnęła do niego, pokazując, że rozumiała.

Ciało obscenicznie uderzało o ciało, Catherine szarpała głową z jednej strony na drugą. Jej twarz wykrzywił przerażający grymas. Drugi żołnierz z niecierpliwością obserwował to, co się działo na podłodze. Rozpiął już pas i opuścił spodnie w oczekiwaniu na swoją kolej.

Edmond trącił łokciem Helenę.

Nadszedł właściwy moment.

Obserwowała, jak brat bezszelestnie wysunął się z windy. Odczekał kilka

sekund, spoglądając uważnie na obu żołnierzy. Byli zbyt zajęci swoją ofiarą, by cokolwiek dostrzec. Edmond wpęłzył za stół niczym krab i skinął ręką na Helenę, by zrobiła to samo.

Próbując naśladować ruchy brata, podążyła w jego stronę i dotarła doń bezszelestnie. Żaden z mężczyzn ich nie zauważył. Edmond mocno ścisnął dłoń Helenę, by dodać jej odwagi.

- Na miłość boską, przestań! - usłyszeli głos Catherine.

Helenę wyjrzała zza stołu, ale Edmond złapał ją za ramię i pociągnął w stronę kuchennych drzwi. Pokazał jej, by szła tuż za nim. Kiwnęła głową na znak, że

rozumie jego polecenie. W drugiej części pokoju głos Catherine wznosił się i opadał.

- O Boże! - wołała. - O Boże, gdzie jesteś?

Edmond skinął głową i razem z Heleną zaczęli ostrożnie przesuwać się w stronę ich ukochanej Michelle. Do karabinów.

- Aghhh... - wykrztusił Niemiec gwałcący Catherine.

Edmond i Helenę byli w połowie drogi między stołem a ciałem Michelle. Zaszokowani odwrócili głowy i popatrzyli na scenę rozgrywającą się z tyłu. Żołnierz poruszał się coraz

szybciej. Pot spływał mu z czoła, fioletowe żyły na skroniach nabrzmiały tak, iż Helenę myślała, że zaraz popękają.

- Aghhh! Aghhh! Aghhh... - Mężczyzna wyprężył się i ucichł.

Edmond dał znak Helenę, że ruszają dalej, więc pospiesznie poczołgała się za nim. Nie popatrzyli do tyłu, dopóki nie znaleźli się przy Michelle.

Tymczasem żołnierz, który wciąż miał zaciśnięte powieki, zaczął łapać oddech. Catherine cicho szlochała. Do gardła Helenę podeszła następna fala torsji, ale mdłości ustąpiły natychmiast, bo nagle Niemiec otworzył oczy i spojrzał wprost na nich oboje.

- Verdamme Scheiss, Kinder!* - ryknął głośno i z gniewem wyciągnął w ich kierunku rękę.

* Cholera jasna, dzieci! (niem.)

Zostawiona w windzie Marie znowu zaczęła żałośnie popiskiwać.

- Szybko! - krzyknął Edmond. - Szybko, stań za mną! Helenę zamarła ze strachu.

- Ja... Ja nie mogę się ruszyć! - wyjąkała.

Edmond złapał ją za ramię i pociągnął za drzwi od kuchni. Wykorzystując moment zaskoczenia, chwycił najbliższy

karabin i skierował lufę w stronę żołnierzy, ledwo omijając głowę Michelle. Karabin był ciężki. Mężczyzna bez trudu mógł go utrzymać nieruchomo, w rękach chłopca broń chwiała się i przesuwała. Ale nienawiść spowodowała gwałtowny przypływ adrenaliny i to nienawiść pomogła Edmondowi utrzymać prosto karabin.

Chłopiec spoglądał wzdłuż lufy, tak jak podpatrzył to u aktorów grających w westernach. Tylko że w kinie nie uczą widzów strzelania. Karabiny były znane w Paryżu już od kilku lat, Edmond wraz z kolegami oglądał je z bliska i daleka; oczywiście chłopcy tłumaczyli sobie nawzajem, jak się z nich strzela. Tak

więc jedenastoletni Edmond wiedział, jak się odbezpiecza broń. I teraz to zrobił.

Niemcy dostrzegli jego ruch i obaj natychmiast zamarli. W ich oczach pojawiła się nienawiść, ale także coś jeszcze. Coś, czego nie było tam jeszcze kilka chwil wcześniej. Lęk.

- Runter, du verdammtes Schwein!* - zawołał Niemiec leżący na Catherine, zbyt przestraszony, żeby szukać teraz właściwych francuskich słów. Ręką pokazał Edmondowi, żeby opuścił i odłożył broń. Jego towarzysz pochylił się spiesznie, by podciągnąć spodnie, ale ani na chwilę nie odrywał od chłopca oczu, z których biła wściekłość

- nawet wtedy, kiedy zapinał pas. Zrobił krok w kierunku Edmonda.

* Opuść go, ty przeklęta świnio! (niem.)

Helena nigdy w życiu tak się nie bała.

- Teraz! - wykrzyknęła. - Teraz, Edmondzie! Strzelaj!

Chłopiec zawahał się i zmarszczył brwi. Ciężki karabin chwiał się w górę i w dół w jego drżących dłoniach.

Żołnierz zbliżał się ostrożnie. Jego napięta twarz płonęła, ciemne oczy błyszczały wściekle.

- No, już. Oddaj to - starał się mówić

spokojnie kiepskim francuskim. Edmond wpatrywał się w niego niewidzącym wzrokiem.

- Połóż broń na ziemi. - Jego głos brzmiał coraz łagodniej. - Nic ci się nie stanie, chłopcze.

Helena wiedziała, że to kłamstwo, że tamten chce odebrać Edmondowi broń. A jeśli mu się uda, co wtedy? Zabiją całą czwórkę? - zastanawiała się w popłochu. Edmond nie może oddać karabinu!

- No już - mówił Niemiec na pozór przyjaznym głosem. - Bądź grzecznym chłopcem i odłóż to.

Nagle Helenę poczuła, że nienawidzi tego kuszącego głosu. W dodatku Niemiec próbował się uśmiechnąć! Jej serce waliło jak młot. Och, Edmondzie, proszę, zrób coś, błagała w myślach brata. Nie wierz szkopowi! Zrób coś szybko... póki jeszcze możesz.

Żołnierz był coraz bliżej. Wyciągnął lewą rękę w stronę karabinu. Podchodził wolno, ostrożnie, jak człowiek do kobry.

- Połóż to - powtórzył łagodnym szeptem. - Nic ci się nie stanie. - W jego głosie brzmiała życzliwość, jakby mówił: „Macie szansę, żeby nie zrobić niczego okropnego, czego byście później musieli żałować”.

Edmond odruchowo zrobił krok w tył w kierunku Helenę.

- Edmondzie - ostrzegła go, szcękając zębami. - Edmondzie...

Żołnierz obrzucił ją spojrzeniem pełnym wściekłości. Bał się, że chłopiec może jej posłuchać. Drugi Niemiec przyglądał im się z wykrzywioną twarzą. Marie płakała cicho.

- Edmondzie! - krzyknęła Catherine, próbując się podnieść i zepchnąć gwałciciela. Helenę popatrzyła na nią; w szeroko otwartych oczach siostry widać było przerażenie. - Edmondzie! - wrzasnęła. - Na litość boską...

- Halt's Maul! - ryknął nagle żołnierz i pchnął ją mocno. Upadła i jęknęła z bólu, kiedy jej głowa uderzyła o dywan.

Z gardła Edmonda wydobył się zduszony okrzyk i chłopiec nacisnął spust.

Zobaczyli błysk, a pokój zadrżał od huku. Porcelana w kredensie

zadźwięczała. Marie wydała osyty pisk.

A potem, równie nagle jak wybuch,

nastąpiła wielka cisza. Helenę wręcz bała się odetchnąć, by nie zakłócić tego spokoju. Nawet Marie zamilkła.

Otoczyła ich ciężka woń kordytu.

Pierwszy raz tego popołudnia Helenę usłyszała nieustanne, miarowe tykanie dużego zegara stojącego przy

frontowych drzwiach. Potem spojrzała

na Edmonda i wstrzymała oddech.

Wciąż ścisnął przed sobą karabin, ale twarz miał oszołomioną i półprzytomną. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że strumień krwi spływa mu z ust na szyję. Kiedy nacisnął spust, kolba karabinu uderzyła go w szczękę. Dwa przednie zęby miał wybite, a siła odrzutu pchnęła go do tyłu na Helenę. Zdołał jednak utrzymać się na nogach i wciąż mierzył z karabinu do wroga.

Ale z takiej odległości nikt nie miałby szans. Kula rozszarpała pierś żołnierza. Żebra i płuca rozprysnęły się wokoło i przykleiły do ściany, na którą rzucił go wystrzał. Skrawki kości i okrwawione strzępy ciała przebiły tapetę.

O jednego wroga mniej na francuskiej ziemi. Nie było już Niemca. Tak jak nie było Michelle. Nawet nie krzyknę, powiedziała sobie w myślach Helenę.

Drugi żołnierz wpatrywał się w nich ciężkim wzrokiem. Był bardzo blisko Catherine.

Edmond skierował na niego lufę karabinu.

- Odsuń się - powiedział twardym głosem. Nastąpiła chwila cichego napięcia. Potem Niemiec zaczął się podnosić.

- Bardzo wolno! - ostrzegł go Edmond. -

Bo jeśli nie... - Nie dokończył, ale ciąg dalszy był oczywisty.

Tamten wolno podciągnął spodnie i wepchnął do środka koszulę. Twarz miał bez wyrazu, ale oczy pozostały czujne. Cały czas obserwował bacznie Edmonda. Skończył zapinać pas i opuścił ręce luźno wzdłuż ciała, ale jego palce zaciskały się i prostowały. Helenę intuicyjnie wiedziała dlaczego. Żołnierz czekał na okazję, aby ich zaatakować.

Edmond zniżył nieco karabin i spojrzał na Catherine.

- Wstań - odezwał się do niej łagodnie.

Zwróciła zalaną łzami twarz ku niemu i

zaczęła wycierać oczy dłońmi.

- Idź na górę i włóż coś na siebie - powiedział Edmond. W jego głosie pojawiły się piskliwe tony. - Prędko. Ubierz się.

Catherine kiwnęła głową. Z trudem zdołała wstać i próbowała się zasłonić drżącymi dłońmi. Jest w szoku, pomyślała Helene. Z przerażeniem zobaczyła, że po udach siostry spływa krew. Szybko odwróciła głowę.

Nagle Niemiec zrobił szybki ruch. Helene dostrzegła to i serce jej zamarło. Nadaremnie próbowała krzyknąć, by ostrzec Edmonda. Gardło miała zaciśnięte ze strachu.

Usłyszała jęk brata. On również zauważył, co się dzieje, ale było już za późno. Na ułamek sekundy spuścił z oczu Niemca, a ten natychmiast wykorzystał okazję. Rzucił się na Catherine i chwycił ją za nogi. Upadła znowu, jak gdyby zdmuchnięta porywem wiatru. Niemiec podniósł się ostrożnie, osłaniając się jej wiotkim ciałem jak tarczą. Jedną dłonią obejmował Catherine za szyję, w drugiej trzymał nóż. Przyłożył błyszczące ostrze do gardła dziewczyny, uciskając jej skórę, ale jej nie raniąc. Catherine zamarła z przerażenia; z trudem chwyciła powietrze otwartymi ustami.

- Rzuć karabin albo poderżnę jej gardło

- powiedział cicho żołnierz. Patrzył na Edmonda z pogardą, mrużąc oczy.

Helenę wbiła wzrok w Niemca. Nie wątpiła, że mógłby zrobić to, o czym mówił. Edmond drgnął. Jego pełną napięcia twarz pokrył zimny pot. Wciąż ścisnął w dłoniach karabin, chociaż teraz nie mógł go użyć.

Niemiec przycisnął mocniej nóż do gardła Catherine. Kropla krwi powoli spłynęła po jej szyi.

- Rzuć karabin - powtórzył.

Edmond bezradnie opuścił broń. Karabin z łoskotem upadł u jego stóp.

Na ustach Niemca pojawił się okrutny uśmiech. Żołnierz opuścił nóż, ale nadal mocno trzymał przed sobą Catherine. Ostrożnie zrobił krok do przodu i jednym szybkim kopnięciem przesunął karabin za siebie do korytarza.

- Głupcy - syknął ze złością.

Helenę poczuła gęsią skórkę na ramionach i ostrożnie spojrzała w stronę drzwi na korytarz. Coś jej mówiło, że ktoś oprócz nich jest w domu.

Wprawdzie nic nie usłyszała, ale wyczuła czyjaś obecność. Miała rację. Jakiś mężczyzna prześlizgnął się jak złodziej z ciemnego korytarza do jadalni. To na pewno nie był żaden z żołnierzy. Teraz go rozpoznała. Czy to

możliwe? Jej serce zaczęło uderzać szybciej. Tak, to monsieur Laval, dawny przyjaciel ojca. Oczy Helenę napotkały jego spojrzenie. Zatrzymał się i przyłożył palec do ust. Znajdował się już nie dalej niż półtora metra od Niemca, kiedy podłoga zatrzęszczała. Zaskoczony żołnierz puścił Catherine i odwrócił się gwałtownie. Zaklął i wyrzucił przed siebie ramię szerokim łukiem. Helenę usłyszała świst noża. Monsieur Laval uchylił się, ale ostrze przecięło jego zimowy płaszcz. Helenę zadrżała. Catherine stała obok, chwiejąc się na nogach.

- Catherine! - krzyknęła dziewczynka. -
Catherine! Siostra spojrzała na nią

niewidzącym wzrokiem, pogrążona we mgle, którą tylko ona mogła zobaczyć.

- Catherine! - zawołała Helenę jeszcze raz. - Odsuń się!

Teraz Catherine jakby oprzytomniała. Poderwała się i podbiegła do siostry. Helenę ścisnęła jej zimną rękę.

Sprężynowy nóż przeciął powietrze jeszcze raz. Helenę najpierw usłyszała jego świst, a potem zobaczyła błysk ostrza. Pan Laval odskoczył, podniósł kolano i kopnął żołnierza w krocze. Niemiec zawył z bólu i zgiął się wpół. Twarz mu poszarzała; upuścił

nóż, a potem zwalił się na podłogę.

Leżał na boku w pozycji embrionu, przyciskając dłonie do krocza.

Pan Laval wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł pot z czoła. Oddychał z trudem, jako że nie był już młodzieńcem i ta walka go zmęczyła.

- Panie Laval! - zawołała Helenę, łapiąc go za płaszcz. - Zabrali mamana! Niemcy zabrali mamana!

Kiedy na nią spojrział, zobaczyła w jego brązowych oczach współczucie. Położył dłonie na jej ramionach i przycisnął mocno Helenę, tak jak robiła to mamana. Ale nie był ciepły i delikatny jak mama ani pulchny jak Michelle. Miał szorstki, zimny płaszcz, do którego nie mogła się

przytulić. Pierwszy raz tego popołudnia Helenę rozpląkała się gwałtownie.

Pan Laval odsunął ją łagodnie i przykucnął, a wtedy ich twarze znalazły się na tym samym poziomie. Popatrzył na nią z powagą.

- Tak, Helenę - odezwał się cicho. - Niemcy zabrali twoją mamę. Ale nie możemy dopuścić, żeby teraz zabrali ciebie, prawda?

Helenę w milczeniu skinęła głową.

- Bien. Bądź więc dzielną dziewczynką i wytrzymaj oczy. Pociągnęła nosem i zrobiła, co kazał.

- Już lepiej. - Pan Laval próbował się uśmiechnąć. - Chcę, żebyś mnie teraz uważnie wysłuchała, dobrze?

- Tak - odpowiedziała drżącym, ale zdecydowanym głosem.

- Musicie natychmiast opuścić ten dom - oświadczył pan Laval. - Tu nie jesteście bezpieczni. Rozumiesz?

Helenę ponownie kiwnęła głową.

- Zabiorę was do bezpiecznej kryjówki.

- Pan Laval podniósł się i spojrzał na Catherine. Dopiero teraz zauważył na jej udach krew.

- Biedactwo - mruknął zaszokowany i

westchnął. - Oni są gorsi od zwierząt.
Catherine odwróciła się zawstydzona.

- Nie! - powiedział stanowczym tonem pan Laval. - To nie ty powinnaś się wstydzić! Nie zrobiłaś nic złego. Musisz o tym pamiętać!

- Tak - odrzekła Catherine słabym szeptem. - Tak, będę pamiętała.

- Teraz biegnij na górę i ubierz się - polecił. - Ale bez mycia. Nie mamy czasu. Kiwnęła głową i wyszła z jadalni. Pan Laval spojrział na półprzytomnego żołnierza,

a potem na Edmonda.

- Potrzebny mi ręcznik i mocna lina.

- Sznur do bielizny wystarczy? -

Chłopiec popatrzył pytająco na ich wybawcę.

- Sznur do bielizny będzie doskonały -
odrzekł monsieur Laval.

Edmond wyszedł szybko i Helenę usłyszała, jak otwierał szafki w kuchni. Po chwili wrócił z ręcznikiem i zwiniętą białą liną. Pan Laval kopnął Niemca w brzuch, a potem pochylił się, by związać mu ręce i nogi. Potem zakneblował żołnierzowi usta ręcznikiem. Więzień zaskomlął ze strachu. Teraz przestał już być taki odważny, pomyślała Helenę z satysfakcją.

Catherine wróciła na dół ubrana. Nie patrząc na nikogo, podeszła do windy, wzięła na ręce Marie i przytuliła ją mocno. Ich wybawca rozejrzał się dookoła.

- Jesteście gotowi? - zapytał.

W milczeniu skinęli głowami. Nie tracąc ani chwili, przeszli do drzwi kuchennych. Za nimi pojedyncze uderzenie zegara przy drzwiach oznajmiło trzecią trzydzieści. Minęło niecałe pół godziny od chwili, gdy Helenę bawiła się w parku. To pół godziny nieodwracalnie odmieniło jej życie na zawsze.

Pan Laval ruszył przodem. Biegli za nim

przez podwórze, a zamarznięty śnieg trzeszczał im pod nogami. Minęli zardzewiałą beczkę na deszczówkę służącą do podlewania grządek. Teraz była pokryta lodem. Coś szepnęło Helenę, że już nigdy więcej jej nie zobaczy. Wysoko nad ich głowami wisiały znajome sznury do bielizny. Czyjeś pranie powiewało na wietrze. Biegli mrocznym jak podziemny tunel przejściem między kamienicami.

Stawką w tym biegu było ich życie.

Rozdział 4

Dotarli do domu przy końcu krótkiej, ponurej alejki odchodzącej od tej, którą biegli. Monsieur Laval przystanął przed

drzwiami z numerem siedemnastym przy ulicy Jules'a Talesa i trzy razy zadzwonił.

Kamienica była stara i zaniedbana. Tak jak inne domy w tej dzielnicy sprawiała wrażenie, jakby zamieszkali ją biedacy. Na drzwiach znajdowała się skrzynka na listy, ale nie umieszczono na niej żadnej wizytówki. Helenę spojrzała w górę i zobaczyła, że we wszystkich oknach jest ciemno. Już myślała, że w środku nikogo nie ma, kiedy drzwi otworzyły się gwałtownie i alejkę zalało żółte światło. Oświetliło ono postać łysego, potężnie zbudowanego, wysokiego Murzyna. Masywne czarne ręce miał skrzyżowane na piersi.

Monsieur Laval zdjął beret i wymamrotał coś cicho.

Czarny olbrzym zwrócił twarz w kierunku dzieci i przesunął po nich uważnym spojrzeniem. Potem cofnął się od drzwi i bez słowa, kiwnięciem głowy zaprosił ich do środka. Nieśmiało weszli do holu, a ciężkie drzwi zamknęły się za nimi z trzaskiem.

Helena spojrzała na Edmonda. Był tak samo zdumiony jak ona. Z zewnątrz dom wydawał się stary i zaniedbany, ale wewnątrz okazało się luksusowe. Przede wszystkim było tu ciepło. W ich własnym mieszkaniu zawsze czuło się zimno i wilgoć, tutaj natomiast było gorąco jak w piecu hutniczym. Meble

wyglądały na drogie antyki. Stały na nich kryształowe kandelabry i białoniebieskie wschodnie wazy. Na podłodze leżały grube dywany. Ściany były pokryte kosztowną czerwoną tkaniną. Po obu stronach drzwi stały dwa duże posągi z brązu. Były to rzeźby przedstawiające muskularnych Maurów; obaj trzymali w uniesionych rękach rozgałęzione kandelabry.

Murzyn wskazał ręką, że mają tu poczekać. Podeszedł do wysokich drzwi, zapukał i wszedł. Przez chwilę słyszeli szmer rozmów i dźwięczny kobiecy śmiech, który nagle ucichł, gdy drzwi się zamknęły. Znowu zapanowała cisza.

Helenę rozejrzała się dookoła.

Zmęczona Catherine oparła się o ścianę. Po półgodzinie dźwigania Marie ręce jej zdrętwiały. Edmond ostrożnie przesunął dłoń po

jednym z posągów. Monsieur Laval czekał w milczeniu, zastanawiając się nad czymś. Dolną wargę wysunął lekko do przodu; obracał w dłoniach swój czarny beret.

Po chwili drzwi otworzyły się i olbrzym wrócił. Szła za nim wolno niska kobieta, ostrożnie stawiając małe kroczki.

Helenę wpatrywała się w nią zafascynowana. Nigdy wcześniej nie widziała tak egzotycznej istoty. Ta kobieta przywodziła na myśl dźwięki i

aromaty dalekiego Orientu, zapach orchidei i lilii wodnych, słowa tajemniczych rytuałów. Cerę miała bladą, a rozpuszczone kruczoczarne włosy sięgały do pasa. Czarne skośne o przenikliwym spojrzeniu oczy błyszcząły w świetle kandelabrow. Miękki szlafrok z połyskującego jedwabiu podkreślał jej kształty. Chociaż była drobna i szczupła, miała obfite piersi. Nosila na szyi platynowy łańcuszek, a na jego końcu, dokładnie w zagłębieniu biustu, spoczywał wielki nieoszlifowany diament. Zimą 1944 roku w Paryżu było to zdumiewające.

Murzyn stanął w dyskretnej odległości od nich, ale kobieta nie kazała mu

odejść. Tak samo nie zwróciła uwagi na Catherine, Edmonda i Helenę. Podeszła prosto do pana Lawała i wyciągnęła wytworną, kruchą jak porcelana rękę.

Helenę widziała, jak pan Laval przywitał się z kobietą. Ujął delikatnie jej dłoń, z subtelnością, o którą dziewczynka go nie podejrzewała.

Dama była bardzo niska i musiała unieść głowę, by popatrzeć mu w twarz.

- Witam pana, monsieur - powiedziała. Miała śpiewny, wysoki i czysty głos i Helenę zorientowała się, że to dźwięczny śmiech tej kobiety wcześniej słyszała.

Pan Laval pochylił głowę w ukłonie.

- Madame Chang - odezwał się tonem pełnym szacunku - jestem wdzięczny, że zechciała pani mnie przyjąć.

Dama skinęła głową i powiedziała:

- Monsieur Laval, wiem, że przyszedł pan tutaj, ponieważ ma pan kłopoty. Proszę mnie źle nie zrozumieć, pomogę, jeżeli tylko jest to w mojej mocy. Jednakże nie chcę nic wiedzieć na temat tych kłopotów. - Tembr jej głosu pozostał miękki i delikatny, ale mówiła zdecydowanym, oficjalnym tonem. - Czy się rozumiemy?

- Doskonale, madame. Pani postawa jest

rozsądna i godna podziwu. Kobieta spojrzała na niego, nie okazując żadnych emocji.

- Teraz proszę mi wyjaśnić, czego pan ode mnie oczekuje? Pan Laval wskazał jej dzieci.

- Szukam jakiegoś bezpiecznego miejsca dla tej czwórki. Twarz pani Chang pozostała bez wyrazu.

- To nie takie proste. Chyba sam pan rozumie, że nie zamknę na noc interesu, bo mam tu czworo dzieci.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odparł spokojnie.

- Dobrze. Zatem rozumiemy się doskonale. - Wpatrywała się w niego oczami kształtu migdałów. - Jak długo tu pozostaną?

- Do jutra. Przyjdę i zabiorę je do innej kryjówki. Madame Chang kiwnęła głową.

- Załatwione. Ale proszę pamiętać, że spodziewam się pana nie później niż o trzeciej po południu.

Pan Laval zaczął wygłaszać uniżone podziękowania.

- Madame, jest pani niezwykle łaskawa. Bardzo...

Kobieta przerwała mu ruchem ręki. Helenę zauważyła, że pani Chang ma długie, polakierowane na czerwono paznokcie.

- Ale stawiam jeden warunek - powiedziała. Popatrzyli na nią z niemym pytaniem.

- Muszą się zachowywać bardzo cicho - oświadczyła. - Czy starsze potrafią zająć się tym maleństwem, żeby nie płakało? - Spojrzała pytająco na Catherine.

Dziewczyna poważnie kiwnęła głową.

- A więc dobrze. - Madame Chang odwróciła się do Murzyna. - Zaprowadź ich na górę do pokoju Gisele.

Olbrzym w milczeniu pochylił głowę.
Kobieta ruchem ręki poleciała dzieciom,
by poszły za mężczyzną.

Helene zawahała się i spojrzała
błagalnie na pana Laval.

Był jedynym przyjacielem wśród tych
obcych twarzy i przerażała ją myśl, że
zostaną tu sami.

Monsieur Laval dostrzegł jej wahanie.

- Na co czekasz? - zapytał. - Idź... Nie
bój się. Przyjdę po was jutro po
południu. Dziewczynka spojrzała na
niego z powątpiewaniem.

- Przyrzekasz?

- Obiecuję - zapewnił ją poważnie. -
Nie bój się, wszystko będzie dobrze.

Pod wpływem dziwnego impulsu Helenę objęła pana Lawała za szyję i uściskała go mocno. Potem cofnęła się szybko i poszła za Murzynem. Edmond i Catherine ruszyli za nią.

Catherine karmiła Marie mlekiem z butelki, kiedy Edmond upomniął Helenę:

- Uważaj, żebyś nie wypadła przez okno. Nie przejęła się tym ostrzeżeniem.

Sypialnia Gisele znajdowała się na poddaszu. Wychyliwszy się mocno przez mansardowe okno, Helenę mogła patrzeć na spadziste dachy sąsiednich

domów.

- Rób, jak chcesz - ciągnął Edmond. - Ale nie wiem, jak ci pomogę, kiedy wylecisz i zaczniesz spadać.

- Dzieci - odezwała się Gisele - macie być cicho! Pani Chang powiedziała, że absolutnie nie chce was tu słyszeć! - Spojrzała na chłopca i poklepała materac, wskazując Edmondowi miejsce.

Wykrzywił się, ale przycupnął posłusznie na brzegu łóżka. Helenę widziała, jak materac ugiął się pod jego ciężarem.

Po kilku minutach odeszła od okna i

usiadła obok brata. Zrobiło się już zbyt ciemno, żeby dostrzec cokolwiek. Z dołu słychać było dźwięki gry na pianinie i od czasu do czasu kaskady piskliwego śmiechu. Sprawiało to wrażenie, że trwa tam jakieś przyjęcie.

Gisele wyjaśniła im, że jest jedną z dwudziestu dziewcząt, które mieszkały w tym domu. Normalnie siedziałyby teraz z koleżankami na dole, czekając na klientów. Ale dostała akurat „swój okres”, a pani Chang nie pozwalała pracować dziewczętom w tych dniach.

Gisele była wysoka i miała duże piersi. Niestety, nie miała szansy stać się prawdziwą pięknoscią, bo jej nieszczęściem, jak tłumaczyła dzieciom,

stał się nieproporcjonalny tors. Zbyt krótki stan nie dawał jej nadziei na szczupłą, wytworną figurę. Już do końca życia pozostanie zbyt okrągła. Obfity biust sprawiał, że wyglądała na dwadzieścia lat, chociaż w rzeczywistości skończyła dopiero siedemnaście. Przed rokiem

przeniosła się do Paryża z podmiejskiego Auteuil. I wtedy zaczęła pracować u madame Chang.

Dziewczęta chwaliły sobie ten dom. Płacę miały dobrą i - w przeciwieństwie do głodującego Paryża - zawsze mnóstwo jedzenia w spiżarni. A co najważniejsze, lokatorki pani Chang

mogły sobie pozwolić na ładne ciuszki, co było niesłychanym luksusem.

Niektóre z nich, te najpiękniejsze, miały wspaniałe urządzone pokoje z wysokimi sufitami i kreacje od najdroższych projektantów mody. Taka Jocelyne, mówiła im Gisele z podziwem, uważana na najlepszą z tutejszych dziewcząt, zarabiała najwięcej z nich wszystkich. Panowie, których było na nią stać, twierdzili, że to najwspanialsza kobieta w całym Paryżu. Ale klient musiał za nią zapłacić sześć tysięcy franków za godzinę. Majątek. Nie każdy mężczyzna mógł sobie na to pozwolić.

- Nudzę się - zaczął marudzić Edmond. Opowieści Gisele go nie interesowały.

Helenę kiwnęła głową.

- Ja też. To nudne tak siedzieć i nie mieć nic do roboty.

Gisele myślała przez chwilę. Potem wpadł jej do głowy jakiś pomysł.

- Już wiem! - zawołała z ożywieniem. -
Narysuję was wszystkich! Chcecie?
Edmond wykrzywił się z niechęcią.

- Umiem świetnie rysować - dodała szybko Gisele. - Tylko musicie siedzieć spokojnie i nie wolno wam rozmawiać. Zaraz znajdę papier. - Pospieszyła do komody, gdzie trzymała blok i ołówki. Potem przesunęła krzesło w najważniejsze miejsce.

Usiadła naprzeciw nich i zmarszczywszy brwi, przyglądała się uważnie każdemu po kolei. Następnie poleciła Helenę, żeby się nie kręciła. Wreszcie, usatysfakcjonowana, zaczęła szkicować zgrabnymi pociągnięciami ołówka.

Helenę siedziała nieruchomo, podziwiając zręczne ręce dziewczyny. Gisele miała małe dłonie o krótkich palcach. Helenę zastanawiała się, czy wszystkie okrągłe kobiety mają takie dłonie. Wyglądały całkiem nieźle, chociaż daleko im było do eleganckich dłoni madame Chang i jej polakierowanych na czerwono paznokci, przypominających szpony.

Edmond chrząknął i Helenę spojrzała na

niego. Kiedy ich oczy się spotkały, zaczął robić do niej zabawne miny. Dziewczynka zachichotała.

Gisele spojrzała na nią ostro.

- Siedź spokojnie! - rzuciła ze złością.

Narysowanie całej trójki trwało pół godziny. W końcu Gisele z dumą pokazała im szkice.

- Jak wam się podobają? - zapytała, czekając na pochwały.

Helene uważnie studiowała portreciki. Okazały się całkiem dobre. Natychmiast rozpoznała Catherine. Rozczarowała ją własna podobizna. Na rysunku Gisele

wydawała się taka dziecinna i słodka, a przecież wcale tak nie wyglądała, kiedy patrzyła do lustra. Portret Edmonda wyszedł ładnie, ale był niezbyt wierny. Nos nie taki, oczy zbyt blisko osadzone.

Gisele spojrzała na nią pytająco.

-No i jak?

Zanim Helenę zdążyła coś powiedzieć, usłyszeli kroki w korytarzu, a potem ktoś zapukał do drzwi. Catherine podskoczyła. Sprawiała wrażenie przerażonego zwierzątka.

Gisele uśmiechnęła się łagodnie i pogładziła japo dłoni.

- Nie bój się. To tylko Roland. - Wstała, odłożyła rysunki i otworzyła drzwi. Wszedł czarny olbrzym, niosąc tacę. Stały na niej jakieś naczynia, a spod pokrywek

wydostawała się para. Roland zostawił tacę na komodzie i wyszedł.

- Nie jest zbyt przyjacielski, prawda? - odezwała się Helenę, gdy Roland zamknął za sobą drzwi.

- Dlaczego tak myślisz? - zdziwiła się Gisele.

- Choćby dlatego, że nic nie mówi.

- Jest niemy. Nie może z nami pogadać.

- Och! - Teraz to Helenę była zaskoczona. - Dlaczego? Gisele wzruszyła ramionami.

- Nie wiem.

- Ale słyszy i wszystko rozumie?

Dziewczyna kiwnęła głową, podeszła do komody i zdjęła pokrywki z naczyń.

Rozkoszna woń połaskotała Helenę w nos. Dziewczynka aż otworzyła usta. Minęło dużo czasu od chwili, kiedy po raz ostatni miała przed sobą tak pyszne jedzenie. Od razu zapomniała o Rolandzie. Teraz poczuła, jak strasznie jest głodna.

Gisele rozłożyła jedzenie na porcelanowe talerze w złote wzorki. Helenę wpatrzyła się w swoją porcję oszołomiona. Grube płaty wołowiny w sosie grzybowym, gotowane jarzyny i ziemniaki. Zerknęła na talerze Catherine i Edmonda. Gisele uznała, że skoro są starsi, to muszą mieć większe apetyty, więc nałożyła obojgu kopiaście porcje. A był jeszcze deser. Dziewczynka przymknęła oczy i wdychała oszałamiający aromat potraw. Potem dosłownie rzuciła się najedzenie.

Obudziła się nagle i rozejrzała dookoła, próbując się zorientować, co ją wyrwało ze snu. Nasłuchiwała uważnie. Po chwili usłyszała cichutki stukot. Ktoś

delikatnie pukał do drzwi pokoju.

Z wolna oczy dziewczynki przyzwyczały się do ciemności. Spojrzała na łóżko i dostrzegła zarys sylwetki pogrążonej we śnie Gisele. Na podłodze obok Helenę Edmond, Catherine i Marie spali spokojnie na swoich pościłach.

Ktoś zastukał ponownie, tym razem nieco głośniej. Dziewczynka zastanawiała się, czy powinna wstać i otworzyć drzwi. Ale przecież Gisele była zła, gdy Helenę chciała wyjść do toalety, i kazała jej skorzystać z nocnika za parawanem. Drzwi cały czas miały pozostać zamknięte. Tak rozkazała madame Chang.

Helenę odwróciła się do Edmonda.
Przez chwilę się wahała, a potem
obudziła brata.

- Co... - Gwałtownie usiadł na posłaniu.
Helenę zakryła mu usta dłonią.

- Ciii! - szepnęła. - Ktoś jest za
drzwiami. Edmond odwrócił się w
kierunku drzwi i zaczął nasłuchiwać.

Stukanie się powtórzyło. Tym razem
Gisele westchnęła i uniosła głowę z
poduszki.

- Idź sobie! - zawołała rozespana.

- Gisele! - rozległ się gardłowy, miękki

głos jakiejś kobiety. - To ja, Jocelyne.
Otwórz! Chcę z tobą pomówić!

Dziewczyna westchnęła jeszcze raz i
ziewnęła głośno.

- Och, dobrze, już, zaraz - wymamrotała
półprzytomnie. Podniosła się niepewnie
i przetarła oczy. Potem łóżko
zaskrzypiało, kiedy Gisele opuszczała
nogi na podłogę.

Edmond i Helenę leżeli cichutko, gdy
dziewczyna poczłapała do drzwi. Po
chwili usłyszeli, jak klucz obrócił się w
zamku. Zamknęli oczy i udawali, że śpią.

Drzwi się otworzyły i w pokoju
błysnęło słabe, migoczące żółte

świąteczko. Tamta kobieta w korytarzu miała zapaloną świeczkę.

- Jocelyne - szepnęła Gisele - dlaczego mnie budzisz? I która w ogóle jest godzina?

- Dochodzi czwarta - odrzekł gardłowy głos. Gisele pokręciła głową.

- Czego chcesz o tej porze?

- Ciii... - szepnęła tamta. - Czy oni śpią?

- Skąd o nich wiesz? - Gisele stała się nagle czujna.

- Po prostu zobaczyłam, jak wczoraj

wchodzili po schodach. I wiem, że jest ich kilkoro. Było słyszeć kroki. Poza tym Roland niósł na górę tacę z obiadem.

Helena dostrzegła, że nieznajoma zagląda do pokoju ponad ramieniem Gisele. W chwiejnym płomyku świecy dziewczynka zobaczyła najpiękniejszą kobietę, jaką kiedykolwiek widziała. Wysoka blondynka w luźnym bladoniebieskim peniuarze wydawała się szczupła i wysmukła, a zarazem ponętnie okrągła.

- Daj spokój, skarbie - Przymilała się Jocelyne. - Pozwól mi wejść na chwilę. Muszę ich zobaczyć.

Zirytowana Gisele potrząsnęła głową.

- Po co? Dlaczego tak ci na tym zależy.

- Dobrze, dobrze. Powiem ci. - Jocelyne rozejrzała się ostrożnie po korytarzu i powiedziała ciszej. - Obie możemy mieć z tego dużą forszę.

- Dużą forszę? - W ciszy nocnej głos Gisele zabrzmiał bardzo głośno.

- Ciii! - syknęła Jocelyne. - Bo ich obudzisz! Pozwól mi na nich zerknąć. Później ci wytłumaczę, o co chodzi.

Gisele uniosła dłoń do ust.

- Lepiej powiedz mi teraz.

- No, dobrze. Dziś wieczorem był u mnie standartenführer, wiesz, on za mną szaleje.

- Tak, tak. Wiem który.

- No i mówił mi, że szukają po całym Paryżu czworga dzieci.

- Dzieci?

Czworo dzieci! Helenę zadrżała. Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. Obok niej Edmond zeszywniał cały.

- Tak, jest ich czworo. Dwoje starszych, chłopiec i dziewczyna, młodsza dziewczynka, siedmio-albo ośmioletnia, i ich malutka siostrzyczka.

- Ale dlaczego Niemcy szukają tych dzieci? - zapytała Gisele.

- Bo to mordercy!

Gisele wybuchnęła cichym śmiechem.

- Mordercy? Te słodkie, kochane dzieciaki?

- Mówię prawdę - zapewniła ją Jocelyne poważnie. - Te dzieci zastrzeliły wczoraj niemieckiego żołnierza. Było ich dwóch, ale tylko jeden przeżył. Opowiedział wszystko i została wyznaczona nagroda za informacje, które pomogą w ujęciu tych czworga bandytów.

- Nagroda?

Jocelyne z przejęciem pokiwała głową.

- Ile? - W głosie Gisele zabrzmiała chciwość. Dziewczyna zerknęła na śpiące dzieci. Jocelyne nie odpowiadała przez chwilę.

- Pół miliona franków - oświadczyła wreszcie.

- Pół miliona... - Gisele wstrzymała oddech. - Wielkie nieba! Ależ to mnóstwo forsy!

- I połowa może być twoja - dodała szybko Jocelyne. - Tylko pomyśl!
Dwieście pięćdziesiąt tysięcy dla każdej

z nas. Możemy za to kupić trzy, a może cztery sukienki u krawcowych... No jak, czy teraz mnie wpuścisz?

Gisele cały czas się wahała.

- Ale pani Chang...

- Pani Chang o niczym nie będzie wiedziała. Zaufaj mi. Zorganizuję to. - Ale...

- Żadnych ale. - Jocelyne uśmiechnęła się miękko, wyciągnęła rękę i delikatnie pogładziła Gisele po policzku smukłym palcem z ostrym paznokciem. -I powiem ci jeszcze coś, kochanie. Zauważyłam, jak na mnie patrzysz. Przyglądasz mi się w bardzo szczególny sposób. Wiem, że

nie lubisz mężczyzn, tylko kobiety. - Jej uśmiech stał się

teraz szerszy. - To nie przestępstwo.

Mnie też czasem podobają się dziewczęta. Może pozwolę ci przyjść do swojego pokoju... - dodała uwodzicielskim tonem.

- Przyjść do twojego pokoju...? - powtórzyła stłumionym szeptem Gisele. Jocelyne kiwnęła głową i powoli rozsunęła peniuar, ukazując ponętny biust. Gisele

westchnęła głośno.

-I nie tylko to - kontynuowała Jocelyne kusząco. - Pozwolę ci na wszystko. -

Umilkła na chwilę, a potem dodała: -
Rozchylę uda tak, że będziesz mogła
mnie polizać.

Gisele otworzyła szerzej drzwi i cofnęła
się do środka. Ręce jej drżały.

- Wejdz - szepnęła.

Jocelyne wsunęła się do pokoju.
Edmond szturchnął siostrę i oboje
jednocześnie zamknęli oczy. Chłopiec
zaczął miarowo oddychać, udając
głęboki sen. Helenę poszła w jego ślady,
cichutko pochrapując. Chwilę później
zorientowała się, że Jocelyne stanęła
nad nimi ze świeczką. Pachniała
lawendą.

- Myślisz, że to te dzieci? - spytała szeptem Gisele.

- Wszystko się zgadza - odrzekła szeptem Jocelyne. - Jestem pewna, że to oni. Helenę usłyszała, że tamte dwie odeszły, i ośmieliła się otworzyć oczy. Gisele i

Jocelyne zatrzymały się przy drzwiach.

- Jocelyne... - odezwała się Gisele drżącym głosem. - Tak?

- Chcę pójść do ciebie już teraz.

Jocelyne zawahała się, a potem objęła Gisele i mocno pocałowała ją w usta.

- Dobrze, chodź. Ale za godzinę musisz tu wrócić, żeby mieć na nich oko. Poza tym chciałabym się trochę przespać. Rano mam się spotkać ze standartenführerem. - Wzdrygnęła się. - Pewnie będzie chciał, żebym poszła z nim do tej okropnej kawiarni na Polach Elizejskich.

Drzwi się zamknęły i w pokoju znowu zrobiło się ciemno. Helenę czekała na szcęk klucza w zamku, ale Gisele w pośpiechu musiała o tym zapomnieć.

Edmond leżał cicho, czekając, aż umilkły kroki w korytarzu. Potem zerwał się z posłania.

- Obudź Catherine - rozkazał szeptem. -

Ubierajcie się!

Dziewczynka usiadła na pościeli.

- Pół miliona franków! - powiedziała z niedowierzaniem. - Wyobrażasz to sobie? Na całym świecie nie ma chyba aż tyle pieniędzy.

- Pospiesz się! - syknął Edmond tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Był już na nogach. Podeszedł na palcach do nocnej szafki Gisele, poszperał chwilę w szufladzie i znalazł to, czego szukał. Helenę usłyszała trzask zapalniczki, a potem zobaczyła płomień. W czasie gdy brat zapalał świecę, ona potrząsnęła za ramię Catherine, aby ją obudzić.

Rozdział 5

Szli przed siebie z wysiłkiem. W alejce było ciemno i przy każdym kroku ślizgali się na oblodzonym chodniku. Latarnie uliczne się nie paliły; elektryczność była teraz nieosiągalnym luksusem. W Paryżu prąd był wieczorem tylko na pół godziny.

Helene zadrżała z zimna i mocniej otuliła szyję kołnierzem zimowego płaszcza. W nocy zrobiło się mroźno, a palto dziewczynki nie było wystarczająco ciepłe. Uszy szczypały ją z zimna i przydałaby jej się czapka.

Obok Helene wlokła się w milczeniu Catherine. Ścisnęła w ramionach Marie,

jak malutki, cichy tłumoczek. Taki nocny spacer na mrozie z pewnością nie wyjdzie siostrzyczce na dobre, martwiła się Helenę. To niebezpieczne. Nagle wyrwali dziecko z ciepłego łóżka i zabrali na taki mróz.

Ale jeszcze gorzej byłoby, gdyby ich złapano na ulicy po godzinie policyjnej. Słyszeli od Michelle wystarczająco dużo o tym, jaka kara spotyka paryżan, którzy nie przestrzegali owego zarządzenia. Każdy Francuz schwytyany przez nocny patrol był zabierany do głównej kwatery żandarmerii. Jeśli miał szczęście i noc minęła spokojnie, po prostu czyścił buty żołnierzom. Jeżeli natomiast partyzanci zabili w nocy

jakiegoś Niemca, był zakładnikiem i stawał przed plutonem egzekucyjnym.

Wczoraj po południu Edmond zamordował żołnierza niemieckiego. Helenę pomyślała ze smutkiem, że jakiś niewinny Francuz - nieznany i bezimienny - zapłaci za ten czyn.

Zastanawiała się, co byłoby gorsze - utrata własnego życia czy późniejsze wyrzuty sumienia, jeżeli ich czwórce uda się przeżyć. Zdawała sobie sprawę, że tak czy inaczej przyjdzie im kiedyś zapłacić za to, co zrobili. Jeżeli teraz uda im się wymknąć, będą żyli z poczuciem winy do końca. Zostaną ukarani za cierpienie niewinnych ludzi, którzy poniosą śmierć jako zakładnicy.

Ale podstawowym pragnieniem każdej istoty jest chęć zachowania życia. Walczyli więc, żeby przetrwać. Pierwsze zadanie było proste. Tak szybko, jak tylko się uda, muszą się wydostać z Paryża. To jedyna nadzieja na ratunek. Muszą wypełnić polecenie mamy i postarać się dotrzeć do domu ciotki Janine w odległym Saint-Nazaire. Tam będą bezpieczni.

Saint-Nazaire. Och, jak to daleko stąd. Helenę nigdy nie była dalej niż w Rambouillet. Nagle zmarszczyła brwi. Wizja bezpiecznego schronienia rozwiała się jak popiół na wietrze. Żeby wsiąść do pociągu, trzeba kupić bilety.

Za co?

- Nie mamy pieniędzy - zmartwiła się. -
Nie możemy nawet wsiąść do metra. Jak
wydostaniemy się z Paryża?

- Mamy pieniądze - odparł Edmond
spokojnie.

- Naprawdę? - zdziwiła się Catherine.

- Tak - odrzekł Edmond. - Mamy
obrączkę mamy i ponad dwa tysiące
franków.

- Dwa tysiące franków! - szepnęła
zaskoczona. - Skąd je masz? - zapytała
podejrzliwie.

- Z nocnej szafki Gisele.

- Ale... Ale to kradzież - zauważyła z wahaniem. Edmond nawet nie próbował się usprawiedliwić.

Helenę mogła sobie wyobrazić, jak wzruszył ramionami. Natychmiast stanęła w obronie brata.

- Bardzo dobrze, że to zrobił - szepnęła do Catherine.

- Gisele jest zdrajczynią! Zasłużyła na to! Chciała nas wydać Niemcom!

- Ale kradzież...

Edmond nie pozwolił jej dokończyć.

- A co wolisz? - syknął ze złością. -
Zostać w Paryżu, żeby nas złapali? I
jeszcze raz zrobili ci to co tamci? Tego
byś chciała?

Jego słowa podziały jak uderzenie w
twarz. Catherine wzdrygnęła się i
umilkła. Helenę słyszała tylko jej
szybkie kroki w ciemności. A potem
jeszcze coś, co do głębi ją poruszyło.
Catherine płakała cicho.

Edmond także usłyszał płacz siostry. Nie
mógł znieść jej łez.

- Przepraszam - odezwała się łagodnie. -
Ja... nie chciałem cię urazić. Bóg wie,
że już dość wycierpiałaś. Ale spróbuj
mnie zrozumieć, potrzebujemy tych

pieniędzy, żeby się dostać do Saint-Nazaire. Musimy mieć dużo więcej pieniędzy, uwierz mi.

Catherine pociągnęła nosem i szli dalej w milczeniu.

Rozdział 6

Wszystko ją bolało: stopy, nogi, plecy i kark. Nie wiedziała, czy to dlatego, że zmarzła, czy też od marszu. Wydostali się z Paryża wiele dni temu. Edmond przekupił taksówkarza, który wywiózł ich z miasta, ale nie byli jeszcze bezpieczni. Nadal musieli się ukrywać przed Niemcami stacjonującymi w miasteczkach i wsiach. Zamiast głównych dróg wybierali niepozorne

ścieżki albo wędrowali na przełaj przez pola. W ten sposób nie tylko unikali pojazdów - czyli Niemców - ale jednocześnie omijali większość przydrożnych miejscowości. Tuż przed nadejściem zimy ziemia musiała być rozmiękła, bo wiejskie trakty były zryte głębokimi koleinami, a potem błoto zamarzało, tak więc wędrowka okazała się niezwykle uciążliwa.

Teraz to Edmond niósł Marie. Trzymał ją tak, żeby mogła spoglądać do tyłu przez jego ramię. Śpiewał jej coś cichutko.

Helene zatrzymała się nagle.

- Muszę trochę odpocząć - oznajmiła

zmęczonym głosem. Edmond odwrócił się ku niej i przystanął.

- Zatrzymamy się na pięć minut - zdecydował. - Potem musimy iść dalej.

- Dzięki Bogu -jęknęła Catherine z wdzięcznością. - Przez ostatnie pół godziny myślałam, że nogi mi odpadną.

Helenę rozejrzała się wokoło. W oddali, za bezkresnymi opustoszałymi polami, dostrzegła wieś będącą teraz tylko punkcikiem na horyzoncie. Tam, gdzie niebo stykało się z ziemią, majaczyły dwie wysmukłe bliźniacze wieże.

- Spójrzcie, co to może być? - zapytała. Edmond popatrzył dookoła.

- Gdzie?

- Tam, w oddali. - Helenę wskazała spiczaste iglice. - Widzisz te dwie wieże? Chłopiec spojrział w tym kierunku i wzruszył ramionami.

- To chyba jakiś kościół czy coś w tym rodzaju - odrzekł. Catherine podniosła głowę podekscytowana.

- To musi być Chartres! Michelle opowiadała kiedyś, że za Ablis widać już katedrę. No a przecież minęliśmy Ablis.

Nie udało im się ominąć tego miasta, ale szli po jego obrzeżach, żeby nie spotkać zbyt dużo ludzi.

- Jeżeli Michelle się nie myliła, to to powinno być Chartres - odrzekł Edmond z namysłem. - Nie słyszałem, żeby gdzieś w tej okolicy była inna katedra.

Helena jeszcze raz spojrzała na dwie maleńkie wieże w oddali.

- Czy do Chartres jest daleko? Edmond uśmiechnął się kpiąco.

- Wszędzie jest daleko, jeśli idzie się na piechotę. Helena szturchnęła go ze złością.

- Chodzi mi o kilometry.

- Nie wiem. Dziesięć. Może piętnaście - zastanawiał się ze zmarszczonymi

brwiami. Piętnaście kilometrów było dla Helenę jak wędrówka na koniec świata.

- Mam nadzieję, że stamtąd nie jest już tak daleko do Saint-Nazaire jak stąd do Chartres - mruknęła. - Moje nogi by tego nie zniosły.

Brat uśmiechnął się do niej słabo. Nagle Helenę przyszedł do głowy pewien pomysł. Złapała Edmonda za ramię.

- A czy nie moglibyśmy pojechać pociągiem do Saint-Nazaire? - zapytała z przejęciem.

Pokręcił głową.

- Niestety nie. Musielibyśmy zdobyć przepustki na podróż i pieniądze na bilety. Nie mamy ani jednego, ani drugiego.

- Och! - Zrobiła zawiedzioną minę. - Myślałam, że mamy jeszcze pieniądze.

- Już nie. Zapłaciłem przecież taksówkarzowi.

- Ale mamy jeszcze obrączkę maman - zauważyła Helenę. - Złotem można zapłacić tak jak pieniędzmi.

Edmond poklepał się po kieszeni, w której trzymał ich jedyny skarb, tylko po to, żeby się przekonać, czy nadal tam jest.

- Nie tkniemy obrączki, dopóki naprawdę nie będziemy musieli - oświadczył stanowczo. - To jedyna rzecz, jaką nam zostawiła maman. To nasza pamiątka rodzinna.

- A nie możesz znowu ukraść trochę pieniędzy? - zapytała. Catherine rzuciła bratu triumfujące spojrzenie.

- Ładnych rzeczy się od ciebie uczy! Ani się obejrzymy, jak nasza siostra zostanie kieszonkowcem!

Na twarzy chłopca pojawił się wyraz przykrości. Helenę spojrzała gniewnie na Catherine.

- Kto to jest kieszonkowiec? - zapytała

ostro.

- Ktoś, kto sięga do kieszeni innych ludzi i kradnie im pieniądze - wyjaśniła Catherine opryskliwie.

- Nie chciałabym kraść - odrzekła Helenę, w zamyśleniu kręcąc głową. - Tak się nie robi, to nieładnie. - Potem spojrzała uważnie na Edmonda. - Ale ty nie byłeś kieszonkowcem, kiedy zabrałeś pieniądze Gisele, prawda? Chodzi mi o to, że przecież nie wyjąłeś ich z kieszeni.

Edmond położył dłoń na ramieniu dziewczynki.

- Zapamiętaj jedno, Helenę - powiedział

cicho. - Jeżeli zabierasz coś z cudzej kieszeni albo z szafki nocnej czy też z kurnika, zawsze jest to kradzież, i nieważne, jak i dlaczego to robisz. Postępujesz źle i nic tego nie zmieni. - Popatrzył ostro na Catherine, która zarumieniła się ze wstydu.

Helenę wzięła brata za rękę.

- Ale jeżeli to jest źle, dlaczego ty...? - Urwała niepewnie, nie śmiejąc skończyć pytania.

Edmond uśmiechnął się smutno.

- Ponieważ nie miałem wyboru. Pamiętaj, co powiedziała maman. Że Bóg wybaczy nam to, co może będziemy

musieli zrobić. Tylko że to nas nie usprawiedliwia.

Helenę w milczeniu zastanawiała się nad jego słowami, gdy nagle Edmond klasnął w dłonie.

- Dobra - ogłosił. - Koniec odpoczynku. Pięć minut minęło! Pora ruszać.

- Już? - jęknęła Catherine.

- Już - odparł kategorycznym tonem. - Przed nami daleka droga.

Spojrzał w górę. Słońce zaczynało zachodzić, a niebo szarzało. Helenę wiedziała, że gdy tylko słońce zniknie, będzie bardzo zimno. A potem zrobi się

ciemno. I jeszcze zimniej.

Szli może z pięć minut, gdy Catherine krzyknęła ostro.

Edmond i Helenę zatrzymali się i popatrzyli na nią przerażeni. Pochyliła się i zaczęła rozcierać dłońmi lewą kostkę. Edmond prędko oddał Marie Helenę, a potem łagodnie dotknął ramienia najstarszej siostry.

- Co się stało? - zapytał.

W jego głosie brzmiała troska. Catherine spojrzała na niego z rozpaczą. Włosy opadły jej na twarz, ale Helenę dostrzegła w oczach siostry ból.

- Moja noga! -jęknęła Catherine. - Ja...
ja chyba skręciłam kostkę przez ten
korzeń. Edmond ukląkł i zaczął
przesuwać palcami po bolącej stopie.
Helenę słyszała, jak

siostra wstrzymuje oddech z bólu.

Chłopiec wstał, wziął Catherine pod
ramiona i podciągnął, żeby pomóc jej
się podnieść.

- Dasz radę iść? - zapytał.

Ostrożnie zrobiła kilka kroków i
kiwnęła głową.

- Myślę, że tak - powiedziała z
wahaniem. Edmond pomyślał chwilę, a

potem popatrzył na biegnącą niedaleko szosę.

- Pójdziemy drogą- zdecydował. -
Będzie ci dużo łatwiej iść.

- Szosą? - spytała Catherine ze strachem
w głosie. - Myślisz, że to bezpieczne?

- Teraz dużo bezpieczniejsze dla ciebie
niż ścieżka. Jeśli zwichnęłaś kostkę,
korzenie na dróżce na pewno ci nie
pomogą. A w ogóle to nie przypuszczam,
żeby ktoś

nas tu szukał. Niemcy mogą
przechesywać Paryż, ale nie całą
Francję. W każdym razie nie warto
byłoby tego robić z naszego powodu.

Nie jesteśmy aż tacy ważni. Catherine skinęła głową uspokojona. Słowa Edmonda miały sens.

- Ruszamy - zarządził. - Helenę będzie niosła Marie, póki da radę, a ty się oprzesz na mnie, spróbuję ci pomóc. Będę cię prowadził.

Szli teraz równą asfaltową szosą, ale i tak posuwali się znacznie wolniej. Helenę podziwiała Catherine za jej wytrzymałość. Najstarsza siostra starała się nie okazywać, jak bardzo cierpi, a kiedy proponowali, aby się zatrzymać, nie chciała nawet słyszeć o odpoczynku. I miała rację, musieli iść dalej. Była już pora, żeby pomyśleć o noclegu. Do tej pory nie natrafili na żadne odpowiednie

miejsce.

Minęło prawie pół godziny i nie widzieli ani jednego pojazdu. Wreszcie usłyszeli zbliżający się samochód.

Helena spojrzała pytająco na Edmonda i wskazała ręką rów wzdłuż szosy.

- Czy nie musimy... Edmond potrząsnął głową.

- Myślę, że nic nam nie grozi. Ale gdyby ktoś was zapytał, nazywacie się Sara i Denise, a ja Jacques. Mieszkamy w Ablis i idziemy do Chartres, do babci.

Catherine i Helena kiwnęły zgodnie głowami. Szybko zdecydowały, że Sarą

będzie Catherine, a Helenę nazywa się teraz Denise.

Dobrze, że przygotowali sobie tę historyjkę. Niecałą minutę potem od strony Ablis nadjechał czarny samochód i zatrzymał się obok nich.

Za kierownicą siedział pulchny, czerwony na twarzy Niemiec w połowym mundurze. Opuścił szybę i pomachał ręką, aby podeszli.

Helenę zerknęła z wahaniem na Edmonda. Kiwnął głową i zbliżyli się do auta. Catherine i Edmond zaczęli rozmawiać z żołnierzem, a Helenę stanęła na palcach i zajrzała ciekawie do auta przez tylne okno. Zdziwiła się,

nie widząc żadnych pasażerów. Na siedzeniu zobaczyła duży pakunek owinięty w brązowy papier i przewiązany sznurkiem.

- Dokąd idziecie? - zapytał kierowca zadziwiająco płynną francuszczyzną.

- Nasza babcia zachorowała - wyjaśniła obojętnie Catherine. - Idziemy ją odwiedzić.

Kierowca uśmiechnął się lekko, przesuwając wzrokiem po całej postaci dziewczyny.

- Gdzie ona mieszka?

Catherine wskazała ręką w kierunku

odległych wież katedry.

- W Chartres.

- Co ci się stało?

- Zwichnęłam kostkę. - Wzruszyła ramionami. - To nic poważnego.

- Nawet gdybyś jej nie zwichnęła, czeka cię długa droga - odrzekł żołnierz. Nadal się uśmiechał, nawet jakby szerzej. - Wiesz co, podwiozę cię do miasta. - Pochylił się i otworzył drzwi od strony pasażera. - Wsiadaj. Był to raczej rozkaz niż propozycja.

- A co z moim rodzeństwem? - zapytała sztywno Catherine, nie ruszając się z

miejsca.

- Dzieciaki mogą usiąść z tyłu.

Helena zerknęła pytająco na Edmonda. Brat kiwnął głową niechętnie i otworzył tylne drzwi. Przesunął paczkę i cofnął się, żeby siostra mogła wsiąść pierwsza.

Dziewczynka ciekawie rozglądała się po wnętrzu auta. Nigdy wcześniej nie siedziała w takim samochodzie. Miękkie i sprężyste siedzenia wydzielały lekki zapach skóry. Tablica rozdzielcza była ozdobiona lśniącym drewnem. Helena poczuła się bardzo dumna, jadąc tak eleganckim autem.

Zamknęli drzwi, a Niemiec włączył bieg

i samochód pomknął szosą. Żołnierz co chwila zerkał na Catherine, która nie ukrywała braku zaufania do okupantów. Przesunęła się do drzwi, jak mogła najdalej od mężczyzny. W lodowatym milczeniu spoglądała przez przednią szybę na monotonną, pustą przestrzeń przed sobą.

- Jak się nazywasz? - zapytał w końcu Niemiec.

- Sara - odrzekła Catherine, nie patrząc na niego.

- A ja mam na imię Kurt - powiedział. - Jestem z Nadrenii. Z Koblencji. A ty gdzie mieszkasz?

- W Ablis.

Helenę z ciekawością popatrywała na dużą paczkę leżącą na siedzeniu. Kiedy jej dotknęła, brązowy papier zaszeleścił.

- Co tam jest? - zapytała głośno.

Kierowca spojrział na nią przez lusterko wsteczne.

- Gazety. Codziennie przywożę z Paryża „Pariser Zeitung”, „Paris-Soir” i „Le Petit Parisien” dla oficerów sztabu w Chartres.

-Och!

Równie dobrze w tej paczce mógł być

waż. Helenę natychmiast cofnęła rękę. Nawet dziecko wiedziało, co to za gazety. Sprzedawano je w każdym kiosku w Paryżu. „Pariser Zeitung” był dziennikiem niemieckim; pozostałe wydawali francuscy kolaboranci.

Uczciwi paryżanie ich nie czytali.

- Jeśli chcesz, możesz sobie którąś pooglądać - powiedział uprzejmie kierowca. - Do Chartres jest jeszcze daleko, ponad dwadzieścia kilometrów.

- Nie, dziękuję. - Helenę grzecznie odrzuciła propozycję.

Niemiec jakby jej nie słyszał. Sięgnął ręką po zwiniętą gazetę, którą miał obok

siebie, i podał ją przez ramię dziewczynce.

- Jeżeli nie chcesz otwierać całej paczki, masz tu moją.

Musiała więc ją wziąć. Niechętnie wymamrotała jakieś podziękowanie i podała gazetę Edmondowi, który zaczął ją rozkładać.

Nagle upuścił dziennik na kolana i w zamyśleniu popatrzył w okno.

Zdziwiona Helenę wzięła gazetę i zobaczyła, że był to najnowszy numer „Paris-Soir”. Wielki nagłówek głosił: „Rozpacz matki”. Pod nim mniejszy tytuł oznajmiał: „W całym kraju trwają

poszukiwania porwanych dzieci - milion franków nagrody za informacje!”. Obok znajdowało się niewyraźne zdjęcie jakiejś nieznanym kobiety. Pod spodem zamieszczono trzy portreciki.

Serce podeszło jej do gardła. Bała się, że zaraz zwymiotuje. Rysunki wprawdzie pomniejszono, ale i tak rozpoznała je natychmiast. Szkice Gisele! A portret Catherine był bardzo udany, wręcz idealny...

Ze strachu zrobiło jej się zimno. Zadrżała. A więc Niemcy polowali na nich na całego. I zastosowali doskonałą taktykę. Chcieli, aby Francuzi pomogli im w poszukiwaniach.

Gdyby ujawniono, że zabili żołnierza niemieckiego, każdy francuski patriota powitałby ich jak bohaterów i ukrył przed wrogami. Ale w gazecie napisano, że zostali „porwani”, a „zrozpaczona matka” czeka we łzach na ich powrót. Francuzi zawsze kochali dzieci. Jeśli ktoś ich rozpozna, zostaną natychmiast odstawieni do „matki”. Helenę nie miała wątpliwości, że ktokolwiek ich teraz zobaczy, w najlepszej wierze zawiadomi od razu żandarmów.

A ta rzekoma „matka” z fotografii to najprawdopodobniej jakaś agentka gestapo.

Teraz musieli się strzec nie tylko Niemców. Od dziś każdy Francuz mógł

się okazać najniebezpieczniejszym wrogiem.

Nie mogli ufać nikomu. Pod żadnym pozorem i w żadnej sytuacji.

Edmond wziął gazetę od Helenę i pokazał stronę z rysunkami Catherine.

- Spójrz, Saro. Czy to nie interesujące? -
Starał się, aby jego głos brzmiał bez troski. Minęła długa chwila, zanim dziewczyna zareagowała. Nie przywykła jeszcze do

nowego imienia. Popatrzyła na niego do tyłu.

Edmond pokazał jej rysunki.

Catherine starała się zachować obojętny wyraz twarzy, ale gwałtownie pobladła.

Usiadła prosto i znowu spojrzała niewidzącym wzrokiem na przednią szybę.

Na szosie zrobił się teraz niewielki ruch. Minęli oddział żołnierzy, którzy maszerowali w kierunku Chartres. Ich widok zwiększył jeszcze przerażenie Helenę. Myślała teraz tylko o tym, co będzie, jeśli kierowca ich rozpozna. Odpowiedź na to pytanie nasuwała się sama: natychmiast wyda ich. Może nawet już się zorientował i nie jedzie do miasta, tylko na posterunek żandarmerii. Albo gorzej, do komendy gestapo.

Mężczyzna spojrział jeszcze raz na Catherine i zmarszczył brwi.

- Wiesz - odezwał się z namysłem - cały czas mam wrażenie, że już cię gdzieś widziałem.

- To raczej niemożliwe - powiedziała szybko.

- Jestem tego pewny. Może w Ablis? Często tamtędy przejeżdżam.

- Oczywiście! - skłamała Catherine. - Teraz sobie przypominam! Ja też widziałam cię już wcześniej.

Nagle Niemiec wcisnął hamulec i gwałtownie zatrzymał samochód z

piskiem opon.

- Ach, wielkie nieba! - wykrzyknął. Sięgnął do tyłu i wyrwał Edmondowi gazetę. - Wy... Wy jesteście tymi dziećmi z gazety! To was wszyscy szukają! - Wpatrywał się w Catherine.

A wtedy ona zaczęła się śmiać. W domu Helenę ciągle słyszała ten śmiech rozbrzmiewający w pokoju siostry. Możliwe, że lekcje aktorstwa wreszcie się na coś przydadzą.

- Co cię tak śmieszy? - zapytał żołnierz. Catherine udała, że braknie jej powietrza.

- Nie rozumiesz! - wykrztusiła bez tchu.

- Nikt nas nie porwał! Uciekliśmy z domu!

- Ale... dlaczego? - spytał z wahaniem. Twarzy Catherine wyrażała teraz straszną złość.

- Bo nasza maman jest potworem! - powiedziała gwałtownie. - Musieliśmy od niej uciec. Tak nas biła, że byliśmy cali w siniakach!

- A dlaczego idziecie do Chartres? Catherine wzięła głęboki oddech.

- Bo mieszka tam mój przyjaciel Yves. Tylko do niego mogę się zwrócić.

- Ale... te artykuły... - odrzekł kierowca

tonem pełnym niedowierzania. - Piszą tam, że zostaliście porwani. Gazety nie kłamią.

Catherine zaśmiała się ironicznie.

- Czyżby? - Spojrzała mu w oczy.

- Dlaczego mieliby pisać nieprawdę?

- To proste. Nasza mama jest bardzo sprytna. Wie, że ludzie będą nas gorliwiej szukać, jeśli ogłosi, że zostaliśmy porwani.

Niemiec myślał przez chwilę.

- A jak jej się udało nagłośnić wasze zniknięcie w prasie? - zapytał w końcu.

Catherine wzruszyła ramionami.

- Już od roku spotyka się z wysokim urzędnikiem niemieckim. Kompletnie stracił dla niej głowę i zrobi wszystko, o co ona go poprosi. - Klepnęła gazetę. - Nawet coś takiego.

Żołnierz pokręcił głową.

- Ta historia wydaje się naciągana, ale ci wierzę. Muszę jednak złożyć raport przełożonym. Nie chciałbym tego robić, ale to mój obowiązek.

- Wiem - szepnęła Catherine i spuściła oczy. Nagle podniosła głowę. - Jestem już dorosła, maman nie będzie decydowała o moim życiu -

powiedziała. - Dorosłam, a ona już nawet nie chce zauważyć, że mam swoje potrzeby. Myśli tylko o swoich przyjemnościach.

Niemiec popatrzył na nią z nagłym zainteresowaniem.

- Potrzeby? - zapytał. - Jakie masz potrzeby? W jego głosie pojawiła się nuta podniecenia.

- Och, no wiesz... - Catherine wzruszyła ramionami. - Jestem kobietą, a nie mogę czuć się jak prawdziwa kobieta.

Niemiec poruszył się na fotelu.

- Nie masz jakichś innych przyjaciół?

Takich, którzy mogliby...

- Innych oprócz Yves'a? - Catherine westchnęła ze smutkiem. - Niestety. Owszem, znam wielu mężczyzn, ale to nie są prawdziwi mężczyźni. Każdy z nich bał się mamy. Tylko Yves miał odwagę jej się sprzeciwić. - Zrobiła krótką pauzę i spojrzała uważnie na Niemca. - A czy ty umiałbyś się przeciwstawić mojej mamie?

- Tak... tak myślę - wyjąkał żołnierz.

Catherine uśmiechnęła się i powoli wyciągnęła rękę. Zaczęła delikatnie przesuwać palcami po jego kroczu.

- Nie - zaprotestował Niemiec. - Nie

wolno ci tego robić. Muszę was zaraz odstawić na posterunek. Nie powinniśmy tracić ani minuty.

Catherine rozpięła płaszcz, a potem podniosła dłoń Niemca i położyła ją sobie na piersi.

- Nie jestem dzieckiem - powiedziała. - Jestem kobietą. Żołnierz nerwowo wyszarpnął rękę i włączył silnik.

Samochód ruszył, ale Niemiec nie zwracał teraz zbyt dużej uwagi na drogę.

- Czyja cię podniecam? - zapytała Catherine cicho.

- Tak - odrzekł szeptem. Ponownie

dotknęła ręką jego krocza.

- Stał ci - powiedziała tonem pełnym podziwu. - Och, ale jest duży.

- Większy niż twojego chłopaka?

- Dużo większy.

Na jego twarzy widać było dumę.

- Możesz rozpiąć mi spodnie i wziąć go w usta. Catherine uśmiechnęła się obiecująco.

- Jest na to zbyt duży. Chcę go mieć... w sobie. Samochód zatańczył na szosie.

Catherine popatrzyła w okno. Z prawej

strony mijali właśnie niewielki sosnowy zagajnik.

- Wiesz co? - powiedziała szybko. -
Widzisz ten lasek? Możemy się tam zatrzymać na parę minut. Jeśli wjedziesz trochę dalej, nikt nie zobaczy auta z szosy.

Zawahał się przez chwilę.

- Jeżeli ktoś się dowie, wyślą mnie na front wschodni.

- Nie bój się, nikt się nie dowie. Kto by mógł nas wydać? Z pewnością nie te małe potwory z tylnego siedzenia.

Helena poczuła się lekko urażona.

Catherine trochę przesadziła. Potwory, też coś!

- Chodź, to nie potrwa długo - kusiła Catherine. - A potem odstawisz nas na posterunek. Ale najpierw chcę, żebyś potraktował mnie jak kobietę, którą przecież jestem.

Niemiec zdecydował się wreszcie. Gwałtownie przycisnął hamulec i ostro skręcił w błotnisty trakt prowadzący do lasu.

Zwisające nisko zielone gałęzie sosen uderzały o szyby auta z obu stron. Między drzewami było ciemniej niż na szosie. Dostrzegli przed sobą jaśniejszy prześwit i po kilku minutach wjechali na

polankę. Dookoła leżały pocięte żółte bale ułożone w porządne stosy.

Pomiędzy pniami sosen można było stąd dostrzec szosę, ale musieliby bardzo się starać i celowo zwrócić na siebie uwagę, żeby zobaczył ich ktoś przejeżdżający akurat drogą.

Niemiec wyłączył silnik.

- Może wyślesz dzieci na spacer? - zaproponował. Catherine pokręciła głową.

- Jest za zimno. Poza tym to dla nich nic nowego. Widzieli to wcześniej.

- Jak sobie życzysz. - Odchylił się na oparcie fotela i rozpiął spodnie.

Helenę poczuła na ramieniu dłoń Edmonda. Spojrzała na niego. Miał puste oczy. Głową wskazał jej sznurek, którym była obwiązana paczka z gazetami.

- Zrobił się jeszcze większy, kiedy go wyjąłeś! - Catherine udawała, że jest oczarowana. - Taki duży i czerwony, i nabrzmiały.

Helenę zsunęła sznurek, a Edmond niecierpliwie wyrwał go z jej rąk. Szybko owinął sobie kawałek na dłoni, a potem znieruchomiał, czekając w napięciu. Początkowo myślała, że chce się bawić w przeplatankę. Potem nagle zdała sobie sprawę z tego, co chce zrobić jej brat i dlaczego Catherine

ściągnęła żołnierza na tę pustą polankę.
Wstrzymała oddech zszokowana.

- Teraz weź go do ust - powiedział
Niemiec. - Zrobi się jeszcze twardszy.

W tym momencie Edmond wychylił się
do przodu, zarzucił tamtemu sznur na
szyję i zacisnął.

Twarz Niemca zrobiła się czerwona jak
burak. Zaczął okropnie charczeć,
podniósł ręce do gardła i wbił palce w
sznur. Catherine krzyknęła i cofnęła się
do swoich drzwi. Potem schyliła się i
przesunęła ręką po podłodze, szukając
czegoś, czym mogłaby uderzyć żołnierza.
Znalazła ciężką latarkę i zaczęła
gwałtownie walić nią mężczyznę. Ale

nawet we dwójkę nie mogli dać mu rady. W rozpaczliwym przypiływie sił Niemiec rozluźnił sznur i uwolnił się. Potrząsnął głową, odetchnął głęboko i z furią rzucił się na Catherine.

Edmond wyskoczył z auta, a Helenę podążyła za nim. Wszędzie dookoła leżały kawałki drewna. Chłopiec bez wahania chwycił najbliższą kłodę i otworzył przednie drzwi.

Niemiec zacisnął wielkie łapy na gardle Catherine. Dziewczyna miała szeroko otwarte usta, brakło jej tchu i drgała spazmatycznie. Dusila się.

Edmond zaczął walić Niemca kłodą po ramionach. Mężczyzna odwrócił głowę,

ale nadal zaciskał dłonie na gardle Catherine.

Helene z rozpaczą rozejrzała się dookoła. Nagle obok stosu porąbanego drewna dostrzegła żelazny pręt z zaostrzonym końcem. Próbowwała go podnieść, ale okazał się zbyt ciężki. Pociągnęła Edmonda za ramię.

- Weź to! - wrzasnęła. - Użyj tego!

Chłopiec rzucił kłodę i ścisnął w dłoniach uchwyt żelaznego pręta. Ponownie rzucił się na Niemca. Teraz miał broń, która mogła zabić. Z całej siły wbił ostry koniec w brzuch wroga.

Mężczyzna wrzasnął. Puścił gardło

Catherine i spojrział na brzuch. Z przerażeniem wpatrywał się w sterczący pręt. Potem pojawiła się krew.

Ale nadal jeszcze żył.

W tym momencie Helenę usłyszała miarowe kroki maszerujących szosą żołnierzy. Serce zaczęło jej bić jak oszalałe. Ten dźwięk mógł oznaczać tylko jedno. Zbliżał się oddział, który mijali wcześniej.

Niemiec również musiał go usłyszeć, bo nagle zebrał resztę sił i próbował krzyknąć. Catherine szybko przycisnęła mu dłoń do ust. Zadrżała z bólu, kiedy wbił zęby w jej palce, ale wytrzymała. Walcząc zaciekle o życie, żołnierz

próbował wydostać się z samochodu.

- Przytrzymaj go! - wysyczał Edmond do Catherine. - Chwyć go za nogi!

Dziewczyna złapała mężczyznę za spodnie, próbując wciągnąć go z powrotem do auta.

Helene wpatrywała się w szosę. Pomiędzy konarami drzew widziała idących równo żołnierzy. A kiedy spojrzała znowu na samochód, zobaczyła, że Niemiec stara się dosięgnąć ręką kierownicy. Klakson!

Catherine puściła nogi mężczyzny i złapała go za ramiona. Za każdym razem, kiedy tylko zdołała odepchnąć jego rękę,

znowu próbował sięgnąć nią do klaksonu.

Wreszcie Edmond chwycił Niemca za włosy, pociągnął go w dół i parę razy uderzył drzwiami w głowę. Ranny szamotał się i jęczał, ale już nie próbował krzyczeć. Helenę słyszała tylko przyprawiający o mdłości, głuchy stukot, gdy drzwi waliły o jego czaszkę. Wreszcie rozległ się okropny trzask i z głowy Niemca popłynęła krew. Powoli przestał się wyrywać. Jego ciało zrobiło się wiotkie i bezwładne.

Wreszcie jego oddech ucichł.

Oddział już przeszedł, dźwięki marszowych kroków ucichły. Szosa była

pusta.

Znużony Edmond osunął się na ziemię i siedział nieruchomo. Za jego plecami zwisała z samochodu głowa martwego Niemca. Z tylnego siedzenia rozległo się kwilenie Marie. O dziwo, przespała całą ich walkę z żołnierzem.

Ledwie żywa Catherine na chwiejnych nogach wyszła z auta. Przytrzymując się karoserii, zdołała obejść samochód. Kiedy zobaczyła zwłoki Niemca, pochyliła się i zaczęła wymiotować.

- Gazety - wykrztusił Edmond, z trudem chwytając powietrze. - Musimy... ukryć je... daleko stąd... Spalić... albo zakopać... Ludzie w Chartres nie mogą

ich zobaczyć.

Catherine słabo kiwnęła głową i osunęła się na ziemię obok brata.

Pozwolili sobie na piętnastominutowy odpoczynek. Gdy Edmond i Catherine trochę odzyskali siły, Helenę pomogła im odciągnąć paczkę z gazetami jak najdalej od samochodu. Spalili je, a potem zakryli zwęglone resztki kawałkami drewna i gałęziami, żeby nie było widać śladów ogniska.

Rozdział 7

Zrobiło się już zupełnie ciemno, gdy znaleźli miejsce na nocleg. Odkryli je przez przypadek. Szli już ponad trzy

kilometry szosą do Chartres, kiedy zobaczyli żółte światła nadjeżdżającego samochodu.

- Szybko! - rozkazał Edmond. - Do rowu!

Prędko zsunęli się z szosy. Okazało się, że tuż przed nimi był duży okrągły otwór kanału łączącego rowy biegnące po obu stronach drogi. Tutaj, pod szosą, byli dobrze ukryci. W innych porach roku dno zalegała woda, ale teraz już zamarzła. W końcu byli bezpieczni.

Kiedy samochód przejechał, spróbowali ulepszyć swoją kryjówkę. Edmond polecił dziewczętom przynieść z pobocza kilka krzaków i ułożyć je tak,

żeby zasłaniały oba otwory kanału, ochraniając ich od wiatru. Niestety, korzenie rosły głęboko w zamarznętej ziemi i nie mogli ich wyszarpnąć. Udało im się jedynie nazbierać trochę gałęzi; otrząsnęli je z lodu i położyli się na nich zziębnięci i głodni.

Tulili się do siebie, aby dać sobie nawzajem trochę ciepła i poczucia bezpieczeństwa. Ale Helenę źle spała, bo Marie płakała przez całą noc. Kiedy o świcie obudziła się, drżąc z zimna i szcękając głośno zębami, okazało się, że nie ma z nimi Edmonda.

Przyszedł godzinę później. Zakradł się do jakiegoś domu w pobliskiej wiosce i wziął stamtąd trochę mleka, kawałek

sera, dwie cienkie kiełbaski i małą niebiesko-białą miseczkę, w której było kilka łyżek cukru. Zabrał też butelkę koniaku i każde po kolei wypilo spory łyk. Alkohol był gorzki i palił w gardle, ale natychmiast zrobiło im się po nim cudownie ciepło. Zwilżyli również usteczka Marie i ze zdziwieniem zobaczyli, że malutka natychmiast zasnęła.

- Dobrze wiedzieć - powiedział Edmond. - Kiedy będziemy chcieli, żeby zachowywała się cicho, damy jej po prostu odrobinę koniaku.

Po jedzeniu ruszyli w drogę. Kierowali się na południowy zachód, szli przez

opustoszałe pola i lasy bez poszycia. Wszystkie krzaki i inne leśne rośliny już dawno zostały wycięte. Latem wokoło rozciągał się wielki dywan z mchu; obecnie ziemię pokrywały żółte igły i sosnowe szyszki.

Po południu na niebie pojawiły się szare chmury i zaczął padać deszcz ze śniegiem.

Wlekli się przez las, zdrętwiali z zimna i przemoczeni do suchej nitki. Wreszcie udało im się znaleźć schronienie w opuszczonej chacie drwali. Było tu nawet prymitywne palenisko, a na zewnątrz pod ścianą leżał stos porąbanego drewna. Przynieśli pełne naręczce do chaty, a Edmond próbował

rozniecić ogień. Mokre szczapy nie chciały się palić i całe wnętrze wypełnił dym, od którego łzy leciały z oczu. W końcu jednak zrobiło im się ciepło.

Obawiali się, że śnieg może padać nawet przez kilka dni, więc starali się jeść jak najmniej, żeby ich skromne zapasy na dłużej wystarczyły. Kiedy skończyło się mleko, dawali Marie ciepłą wodę z cukrem.

Ponieważ zła pogoda nie mijała, postanowili zagrzać wodę i porządnie umyć Marie. Chyba dobrze jej to zrobiło, bo tej nocy spała spokojnie.

Ale wędrówka w deszczu nie wyszła im na dobre.

Catherine i Helenę zaczęły kichać i kaszleć, a w dodatku Catherine nie mogła mówić. Co gorsza, w nocy deszcz ze śniegiem zmienił się w prawdziwą śnieżycę.

Dwa dni później pogoda się poprawiła. Wyszli z chaty i patrzyli na świat pełni zachwytu. Zrobiło się jeszcze zimniej, ale powietrze stało się rześkie i czyste, niebo ponad nimi było pastelowoniebieskie, a wszystko wokół pokrywał gruby dywan błyszczącego śniegu. Gałęzie drzew wyglądały jak otulone watą. Dla małej dziewczynki był to czarodziejski świat jak z bajki.

- Prawda, jak tu pięknie? - zapytała Helenę Edmonda. Kiwnął głową.

- Tak, bardzo pięknie - odrzekł, ale najwyraźniej myślał o czym innym. Miał na głowie ważniejszą sprawę. Odwrócił się do Catherine. - Mamy jeszcze cukier?

- Troszeczkę. - Miała bardzo zachrypnięty głos.

- Rozpuść go w ciepłej wodzie i nakarm Marie - polecił. - Potem ubierz ją ciepło. Musimy iść.

Catherine posłusznie skinęła głową i weszła do chaty, ale po chwili wybiegła.

- Co się stało? - Edmond spojrzał na nią

zaniepokojony.

- Marie zachorowała - wychrypiała. -
Cała płonie. Wydaje mi się, że ma
gorączkę! Edmond odsunął ją i wszedł
do chaty. Pochylił się nad siostrzyczką i
położył dłoń

na czole małej.

- Niestety masz rację - rzekł ponuro. -
To chyba coś poważnego. Helenę
również dotknęła palcami buzi Marie.
Była gorąca.

- Co teraz zrobimy? - zapytała. Edmond
nadal wpatrywał się w Marie.

- To, co trzeba - odparł. - Musimy

znaleźć lekarza. Catherine spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Przecież żaden lekarz nie przyjdzie tu do nas.

- Więc my musimy pójść do niego - odpowiedział logicznie. Złapała go za ramiona i potrząsnęła nim mocno.

- Jest za zimno! - zaprotestowała. - Nie możemy wynosić jej na mróz, to niebezpieczne!

Edmond zdjął płaszcz i starannie owinął w niego Marie.

- Teraz będzie jej ciepło - oświadczył.

- A co z tobą? - spytała Catherine. -
Przecież jest zimno. Machnął
lekceważąco ręką.

- Nic mi nie będzie. Nie mam gorączki.
Catherine wlepiała w niego przerażone
spojrzenie.

- Zwariowałaś? Zamarzniesz na śmierć!

- Możliwe - odparł. - Ale nic na to nie
poradzę. - Potem rzucił stanowczo: -
Dość tego! Zbierajcie się, musimy
natychmiast iść.

Catherine z rozpaczą uniosła ręce w
górze. Potem wzięła z chaty ich skromny
dobytek.

Helenę spojrzała z namysłem na Edmonda.

- Lekarzom się płaci, prawda? - spytała, wkładając płaszcz. W milczeniu kiwnął głową.

- Czy to znaczy, że ukradniesz komuś pieniądze? - wyszeptała z nadzieją.

- Nie - zaprzeczył stanowczo.

- Och. - Dziewczynka zmarszczyła brwi.

- Więc czym zapłacimy lekarzowi?

Edmond dotknął kieszonki na piersi.

- Musimy poświęcić na to obrączkę mamą. Nie chciałem tego robić, ale myślę, że mama by zrozumiała.

Helenę z aprobatą kiwnęła głową. Miał słuszość. W tej sytuacji maman na pewno zrobiłaby to samo.

Za każdym razem, kiedy widzieli przed sobą jakąś wioskę, Edmond kazał Helenę i Catherine czekać w ukryciu, a sam brał Marie i szedł szukać lekarza. Okazało się, że z dala od miast nie jest to takie proste. Udało mu się go znaleźć dopiero po kilku godzinach. Zostawił Marie w domu doktora i szybko wrócił po siostry. Teraz miał już na sobie płaszcz.

- Chodźcie szybko - powiedział. - W domu lekarza nic nam nie grozi. Doktor nie zrobi nam nic złego.

Catherine spojrzała na brata z obawą.

- Myślisz, że możemy mu zaufać?

- Tak sędzę - odrzekł. - Zresztą mamy niewielki wybór. Zostawiłem u niego Marie. Jest tam ciepło i przytulnie.

- Ten doktor mieszka we wsi? - zapytała Helenę, wskazując kilkanaście domów. - Czy w którymś z gospodarstw?

- W wiosce. Chodźcie.

Śnieg skrzypiał im pod butami, kiedy szli cichą i spokojną ulicą. Edmond zatrzymał się przy ostatnim budynku i otworzył bramę. Poprowadził siostry przez małe podwórko, a potem zapukał

do drzwi. Otworzyła je korpulentna kobieta w średnim wieku. Natychmiast rozpoznała chłopca.

- Wchodźcie, kochani - powiedziała, zapraszając ich do środka. - Doktor zajmie się waszą siostrzyczką.

Weszli do ciemnej, wąskiej sieni. Kobieta zamknęła drzwi.

- Pewnie macie przemoczone buty. Zdejmijcie je i zostawcie tutaj. - Wskazała ręką miejsce przy drzwiach.

Przeszli przez korytarz. Kobieta otworzyła drzwi z matowymi szklanymi szybkami, prowadzące do kuchni. W kącie stał wielki kafłowy piec, od

którego było przyjemne ciepło. Wszyscy troje przyłożyli do niego ręce, żeby się rozgrzać.

- Usiądźcie - powiedziała kobieta, wskazując miejsca przy stole. - Pewnie jesteście głodni. Właśnie ugotowałam zupę.

- Ale Marie... - zaczął Edmond.

- Wasza siostrzyczka wyzdrowieje - odezwał się męski głos.

Odwrócili się i spojrzeli na lekarza. Był już stary, miał siwe włosy i pomarszczoną twarz. Nosił okulary w srebrnych oprawkach.

- Jest na górze. Śpi.

- Czy to coś poważnego? - zapytał Edmond z obawą. Lekarz spojrzał na chłopca poważnie.

- Jest malutka - odrzekł. - Dla takiej kruszyny każda choroba jest niebezpieczna. Małe dzieci nie są odporne i łapią wszystko. - Uśmiechnął się jednak, aby ich uspokoić. - Ale myślę, że teraz już będzie dobrze. Musi tylko trochę poleżeć w cieple. Mam nadzieję, że gorączka szybko minie i za kilka dni Marie będzie zdrowa.

- Kilka dni! - wykrzyknął Edmond. - Nie mamy tyle czasu, panie doktorze. Musimy... jak najszybciej iść dalej.

Lekarz zmarszczył brwi, przypatrując się całej trójce.

- Nie jesteście stąd ani z naszej okolicy. Nigdy was nie widziałem. To znaczy, że przed wami jeszcze daleka droga. Mam rację?

Chłopiec w milczeniu kiwnął głową. Doktor usiadł przy kuchennym stole i wskazał im ręką krzesła.

- Zaufajcie mi - odezwał się współczującym tonem. - Może opowiecie mi o wszystkim?

Edmond popatrzył na niego niepewnie, ale po chwili wahania skinął głową. Siedzieli przy stole, trzymając w

dłoniach filiżanki gorącego kakao, a chłopiec zaczął mówić staremu lekarzowi o tym, co się stało, kiedy niemieccy żołnierze wyłamali drzwi. O maman, Michelle i całej reszcie.

Po czterech dniach Marie poczuła się lepiej. Odpoczynek dobrze im zrobił. Odzyskali siły, katar Helenę minął, a Catherine wyleczyła się z zapalenia krtani.

Kiedy nadszedł czas pożegnania, Helenę miała łzy w oczach. Stary doktor i jego gospodyni byli tacy dobrzy i nie chciała się z nimi rozstawać. Wszyscy czworo czuli się u nich jak w domu, którego tak bardzo im brakowało. Teraz musieli się pożegnać.

Helena przytuliła twarz do obfitego biustu kobiety i objęła ją mocno.

- Będę tęskniła - szepnęła.

- Ja też - odrzekła cicho gospodyni. -
Uważajcie na siebie i niech Bóg ma was
w opiece.

Edmond uścisnął dłoń lekarza i sięgnął
do kieszeni po obrączkę mamy.

- Tyle panu zawdzięczamy - powiedział.

- To wszystko, czym możemy zapłacić.

- Nie przyjmę tego. - Doktor odsunął
jego rękę.

- Ale pan uratował Marie - odparł chłopiec.

- To mój obowiązek. Jako Francuza i jako lekarza.

- Dziękujemy - powiedział ze wzruszeniem Edmond. -I za nowe ubrania również. Doktor potrząsnął głową.

- Nie, to my powinniśmy wam dziękować. Niektórzy z nas zapomnieli, że są Francuzami, i współpracują z wrogiem. To hańba dla naszego narodu. A wy - małe dzieci

- mieliście odwagę, aby przeciwstawić się Niemcom. Jesteście wzorem dla nas,

dorośli. Musimy być wam wdzięczni.

Gospodyni ostrożnie wzięła na ręce Marie, owinęła ją w gruby nowy kocyk i podała malutką Catherine.

- Opiekuj się dobrze tym małym aniołkiem - przykazała. Dziewczyna uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Będę - obiecała.

Kobieta wytarła dłonią wilgotne oczy i pociągnęła nosem.

- Kiedyś, jak to się już skończy, przyślijcie nam wiadomość. Nawet za parę lat. - Uścisnęła Edmonda, a potem rozpięła srebrny łańcuszek, na którym

nosiła mały medalik. Uroczyście zawiesiła go chłopcu na szyi. - Niech Bóg was błogosławi. Będziemy się za was modlić. - Potem podała mu ciężki koszyk pełen najlepszej żywności ze spiżarni. - Na drogę - powiedziała krótko.

Edmond stanął na palcach i pocałował ją w policzek.

- Dziękujemy - szepnął.

Nagle usłyszeli dźwięk dzwonek na ulicy.

- Co to? - zapytała Helenę, biegnąc do okna. Spojrzała i otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Przed bramą domu

zatrzymały się duże sanie zaprzęgnięte w dwa kasztanowe konie.

- To Claude Sorel - powiedział doktor. - Biedny wieśniak, który jest mi coś winien. W zeszłym roku udało mi się uratować jego żonę. Nie miał pieniędzy, żeby mi zapłacić, ale teraz może mi się odwdzięczyć. Ustaliłem z Sorelem, że dziś przenocujecie u niego w domu, a jutro zabierze was saniami do Chateaudun. Stamtąd jest jeszcze sześćdziesiąt kilometrów do Loary. Musicie cały czas iść na południe. Potem kierujcie się wzdłuż rzeki na wschód, a dojdziecie do morza. A wtedy już traficie do Saint-Nazaire.

Rozdział 8

Claude Sorel zajechał przed dom i zatrzymał konie. Odwrócił się i popatrzył uważnie na czwórkę rodzeństwa. Miał głęboko osadzone, bystre oczy.

- Jesteśmy na miejscu - mruknął.

Potem sam zeskoczył na ziemię i czekał, aż zejda z sań. Gramolili się powoli, bo zdrętwiały im nogi. Jechali ponad godzinę i trzęśli się z zimna, chociaż przykryli się starą derką. Sorel nie zamierzał wyprzęgać koni, tylko przywiązał je po prostu do słupa. Stały, machając ogonami i parszczając głośno. Były spocone z wysiłku i leciała z nich para. Wieśniak bez litości poganiał je i

tłukł batem, jeżeli nie biegły
wystarczająco szybko przez zaśnieżone
pola.

- Chodźcie - powiedział krótko.

Ruszyli do drzwi, a Helenę popatrzyła
na dom. Wydał jej się ogromny i ponury.
Nie pasował do bajkowego krajobrazu.
Jak większość budynków na wsi był
stary i zaniedbany. Dwie drewniane
przybudówki, po jednej z każdej strony,
najwyraźniej postawione bez żadnego
planu, ale jakże malownicze w swoim
zaniedbaniu, wspierały się o kamienne
ściany. Małe, nieliczne prostokątne
okienka nadawały grubym murom
wygląd nieprzystępnej fortecy. Każde
miało drewniane okiennice; niektóre

były zamknięte, inne poruszały się na wietrze. Cienka stróżka dymu unoszącego się z komina była jedyną oznaką, że w tym budynku ktoś mieszka.

Otrząsnęli śnieg z butów, a gospodarz pchnął drzwi i wpuścił ich do środka.

Ciemny korytarz był tak niski, że Sorel musiał się pochylić. Bielone wapnem ściany zostawiały na palcach białe ślady, kiedy ktoś ich dotknął.

Przeszli przez następne drzwi i znaleźli się w kuchni. Panował tu półmrok, podobnie jak w sieni. Nierówno ociosane grube deski podłogi od ciągłego szorowania zrobiły się prawie białe. Na ścianach wisiały wypchane

jelenie łby z rogami. Częściowo pozostawały w cieniu, ale oczy zwierząt odbijały światło z okien i błyszczały groźnie. Helenę zastanawiała się, dlaczego ludzie trzymają w domach tak przerażające ozdoby.

- Hej, kobieto! - zawołał Sorel donośnym, ostrym głosem.

Usłyszeli trzaśnięcie drzwi, a potem zbliżyła się do nich jakaś kobieta, człapiąc chodakami.

- Tak? - wymamrotała niewyraźnie. Helenę dostrzegła, że kobieta ma spuchnięte wargi.

Dziewczynka popatrzyła na nią

ukradkiem; gospodyni była dużo niższa od męża, miała czerwoną, zmęczoną twarz i gęste, kręcone włosy, zaplecione w warkocz. Była ubrana w ciężką czarną spódnicę, gruby czarny sweter z przydługimi rękawami i spłowiały, kiedyś niebieski fartuch. W jej wyglądzie było coś apatycznego i ponurego, jak gdyby duch tej kobiety został złamany i ujarzmiony.

- Nie widzisz, że mamy gości, leniuchu?

- wrzasnął Sorel. - Nie stój jak głupia!

Rusz się i zrób coś do jedzenia. A potem przygotuj im pokój do spania!

- Tak, Claude - odrzekła posłusznie.

Helenę zauważyła, że pani Sorel

zarumieniła się ze wstydu. Też bym się zaczerwieniła, gdyby mąż tak się do mnie odnosił, w dodatku przy obcych, pomyślała dziewczynka.

Żona Sorela zaprosiła ich, by usiedli przy stole z nieheblowanych desek. Wtedy właśnie Helenę zdała sobie sprawę, że ta kobieta jest młoda. Młoda, tylko zniszczona.

- Niech idą wcześniej spać - rozkazał jej mąż. - Jutro mam ich zawieźć do Chateaudun. Musimy wcześniej wstać.

Spojrzała na niego przez ramię.

- Tak, Claude.

Sorel zdjął z półki dzbanek bez ucha i pociągnął z niego długi łyk. Krople płynu pociekły mu po brodzie. Helenę wyczuła zapach cydru. Mężczyzna otarł usta rękawem i z łoskotem postawił dzbanek na stole. Potem odsunął energicznie krzesło i usiadł na nim, opierając buty na czyściutkim blacie.

Helenę dostrzegła błysk dezaprobaty w oczach pani Sorel, ale kobieta przezornie zachowała milczenie.

Sorel wypił jeszcze łyk cydru, a potem głośno odsunął krzesło i wstał.

- Wrócę późno - warknął. - Dopilnuj, żeby poszli wcześniej spać.

- Dokąd idziesz? - zapytała kobieta i Helenę usłyszała w jej głosie strach.

- Do wioski.

Spojrzała na niego, nerwowo skubiąc palcami róg fartucha.

- Claude, proszę, nie -jęknęła. -
Poszedłeś wczoraj i wróciłeś... -
Spojrzał na nią ostro i umilkła.

- Zamknij się, kobieto! - Machnął groźnie ręką. - Chcesz poczuć moją pięść na ustach?

- Nie, Claude - odpowiedziała cicho i z westchnieniem rezygnacji odwróciła się do wielkiego kuchennego pieca.

- Nie podobają mi się ci ludzie -
odezwała się cicho Catherine.

Edmond w odpowiedzi skinął głową. Siedział na twardym, sztywnym materacu i od czasu do czasu huśtał Marie na trzeszczących sprężynach. Za każdym razem malutka popiskiwała z radości, a w powietrzu wokół nich unosiły się kłęby kurzu. Cały czas siedzieli w płaszcach, bo na poddaszu było zimno. Wrózkach, pod starymi pierzynami i kocami pogryzionymi przez mole, będzie im ciepło i zacisznie, ale na razie drżeli z chłodu. Pokój był mroczny i ponury, gospodyni dała im tylko jedną lampę naftową.

Helene wstała i podeszła do maleńkiego

okienka. Znajdowało się dość wysoko, ale kiedy stanęła na palcach, mogła przez nie widzieć podwórze. Duży księżyc tuż przed pełnią rozjaśniał okolicę swoim blaskiem i rzucał długie cienie na śnieg.

Edmond usiadł obok rozchwianej szafki.

- Ten Sorel to drań - powiedział. - Jego żona nie jest zła, tylko zastraszona. Widziałyście jej twarz? Ten łobuz musi ją nieźle bić.

- Nie rozumiem, dlaczego doktor w ogóle interesuje się tymi ludźmi - powiedziała Catherine, kręcąc głową. - Czy nie wie, że ten mężczyzna jest... no, nie jest porządnym człowiekiem?

- Może żał mu tej żony. Albo może Sorel nie pokazuje mu, jaki jest naprawdę - odrzekł zamyślony Edmond. - Pamiętasz, jak się uśmiechał, kiedy wsiadaliśmy do sań, i jak grzecznie rozmawiał z doktorem?

Catherine powoli kiwnęła głową.

- Masz rację.

Helena wspięła się na palce i znowu wyjrzała przez okienko. Jedyne, co mogła dostrzec, to puste pola w śniegu i noc ponad nimi. Gdzieś w tej ciemności była wioska, w której mieszkali życzliwy lekarz i jego gospodyni. A daleko na południu znajdowała się Loara, nazywana Rzeką Królów, ze

swoimi potężnymi zamkami i wspaniałymi białymi pałacami na brzegach. Wystarczy, że będą szli wzdłuż jej koryta, a w końcu trafią do Saint-Nazaire. Tam znajdą ciocię Janine i u niej doczekają czasu, gdy Niemcy zostaną wygnani z Francji, a maman i papa przyjadą po nich i zabiorą całą czwórkę z powrotem do Paryża.

Nagle usłyszała brzęczenie dzwonek. Rozejrzała się dookoła i zobaczyła w oddali sanie. Patrzyła, jak się zbliżały i stanęły przed domem. Tym razem Sorel nie zeskoczył z kozła, tylko zsunął się chwiejnie. Nie chciało mu się nawet przywiązać koni do słupa. Potknął się, ale odzyskał równowagę i na

chwiejnych nogach ruszył do domu. Z sieni dał się słyszeć ogłuszający łoskot.

Catherine podskoczyła.

- Co to było?

- Właśnie wrócił Sorel - wyjaśniła Helenę, odwracając się od okna. -

Musiał się o coś przewrócić. -

Zachichotała. - Chyba jest nieźle pijany.

- Miejmy nadzieję, że do rana wytrzeźwieje i będzie mógł nas odwieźć do Chateaudun - mruknął Edmond.

Przechylił głowę na bok i słuchał.

Gospodarz kroczył ciężko po chwiejnych schodach. Doszedł do

podestu i zatoczył się na drzwi. Przez chwilę panowała cisza, a potem znowu o coś się potknął w wąskim korytarzu. Wreszcie trzasnęły drzwi, a potem usłyszeli za ścianą głos Sorela:

- Kobieto, jesteś już w łóżku?!

Zaczął rozmawiać z żoną, ale słyszeli już tylko urywki zdań wypowiedane głośno przez niego, a później doszły ich jakieś trzaski i skrzypienie otwieranych i zamykanych szuflad.

W końcu spośród tych wszystkich hałasów rozległ się głos kobiety:

- Claude, nie! - zawołała.

W jej głosie brzmiała panika. Drzwi się otworzyły i znowu na korytarzu zabrzmiało

echo ciężkich kroków. Wyglądało na to, że kobieta wybiegła za mężem. - Nie, Claude, nie! Proszę, błagam cię!

- Zabierz te ręce! - warknął Sorel. Dały się słyszeć odgłosy szamotaniny, a potem trzaśnięcia wymierzanych policzków. Kobieta krzyknęła. Musiała się przewrócić, bo wszystko wokół zadrżało. - Ty głupia! - ryknął mężczyzna. - Chcesz, żebyśmy byli biedni do końca życia?

- Nie, Claude - łkała. - Nie chcę. Ale też nie chcę pieniędzy zarobionych w ten

sposób!

- Zamknij mordę, suko!

Na chwilę zapadła cisza, a potem Sorel stanął pod drzwiami ich sypialni. Helenę wstrzymała oddech. Przez chwilę bała się, że ten człowiek tu wejdzie i zacznie ich bić. Ale on zamknął drzwi na klucz.

Przerażona Helenę wbiła wzrok w zamek. To było gorsze, niż gdyby Sorel wpadł i próbował zrobić im coś złego. Drgnęła, słysząc brzęk klucza. Potem klamka się poruszyła, jakby ktoś sprawdzał, czy drzwi są zamknięte.

Nagle dziewczynka zrozumiała.

Zdarzyło się najgorsze.

Zostali uwięzieni.

- Dobra... Siedzą tam zamknięci -
oznajmił Sorel głosem pełnym
satysfakcji. -Nigdzie nam nie uciekną.
Okienko jest za małe.

Helena spojrzała na Catherine, a potem
na Edmonda.

- Co teraz zrobimy? - zapytała
bezgłośnie.

- Cicho - szepnął Edmond. - Słuchajmy!

Sorel nadal stał na korytarzu. Aż
mruczał z zadowolenia.

- Wstawaj, kobieto! - ryknął do żony. -
Ubierz się i ogarnij! Zaraz będą tu
Niemcy! -Umilkł na chwilę, a potem
dodał z dumą: - Tylko pomyśl, półtora
milion franków. Ja, Claude Sorel, będę
milionerem!

Zrozpaczona Helenę wzniosła oczy do
góry. A więc nagroda za ich schwytanie
znowu wzrosła! Kiedy byli u madame
Chang, wynosiła pół miliona; w
gazetach sprzed sześciu dni pisano o
milionie. A teraz Niemcy dołożyli
jeszcze pół miliona franków. Jeśli w
jakiś sposób zdołają stąd uciec - choć to
prawie niemożliwe - nagroda dojdzie do
tak

astronomicznej sumy, że każdy, może

nawet ciotka Janine, będzie skłonny wydać ich Niemcom.

- Ale nawet nie wiesz, czy to oni -
zawodziła kobieta. Claude Sorel zaśmiał się głośno.

- W gospodzie pokazywali gazetę z portretami. To jasne jak słońce, że oni. Szczególnie ta starsza. Piszą, że ktoś ich porwał. Jakie to zabawne! - Zaśmiał się znowu. - Gdyby doktor mnie nie uprzedził, sam bym uwierzył w te bajki. W każdym razie dobrze, że poszedłem się napić. Widzisz, gdybym cię posłuchał i został w domu, nie dowiedziałbym się o nagrodzie. Tak się chwyta szczęście, trzeba być we

właściwym miejscu we właściwym czasie. I jeszcze spotkałem tam żandarma. Pozwolił mi zadzwonić z telefonu na posterunku.

Głos kobiety był ledwie słyszalny.

- Do kogo zatelefonowałaś?

- Wiedziałem, kto naprawdę ich szuka, więc oczywiście zatelefonowałem do gestapo. Żandarmi mogliby przekazywać sobie raport przez kilka dni. No i chciałem mieć pewność, że zaraz dostanę tę nagrodę. Wiesz, jak długo trwa załatwianie spraw w urzędach.

Kobieta zaczęła teraz głośno szlochać. Helenę wyobrażała sobie, że twarz

wieśniaczki poczerwieniała jeszcze bardziej.

- Jak mogłeś? - lamentowała. - Jesteśmy przecież Francuzami! A doktor był dla nas taki dobry! Zaufał ci! I tyle mu zawdzięczamy!

- To ty masz wobec niego dług. A czy ten stary da nam półtora miliona franków, co? - odparł kłótniwie Sorel. - Zresztą to nie twój interes. Przestań się mazać i wytrzyj twarz. Nie mogę na ciebie patrzeć, jak masz takie czerwone zapuchnięte oczy. Jesteś wystarczająco brzydka, nawet kiedy nie płaczesz!

Zszokowana Helenę słuchała, jak kroki obojga się oddalały. Miała nadzieję, że

kobieta zostanie. Może udałoby się ją ubłagać, żeby wykradła klucz mężowi i otworzyła drzwi.

Edmond położył Marie i wstał z łóżka.

- Musimy uciekać - oświadczył spokojnie.

- Ale jak? Jesteśmy zamknięci. -

Catherine spojrzała na Helenę. - Czy można otworzyć to okno?

Dziewczynka kiwnęła głową.

- Tak, ale jest za małe. Nawet Marie by się przez nie nie przecisnęła. Edmond wziął lampę i obejrzał dokładnie poddasze, świecąc zaglądał w ciemne

kąty i sprawdzał ściany palcami. W milczeniu przyjrzał się uważnie sufitowi i podłodze. Nie było stąd innego wyjścia oprócz drzwi - ani klapy w dachu, ani ukrytego przejścia pod zbutwiałymi tapetami. Nawet mysz by się nie prześlizgnęła.

- No i? - spytała z napięciem Catherine. W jej wielkich brązowych oczach czaił się strach.

Chłopiec pokręcił głową.

- Obawiam się, że mamy wybór tylko między poddaniem się a ogniem. To jedyny sposób, żeby się stąd wydostać - oświadczył ponuro.

Catherine pytająco uniosła brwi.
Edmond spojrział na nią i westchnął.

- Musimy podpalić nasz pokój.

Popatrzyła na niego uważnie, a potem zapytała.

- Jesteś pewny, że zdążą przyjść i otworzyć nam drzwi? Nie odpowiedział.

- Lepiej bierzmy się do roboty - polecił i kiwnął ręką. - Musimy zaciągnąć te materace pod ścianę.

Postawił lampę na podłodze i zaczęli wlec ciężkie, sztywne materace. W końcu udało im się postawić je pod ścianą, a Edmond sprawdził, czy się nie

przewrócą, kiedy je podpali. Potem wytarł zakurzone dłonie o spodnie. Catherine wzięła Marie na rękę.

- Zakryj jej buzię kocykiem - polecił. - Żeby wdychała jak najmniej dymu.

Catherine kiwnęła głową. Ucałowała Marie w czołko i delikatnie zasłoniła jej

maleńką różową twarzyczkę kołderką od gospodyni lekarza.

- Nie bój się, kochanie - szepnęła łagodnie.

- Teraz cofnijcie się pod drzwi i zostańcie tam. - Edmond podał im obu koce. - Naciągnijcie je na głowy i przytrzymajcie. Powinny trochę nas

osłonić przed ogniem. -

Spojrzał pytająco najpierw na Catherine, a potem na Helenę. Nie musiał nic więcej wyjaśniać. Rozumiały.

Uniósł wysoko lampę i rzucił ją zręcznie w kierunku ściany. Szklana osłona pękła i nafta wylała się. Ogień pojawił się natychmiast.

Instykt kazał im działać. Zaczęli krzyczeć i walić pięściami w drzwi.

- Ogień! - zawołała Helenę. - Ogień! -
W jej głosie brzmiało autentyczne przerażenie.

Catherine miała oczy nieprzytomne ze strachu.

- Pomocy! - krzyczała. - Pali się! -
Helenę widziała, że strach siostry jest tak samo prawdziwy jak jej.

Spojrzała w tył. Materace płonęły, paliły się również kołdry. W ciągu kilku sekund duża część poddasza stanęła w płomieniach. Wstrętny zapach płonącego włosia i pierza wywoływał mdłości. Helenę poczuła, że braknie jej powietrza. Dym piekł ją w oczy i drapał w gardle. Zaczęła jeszcze mocniej walić w drzwi i krzyknęła ponownie.

- Pali się!

- Pomocy! Pomocy!

Dym unosił się wokół nich jak gruba, ciemna zasłona, nie mogli nic przez nią zobaczyć. Nagle usłyszeli szybkie kroki i głosy w korytarzu. Sorel klął.

- Dym! - zawołała jego żona. - Wylatuje spod drzwi! Claude, zrób coś! Dom się pali!

Usłyszeli chrobot klucza w zamku, a po chwili drzwi się otworzyły i poczuli powiew świeżego powietrza.

Na oślep pognali przez korytarz. Claude Sorel przepuścił ich i wbiegł do środka, żeby gasić pożar. Ściągnął marynarkę i próbował tłumić ogień, ale na próżno.

Płonęły tapety na ścianach, płomienie zaczynały już lizać drewnianą podłogę. Słysząc było przerażający huk ognia.

Kobieta zakryła twarz dłońmi, by choć trochę osłonić się od żaru.

- Claude! - wrzeszczała histerycznie. -
Uciekaj!

Dzieci zbiegły na dół po uginających się schodach, omal nie przewracając się wzajemnie. Na piętrze rozległ się głuchy łoskot, jakby coś się zawaliło.

Pani Sorel znowu wrzasnęła. Helenę spojrziała za siebie i zobaczyła potężny słup ognia sięgający od podłogi do sufitu. Płomienie zaczynały

przedostawać się już na korytarz. Za kilka minut cały dom spłonie.

Chwilę potem byli już na zewnątrz, w bezchmurnej, lodowatej ciemności. Nigdy jeszcze zimne powietrze nie wydawało im się tak cudowne. Helenę odetchnęła głęboko i wytarła czoło dłonią; była cała mokra od potu.

Stanęli na chwilę, wpatrując się w dom. W maleńkich okienkach na poddaszu błyskały płomienie, a śnieg na dachu zaczynał topnieć z gorąca. Z okapu spływała woda. Nagle przez ośnieżony dach przebił się ogromny język ognia i rozjaśnił czarne niebo, połyskując w świetle księżyca i rozpryskując kaskady iskier. Migoczące światło zalało

wszystko dookoła: dom, stodołę, śnieg. Helenę poczuła, że ktoś ją szarpie za rękaw.

- Uciekamy! - syknął Edmond. Chciał biec przez śnieg.

- Czeka! - zawołała - Sanie! Nie możemy ich wziąć? Przytaknął.

- Wskakujcie! - zawołał. - Ja będę powoził!

Zbliżali się już do sań, gdy część dachu zawałiła się z trzaskiem. Przerażone konie szarpnęły się w tył i zarżały. Pognały przed siebie i zniknęły w ciemności, ciągnąc puste sanie. Edmond ruszył biegiem za nimi, ale były już w

połowie pola. Zrozumiał, że ich nie dogoni, i zawrócił, niemal bez tchu.

I znowu wędrowali przez pola. Tylko że teraz zostawiali wyraźny trop na śniegu. Helenę przypomniała sobie, jak w bajce Jaś i Małgosia rzucali okruszki, żeby móc odnaleźć drogę do domu. Ale te ślady pozostaną, nie wyzbierają ich ptaki.

Edmond jakby czytał w jej myślach.

- Chciałbym, żeby znów zaczął padać śnieg - powiedział. - Przynajmniej nie byłoby widać, którędy poszliśmy. - Spojrzał z nadzieją w niebo, ale najwyraźniej śnieg nie miał zamiaru padać.

Przeszli jakieś sto metrów, kiedy Helenę odwróciła się i spojrzała na dom. Ogień zdążył już pochłonąć cały parter. Na tle płomieni dziewczynka zobaczyła dwie małe figurki - w tym jedną niższą - miotające się szaleńczo we wszystkie strony. Przez chwilę pomyślała o nieskazitelnej podłodze w kuchni, wyczyszczonej niemal do białości przez

całe pokolenia kobiet, stojącej teraz w ogniu. Ale nie była to pora na żal. Helenę dostrzegła w oddali poruszające się światła reflektorów na drodze. Mamy mniej czasu, niż nam się wydawało, powiedziała w myślach do siebie.

Niemcy zbliżali się szybko.

Tym razem mieli ze sobą psy.

Z tyłu słyhać było ich ujadanie. Płuca Helenę niemal pękały, gdy biegła, ale nie ośmieliła się zatrzymać, by choć chwilę odpocząć. Ilekroć patrzyła za siebie, widziała maleńkie promienie latarek przecinające ciemność.

Nie mieli czasu na wybieranie najlepszej, najbezpieczniejszej czy najłatwiejszej trasy ucieczki. Przedzierali się przez drapiące krzaki, ślizgali na zamarzniętych polach, biegli przez opustoszałe sady. Ciemność i śnieg również były wrogiem, ukrywały bowiem przeszkody na drodze - dziury, kamienie, pnie drzew i gałęzie. Często

się potykali, ale śnieg, główny winowajca, który zasłaniał najniebezpieczniejsze pułapki, jak gdyby z ironią zapewniał im miękkie podłoże, gdy upadali.

Ujadanie psów z każdą chwilą stawało się coraz głośniejsze. Zbliżały się też promienie latarek.

Dotarli do małego zamarzniętego strumyka, przez który przerzucone były dwie deski udające mostek. Zatrzymali się tam na chwilę, aby złapać oddech. Marie płakała, ale nie mieli już koniaku, by ją uspić; został w płonącym domu razem z koszykiem jedzenia, otrzymanym od gospodyni lekarza. Z miejsca, gdzie stali, widać było na północy różową

łunę, która rozświetliła całe niebo.

- To chyba stodoła - odezwał się Edmond. - Musiała się również zapalić. Pewnie iskry przeleciały z domu.

Catherine splunęła na śnieg.

- Dobrze im tak - rzuciła mściwie. Edmond patrzył z uwagą na drewnianą kładkę.

- Słuchajcie - powiedział nagle. - Mam pomysł!

- Jaki? - Helenę odwróciła się do niego.

- Rozdzielimy się.

Catherine spojrzała na brata zaskoczona.

- Rozdzielimy się? Ale...

- Bez ale - odrzekł szorstko. - Musimy, przede wszystkim dlatego, że Niemcy mają psy. Poza tym dwoje nie rzuca się w oczy tak, jak czworo. A tamci szukają czworga rodzeństwa.

- Nie podoba mi się to - zaprotestowała Helenę. - Powinniśmy trzymać się razem.

- Nie możemy - oświadczył Edmond stanowczo i odetchnął głośno. - Catherine, ty weźmiesz Marie i przejdiesz na drugą stronę strumyka. Helenę i ja zostaniemy tu i zdejmujemy

deski. W ten sposób psy cię nie wytropią. My pójdziemy na południe wzdłuż rzeczki i pociągniemy je za sobą.

Helene wydawało się nagle, że tonie.

- Nie! - zawołała. - Chcę, żebyśmy uciekali razem.

- Uspokój się! - syknął Edmond i spojrzał na Catherine. Siostra z powagą skinęła głową. W blasku księżyca wydawała się bardzo blada.

- Zaopiekuję się Marie - obiecała cicho.

- Uważaj na siebie - powiedział Edmond. - Spotkamy się u cioci Janine.

W oczach Catherine zabłyśły łzy; Helenę dostrzegła je nawet w słabym świetle księżyca.

- Tak, spotkamy się u cioci Janine - potwierdziła łagodnie jej siostra. Pocałowali się na pożegnanie. Catherine uścisnęła Edmonda i popatrzyła mu w oczy.

- Przepraszam - powiedziała.

- Za co? - zapytał.

- Za to, że byłam taka głupia. Chodzi o tę kradzież. Nie miałam racji. Wbił stopę w śnieg i spuścił wzrok.

- Zapomnij o tym - odrzekł. - Kiedy się spotkamy w Saint-Nazaire, opowiemy sobie, kto co ukradł.

Catherine uśmiechnęła się przez łzy.

- Tak. Na pewno. Do widzenia, Edmondzie. Do widzenia, Helenę. Nagle Edmond sięgnął do kieszeni i wcisnął coś w dłoń siostry.

- Obrączka maman - szepnął. - Tobie może być bardziej potrzebna niż nam.

Kiwnęła głową i ze łzami w oczach, delikatnie tuląc do siebie Marie, ostrożnie przeszła przez kładkę. Stała po drugiej stronie, patrząc, jak Edmond i Helenę mocowali się z deskami. Potem

chłopiec podniósł je i przerzucił na przeciwległy brzeg. Znalazł jakąś gałąź i starannie wygładził śnieg w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się kładka.

Nikt by teraz tego nie zauważył. A ślady Edmonda i Helenę poprowadzą Niemców brzegiem strumyka. Catherine i Marie chwilowo były bezpieczne. Niewiele, ale dobre i to na początek.

Edmond wyprostował się i rzucił gałąź. Przez chwilę, razem z Heleną, patrzył na Catherine. Wyglądała jak Madonna ze swym Dzieciątkiem podczas ucieczki do Egiptu. Helenę uniosła dłoń i pomachała siostrze. Catherine z powagą powtórzyła ten pożegnalny gest. Potem Edmond i

Helenę pobiegli szybko wzdłuż strumyka, kierując się na południe.

Helenę pociągnęła nosem i otarła dłonią łzy, przesłaniając jej oczy.

Zastanawiała się, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczy Catherine i Marie.

Rozdział 9

Pół godziny później zorientowali się, że nikt ich nie ściga. Helenę nie słyszała już ujadania psów. Światła latarek zniknęły; kiedy spoglądała do tyłu, widziała tylko ciemną, dziwnie spokojną noc. Było oczywiste, że Niemcy już za nimi nie idą. Ucieszona Helenę trąciła Edmonda w ramię.

- Nie ma ich! - zawołała. - Spójrz za siebie! Zatrzymał się i odwrócił.

- Coś takiego! - powiedział zaskoczony.

Zrobili sobie krótki odpoczynek. Helenę oparła się o pień sosny i spojrzała na brata.

- Może dali za wygraną? - spytała z nadzieją. Edmond odwrócił się do niej i potrząsnął głową.

- Mała szansa - odrzekł stanowczo. - Oni tak łatwo się nie poddają. Szczególnie po tym wszystkim, co z nami mieli.

W umyśle dziewczynki zabłysło straszne

podejrzenie. Przerażona Helenę zerwała się na równe nogi i spojrzała na brata.

- Nie sądzisz chyba, że oni... - Nie mogła skończyć zdania. Ta myśl była zbyt okropna, aby wypowiedzieć ją głośno.

Twarz Edmonda pokrył nagły cień.

- Zastanawiasz się, czy nie poszli za Catherine zamiast za nami - powiedział cicho. Helenę kiwnęła głową.

- Nie umiem na to odpowiedzieć. Wydawało mi się, że powinna być bezpieczna. Myślę, że dobrze zatarliśmy ślady.

- Możliwe, że zaczęli coś podejrzewać - zauważyła Helenę. - Od gospodarstwa Sorelów szli za potrójnymi śladami, a przy strumieniu jedne zniknęły. Nie uważasz, że mogli przeszukać okolicę?

- Teraz wydaje mi się, że to możliwe - odrzekł cicho Edmond. Kopnął pień czubkiem buta. - Ale może wrócili po konie. Albo zdecydowali się przerwać pościg z powodu ciemności. A rano będą szukać dalej i złapią nas. Nasze ślady nie znikną w ciągu jednej nocy. - Uśmiechnął się ponuro. - Będą widoczne jeszcze przez wiele dni.

- Więc co zrobimy?

- Przechytrzymy ich. Nie zostawimy ani

śladów, ani zapachu dla psów. Helenę spojrzała na niego nieufnie.

-Jak?

- Pójdziemy wzdłuż tego strumyka. Miejmy nadzieję, że wpada do większego. Takiego, który płynie szybciej i nie zamarza. Wtedy musimy iść jego korytem. W ten sposób całkowicie ich zmylimy.

- Brrr.... - Na samą myśl o tym Helenę przeszedł dreszcz. - Tylko czy woda nie będzie zbyt zimna?

- Będzie lodowata - odparł Edmond. - Ale to nasza jedyna szansa. - Szturchnął ją żartobliwie w bok. - Lepiej już

chodźmy.

Ruszyli dalej. Minęli wprawdzie kilka strumyków, ale dopiero po trzech godzinach zobaczyli taki, który był pokryty lodem tylko przy brzegach. Helenę z obawą wpatrywała się w wodę.

Zawsze pomysłowy Edmond znalazł jakiś kij i sprawdził głębokość rzeczki. Okazało się, że jest dość płytka. Potem rzucił kij do strumienia. Kawałek drewna szybko popłynął z prądem.

Chłopiec kiwnął głową i wziął siostrę za rękę.

- Nurt jest dość silny - uprzedził ją. -

Lepiej, żebyś się mnie trzymała, bo może cię przewrócić.

- Będę uważać - zapewniła go.

Powoli weszli do wody. Helenę podążała ostrożnie za bratem. Jęknęła i z całej siły zacisnęła wargi, żeby nie krzyczeć. Myślała, że nagle odcięto jej stopy. Sekundę później już ich nie czuła. Pomyślała, że może to i lepiej.

Edmond rozumiał jej udrękę.

- Wytrzymaj chwilę - powiedział łagodnie. - Nie zostaniemy w wodzie ani sekundy dłużej, niż to konieczne.

Wydawało jej się, że ta wędrówka

korytem strumienia trwała całą wieczność. Kilka razy Helenę pośliznęła się na kamieniach i tylko pomoc brata ocaliła ją przed kąpielą w lodowatej wodzie.

Kiedy dotarli do niskiego drewnianego mostka, Edmond przystanął.

- Przytrzymaj się czegoś - polecił. - Muszę cię puścić, bo chcę się rozejrzeć. Helenę objęła ramionami oblodzony słupek. Patrzyła, jak brat usunął z krawędzi

mostu kilka sopli, a potem podciągnął się w górę. Rozejrzał się szybko i ponownie zsunął do wody. Dziewczynka spojrzała na niego pytająco. Edmond

uśmiechnął się.

- To jakaś boczna droga - powiedział. - Ostatnio jednak przechodziło tędy parę osób. To dobrze, bo nasze ślady nie będą rzucać się w oczy. Chodź.

Wyszli z wody i Edmond zaczął się wspinać na stromy, pokryty śniegiem brzeg. Helenę ruszyła za nim. Palce miała całkiem zdrętwiałe, ale próbowała się chwytać zamarzniętych chwastów, żeby nie spaść. Kiedy już czuła, że nie da rady wejść wyżej, brat złapał ją za ramiona i wciągnął na górę.

Cieszyła się, że wyszli ze strumienia, ale teraz była jeszcze bardziej przemarznięta. Zapewne dlatego, że

wróciło jej czucie w nogach. Buty nasiąkły wodą, pończochy były całkiem przemoczone. Dziewczynka szczękała zębami z zimna.

Edmond rozejrzał się dookoła. Dzięki Bogu, że świeci księżyc, pomyślała Helenę. Znowu był ich sprzymierzeńcem. Bez niego nie zdołaliby nic zobaczyć.

- Nie wolno nam tracić czasu - ponaglił ją Edmond. - Musimy znaleźć jakieś miejsce, żeby rozpaścić ogień i wysuszyć ubranie. Inaczej dostaniemy zapalenia płuc.

Rozdział 10

Zdarzyło się to siedem dni po tym, jak uciekli z płonącego domu. Wstał świt, zrobiło się już jasno. Ostre powietrze porażało lodowatym chłodem. Helenę czuła, że nos jej zamarza, a uszy zmieniają się w bryłki lodu i zaraz odpadną. Niemcy nie dawali o sobie znać. I nagle po prostu się pojawili. Gałęzie sosen zaszeleściły i zza drzew wysunęli się żołnierze z karabinami w dłoniach. Otoczyli dzieci ciasnym kręgiem. Jeden z Niemców Obszukał szybko oboje, sprawdzając, czy nie mają broni. Potem warknął coś i wrócił na swoje miejsce.

Przerażona Helenę spojrzała na Edmonda. Dał jej znak, żeby była cicho i

wykonywała polecenia żołnierzy.

Poprowadzono ich do najbliższej szosy. Stały tam cztery ciężarówki z brezentowymi budami. Niemcy wepchnęli ich do trzeciej. Za nimi wspięli się uzbrojeni strażnicy.

W ciężarówce były dwie długie drewniane ławy. Usiedli na jednej, a strażnicy zajęli miejsca naprzeciwko. Marzli teraz bardziej niż wtedy, kiedy szli. Helenę zaczęła rozcierać dłońmi ramiona, próbując się rozgrzać.

Zawarczał silnik, ciężarówka zakołysała się i pojechali. Szosa była pełna dziur, więc Helenę i Edmond cały czas wpadali na siebie.

Dziewczynka spojrzała na brata.

- Czy myślisz... - zaczęła. Szturchnął ją natychmiast, żeby umilkła.

- Mogą rozumieć francuski! - syknął. - Uważaj, co mówisz!

- Cisza! - szczechnął ochryple jeden ze strażników.

Edmond uśmiechnął się leciutko i dziewczynka widziała że był zadowolony, gdyż przynajmniej udało mu się ją ostrzec. Wyglądał zabawnie z krótkimi poszarpanymi, sterczącymi na wszystkie strony włosami. Ona musiała wyglądać równie dziwnie. Poobcinali sobie włosy z powodu wszy.

Kiedy przejechali kilka kilometrów, Edmond oparł głowę na kolanach. Helenę usłyszała, że brat śpiewa coś cicho. Silnik warczał tak głośno, że ledwie mogła rozróżnić poszczególne słowa. Na początku nie zwracała na nie uwagi, potem nagle zrozumiała, że piosenka Edmonda jest przeznaczona dla niej, że brat chce jej coś powiedzieć.

Dobrze znała tę melodię, ale słowa były inne:

Jesteśmy biedne dzieci z małej wioski Saumur.

Nie znamy Paryża, byliśmy tylko w Tours.

Powtarzaj tę bajeczkę, a jeśli się domyśla,

że kłamiesz, idź w zaparte, choćbyś się miała zachłysnąć.

Nasz tata uprawiał grzyby w głębokiej ciemnej jaskini

nim zmarł; a nasza mama spoczywa tuż przy nim.

Nie mamy siostry ni brata, bo sam Bóg ich wziął.

Nazywasz się Eloise, a ja Henri Goyon.

Gdyby cię bić zaczęli albo śmiercią grozili,

udawaj, szaloną, wrzeszcz i płacz, by ci uwierzyli.

A gdyby portret siostry Niemcy ci pokazali,

milcz jak kamień i nie drgnij, bo tak jej życie ocalisz.

Cokolwiek by się stać miało, siostró moja mała,

Daj mi zaraz kuksańca, na znak że mnie zrozumiałaś.

Szturchnęła go mocno w bok, a wtedy Edmond przestał śpiewać i usiadł prosto. Spojrzeli na siebie porozumiewawczo, a Helenę posłała

bratu leciutki uśmiech. Tak, zrozumiała.

Nazywam się Eloise Goyon, a to mój brat Henri, powtarzała sobie w myślach. Catherine i Marie nie są moimi siostrami. Papa i maman nie żyją. Tata hodował pieczarki

w jaskini, takiej jak ta, w której spędzili ostatnią noc. A jeżeli Niemcy zaczną mnie bić, tak jak biGÓną.maman, mam udawać wariatkę albo płakać i wrzeszczeć. To nie będzie trudne, Michelle często narzekała na moje napady złego humoru.

Wyglądali przez odkryty tył budy, ale widzieli jedynie następną ciężarówkę i czarne szkielety drzew wzdłuż szosy.

Raz, kiedy skręcali, dostrzegli w przelocie zamarznąłą rzekę. Z jej wielkości wywnioskowali, że to nie mogła być Loara, tylko jeden z mniejszych dopływów. Potem nagle dotarli do głównej kwatery Niemców. Helenę zachwyciła się starym zamkiem. Ależ oczywiście, pomyślała, naziści zawsze biorą sobie to, co najlepsze. Jak na przykład ten piękny zamek wzniesiony nad rzeką o brzegach porośniętych wierzbami.

Stara budowla z białego kamienia wznosiła się dumnie nad zamarznąłą wodą. Helenę podziwiała narożne wieżyczki, masywne gzymsy, machikuły i długie podwójne okna przedzielone

kamiennymi słupkami. Małe okrągłe okienka ozdabiały zielone mansardowe dachy, z których sterczały liczne kominy.

Ten zamek był tak samo piękny jak przed wiekami, chociaż teraz Niemcy odcisnęli na nim swoje piętno. Część włoskich ogrodów zrównano z ziemią i przekształcono w ohydne parkingi. Po obu stronach schodów wiodących do głównego wejścia stali sztywno wartownicy w szarych mundurach. Olbrzymie flagi zwisały z murów. Królowała na nich wszechobecna swastyka i podwójne SS o ostrych kształtach.

Helena miała się dopiero dowiedzieć, co znaczą te dwie litery.

Burta ciężarówki opadła z trzaskiem i jeden ze strażników szturchnął ich karabinem. Edmond i Helenę zeskoczyli na ziemię. Poprowadzono ich po szerokich, marmurowych schodach, a dwaj wartownicy otworzyli wielkie rzeźbione drzwi.

Edmond i Helenę weszli do ogromnej sali z wysokim sklepieniem. Żadne z nich nigdy przedtem nie widziało tak wspaniałego wnętrza. Ale był to zimny luksus. Pałac nie miał centralnego ogrzewania, tylko olbrzymie, niedające ciepła kominki. Dziewczynka rozejrzała się wokół zafascynowana, podziwiając malowane drewniane belki, stare

gobeliny na ścianach, eleganckie meble z jedwabną tapicerką i błyszczący parkiet. Do tych pięknych rzeczy zupełnie nie pasowało brzydkie, funkcjonalne wyposażenie, niezbędne w

wojskowym biurze. Metalowe szafki i sieć kabli telefonicznych stanowiły absurdalny dysonans w stosunku do wytwornego złożonego drewnianego biurka.

Żołnierze eskortujący dzieci wyprężyli się na baczność i sztywno zasalutowali łysemu oficerowi z monoklem w oku. Nastąpiła krótka wymiana zdań po niemiecku, ale Helenę nic nie rozumiała. Po chwili oficer kiwnął głową, podniósł słuchawkę telefonu i

cicho coś powiedział. Chwilę później pojawił się młody jasnowłosy Niemiec. Podpisano i wymieniono jakieś dokumenty i ci, którzy ich przyprowadzili, wyrzucili do przodu prawe ręce.

- Heil Hitler! - zawołali chórem.

Oficer niedbale machnął ręką, odwzajemniając pozdrowienie.

- Heil Hitler! - mruknął obojętnie.

Dwaj żołnierze odwrócili się jednocześnie i wymaszerowali.

Teraz przejął ich jasnowłosy młody Niemiec. Poprowadził Edmonda i

Helenę przez zamek. Minęli imponujące schody z rzeźbioną balustradą, skręcili w prawo w ponury korytarz, a potem ruszyli na dół po znacznie mniej wytwornych stopniach, które niewątpliwie prowadziły do pałacowych podziemi.

Zamknięto ich w okrągłej brudnej izbie, która najprawdopodobniej znajdowała się w jednej z narożnych wież. Wilgotna i zimna piwnica nie miała okien, śmierdziało tu stęchlizną. Jaskrawe, rażące w oczy światło pojedynczej żarówki zwisającej z sufitu rozjaśniało białe zagrzybione ściany.

Najgorsze jednak ze wszystkiego było oczekiwanie. Helenę i Edmond siedzieli

tu już pół dnia. Wskazano im twardą drewnianą ławę naprzeciwko wielkiego stołu, za którym stało krzesło przykryte gobelinem i wyglądające na bardzo stare. Dziewczynce strasznie chciało się do łazienki, ale ilekroć o tym mówiła, strażnik patrzył na nią niewidzącym wzrokiem. Pomyślała, że nie znał francuskiego.

Za każdym razem, gdy za drzwiami rozlegały się czyjeś kroki, Helenę podnosiła głowę, pełna nadziei i strachu. Nadziei, że może ktoś przyjdzie, aby ich uwolnić; strachu, że równie dobrze może to być początek końca. Ale ten ktoś zawsze mijał ich celę, a potem otwierały się i zamykały jakieś inne

drzwi na korytarzu.

Podniosła wzrok chyba po raz setny. Znowu usłyszała głosy i kroki na zewnątrz. Potem nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem, a strażnik poderwał się na równe nogi. Do piwnicy weszło dwóch Niemców w szarych mundurach. Za nimi maszerował trzeci, chyba mniej ważny; był gruby i miał czerwoną twarz. A za nim...

Helena otworzyła szeroko oczy ze strachu. Czowała, że cała się trzęsie. Edmond trącił ją łokciem, ostrzegając, by zachowała spokój. Próbowwała opanować panikę i udawać spokojną. Ale jak długo jej się to uda? Była chora z przerażenia.

Chora, ponieważ Niemiec w nieskazitelnym czarnym mundurze i czarnych, lśniących, wysokich do kolan butach okazał się aż nazbyt znajomy. Jego okrutna długa i wąska twarz przypominająca trupa czaszkę wyryła się w pamięci Helenę. Wargi miał blade, bez kropli krwi, a skórę białą i przezroczystą. Podbródek przecinała szrama. Daszek nisko zsuniętej czapki zasłaniał mu oczy, ale Helenę mogła je przelotnie dojrzeć. Z owych diabelskich oczu biło okrucieństwo.

To on pluł w twarz maman.

To on powiedział swoim ludziom:
„Pokażcie jej, jak karzemy kłamców i

zdrajców”.

Był ucieleśnieniem zła.

Wszedł do pokoju i rozejrzał się wokół, osłaniając oczy palcami. Zrobił gwałtowny ruch ręką w kierunku żarówki pod sufitem.

Gruby sierżant wyprostował się gwałtownie, wypchnął pierś do przodu i wciągnął brzuch.

- Zu befehl, Herr Obersturmbannführer!
- wykrzyknął. Natychmiast przycisnął pulchnymi palcami wyłącznik i w izbie zrobiło się ciemno.

Teraz wpadało tu tylko światło z

korytarza. Na jego tle Niemcy wyglądali jak mroczne demony z piekła rodem. Stali, rzucając groteskowe cienie na kamienną posadzkę. Łatwo było sobie wyobrazić, że niesamowite żółte światło spod drzwi to odbłask piekielnych ogni.

Sierżant z czerwoną twarzą wyszedł spieszenie i zniknął w korytarzu, stukając głośno obcasami wysokich butów. Po chwili wrócił, niosąc lampę, zapewne jedyną, jaką udało mu się tak szybko znaleźć. Miała podstawę z połączanego brązu, przypominającą kształtem wielkie strusie jajo, abażur zaś był z jedwabiu. Sierżant ustawił ją szybko na

wysokim stole i podłączył do gniazdka. Przez jedwabny abażur sączyło się

delikatne światło. W tej ponurej izbie był to raczej dziwaczny widok.

Oficer o białej twarzy usiadł na przykrytym kobiercem krześle, zakładając nogę na nogę, a tamci stanęli sztywno pod ścianą. Ponownie machnął dłonią rozkazująco. Natychmiast zbliżył się doń sierżant i usłużnie podał mu kartkę.

Błady oficer ujął papier i oglądał go uważnie. W świetle lampy Helenę dojrzała od spodu, na co tak patrzył. Wstrzymała oddech. Z drugiej strony arkusika prześwitywały trzy portreciki. Szkice wykonane przez Gisele.

Edmond również zobaczył rysunki.

Dotknął stopy siostry, próbując dodać dziewczynce otuchy.

Różowe oczy Niemca przesuwały się od szkieł do dzieci i z powrotem. Na białej twarzy mężczyzny odbiło się niezadowolenie i wahanie.

Odwrócił się i spojrzał na sierżanta.

- Es könnte diese Kinder sein -
powiedział. - Ich weiss nicht. Jeder, der
Sie gesehen hat, hätte diesen Gleichnisse
geschworen. Aber - ze złością
potrząsnął kartką - Ich bin nicht
zufrieden. - Spojrzał zimno na sierżanta.
- Schmidt! Holt das Mädchen!*

- Jawohl, Herr Obersturmbannführer. -

Sierżant stuknął obcasami i jeszcze raz wybiegł z piwnicy.

* To mogą być te dzieci. Nie wiem. Każdy, kto je widział, twierdził, że rysunki uchwyciły podobieństwo. Więc nie jestem zupełnie przekonany. Schmidt! Przeprowadzić tu tę dziewczynę! (niem.)

Schmidt, powtórzyła w myślach Helenę. To musi być nazwisko sierżanta. Oficer o białej twarzy przesunął po niej uważnym wzrokiem. Potem wysunął palec w rękawicze w stronę Edmonda.

- Jak się nazywasz? - odezwał się po francusku z okropnym akcentem, który Helenę tak dobrze pamiętała.

- Henri Goyon - odpowiedział spokojnie Edmond. Jego głos brzmiał całkiem normalnie, ale Helenę czuła, jak bratu zadrżały nerwowo kolana.

Palec Niemca nagle przesunął się na nią. Różowe oczy wpatrywały się teraz bacznie w Helenę.

- A ty jak się nazywasz?

- Eloise Goyon - odpowiedziała z godnością. Niemiec odchylił się w tył i splótł dłonie. W zamyśleniu lustrował Helenę od stóp do głów.

- Gdzie mieszkasz, Eloise Goyon? - zapytał zimno.

- W Saumur.

- Gdzie jest wasza matka? Dziewczynka pociągnęła nosem. -Maman nie żyje.

- A ojciec?

- Też nie żyje.

- Co robił?

- Pracował pod ziemią. Niemiec spojrzał na nią ostro.

- Był w podziemiu?

- Nie, monsieur - wtrącił się Edmond. - Pracował w jaskini.

Różowe oczy zmrużyły się podejrzliwie i Helenę niemal czuła bijące z nich okrucieństwo.

- W jaskini?

- Oui, monsieur - potwierdziła. - Papa uprawiał pieczarki. O, takie jak ta. - Odruchowo sięgnęła szybko do kieszeni po jeden z grzybów, które znaleźli dwa dni temu, i wyciągnęła go w kierunku oficera.

Niemiec zmarszczył nos i machnął ręką, kazując Helenę zabrać pieczarkę. Potem odwrócił się i spojrzał na tamtych dwóch, którzy z nim przyszli. Obaj skulili się pod ścianą, widząc jego niezadowolenie. Helenę modliła się, aby

oficer uznał w końcu, że tylko traci czas. Może uda im się go przekonać, że nie są tymi, których szuka. Zwłaszcza że szkice ich dwojga nie były zbyt wierne. W dodatku teraz mieli zupełnie inne fryzury.

Po chwili z korytarza dał się słyszeć odgłos kroków dwóch osób. Widocznie ten sierżant prowadzi kogoś do piwnicy, pomyślała Helenę. Ciekawe kogo. Stukot kroków rozlegał się coraz bliżej.

- Mach 's schnell*! - krzyczał do kogoś Schmidt.

- Przecież już idę! - odpowiedział cichy głos.

Serce dziewczynki gwałtownie
załomotało. Rozpoznała ten głos.

* Idź szybciej! (niem.)

To Catherine.

A więc i ją złapali! Helenę zamarła,
zdając sobie sprawę z tego, co teraz
nastąpi. Niczego niepodejrzewająca
Catherine wejdzie do piwnicy i zarzuci
im obojgu ręce na szyję. W ten sposób
wyda ich Niemcom. Będzie to pocałunek
Judasza. Pomimo całej miłości.

Cicho, tak bardzo cichutko, że ledwie
można go było usłyszeć, Edmond zaczął
nucić tę samą melodię co wcześniej, w
ciężarówce.

Próbował coś powiedzieć. Ale co?
Helenę zastanawiała się gorączkowo.
Nagle przypomniała sobie słowa tamtej
piosenki:

A gdyby portret siostry Niemcy ci
pokazali, milcz jak kamień i nie drgnij,
bo tak jej życie ocalisz.

Nagle zrozumiała. Mówił jej, że mają
się wyprzeć Catherine. Nie wolno im
okazać, że ją znają. Helenę spojrzała z
wahaniem na drzwi, a serce ścisnęło jej
się z bólu. Musiała udawać, że to ktoś
obcy, a nie jej najstarsza siostra!

Helenę czuła się okropnie. Pragnęła
wybiec na korytarz i uściskać Catherine.
Ale okoliczności wymagały, by się od

niej odwrócić, zaprzeczyć, że łączą ich więzy krwi.

A jeżeli nawet tak zrobi, czy to pomoże? Helenę i Edmond mogli twierdzić, że jej nie znają, ale przecież Catherine ich rozpozna.

Helenę nie mogła się dłużej zastanawiać, bo tamci stanęli pod drzwiami piwnicy. Sierżant pchnął Catherine i dziewczyna znalazła się w środku.

Rozdział 11

Helenę ze wszystkich sił starała się zachować spokój. Zebrała się na odwagę i z obojętnym wyrazem twarzy

spojrzała na siostrę. To była Catherine, ale dziwnie zmieniona. Wynędzniała i blada, włosy miała związane sznurkiem. Wydawała się jakby nieprzytomna, załamana i obojętna. Miała martwe oczy i pochylone ramiona. Przyciskała do piersi malutką Marie.

- Patrz! - odezwał się urągliwie blady oficer. - Mamy twoje rodzeństwo! Catherine odwróciła się i spojrzała na Helenę. Dziewczynka zauważyła na jej palcu

obrączkę mamany. Wydawało się, że w oczach najstarszej siostry na moment pojawił się błysk, ale trwało to tak krótko, że Helenę mogła się mylić.

- Kto to jest? - wymamrotała apatycznie Catherine.

- Nie poznajesz? - zapytał oficer.
Obojętnie pokręciła głową.

- Nie - wyszeptała chrapliwym głosem. -
A powinnam?

- To znaczy, że nigdy wcześniej ich nie
widziałaś? Znowu pokręciła głową. W
różowych oczach Niemca błysnął gniew.

- Jeżeli się okaże, że kłamiesz, umrzesz.
Wiesz o tym?

- Wiem - odpowiedziała cicho. - I to nie
oni?

Na twarzy Catherine nie widać było żadnych emocji.

- Nie. Już to mówiłam.

- Nie wierzę ci! - warknął oskarżycielskim tonem oficer.

Dziewczyna ze smutkiem wzruszyła ramionami.

- Możecie mi wierzyć albo nie - powiedziała zmęczonym głosem. - Nic mnie to już nie obchodzi.

Niemiec odetchnął głośno. Podniósł się powoli i podszedł do Helenę. Chwycił ją za kołnierz i szarpnął na nogi. Potrząsnął nią brutalnie.

- Czy to twoja siostra?

Helenę spojrzała na Catherine i pokręciła głową. Nagle oficer uderzył ją mocno w twarz. Dziewczynka jęknęła z bólu, zachwiała się i omal nie upadła na stół. Dotknęła dłonią nos i wyczuła palcami coś wilgotnego. Krew.

Niemiec spojrzał na Catherine.

- Dalej ich nie rozpoznajesz? - wrzasnął.

- Nie - upierała się.

Uderzył Helenę ponownie. Tym razem upadła na kamienną posadzkę i przez chwilę leżała, płacząc cicho. Kiedy Niemiec odwrócił głowę, Edmond

pochylił się, by pomóc jej wstać.

Tamten sięgnął do kieszeni i wyjął złotą papierośnicę, a z niej papierosa. W zamyśleniu postukiwał nim w grawerowane wieczko. Sierżant rzucił się usłużnie, by podać ogień.

Oficer z białą twarzą zaciągnął się głęboko dymem, wpatrując się z uwagą w Catherine.

- Połóż dziecko! - rozkazał.

Przez chwilę rozglądała się za jakimś miejscem, gdzie mogłaby ulokować małą. -Na stole!

Zawahała się, a potem ostrożnie

położyła siostrzyczkę na blacie.
Szepnęła coś do niej cichutko i czule
pogładziła maleństwo po główce.

- Odsuń się!

Uśluchała niechętnie; w jej oczach
pojawiło się przerażenie. Oficer podał
papierosa sierżantowi i wskazał na
Marie. Catherine aż się zachłysnęła.

- Nie! - krzyknęła. - Nie! Proszę! -
Chwyciła go za rękaw i szarpnęła z
rozpaczliwą odwagą. - Błagam pana!

Oficer wyszarpnął rękę i uderzył
Catherine mocno w twarz. Na białym
policzku wyraźnie odbił się ślad jego
dłoni. Odwrócił się do Helenę i

Edmonda, a z jego zimnych oczu biło okrucieństwo. Uśmiechnął się ponuro, a potem spojrzał na sierżanta.

- Jetzt!* - rozkazał.

* No już! (niem.)

Helenę patrzyła z przerażeniem, jak Schmidt rozpinał maleńkie ubranko Marie. Powoli przyłożył rozżarzony koniec papierosa do jej brzuszka i mocno przycisnął. Marie wydała z siebie przeraźliwy pisk i zaczęła rozpaczliwie machać nóżkami. Jej krzyki rozbrzmiewały coraz głośniejsze, odbijając się echem od ścian piwnicy. Dwaj oficerowie stojący pod ścianą odwrócili głowy. Po białej twarzy Catherine

spływały wielkie łzy.

Właśnie wtedy Helenę przysięgła sobie w duchu, że jeśli tylko zdoła się stąd wydostać, okrutne bestie zapłacą kiedyś za to, co zrobili. Już ona urządzi to tak, że będą płacić i płacić do końca swoich dni. Nie wiedziała jak. Nie wiedziała kiedy. W ogóle niewiele teraz wiedziała; znała tylko nazwisko sierżanta. To na początek.

- Proszę! - błagała Catherine. -
Zostawcie ją! Z bladych warg oficera zniknął uśmiech.

- Więc jak? Potwierdzasz, że to twoje rodzeństwo? Helenę wstrzymała oddech, wpatrując się w siostrę.

Wydawało się, że Catherine odchodzi w swój własny świat, ale jej głos brzmiał stanowczo.

- Ile razy mam powtarzać? To nie oni.

Błady oficer ze złością uderzył dłonią w stół przewracając lampę. Marie wrzasnęła znowu. Abażur ochronił żarówkę przed stłuczeniem, ale teraz świeciła Niemcowi prosto w oczy.

Odwrócił się od stołu i skinął na sierżanta, by się odsunął. Potem spojrzał na Edmonda i Helenę.

- Wypuścić ich! - warknął po francusku, wskazując oboje.

Helena spojrzała na siostrę. W oczach Catherine na sekundę błysnął wyraz triumfu i natychmiast zgasł.

-I chcę natychmiast mieć nazwiska tych idiotów, którzy ich przyprowadzili - dodał Niemiec podniesionym tonem. - Wysłać ich na front wschodni!

Schmidt odchrząknął i spojrzał pytająco na swojego zwierzchnika, wskazując na Catherine.

- Dziewczynę i dziecko potraktować jak zwykle - odparł poirytowany oficer. - Niech jadą najbliższym transportem do Polski.

Wyraz twarzy Catherine nie uległ

zmianie, ale jej ramiona nie opadały już bezsilnie. Stała wyprostowana, pełna cichej godności. Była to ta sama postawa, którą Helenę często widywała u matki. Maman byłaby z niej dumna.

W następnej chwili Niemiec o białej twarzy wypadł wściekły z piwnicy, tak jakby nie chciał stracić kolejnej cennej sekundy.

Schmidt został chwilę dłużej, podszedł do Catherine i wziął ją za ramię, a ona kiwnęła lekko głową.

Tylko Helenę zauważyła, że siostra zdjęła obrączkę maman z palca. Kiedy pochyliła się, by podnieść Marie, szybko wsunęła złoty krążek pod abażur

wywróconej lampy.

Na chwilę oczy obu sióstr się spotkały.

„Weź obrączkę”, zdawała się mówić twarz Catherine. Helenę nieznacznie kiwnęła głową.

Potem Catherine odeszła.

I znowu Edmond i Helenę szli przed siebie. Wiał silny wiatr, więc ciasno otulili się płaszczami. Nie wiedzieli, gdzie są. W okolicy było pełno pagórków, porośniętych lasem. Chociaż przypuszczali, że znajdują się gdzieś blisko Loary, nie mogli nigdzie dojrzeć rzeki. Zbliżał się zmierzch i niebo jaśniejące między drzewami zmieniało

swoją błękitną barwę na fiolet. Musieli szybko znaleźć schronienie na noc.

Tym, co dodawało siły Helenę, była nienawiść. Pragnęła kiedyś móc odpłacić łotrom, którzy zniszczyli jej rodzinę. Którzy katowali mamą i Marie. Postanowiła się zemścić, nawet gdyby miało to trwać całe lata. Była przecież młoda, mogła poczekać.

Schmidt, powtarzała sobie w myślach. Nie wolno jej zapomnieć tego nazwiska. Gruby, sierżant Schmidt z czerwoną twarzą. Od niego zacznie. Potem odszuka tego bezlitosnego białego oficera. Będzie cierpiał bez końca.

Myśli o zemście były słodkie. Teraz

tylko z nich mogła czerpać siły, tylko te marzenia pozwalały jej przetrwać.

Kiedy wyprowadzono ich z zamku, odczekała, aż znajdą się poza zasięgiem wzroku, i dopiero wtedy oddała Edmondowi obrączkę maman. Wyjaśniła mu, że Catherine wsunęła ją pod abażur, a potem Helenę udało się zabrać złote kółeczko, nie będąc widzianą. Chłopiec zacisnął gwałtownie dłoń na małym krążku, a potem powoli

unosił palec za palcem, patrząc na ich skarb, tak jakby się bał, że obrączka może w każdej chwili zniknąć. Wreszcie podniósł ją do ust i ucałował.

Później twarz mu spochmurniała.

Zamachnął się gwałtownie i rzucił obrączką daleko przed siebie. Złoto błysnęło raz jeszcze, zanim znikło w odległych zaroślach.

Edmond opadł na kolana i przycisnął twarz do zamarznętej ziemi. Trząśnięcie się i szlochał głośno. Helenę stała bezsilna, nie umiejąc mu pomóc. Po jej policzkach spływały łzy. Zastanawiała się, co zrobiła źle.

Gasły już ostatnie światła dnia, gdy zobaczyli przed sobą długą wąską polankę. Przebiegała tędy linia kolejowa. Helenę i Edmond ruszyli wzdłuż szyn i spędzili noc ukryci w opuszczonej zimnej szopie. Usiedli na jakichś walających się narzędziach i

zjedli kilka pieczarek. Były zmarznięte i kaleczyły dziąsła, ale po dokładnym pogryzieniu dało się je połknąć. W każdym razie wypełniły nieco pustkę w żołądku. Potem oczyścili część podłogi, zrobili sobie legowisko z jakichś starych szmat i kawałków brezentu i zasnęli przytuleni do siebie.

Nie był to spokojny sen. Kiedy tylko Helenę przymknęła oczy, zaatakowały ją koszmarne wizje. Zobaczyła Paryż, ale nie ten, który знаła. Miała przed sobą groteskowy, koszmarny obraz miasta, w którym dzwonnica Sacré Coeur przypominała czarny ponury minaret, a mosty gdzieś zniknęły. Rozległy otwarty Place Vendôme stał się przerażająco

wąski i ciemny jak jakiś średniowieczny zaułek, a Lasek Buloński wypełniały zdradzieckie skały i monstrualne drzewa z potężnymi, powyginanymi korzeniami. Potem w jej śnie pojawiło się Saint-Nazaire, bardzo dziwne, bo wyglądało jak piękny Paryż, który pamiętała. A potem rozległ się okropny hałas. Ziemia i budynki zadrżały, a całe Saint-Nazaire zawałiło się gwałtownie. Helenę obudziła się nagle zrana potem.

Była ciemna noc i po torach przejeżdżał z hukiem pociąg. Więc to dlatego widziała we śnie trzęsienie ziemi. Szopa nadal drżała. Helenę podniosła się, otworzyła drzwi i wyjrzała. Owiało ją lodowate powietrze. W czarnej jak

smoła nocy ulatywały w niebo tysiące czerwonych iskier. Ta piekielna wizja tak bardzo przerażyła Helenę, że dziewczynka zamknęła szybko drzwi, ułożyła się obok brata i zakryła oczy dłońmi. Nawet nie wiedziała, kiedy zasnęła. I koszmar pojawił się znowu.

Tym razem otaczała ją czarna, rozległa przestrzeń. Dookoła widziała unoszące się wysoko czerwone iskry. Potem zorientowała się, że się poruszały... powoli leciały w jej stronę. Kiedy znalazły się blisko, spostrzegła swoją pomyłkę. Nie były to iskry, tylko oficerowie niemieccy o białych twarzach, którzy wymachiwali rozzarzonymi papierosami. Patrzyła

przerazona, jak ku niej biegli. Im byli bliżej, tym większe ciepło czuła od ich papierosów. Próbowwała się odsunąć, ale otoczyli ją ciasnym kołem. Byli coraz bliżej i bliżej.

I nagle runęli do przodu: gorący popiół papierosów parzył jej skórę i wypalał głębokie dziury.

Zaczęła wrzeszczeć przeraźliwie, a wtedy usłyszała głos Edmonda:

- Helenę! Obudź się! Obudź się! To tylko zły sen! - wołał.

Otworzyła oczy i przycisnęła się do brata, drżąc cała ze strachu. Edmond pogładził ją łagodnie po głowie.

Nadchodził świt i niebo zrobiło się już szare.

Kiedy się uspokoiła, zjedli jeszcze kilka pieczarek. Potem powędrowali dalej wzdłuż torów. Nie mieli pojęcia, dokąd idą. Wiedzieli tylko, że muszą się kierować na zachód. Ciągle na zachód. Kiedy słyszeli, że zbliża się pociąg, szybko schodzili w las, kryli się za drzewami i czekali, aż przejedzie. Helenę zauważyła, że w większości były to pociągi towarowe; długie sznury wagonów i platform wyładowanych jakąś potężną maszyną.

Po południu tory doprowadziły ich do stacji przeładunkowej na przedmieściach dużego miasta.

Dostrzegli tablice z nazwą; teraz wiedzieli, gdzie są: w Angers.

Pośrodku placu przeładunkowego wznosiła się wysoka, brzydka wieża kontrolna. Olbrzymie okna u góry dawały rozległy widok na wszystkie strony. Od czasu do czasu Helenę mogła dostrzec sylwetki ludzi w środku. Byli to kolejarze kierujący ruchem pociągów.

Kiedy stanęli na odległym krańcu placu, płatanina szyn rozdzielała się właśnie na dwa pojedyncze tory. Edmond położył dłoń na ramieniu Helenę.

Przystanęła posłusznie i spojrzała na niego.

- A może byśmy tak wsiedli do któregoś pociągu? - zapytał z namysłem.

- To znaczy... pojechali nim?

- Tak. Trzeba tylko wybrać taki, który kieruje się na zachód, i dostać się do wagonu. Muszą się tu zatrzymać, czekając na sygnał do dalszej drogi. Rozumiesz? - Wskazał długi pociąg towarowy, który właśnie przystanął. Mieli wrażenie, że lokomotywa zaraz uniesie się w powietrze na chmurze pary. Kiedy tak patrzyli, nastąpiła zmiana świateł i posapujący parowóz zaczął dalej ciągnąć swoje brzemie.

Helene spojrzała na brata.

- Czy pociąg zabierze nas do Saint-Nazaire? - zapytała z nadzieją w głosie. Chłopiec wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Ale na pewno kawałek nas podwiezie.

- A jeżeli gdzieś skręci i zboczymy w złym kierunku? Co wtedy?

- Będziemy musieli wyskoczyć.

Niecałą godzinę później znaleźli się w wagonie towarowym, do połowy wypełnionym olbrzymimi pakami. Drzwi były niedomknięte i przez szparę widzieli uciekający w tył krajobraz. Późnym popołudniem pociąg został skierowany na jakąś bocznice i tam się

zatrzymał. Helenę obserwowała, jak dźwigi umieszczały na platformach olbrzymie stożkowate cylindry z szarego, ciemnego metalu, które od spodu miały jakieś gładkie elementy podobne do płetw rekina. Edmond wyjaśnił, że to bomby raketowe. Wokoło pełno było umundurowanych Niemców. Niektórzy szli wolno wzdłuż pociągu, rozsuwali drzwi wagonów towarowych i zaglądali do środka.

- Idą w naszym kierunku - wyszeptał Edmond. - Musimy szybko wyskoczyć, zanim nas tu znajdą.

Ostrożnie rozsunął nieco drzwi po przeciwnej stronie i wyjrzał. Z tej strony pociągu nie było już następnych szyn.

Strome, pokryte zaroślami wzgórze opadało prawie do torów. Ostrożnie wyskoczyli z wagonu i wdrapali się na górę. Przez chwilę wędrowali po zboczu, ale po kilkudziesięciu metrach zatrzymali się gwałtownie. Mieli przed sobą stromą krawędź opadającą gwałtownie w dół do wyschniętego, pokrytego ogromnymi głazami koryta rzeki. Nie mogli tedy zejść ani przedostać się na drugą stronę, aby ponownie wspiąć się na pionowe urwisko. Musieli znaleźć inną drogę. Jakieś dwieście metrów dalej, po lewej stronie, ujrzeli dziwną konstrukcję, jakby most przerzucony nad otchłanią. Porastały ją drzewa i krzewy,

nadające całej budowli dziwaczny, nierealny wygląd.

- Co to jest? - zapytała Helenę.

- Akwedukt - wyjaśnił Edmond. - Rzymianie doprowadzali nimi wodę do miast.

- Biegnie na zachód - zauważyła.

Podeszli ku niemu. Kiedy znaleźli się bliżej, dziewczynka zamarła z trwogi. Z daleka akwedukt wydawał się wąski, ale mocny i stabilny. Z bliska sprawiał wrażenie, jakby miał się natychmiast zawalić. Brakowało licznych kamieni, wszędzie prześwitywały dziury, nie było żadnej balustrady - tylko nisko

zawieszony łańcuch sięgający ledwie kostek Helenę. Kanał, którym kiedyś płynęła woda, teraz wypełniały śmieci z ziemią, z której wyrastały drzewa i krzewy.

Edmond odważnie wszedł pierwszy na wąską krawędź i ruszył przed siebie. Helenę ociągała się, spoglądając na brata z obawą. Akwedukt po prostu wisiał nad przepaścią; nie miał żadnych wsporników. Spojrzała w dół na wyschnięte koryto rzeki i szybko odwróciła wzrok.

To byłby długi lot.

Edmond odwrócił się ku niej.

- No? - spytał. - Na co czekasz?

- On... on jest strasznie wysoki -
wyjąkała zakłopotana.

Popatrzył na nią przez chwilę bez słowa.
Wreszcie odezwał się łagodnie:

- Jest bezpieczny - zapewnił ją. -
Przecież stoi tu już ponad tysiąc lat.
Niemożliwe, żeby właśnie teraz miał się
zawalić. - Kiwnął ręką, wskazując, by
siostra szła za nim. -Chodź.

Helena niepewnie zrobiła kilka małych
kroków i natychmiast zdała sobie
sprawę z tego, że jest gorzej, niż
przypuszczała. Musieli szukać przejścia
między gałęziami drzew i krzaków, a

chwilami posuwali się po samej krawędzi akweduktu.

Nagle dziewczynka zatrzymała się w pół kroku. Zakręciło jej się gwałtownie w głowie. Nie mogła się ruszyć. Nigdy tędy nie przejdę, pomyślała przerażona.

Edmond odwrócił się ponownie.

- Na miłość boską, Helenę! - zawołał przez ramię. - Chodź! Nie chcesz dotrzeć do Saint-Nazaire?

To pomogło. Zmusiła się, by pokonać strach, i powoli ruszyła za bratem. Ręce miała wilgotne i cała była zlane potem. Nie wolno patrzeć w przepaść, powtarzała sobie raz po raz. Będzie

dobrze, dopóki nie spojrzę w dół!

A więc patrzyła na plecy Edmonda i naśladowała każdy jego ruch. Kiedy brat omijał dziury w akwedukcie, obchodziła je tak jak on. Kiedy wdrapywał się na sterty gruzu, robiła to samo.

Wiał silny wiatr. Jego gwałtowne porywy, chwilami pozbawiały ich równowagi.

W końcu ostrożnie opadli na kolana i prawie pełzali. W pewnej chwili Helenę trąciła dłonią obluzowany kamień, który przeleciał przez krawędź. Po czasie, który wydał jej się wiecznością, rozległo się głucho uderzenie. Powoli poczołgała się dalej.

Byli w połowie drogi, gdy usłyszała stukot pociągu. Spojrzała pod wiatr i zobaczyła w oddali most kolejowy. Z tego miejsca wyglądał jak miniaturowy model zrobiony z maleńkich zardzewiałych kawałków drutu. Nagle pojawiła się na nim lokomotywa z wolna przesuwaną się po szynach. Zapewne był to ten sam pociąg, z którego wyskoczyli wcześniej. Ciągnął platformy wyładowane złowieszczo wyglądającymi cylindrami. Lokomotywa znajdowała się już w połowie mostu, a Helenę wciąż nie widziała ostatniego wagonu. Był to naprawdę długi pociąg.

Patrzyła nań, żałując, że nie znajduje się w środku. Wolałaby pokonać tę

przepaść, siedząc bezpiecznie w wagonie, zamiast czołgać się po akwedukcie.

Jednak po chwili zmieniła zdanie.

Gdzieś w górze dał się słyszeć monotony warkot. Dziewczynka spojrzała w niebo. Spośród chmur wynurzył się samolot i pikował w dół prosto na most. Nagle z pociągu wyskoczyły małe figurki; był to chyba cały batalion Niemców. Helenę usłyszała ostre trzaski serii z pistoletów maszynowych i szczęk karabinów. Rozległ się przeraźliwy, złowieszczy gwizd.

- Padnij! - krzyknął Edmond. - Leż

płasko i nie unosi głowy!

Zrobiła, co kazał, ale odwróciła twarz na bok, by widzieć most. Dostrzegła, jak z samolotu wypadł jakiś duży przedmiot. Cokolwiek to było, zdawało się leniwie unosić w powietrzu. Chwilę później Helenę zrozumiała, że to bomba.

Ta pierwsza nie trafiła w most i poleciała w przepaść. Ziemia zadrżała nagle, gdy w dole rozległa się potężna eksplozja. Gruz, ogień i dym uniosły się w powietrze. Helenę wrzasnęła. Pomimo huku wybuchu wyczuła drżenie akweduktu. Kamienie pod nią uniosły się i opadły. Wreszcie uspokoiły się z niemal słyszalnym westchnieniem. Helenę widziała, jak część krawędzi

odpadła i zniknęła gdzieś w dole.

Kiedy pył opadł, a dym się rozwiął, zobaczyła w oddali most. Stał nienaruszony, a pociąg wciąż posuwał się naprzód! Gdy Niemcy ujrzeli nadlatującą bombę, ukryli się pod wagonami, a teraz się podnosili. Jeden z żołnierzy zwisał z belki mostu i wymachiwał nogami w powietrzu. Helenę widziała, jak runął w otchłań, ześlizgując się w dół po niewidzialnej spirali.

Znowu rozległ się warkot i zza chmur wyłonił się następny samolot. Helenę zaczęła się modlić. Ten drugi również opuścił się w kierunku mostu, ostrzelał

go i zrzucił bombę. Ponownie rozległ się okropny gwizd i ziemia zadrżała. I znowu. I jeszcze raz. Gruz unosił się i opadał wokół nich, a każda eksplozja wprawiała kamienie akweduktu w straszny taniec.

Wreszcie któraś z bomb trafiła w cel. W jednej krótkiej, rozświetlonej ostrym blaskiem sekundzie most runął. Pociąg uniósł się w powietrze niczym wąż, a potem opadł w otchłań. Nastąpiła straszliwa, niewyobrażalna eksplozja. Jeden po drugim wybuchały pociski raketowe.

Akwedukt zatrzęsł się gwałtownie. Kamienie uderzały o siebie niczym miliony szczękających zębów. Skały,

ziemia i kawałki pociągu opadały dookoła jak deszcz. Powykręcany fragment szyny przeciął ze świstem powietrze i utkwiał nie dalej niż pięć metrów od Helenę, na wąskiej krawędzi budowli. Wbił się w kamienie jak gniewny, drżący wąż.

Nagle Helenę poczuła woń płonących włosów. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę z tego, że to ona tak cuchnie. Jej włosy spalił odległy wybuch.

Potem zapadła głucha, porażająca cisza, jakiej Helenę nie słyszała nigdy wcześniej. Przepaść, nad którą wcześniej wisiał most, wydawała się teraz trzy razy szersza. Most i pociąg

zniknęły. Spalone, potrzaskane szczątki leżały pośród skał i gruzu.

Ten transport bomb nigdy nie dotrze na wybrzeże i nigdy nie spadnie na Londyn.

I wtedy Helenę zaczęła łkać.

Początkowo cicho, a potem coraz głośniej, aż w końcu cała trzęsła się od płaczu.

Szlochała z żalu nad sobą, Catherine, maman. Opłakiwała most, Paryż i całą Francję. Edmond podczołgał się do niej.

- Nic ci się nie stało? - zapytał łagodnie. Uniosła głowę i popatrzyła na niego przez łzy.

- Nie - zdołała wykrztusić. - A tobie?

- Mam kilka zadrapań, ale to nic poważnego.

To był cud; wyszli z tego koszmaru bez szwanku. Nie wyglądali najlepiej, mieli popalone włosy i zaczerwienione twarze. Ale włosy odrosną. Nie byli też zbyt mocno poparzeni. Tak, to prawdziwy cud.

Helena przestała płakać i przetarła oczy, szepcząc w myślach dziękczynną modlitwę. Potem, nie tracąc czasu, poczołgali się dalej. Teraz w ogóle nie myślała o akwedukcie. Lęk przed wysokością był niczym w porównaniu z grozą, którą właśnie przeżyli.

Pięć minut później stali po drugiej stronie przepaści. Przez długą chwilę w milczeniu rozglądali się dookoła. Potem ruszyli dalej. Uszli zaledwie kilka kroków, kiedy zostali otoczeni przez kilkunastu mężczyzn, którzy kierowali w ich stronę broń. Helenę naliczyła ich tuzin.

Nie, westchnęła w myślach, mając wrażenie, że tonie. Tylko nie szkopy. Nie po tym, co już przeżyliśmy.

Nie zauważyła, że tamci opuścili karabiny. Nie dostrzegła obszarpanych ubrań, jakie mieli na sobie zamiast mundurów. Czuła tylko nienawiść i strach. Obie te emocje tkwiły w niej już zbyt długo i teraz wybuchły z siłą

rozpaczy. Rzuciła się na najbliższego mężczyznę i z furią zaczęła go walić po brzuchu zaciśniętymi pięściami. Kopała, drapała i biła. Stał jak sparaliżowany, patrząc na nią bez słowa.

- Mój Boże! - zawołał ktoś miękko gwarą z Touraine. - To dzikuska! Zwierzę!

Dzikuska? Zwierzę? Obróciła się w kierunku tego głosu. Co ten idiota może wiedzieć? I dlaczego mówi tak dobrze po francusku? Nagle pojęła. To zdrajca! Splunęła. Kolaboranci to gorsze świnie niż Niemcy. Zaatakowała go z furią, bijąc, dopóki nie opadła z sił. Wtedy popatrzyła na niego i zauważyła, że

mężczyzna jej się przygląda, nie z bólem, ale z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

Będzie cię bolało, ty draniu, myślała. Zaraz zobaczysz! Pochyliła się, złapała wielki kamień, zachwiała się i zaczęła unosić go nad głową. Chciała cisnąć nim w zdrajcę. Zabić go jak pluskwę. Ale mężczyzna bez wysiłku odebrał jej kamień i odrzucił go daleko.

Nagle Helenę zaczęła drzeć. Jaki to wszystko ma sens, zapytała samą siebie. Schwytali ich jeszcze raz. I nie miała już sił, nie mogła walczyć. Znaleźli się w potrzasku i to było gorsze, niż mogła znieść. Poświęcenie Catherine i Marie okazało się daremne.

Zrobiło jej się słabo i opadła na ziemię. Łzy spływały po jej policzkach. Zaczęła wyć jak śmiertelnie zranione zwierzę.

- Nie bójcie się nas, jesteśmy przyjaciółmi - powiedział łagodnie mężczyzna o ostrych rysach. Przykucnął obok Helenę i spojrzał jej w twarz. - Skąd się tu wzięliście?

Popatrzyła nań w milczeniu. Nie odezwie się do nich. Nie piśnie ani jednego słówka. Nawet gdyby ją torturowali. Gdyby ją przypalali jak Marie.

- Skąd jesteście? - Mężczyzna zwrócił się teraz do Edmonda.

- Z Paryża - odpowiedział chłopiec.
Jego głos docierał do Helenę jak przez mgłę, z oddali, jak we śnie. Fragmenty obrazów oddalały się od siebie, zbliżały, znowu oddalały.

- Z Paryża! - wykrzyknął mężczyzna. -I przyszliście aż tutaj? Sami? Jak się nazywasz.

- Edmond Junot.

- A ona? - Wskazał na Helenę, ale nie widziała tego, bo znowu ogarnął ją mrok.

- To moja siostra Helenę. Nasze pozostałe dwie siostry i matka zostały uwięzione przez szkopów. Niemcy

szukają nas wszędzie. Ogłosili w gazetach, że nas porwano, ale to nieprawda! Chcą nas złapać, bo zabiliśmy dwóch żołnierzy. Maman przechowywała u nas w domu nadajnik. Od tego się zaczęło. To bohaterstwo z jej strony, że zgodziła się ukrywać ten nadajnik, prawda?

- Prawda - potwierdził mężczyzna o ostrych rysach. - Wasza matka walczyła za kraj. Możecie być z niej dumni.

Maman! Nagle Helenę zobaczyła przed sobą jej zamgloną postać. Próbowwała jej dotknąć, ale nie miała siły podnieść rąk. Potem obraz się rozwiął. To nie była maman... tylko tamten mężczyzna. A Edmond z nim rozmawiał. Poczowała się

zagubiona.

- Więc jesteście tymi rzekomo porwanymi dziećmi - powiedział mężczyzna zamyślony. - I zdołaliście się ukrywać przez ten cały czas?

Edmond kiwnął głową.

- Idziemy do naszej ciotki - wyjaśnił.

- To znaczy dokąd?

- Do Saint-Nazaire. Mężczyźni wymienili spojrzenia.

- To jeszcze daleko - zauważył w końcu jeden z nich.

Potem Helenę zapadła się w ciemność. Zapamiętała tylko to, że mężczyzna o ostrych rysach wziął ją na ręce. Czowała od niego zapach potu, ale wydało jej się to nawet przyjemne.

- Chodź z nami, dzielna mała Francuzeczko - wyszeptał miękko. - Dopilnujemy, żebyś bezpiecznie dotarła do Saint-Nazaire.

DZISIAJ Środa, 10 stycznia

Rozdział 1

Kwadrans po dziesiątej rano Helenę Junot weszła do pokoju konferencyjnego i cicho zamknęła za sobą drzwi. Miała na sobie kostium Chanel w kolorze

szampana, a włosy jak zwykle upięła w kok. Jediną biżuterią, jaką na dziś wybrała, była olbrzymia złota broszka w klapie żakietu.

Członkowie zarządu siedzieli już przy stole. Zanim weszła, słyszała, jak rozmawiali ze sobą, ale teraz nagle w pokoju zrobiło się cicho. Uśmiechając się z przymusem, Helenę ruszyła do swojego miejsca u szczytu stołu. Stała przez chwilę z dłońmi opartymi o blat z teko we go drewna. Obrzuciła ich wszystkich baczny, oceniającym spojrzeniem.

Siedzieli na swoich zwykłych miejscach. Von Eiderfeld chronił oczy okularami przeciwsłonecznymi, ale i tak

ulożony jak najdalej od stołu rozjaśnionego jaskrawym światłem wiszących nad nim lamp. Miejsce obok niego zajmował hrabia, który posłał Helenę drwiące spojrzenie. Miał jak zwykle czerwoną twarz i dostrzegła, że ręce mu drżały. Obok, jak elegancka, czarna wdowa, siedziała Z.Z. W czarnym jedwabnym kostiumie i długich skórzanych rękawiczkach. Mały kapelusz z woalką zakrywał jej oczy. Uśmiechała się nieprzyjemnie, paląc papierosa, którego dym unosił się szarymi smugami. Naprzeciw niej d'Itri ze znudzonym wyrazem twarzy bezmyślnie mazał coś na kartce papieru.

Sfinks czekała w pogotowiu, żeby

sporządzić protokół zebrania. Siedziała w odległym kącie gabinetu; na kolanach położyła notatnik, w ręku trzymała pióro.

Nagle otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł energicznym krokiem Edmond. Bez słowa usiadł obok Julie.

Gdy Helenę spojrzała na niego, prawie niedostrzegalnie potrząsnęła głową. Starła się ukryć zawód i wyglądać po prostu na zamyśloną. Edmond właśnie wrócił ze spotkania w Manhattan Bank. Pojutrze upłynie termin spłaty dziesięciomilionowej pożyczki zaciągniętej przez Helenę. Edmond próbował uzyskać prolongatę.

Tym ruchem głowy przekazał siostrze wszystko, co musiała wiedzieć. Nie będzie przesunięcia terminu płatności. O ile nie zdarzy się jakiś cud, bank zabierze depozyt -dwadzieścia procent akcji Helenę Junot International, Inc. - i rzuci je na pożarcie sępom. Albo oferującej najwyższą cenę osobie, której w ogóle nie znała. Tak czy inaczej, wyjdzie na to samo, Helenę utraci kontrolę nad przedsiębiorstwem. Pozostali zdobędą sześćdziesiąt dziewięć procent udziałów, a jej trzydzieści jeden nie będzie miało znaczenia. Połączeni nienawiścią i chęcią zemsty wystąpią przeciwko Helenę; tym razem zyskają wystarczające siły, by ją zwyciężyć.

Prawie na pewno wybiorą nowego prezesa. Była to druzgocząca perspektywa, ale Helenę musiała się z nią zmierzyć. Zresztą Hubert posunął się już do tego, by ją wypowiedzieć na głos.

Jego plan - lub kogoś innego z nich - zajęcia jej gabinetu i kierowania HJII budziły w Helenę odrazę. Czuła się jak matka, której chcą odebrać dziecko. Przecież HJII to jej dzieło.

Ale nie pora na okazywanie emocji. Musiała być spokojna i beznamiętna. Opanowana.

Odetchnęła głęboko jak aktorka przed wejściem na scenę.

- Dzień dobry - zaczęła. Jej dźwięczny głos był czysty, obojętny. Bez śladu wewnętrznego napięcia. - Witam wszystkich członków zarządu obecnych na dzisiejszym zebraniu. Wiem, że wasz czas jest cenny, proponuję zatem, abyśmy zajęli się sprawami przewidzianymi w porządku dziennym. Zdecydowanie nalegam, żebyśmy nie odbiegali od ustalonego harmonogramu jak ostatnim razem. Jednakże - spojrzała na Huberta, który wykrzywił się do niej rozbawiony - chcę, żebyście wiedzieli, że dostrzegam wasz krytyczny stosunek do tego, jak kieruję moim wydawnictwem. Obawiam się, że niewiele mogę poradzić na zastrzeżenia dotyczące mojej osoby. Ale kiedy tylko

znajdę na to czas, przemyślę zarzuty związane bezpośrednio z polityką wydawniczą HJII.

Teraz przejdziemy do pierwszego punktu porządku dziennego. Każde z was ma przed sobą plan wydawniczy na bieżący rok. Chciałabym, abyśmy go przedyskutowali. -Helenę usiadła, sięgnęła po swoje dokumenty i popatrzyła na pierwszą stronę.

Wszyscy pozostali wpatrywali się w otrzymane materiały, lecz nikt nie wyciągnął po nie dłoni.

Z.Z. z uśmiechem pochyliła się i odsunęła swoje papiery.

- Rozumiem, że te sprawy są najważniejsze - powiedziała chytrze. - Jednakże muszę prosić o odłożenie ich na później po to, abyśmy mogli przedyskutować kwestię istotniejszą dla przyszłości HJII.

Helenę splotła dłonie przed sobą i popatrzyła z uwagą na Z.Z. To wystąpienie jej nie zaskoczyło; spodziewała się czegoś takiego.

- Na przykład?

Z.Z. uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Uniosła swoją czarną woalkę i powoli założyła ją na kapelusz.

- Ta kwestia dotyczy nas wszystkich -

oświadczyła, a potem zrobiła pauzę. -
Chodzi o kierowanie firmą.

- W porządku - odrzekła Helenę z
rezygnacją. - Co masz do powiedzenia?

Z.Z. wstała. Oczy jej błyszczały. Helenę
znała to spojrzenie aż nazbyt dobrze.
Zaraz się zacznie kolejna zabawa w
kotka i myszkę.

- Wczoraj wieczorem - zaczęła mówić
cicho Z.Z. - panowie siedzący przy stole
i ja odbyliśmy prywatną... że tak
powiem, pogawędkę. Wszyscy
zgadzamy się co do tego, że przez
ostatnie lata HJII prosperowało dobrze.
Jednakże porażka nowego magazynu, na
który tak się uparłaś, zmieniła sytuację.

Jesteśmy przekonani, że masz znaczne kłopoty finansowe. Oczywiście w normalnych okolicznościach nie powinno nas to w ogóle obchodzić. Ale wykorzystyłaś własne dwadzieścia procent akcji HJII jako zastaw pożyczki, której nie będziesz w stanie spłacić, a to już obchodzi nas ogromnie.

Helena wpatrywała się w nią jak zahipnotyzowana. Nie będę w stanie spłacić! -pomyślała. Te sępy są doskonale poinformowane. I rozmawiają o sprawach, które nie powinny ich obchodzić. Wczoraj „The Wall Street Journal” spekulował na temat jej wypłacalności. Dzisiaj ci tutaj już wiedzą, że nie może spłacić pożyczki.

Ciekawe, czy ktoś z banku jest z nimi w znowie? Może Gore?

- Przede wszystkim zastanówmy się - kontynuowała Z.Z. - co będzie, jeżeli Manhattan Bank sprzeda te akcje komuś spoza naszego grona? Jeżeli kupi je ktoś z zewnątrz i wejdzie do zarządu! Byłoby to prawdziwe nieszczęście! Nowy udziałowiec mógłby zagarnąć jedną piątą przedsiębiorstwa. Obecni tu panowie i ja

przedyskutowaliśmy tę kwestię i doszliśmy do porozumienia. - Z.Z. przerwała i uśmiechnęła się słodko do Helenę. - Zdecydowaliśmy, że pomożemy ci przewyciężyć kryzys. Kupimy twoje dwadzieścia procent

akcji za jedenaście milionów dolarów. To suma pożyczki z odsetkami. W ten sposób ty spłacisz Manhattan Bank, a my nie będziemy musieli się martwić, że znajdzie się wśród nas ktoś obcy. W ten sposób wszyscy skorzystamy.

Pewnie, wy skorzystacie, pomyślała Helenę. Zagarniecie władzę, a ja nie będę mogła się bronić.

- Jeżeli sprzedasz nam te dwadzieścia procent akcji HJII - kontynuowała Z.Z. - przyjmiemy to jako gest dobrej woli. Uspokoisz nasze obawy co do... inwazji z zewnątrz. -Odwróciła się do pozostałych i uśmiechnęła złośliwie. - Mam rację, panowie?

- Oczywiście - potwierdził Hubert z zadowoleniem. Z.Z. z wdziękiem uniosła rękę.

- Widzisz? - powiedziała słodko. - To takie proste - zakończyła i opadła na swój fotel.

Helena odetchnęła głęboko i zaczęła mówić, starannie dobierając słowa:

- Mam wrażenie, że strach przed możliwością „inwazji z zewnątrz” rzeczywiście zaprzęta wasze umysły. Pozwólcie, że uspokoję te obawy. Moim zdaniem najlepsze, co możecie zrobić, to poczekać i przekonać się, czy - kładę nacisk na owo „czy” - bank istotnie zawładnie moimi akcjami. Jeżeli to

nastąpi, nie macie czym się martwić.
Wiem, że będziecie w stanie je odkupić.
- Spojrzała przez stół na Edmonda. -
Mam rację, zakładając to?

- Tak - potwierdził obojętnym tonem.

- Macie więc odpowiedź - zakończyła stanowczo Helenę. - Niezależnie od tego, co się wydarzy, możecie zablokować ową „zewnątrzną inwazję”. A kiedy to zrobicie, wybierzecie również nowego prezesa. Wtedy już nie będziecie musieli się martwić o moje predyspozycje kierownicze. - Rozejrzała się dokoła. - Sądzę, że na razie zamyka to dyskusję rozpoczętą przez panią Bavier. Teraz, wracając do tegorocznych zamierzeń...

- Nie tak szybko, kochanie - wtrącił się Hubert. - Proponuję, żebyśmy jednak przełożyli wszystkie punkty dzisiejszego porządku zebrania na poniedziałek rano. - Uśmiechnął się z satysfakcją. - Wtedy zyskamy już pewność co do przyszłości HJII. Poza

tym dzisiejsze ustalenia mogą się okazać bezprzedmiotowe. Jak sama powiedziałaś przed chwilą, w poniedziałek możemy już wybrać nowego prezesa. Jeżeli tak będzie, założenia programowe HJII ulegną zmianie.

Helena starała się zachować obojętny wyraz twarzy. Taktyka Huberta jest

oczywista, myślała. Termin spłaty pożyczki upływa w piątek. Następnym dniem pracy banku jest poniedziałek. Jeżeli już przekonali bank, by sprzedał im akcje - a ona nie zdoła spłacić swoich zobowiązań - ta transakcja nie zajmie im więcej niż kilka minut. Potem nabywca pośpieszy na zebranie zarządu i wykorzysta swoje nowe udziały w głosowaniu. Przeciwno jej. Odbierze jej HJII. Będzie tylko nieliczącą się właścicielką trzydziestu procent akcji, która sama nie może nic zrobić.

Patrząc na tych czworo siedzących przy stole, zastanawiała się, kto z nich ma zamiar wykupić jej udziały. Von Eiderfeld i Hubert są nieprzyzwoicie

bogaci, myślała. Obydwu na to stać. Z.Z. i d'Itri też mają sporo pieniędzy, ale nie mogliby tak łatwo wyłożyć jedenastu milionów. Możliwe, że chcą nabyć te dwadzieścia procent wspólnie; wówczas dostaliby to, czego pragną, bez zauważalnego uszczerbku na rachunku.

Podniosła się gwałtownie.

- W porządku - oświadczyła. -

Przesuwam zebranie na poniedziałek, na dziesiątą rano.

I szybkim krokiem wyszła z pokoju. W jej oczach malowało się zdecydowanie. Wiedziała, co teraz musi zrobić. Spotka się prywatnie z Hubertem i von Eiderfeldem. Nie miała wpływu na Z.Z.,

a d'Itri to tylko płotka, zresztą ci dwoje bez de Légera i von Eiderfelda niczego nie zwojują. Ale Hubert i Eiderfeld... Tak, może uda jej się coś uzyskać.

Nie miała na to ochoty, ale postanowiła wykorzystać swoją władzę nad nimi po raz ostatni. To nie powinno być zbyt trudne, pocieszała się w myślach.

Przecież udawało się w przeszłości.

Godzinę później Jimmy podjechał limuzyną i Helenę z Edmondem udali się na lunch do 21. Restauracja była zatłoczona, ale szef sali poprowadził ich do stolika, który zwykle zajmowali. Po drodze pozdrawiali wielu znajomych.

Ci, którzy widzieli Helenę, uważali, że nigdy jeszcze nie była tak piękna i spokojna. Ale Edmond znał ją lepiej. Owszem, wydawała się opanowana, ale także bardzo spięta. Wiedział, pod jak ogromną presją znalazła się jego siostra, i żałował, że nie może jej pomóc. Przez ostatni rok pracowała bez wytchnienia. Ilekroć zdołała iść do przodu, pojawiała się coś, co spychało ją z powrotem pod ścianę.

- Napijesz się? - zapytał. Helenę podziękowała.

- Może powinnam, ale napiję się tylko wody. Pomyślałam, że najlepszym lekarstwem na podły dzień jest zachować się jak kobieta. - Uśmiechnęła

się. - Więc zrobię sobie nową fryzurę. Umówiłam się z Susumu, wybieram się tam zaraz po lunchu.

Edmond wziął więc dla niej wodę mineralną, a dla siebie martini. Kiedy szef sali odszedł, brat zapalił papierosa i pochylił się nad stolikiem. Zaczął mówić przyciszonym głosem:

- Wiem, że nie chcesz słyszeć o tym, co zamierzam ci zaproponować, ale jako twój prawnik i brat uważam, że mam obowiązek to zrobić.

Helenę pokiwała głową.

- Zamierzasz mnie przekonać, że powinnam wystawić akcje HJII do

publicznej sprzedaży - podpowiedziała mu łagodnie.

Edmond jeszcze bardziej zniżył głos.

- Tak. Wiem, że nie chcesz tego, ale to jedyny sposób, byś utrzymała kontrolę nad firmą. Dzisiaj rano, kiedy ci z banku odrzucili moją prośbę o przedłużenie terminu spłaty pożyczki, zapytałem, czy wzięli pod uwagę ewentualność, że możesz wejść z akcjami na rynek.

Rozważyli taką możliwość, bo chcieli mieć potencjalną gwarancję, że zdobędziesz pieniądze. Muszę przyznać, że dobrze odkarmiony pan Gore zupełnie się nie przejął, kiedy przedstawiłem tę opcję. Z jakiegoś powodu nie wierzy, że mogłabyś to zrobić. - Edmond

zmarszczył brwi. - Naprawdę nie lubię tego człowieka. Nigdy go nie lubiłem. Jest w nim coś zimnego i oślizgłego. Coś z węża.

- Ja również mu nie ufam. - Helenę spojrzała w zamyśleniu na brata. - Może Hubert albo ktoś z pozostałych go przekupił.

Edmond wzruszył ramionami.

- Wcale bym się nie zdziwił.

Zaczęła coś mówić, ale umilkła, gdyż pojawił się kelner z drinkami. Helenę powoli sączyła swoją wodę.

- Rozmawiałam z von Eiderfeldem i

Hubertem - oznajmiła. - Zobaczą się z nimi dziś wieczorem. Może uda mi się ich powstrzymać.

- Tak, ale to nie rozwiązuje kwestii pożyczki - zauważył Edmond. - Jeżeli nie zdobędziesz pieniędzy, tamci przejmą kontrolę nad HJII. Nie możesz na to pozwolić. Posłuchaj mojej rady, wejdź na rynek publiczny. Inaczej wszystko, co stworzyłaś, przepadnie.

Helenę z namysłem kiwnęła głową.

- Ile mam czasu na podjęcie decyzji?

- Możesz się zastanowić do jutrzejszego popołudnia. Spojrzała na szklankę z wodą. To niewiele czasu, pomyślała.

Chociaż... Nagle podniosła głowę.

- Dobrze - odrzekła. - Jutro w południe dam ci odpowiedź. Rozważę twoją propozycję bardzo starannie.

- Proszę, zrób to. - Edmond niespodziewanie pochylił się przez stół i przykrył jej dłoń swoją. - Jestem pewien, że możesz dużo zarobić, wchodząc z akcjami na giełdę. Czterdzieści milionów dolarów. A może nawet więcej. I, Helenę, naprawdę niczego nie ryzykujesz. Nadal będziesz prezesem zarządu. Pozostanie ci przecież większościowy pakiet udziałów. Westchnęła słabo.

- Wiem, Edmondzie. Rozmawialiśmy o

tym wcześniej, pamiętasz? Przytaknął.

- Pamiętam.

Rzeczywiście, pamiętał. Od kiedy wspomniał o takim wyjściu po raz pierwszy, Helenę była temu przeciwna. Do pewnego stopnia rozumiał jej zastrzeżenia. Ale nie pojmował jednego. Skoro tak bardzo pragnęła zarządzać HJII, to czemu dopuściła do siebie te sępy?

- Nie zapominaj - powiedział - że sprawy wyglądają inaczej niż rok temu. Publiczna sprzedaż akcji to twoja jedyna szansa.

Helenę wolno pokręciła głową.

- Nie, nie jedyna. Mam jeszcze możliwość, o której nikt nie wie. Nawet ty.

- O czym, ty, do diabła, mówisz? - Edmond spojrział na nią ze zdumieniem.

- Nigel zaoferował mi pożyczkę - oznajmiła spokojnie.

Wyprostował się na krześle. Ta wiadomość zmieniała wszystko! Nigel Somerset, diuk Farquharshire, był jednym z trzech najbogatszych ludzi w Anglii.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej? - zapytał.

- Ponieważ nie wiem, czy powinnam przyjąć jego pomoc. - Helenę bawiła się szklanką.

- Dlaczego? Ponieważ Nigel cię kocha?

- Nie - odrzekła łagodnie. - Ponieważ ja go kocham. - Na moment umilkła i spojrzała bratu w oczy. - Oświadczył mi się znowu.

-I?

- Jeszcze nie dałam mu odpowiedzi. Powiedziałam, że muszę to przemyśleć.

- Ale dlaczego? Sama przed chwilą przyznałaś, że go kochasz!

- Nie wyjdę za niego, dopóki nie rozwiążę problemów HJII. W jakiś sposób to nie byłoby... w porządku.

Edmond wzniósł oczy do góry.

- Och, mój Boże! Co ty wygadujesz! Nie chcesz, żeby pomyślał, że wychodzisz za niego dla pieniędzy. Tak?

- Nie... ponieważ chcę jasno pokazać, że nie - odparła Helenę.

Rozdział 2

Firma Susumu na Piątej Alei miała opinię najlepszego salonu piękności na świecie. Tam właśnie, na ósmym piętrze, w osobnym pokoju siedziała

teraz Helenę. Patrzyła w lustro, kiedy drobna Japonka delikatnie osuszała jej włosy miękkim, grubym ręcznikiem. Na krzesełku przed Helenę przycupnęła manikiurzystka zajmująca się jej paznokciami.

- Czy mogę na chwilę wyjść? - zapytała Helenę przepraszającym tonem. - Chciałabym zajrzeć do pokoju makijażu.

- Oczywiście, pani Junot - odrzekła Susumu. - Naturalnie pani wie, gdzie to jest. Helenę skinęła głową i wstała. Fryzjerka odsunęła fotel i uśmiechnęła się czarująco.

Manikiurzystka uśmiechnęła się również. To były drogie uśmiechy.

Czesanie się u Susumu kosztowało mnóstwo pieniędzy, szczególnie gdy to ona sama zajmowała się klientką.

Przeszła powoli przez pokój. Fryzjerka pierwsza znalazła się przy drzwiach i otworzyła je uprzejmie. Kiedy Helenę miała już wyjść na korytarz, zauważyła, że jakaś kobieta idzie do jednego z dalszych pokoi. Helenę przystanęła w drzwiach, by ją przepuścić.

Tamta spojrzała na nią i zatrzymała się ucieszona.

- Ależ to pani Junot - zagruchała. -
Minęły już wieki! Helenę spojrzała na nią zakłopotana.

- Tak? - powiedziała, zastanawiając się, kim jest, do diabła, ta jasnowłosa, podstarzała, mocno opalona karykatura nastolatki.

- Poznałyśmy się w zeszłym roku, pamięta pani? Jestem Geraldine Gore. Mój mąż prowadzi pani finanse w Manhattan Bank.

Helene uśmiechnęła się grzecznie.

- Oczywiście. Bardzo mi miło.

Kiedy Geraldine Gore wyciągnęła kościstą dłoń, Helene nie mogła nie dostrzec dwóch bransoletek otaczających nadgarstek. Były identyczne, z tym że jedną zdobiły żółte

diamenty, a drugą - krwistoczerwone rubiny. Obie pochodziły niewątpliwie od Bułgariego i oczywiście musiały być bardzo kosztowne.

- Och, jakie piękne bransoletki - zachwyciła się uprzejmie. Zadowolona Geraldine uniosła rękę, podziwiając blask kamieni.

- Rzeczywiście są piękne, prawda? Tę z rubinami kupiłam kilka minut temu. Byłam w ostatnich dniach taka zestresowana. Uznałam, że nowa fryzura nie wystarczy, żeby poprawić sobie humor. To zadziwiające, jak kupowanie małych błyskotek pomaga na chandrę.

- Tak, oczywiście.

Nagle Geraldine wykrzywiła się nieprzyjemnie.

- Ale czeka mnie przeprawa z mężem. Boję się, że popełni samobójstwo, kiedy zobaczy mój nabytek. - Spojrzała na prowadzącą ją dziewczynę, która czekała w dyskretnej odległości. - Och, muszę już iść, bo nie zdążą mnie uczesać. Normalnie przychodzę tu w czwartki, ale w tym tygodniu lecę do Palm Beach dzień wcześniej. Virginia Simonsen urządza wielki bal maskowy!

- Aż westchnęła z radości. - Kocham maskarady, a pani?

- Ja również - odpowiedziała grzecznie Helenę, która nigdy na żadne nie chodziła.

- No to już idę. Było mi bardzo miło panią spotkać. Do widzenia! - Geraldine ruszyła korytarzem za swoją przewodniczką.

Helena spoglądała za nią chwilę. Cóż to za okropna kobieta, pomyślała. Ale trzeba przyznać, że ma jedną zaletę. Znakomity czy też kosztowny gust.

Nie bardzo rozumiała, jak państwo Gore mogą sobie pozwolić na tak luksusowy styl życia.

Karl von Eiderfeld uprzejmie wziął od Huberta kapelusz i płaszcz, powiesił obie rzeczy w holu i poprowadził gościa do salonu. Zrobiło się już ciemno i

ciężkie adamaszkowe zasłony w oknach były starannie zaciągnięte. W pokoju paliły się tylko dwie niewielkie lampy.

Von Eiderfeld wskazał przybyłemu wygodny fotel.

- Proszę, drogi hrabio. Nasza przyjaciółka wkrótce tu będzie. Czy mogę tymczasem zaproponować panu drinka?

- Armaniak, jeżeli pan ma - zażyczył sobie de Léger.

- Oczywiście. - Von Eiderfeld podszedł do ciężkiej rzeźbionej szafy. Kiedy otworzył podwójne drzwi, okazało się, że w środku jest barek, a obok

minilodówka i mały zlewozmywak. Von Eiderfeld podał gościowi kieliszek.

- Ma pan te rzeczy? - zapytał.

Hubert przytaknął i otworzył aktówkę. Wyjął wielką kopertę i położył ją na stole z okresu Dyrektoriatu. - Godzinę temu przywiózł je kurier z Paryża.

- Jak pan sądzi, czy to z ich powodu Helenę chce się z nami zobaczyć? - zapytał von Eiderfeld.

Hubert zastanawiał się przez chwilę.

- To możliwe - przyznał w końcu. - Ale raczej przypuszczam, że jeszcze nie wie o ich zniknięciu. Wynająłem najlepszego

włamywacza. Zabrał tylko to, co mu
kazałem. Potem zamknął sejf. Nie
zostawił żadnych śladów.

Von Eiderfeld uśmiechnął się z
satysfakcją.

- Dobra robota. Teraz Helenę nie ma już
nad nami władzy. Czy zdołał pan się
dowiedzieć, gdzie się zatrzymała
wczoraj, gdy przerwała lot?

- Tak. - Hrabia pociągnął wielki łyk
armaniaku. - Wylądowała w Anglii, na
prywatnym pasie należącym do Nigela
Somerseta.

Von Eiderfeld drgnął.

- Nadal się widuje z tym mężczyzną?

- Tak mi się wydaje.

Von Eiderfeld w zamyśleniu analizował usłyszaną informację.

- Obawiam się, że to niezbyt pomyślna dla nas wiadomość. Somerset jest jednym z najbogatszych ludzi w Anglii. Co będzie, jeżeli da jej tych jedenaście milionów? Cały nasz wysiłek na nic.

- Myślę, że do tego nie dojdzie - odrzekł Hubert uspokajającym tonem. - W przeciwnym razie rzecz byłaby już dawno załatwiona. Nie zna pan Helenę tak jak ja. Nie czekałaby do ostatniej chwili, tylko załatwiłaby sprawę. Poza

tym jest zbyt dumna, aby wziąć od niego te pieniądze, nawet w formie pożyczki. Nie, mój przyjacielu. Helenę Junot skręca się teraz z bólu. Znikąd nie dostanie takiej sumy!

Von Eiderfeld miał ponurą minę.

- W Bogu nadzieja, że ma pan rację.

W tym momencie zadzwonił telefon. Gospodarz podszedł do stołu i podniósł słuchawkę.

- Tak? - Spojrzał na Huberta i kiwnął głową. - Proszę ją wpuścić. - Odłożył słuchawkę i uśmiechnął się złowrogo. - Już idzie.

Kilka minut później pojawiła się Helenę. Nie miała czasu, by się przebrać. Nosiła wciąż futro Blackglama, a pod spodem kostium Chanel. Ale teraz włosy opadały jej swobodnie na ramiona, na pozór niedbale, ale niezwykle elegancko wycieniowane, i otaczały jej twarz lśniąca falą.

- Witam - powiedziała niechętnie.

Von Eiderfeld sztywno zaprosił ją, by weszła.

- Proszę. Hrabia już jest. Czy mogę wziąć futro? Pokręciła głową.

- Nie sądzę, bym tu długo została.

Von Eiderfeld wzruszył ramionami i wprowadził ją do salonu, gdzie Hubert rozpiął się wygodnie na fotelu. Nawet nie wstał na jej powitanie.

- Ach! - odezwał się ze złośliwym grymasem. - Więc nasza pani prezes postanowiła się zniżyć do rozmów ze zwykłymi udziałowcami. Siadaj. - Klepnął ręką wolny fotel.

- Dziękuję, nie - odparła zimno. - Postoję.

- Jak sobie życzysz, moja droga. A więc dlaczego chciałaś się z nami widzieć? Helenę ostrożnie dobierała słowa.

- Przyszłam, aby wam przypomnieć, że

byłoby dla was obu... powiedzmy, że
byłoby dla nas wszystkich lepiej,
gdybyście przestali ze mną walczyć.
Bawić się w kotka i myszkę. Jak
zapewne pamiętacie, rozmawialiśmy już
wcześniej na ten temat.

Hubert uśmiechnął się i wstał z fotela.
Podszedł do kominka, w którym leżała
wielka kłoda i kilka szczap na podpałkę.
Pochylił się i ostrożnie rozpałił ogień.
Powoli szczapy zaczęły płonąć, a po
kilkunastu minutach zajęła się gruba kłoda.
Płomienie rzucały migotliwe żółte
światło na mroczny salon. Hubert
wyprostował się z satysfakcją.

- Chodzi ci o to, co masz przeciwko
nam, czyż nie? - zapytał.

- Tak - odpowiedziała Helenę.

Uśmiechnął się nieprzyjemnie.

- Coś ci poradzę, kochanie. Idź do domu i zapomnij o tamtych sprawach. Widzisz, my już przestaliśmy drzeć ze strachu.

- Myślę, że obaj powinniście potraktować moje ostrzeżenie poważnie - oświadczyła. - Mogę was zniszczyć. - Odwróciła się i wbiła lodowaty wzrok w von Eiderfelda.

- Ty będziesz odpowiadał za zbrodnie wojenne. Zostaniesz skazany i powieszony. - Potem spojrzała ponownie na Huberta. - A ty? Ciebie też powieszają.

Za morderstwo. Hrabia wybuchnął głośnym śmiechem.

- To absurd! Kto ci uwierzy? Nie masz żadnych dowodów, a te oskarżenia są wysane z palca!

Helena zmrużyła oczy.

- Przestań udawać! Doskonale wiesz, że mam dowody. Leżą w sejfie mojego prawnika.

Hubert podszedł do stołu, wziął do ręki dużą kopertę, otworzył ją, zajrzał do środka i wyjął mniejszą, białą.

- Poznajesz? - zapytał, trzymając ją w górze. Na zalakowanej kopercie widniał

podpis Helenę.

Usłyszeli, jak Helenę głośno wciągnęła powietrze.

- Tak - odrzekła. - Skąd ją masz?

- Powiedzmy, że przyleciała do mnie z sejfem twojego paryskiego prawnika. Ale nie miej do niego pretensji, to nie jego wina. W rzeczy samej ten biedak nawet nie podejrzewa, że cokolwiek mu zginęło. - Hubert rozerwał białą kopertę i wyjął jakieś stare, pożółkłe papiery. Uniósł je do góry teatralnym gestem. - Dowody zbrodni wojennych -oznajmił głośno. Podał papiery von Eiderfeldowi. - Czy uczyni nam pan ten zaszczyt, drogi przyjacielu? - zapytał miękko.

Helena patrzyła zszokowana, jak von Eiderfeld wziął od niego dokumenty, podszedł do kominka i wrzucił je w ogień. Żarłoczne płomienie wystrzeliły i pochłonęły zdobycz; po chwili papiery skurczyły się i poczerniały, by rozpaść się w pył.

- A teraz to! - Hubert z triumfem wyciągnął drugą białą kopertę, tym razem grubszą od poprzedniej. Ta również była zapieczętowana i opatrzona podpisem Heleny. - Poznajesz? - zapytał sarkastycznym tonem.

Na moment zamknęła oczy. To się nie dzieje naprawdę, myślała. To niemożliwe. Otworzyła oczy, ale

koszmar trwał.

De Léger rozerwał drugą kopertę.

W środku była taśma magnetofonowa.

Uniósł ją wysoko.

- Dowód morderstwa? - zawołał ze śmiechem, a potem westchnął ironicznie.

-Doprawdy, moja droga, powinnaś była lepiej się przygotować do szantażu.

Powoli podszedł do kominka i pełnym obrzydzenia ruchem wrzucił szpulę w płomień. Część taśmy odwinęła się i rozciągnęła na dywanie jak wąż. Hrabia przesunął ją butem do paleniska. Potem odwrócił się do Helenę.

Gwałtownie pobladła i wpatrywała się w ogień jak zahipnotyzowana. Podczas gdy tak patrzyła, taśma zaczęła się topić, a w pokoju rozszedł się odór spalonego plastiku.

- Widzisz, moja droga? - powiedział zadowolony z siebie Hubert. - Teraz już nic nie możesz nam zrobić. Przeszłość umarła i została zapomniana. - Strzelił palcami. - Ot, tak.

Wstrząśnięta Helenę wpatrywała się w płomień. Nieprawda, myślała. Dla mnie przeszłość nigdy nie odejdzie. I nigdy nie zostanie zapomniana.

WCZORAJ II WYBÓR DROGI

Rozdział 1

Saint-Nazaire, 1950

Ciotka Janine mieszkała na przedmieściach Saint-Nazaire. Była ogrodniczką, sprzedawała drzewka owocowe, kwiaty i warzywa, zarabiając w ten sposób na życie. Jej dom wznosił się na łagodnym zboczu wzgórza, kilkaset metrów od morza. Zbudowano go z szarych kamieni, miał jedno piętro i spadzisty dach. W pogodny dzień można było stąd dojrzeć ujście Loary znajdujące się dwa kilometry na południe.

Grządki i zagonki otaczały budynek ze wszystkich stron. Wykorzystano każdy

skrawek terenu, aby coś na nim posadzić czy posiać. Były tam cztery duże szklarnie i tuzin długich inspektów, gdzie ciocia Janine pielęgnowała swoje sadzonki, po które wiosną przychodzili ludzie z miasta. Ziemię wokół szklarni przeznaczano pod uprawę sezonowych warzyw i kwiatów. Nie znalazłaby się tu ani jedna kępa bezużytecznej trawy. Dróżki między grządkami kwiatów i zagonkami były wyłożone deskami.

W pewnej odległości od domu znajdował się jeszcze cuchnący śmietnik używany do składowania nawozu i kompostu, a dalej stała szopa na narzędzia ogrodnicze, w której robiono wieńce i wiązanki kwiatowe na

pogrzeby i śluby. Od dawna proporcja pogrzebów do ślubów wynosiła dziesięć do jednego.

Posiadłość ciotki otaczał kamienny mur. Przymocowano do niego duże deski, na których wymalowano litery. Układały się w biało-czarny napis: „JANINE JUNOT”. Stara farba łuszczyła się już i odpadała z drewna całymi płatami.

Od pierwszej zimy, którą Edmond i Helenę spędzili w Saint-Nazaire, sprawy nie układały się dobrze. W tym czasie miasteczko było ważnym punktem strategicznym zarówno dla aliantów, jak i okupanta.

Po pierwsze, znajdowały się tam

instalacje niemieckie, nazywane bazą U-Bootów. Liczne łodzie podwodne, które tropiły statki na Atlantyku, wyruszały właśnie stąd. W Saint-Nazaire miały swój port i bazę naprawczą. Było to idealne miejsce, bo większość

potrzebnego wyposażenia znajdowała się tam już przed wojną. Saint-Nazaire stało się znane ze swoich stoczni już w dziewiętnastym wieku.

Po drugie, i to ważniejsze, miasto wchodziło w skład tego, co alianci nazywali Kieszenią Saint-Nazaire. Niemcy chcieli tu stworzyć główny francuski ośrodek do penetrowania wybrzeża Atlantyku. W wyniku tego Saint-Nazaire zostało niemal zrównane z

ziemią.

Za każdym razem kiedy Anglicy i Amerykanie bombardowali niemieckie instalacje, ciotka Janine płakała wniebogłosy. Nie było jej żal U-Bootów, jednak z powodu głośnych eksplozji pękały szyby w szklarniach i inspektach, a wtedy warzywa, które ciotka pielęgnowała z takim poświęceniem, mogły zmarznąć. Udawało jej się jakoś łatać zbite szkło, jednak po pewnym szczególnie ciężkim bombardowaniu nie było już czego naprawiać. W ciągu jednej nocy wszystkie sadzonki pomarzęły i kiedy nadeszła wiosna, nie mieli czego sprzedawać. Nadszedł chudy rok.

Ale rok 1944 przyniósł ze sobą również radość. W Paryżu 26 sierpnia generał de Gaulle przemaszerował triumfalnie przez Pola Elizejskie. Stolica była wolna, Francuzi płakali. Wojna się skończyła. Tak jak przepowiedziała mama, Niemcy zostali wyrzuceni z Francji za Ren.

Jak wszyscy, Helenę i Edmond powitali te wydarzenia z radością. Wierzyli, że już niedługo cała ich rodzina znowu będzie razem. Lecz mijały kolejne miesiące, a oni nie mieli żadnych wiadomości o rodzicach, Catherine i Marie, z wolna zaczęli tracić nadzieję, że jeszcze kiedyś ich zobaczą. Słyszeli historie, jakie opowiadali ludzie o

Niemcach. Rzeczy, które nie mogły być prawdą. Historie o tym, co działo się z nieszczęśnikami, którzy zostali wywiezieni do obozów. Tego wszystkiego nie można było pojąć.

Początkowo ciotka Janine dość życzliwie odnosiła się do swoich siostrzeńców. Potem, w maju 1945 roku, nagle się zmieniła. Może uświadomiła sobie, że wzięła sobie na kark duże obowiązki i nikt jej od tego nie uwolni. Jedno było dla niej jasne: trzeba było wykarmić i ubrać dwoje rosnących szybko dzieci. A czasy były ciężkie. Zaczęła więc wyładowywać złość na przyczynie swoich kłopotów: na siostrzeńcach.

Helenę nigdy nie zapomniała owego pierwszego razu, kiedy to się stało. To było 15 maja. Dzień zaczął się pogodnie, a po południu słońce mocno przygrzewało. W oddali

dziewczynka widziała łodzie rybaków w zatoce. Dzioby uderzały o fale, a szare żagle łopotały na wietrze. Kłopoty wydawały się bardzo odległe.

Zamiast się bawić, postanowiła pomóc Edmondowi w naprawie potłuczonych szyb w cieplarni i zaczęli szukać dookoła kawałków szkła. Mieli je następnie pociąć na mniejsze prostokąty i umocować w drewnianych ramach. Dopisało im szczęście: znaleźli olbrzymi kawał szyby - wystarczająco

duży, by załatać przynajmniej sześć okienek. Ostrożnie przynieśli go do szklarni i wszystko szło dobrze, dopóki Edmond nie spróbował go pociąć. Z jakiegoś powodu szkło popękało na kawałki.

Ciotka Janine dostała furii i z całej siły uderzyła chłopca w twarz. Potem szarpnęła go za włosy tak mocno, że wyrwała całą garść.

To był początek. Znosili jej wybuchy złości przez ponad rok. Nigdy nie umieli przewidzieć, co doprowadzi ciotkę do furii. Jedyne chwile spokoju trafiały się wówczas, gdy Janine niespodziewanie wyjeżdżała do Paryża, oczywiście nie

zdradzając im, w jakim celu.

Nie mogli nic zrobić, tylko znosić jej gniew w milczeniu. Zwykle to Edmond przyjmował na siebie większość ciosów. Może dlatego, że był starszy. A może dlatego, że więcej jadł. Każdego wieczoru Helenę modliła się żarliwie, błagając Boga o powrót rodziców i wybawienie od ciotki Janine. Ale Bóg był głuchy.

Potem, rok później, doszło do katastrofy. Podczas pielienia grządek sałaty Helenę przypadkowo wyrwała kilka maleńkich sadzonek.

- Które z was, darmozjady, to zrobiło? - zapytała z furią ciotka Janine.

- Ja - skłamał Edmond. Wiedział, że grozi za to bicie i że on łatwiej zniesie ból niż Helenę.

- Ty nicponiu! - wybuchnęła ciotka Janine. - Ty łobuzie! - Schyliła się, złapała deskę, która leżała na ziemi, i uderzyła chłopca w plecy. Helenę próbowała z płaczem bronić brata, Edmond zaś przyjmował ciosy bez słowa. Kiedy ciotka przestała go bić, wstał z ziemi i kołysząc się niepewnie na chwiejnych nogach, poszedł do domu.

Helenę pobiegła za nim. Na piętrze były tylko dwie sypialnie, jedną zajmowała ciotka Janine, a drugą oni. Kiedy dziewczynka wbiegła na górę, Edmond właśnie pakował swoje nieliczne

rzeczy.

- Co robisz? - zapytała przerażona.
Uśmiechnął się smutno.

- A jak myślisz? Wynoszę się stąd.

- Ale, Edmondzie! - zawołała głosem pełnym rozpacz. - Dlaczego?

- Odchodzę, oto dlaczego! Nie wytrzymam już dłużej.

- Przepraszam, Edmondzie! - błagała. - To przeze mnie. To moja wina! Ale on potrząsnął głową.

- To nie była twoja wina. To ta kobieta. Ta suka.

- Proszę, nie mów tak. Odwrócił się do Helenę ze złością.

- Jest podła! Nie zamierzam tu zostać, żeby kiedyś zatłukła mnie na śmierć. Poza tym mam dość bycia jej niewolnikiem.

- Ale dokąd pójdziesz?

- Poszukam pracy na kutrze rybackim. Niech ta stara suka sama się zajmuje swoimi śmierdzącymi inspektami.

W oczach Helenę zabłyśły łzy.

- A ja? - zapytała cicho. - Co będzie ze mną? Podszedł bliżej i objął ją ramieniem. Był mokry od potu.

- Dzielna mała Francuzeczko -
powiedział łagodnie - dopóki się jakoś
nie urządzę, musisz tu zostać!

- Nie mogę! - łkała. - Nie bez ciebie!

- Możesz i zostaniesz. Musimy mieć
pieniądze, żeby się stąd wydostać.
Obiecuję, że będę oszczędzał każdy
zarobiony grosz. Wrócę po ciebie i
odejdziemy stąd razem. -Delikatnie
wyswobodził się z jej objęć i wepchnął
swoje rzeczy do poszewki na poduszkę.

- Teraz otrzyj łzy.

Uroczyście kiwnęła głową i pociągając
nosem, wytarła oczy.

- Edmondzie...

- Tak? - Spojrzał na nią.

Helenę milczała przez chwilę, a potem przyłgnęła do niego w nagłej panice.

- Nie zostawisz mnie z nią tutaj na zawsze, prawda?

Spojrzał na siostrę. Strach i samotność bijące z jej oczu sprawiły, że serce mu się ścisnęło.

- Nie, dzielna mała Francuzeczko. Mamy tylko siebie i nic nie może nas rozdzielić. Nie po tym, co razem przeszliśmy. Nie rozdziłili nas Niemcy i nie zrobi tego ta suka.

Helenę z obawą spojrzała mu w oczy.

- A morze? - spytała. - Co będzie, jeżeli rozdzieli nas morze? Edmond uśmiechnął się do niej szeroko. Był bardzo pewny siebie.

- Nawet morze nie zdołałoby tego zrobić.

Rozdział 2

Helenę siedziała zawsze w jednej z ławek z tyłu klasy. Mademoiselle Gribius zawsze sadzała tam dobrze zachowujące się uczennice. Te, które utrudniały jej prowadzenie lekcji, były z przodu, gdzie mogła mieć je na oku. Zadzwoił dzwonek i dziewczynki tęsknie spojrzały na drzwi. Z holu dochodził głośny stukot kroków.

Spojrzały znowu na nauczycielkę, niecierpliwie wyczekując na sygnał do wyjścia. Zajęcia domowe były ostatnią lekcją tego dnia.

Mademoiselle powoli wstała z krzesła i stanęła przed biurkiem. Jej jastrzębie oczy lustrowały klasę. Na twarzy pojawił się wyraz zadowolenia. Żadna z dziewcząt nawet nie drgnęła. Poruszały się tylko oczy. To wszystko. Uczennice wiedziały, co je czeka. Gdyby któraś z nich próbowała się ruszyć przed sygnałem nauczycielki, przesiedziałyby wszystkie w klasie przez kolejnych pięć minut.

- Uwaga! - Ostry jak brzytwa głos panny Gribius docierał na koniec sali.

Mademoiselle nie zamierzała jeszcze kończyć lekcji. - Większość z was powinna już mieć pojęcie o szyciu. Jak wiecie, do letnich wakacji pozostało nam jeszcze tylko dziesięć lekcji. Jest w zwyczaju, że co roku moja klasa pokazuje, czego się nauczyła.

Jęknęły chórem. Wiedziały już, co je czeka. Ulubione zajęcie mademoiselle!

Większość dziewcząt nienawidziła szycia. Igły kłuły je w palce, plątały się nici, a nauczycielka nigdy nie była zadowolona z efektu. Ciągłe narzekała na nierówne obróbki i nieporządne ściegi. Dziewczęta nieraz doświadczyły gniewu mademoiselle, która

rozcinała maleńkimi nożyczkami cały długi ścieg, jeśli nie był wystarczająco starannie zrobiony, a pogrążona we łzach uczennica musiała zaczynać pracę od początku. Mademoiselle kontynuowała:

- Każda z was musi uszyć sukienkę. Powinna być praktyczna i prosta. Macie wymyślić jej fason i zrobić wykroje. Musicie szyć samodzielnie. Cała praca będzie wykonana w klasie. To, co uszyjecie i jak dobrze to zrobicie, zadecyduje o ocenie końcowej z przedmiotu. - Zrobiła pauzę. - Czy wszystko jasne?

- Oui, mademoiselle - odpowiedziały chórem. Nauczycielka wstała.

- Dziewczęta!

Siedziały nieruchomo, sztywno wyprostowane.

- Koniec lekcji!

Rozległ się hałas odsuwanych krzeseł, a potem w korytarzu zatupały szybkie kroki. Po drugiej stronie budynku na pewno czekali już chłopcy.

Helenę zwykle wychodziła ostatnia. Nie miała się dokąd spieszyć. Ale dzisiaj wybiegła szczęśliwa razem z koleżankami. Jej serce biło mocno. Była jedyną uczennicą, która ucieszyła się z polecenia panny Gribius.

- Co jej się stało? - zapytała głośno Jeanne-Marie Berty, patrząc ze zdumieniem na Helenę. - Nigdy nie widziałam, żeby tak pognała.

Przyjaciółka Jeanne-Marie, Edith Loiseau, odpowiedziała coś szeptem i obie zachichotały.

Helenę czuła, że jej twarz pokrywa rumieniec, ale zignorowała zachowanie koleżanek. Jeanne-Marie i Edith uważały się za lepsze od innych uczennic. Pan Berty był właścicielem stoczni, a pan Loiseau - lokalnej przetwórci ryb. Były to najbogatsze rodziny w mieście, toteż obydwie próżne i złośliwe dziewczynki zadzierały nosa i ciągle szydziły z

innych, biedniejszych czy brzydszych. Helenę zawsze schodziła im z drogi, ale często goniły ją głośnie docinki doprowadzające do wściekłości.

Dzisiaj jednak nie zwracała na nic uwagi. Niech sobie chichoczą, myślała. Teraz ona im pokaże! Chciało jej się śpiewać z radości. Miała nie tylko zdolności do szycia, ale była to jej ukryta pasja. Możliwe, że odziedziczyła talent po mamą.

Uśmiechnęła się do siebie. Będzie dziesięć lekcji, dziesięć sobót, by pracować nad sukienką, myślała. A jedenasta sobota od dzisiaj to coroczny festyn świętojański. Kobiety z Saint-

Nazaire włożą swoje tradycyjne stroje i fantazyjne, koronkowe czepki i wszyscy będą świętować.

A Helenę będzie chodziła dumna w swojej nowej, własnoręcznie uszytej sukience. Przystanąła, żeby złapać oddech. Oparła się o kamienny mur i przymknęła oczy. Tak, już to widziała. Na festynie będzie miała piękną sukienkę. Wreszcie coś innego niż te ponizające, wyżebrane łachmany, które ciotka Janine przynosiła od sąsiadów, kiedy ich dzieci z czegoś wyrosły. Tak, raz będę elegancka i olśniewająca, myślała. Będę Kopciuszkiem, a festyn w Dniu Świętego Jana to mój bal.

To nie powinno być trudne, uznała.

Miała przecież zdolności do szycia i trochę pieniędzy. Przez parę lat uzbierała kilka franków. Dostawała czasami jakieś drobne, kiedy pomagała znajomym ciotki w różnych domowych pracach. Kilka franków, o których ciotka Janine nie wiedziała.

Helenę uśmiechnęła się ponownie. Po drodze do domu obejrzy wystawę pracowni madame Dupré. Pani Dupré była krawcową. Ale nie tylko szyła, sprzedawała też w swoim sklepie materiały. Większość z nich stanowiły proste, niedrogie tkaniny. Ale niektóre - och, niektóre były wprost cudowne!

I co najważniejsze, pani Dupré miała

stare numery magazynów mody - „Paris Vogue”, „Elle” i „L’Officiel”. Helenę postanowiła je przejrzeć, aby zobaczyć, jaka sukienka najbardziej by jej się podobała.

Podskakiwała na kocich łbach ulicy, mijając kamienne domy, które wydawały się szare w zestawieniu z białymi oknami. Za kilka minut zerknie na wystawę pani Dupré. A w poniedziałek, zaraz po szkole, weźmie zarobione franki, wejdzie do sklepu i kupi piękny materiał na swoją wymarzoną sukienkę!

Rozdział 3

W poniedziałek Helenę stała jak zahipnotyzowana przed pracownią pani

Dupré. W oknie zobaczyła zapierającą dech w piersiach suknię. Wisiała na brązowym manekinie, a pod spodem leżało zdjęcie z paryskiego magazynu mody. Helenę zauważyła, że sukienka została uszyta według jednego z modeli, tylko z innego materiału.

Była oczarowana.

Powoli otworzyła dłoń i spojrzała, chcąc się upewnić, czy wciąż ma pieniądze. Miała. Potem odetchnęła głęboko, by nabrać odwagi, otworzyła drzwi i weszła do środka.

W sklepie panował półmrok. Przez otwarte drzwi widziała jasno oświetloną pracownię w głębi. Były tam

dwie dziewczyny. Jedna szyła coś pilnie w rękach, druga, siedząc przy maszynie, naciskała nogą pedał i obracała dłonią wielkie koło.

Ale wzrok Helenę przyciągnęła długa sklepowa lada. Leżały na niej bele pięknych tkanin. Patrzyła na nie, nie śmiejąc ich nawet dotknąć.

Zafascynował ją zwłaszcza jeden materiał. Był popielaty, cały w maleńkich supełkach, jakby ze skazami, dziewczynka czuła jednak, że nie jest to wada, tylko po prostu cecha tej tkaniny.

- Czym mogę służyć? - Usłyszała uprzejmy głos za plecami. Odwróciła się zawstydzona i nieśmiało podniosła wzrok.

Stała przed panią Dupré. Helenę pomyślała, że ta wysoka, imponująca dama jest najbardziej elegancka ze wszystkich znanych jej kobiet. Nosiała bluzkę z prążkowanego jedwabiu, z delikatną kokardką z koronki przy kołnierzyku. Jej brązowe oczy spoglądały łagodnie, włosy miała siwawe i pachniała lekko perfumami. Helenę poczuła się przy tej eleganckiej damie wyjątkowo nędznie ubrana i biedna. Na moment ogarnął ją wstyd. Już chciała się odwrócić i wybiec, ale coś dodało jej odwagi. Możliwe, że to, jak pani Dupré na nią patrzyła.

- Bonjour, madame - powiedziała

cichutko.

- Bonjour, mademoiselle - odrzekła pani Dupré bardzo grzecznie. - W czym mogę pani pomóc?

Helenę odetchnęła głośno i mocniej zacisnęła w palcach swoje franki.

- Chciałabym kupić jakiś piękny materiał.

Pani Dupré uśmiechnęła się życzliwie.

- Wszystkie tkaniny są piękne - odrzekła.

- Zależy tylko, co się z nich uszyje. Jaki materiał byś chciała? Mam bawełnę, wełnę, płótna, jedwabie, satynę, aksamit...

- Och! - Helenę była oszołomiona. - Coś takiego. - Wskazała drżącym palcem gruzełkowaty, szary materiał. - Ile kosztuje?

- Ma panienka dobry gust - powiedziała pani Dupré z aprobatą. - To czysty jedwab, szantung. Mam tylko tę jedną belę. Jest bardzo drogi. Ale wspaniały. - Spojrzała na Helenę ciepło. Było w tej dziewczynie coś, co przypomniało jej ją samą z czasów młodości. Oko do materiałów to rzadki dar. A ta dziewczyna je miała. - Chciałabyś go dotknąć? - zapytała z uśmiechem.

Oczy Helenę zabłysły.

- Mogę?

- Oczywiście, mademoiselle.

Pani Dupré przyglądała się dziewczynie, kiedy ta wyciągnęła dłoń i z przejęciem dotknęła tkaniny. Potem wzięła róg między palce i pogładziła materiał. Krawcowa pokiwała głową. Ta mała ma wycucie, powiedziała do siebie w myślach.

Helene wydawało się, że ten materiał żyje. Czują, jak poruszał się w jej palcach. Tkanina była cudowna w dotyku. Migotała delikatnie jak światło księżycy połyskujące na spokojnym morzu.

- Będzie z tego piękna suknia, n'est-cepas? - zapytała pani Dupré. Helene

brakowało oddechu.

- O tak! Ile to kosztuje?

- Ach! - Krawcowa spojrzała na nią przenikliwie i pokiwała palcem. - Nie myśl, że surowy jedwab to najlepsza tkanina, jaką tu mamy. Wełny są mocne, grube i ciepłe, ale mogą być również miękkie i delikatne. Płótno tak samo. Aksamit ma głęboką barwę. A bawełna jest chłodna i przewiewna. Każda tkanina ma własną osobowość i charakter. Ty musisz wiedzieć, która do ciebie pasuje. Królewskie materiały, jak jedwab i aksamit, nie nadają się na fartuchy czy szlafroki. Ale na suknię balową - tak! Len i bawełna są doskonałe na lato, a wełny na zimę. Są

tkaniny na każdą porę roku i na każdą okazję.

Helenę była oszołomiona. Otworzyły się przed nią drzwi do wspaniałego świata.

Ktoś wszedł do sklepu i pani Dupré odwróciła się odruchowo. Helenę dyskretnie oglądała belę granatowego płótna, porównując je z jedwabiem.

- Bonjour - powiedziała pani Dupré.

- Potrzebne nam materiały - oznajmił impertynencki głos, który Helenę aż za dobrze znała, Jeanne-Marie.

- Tak, chcemy coś niezwykłego - dodała jej przyjaciółka.

- Na coroczny pokaz bez wątpienia -
zauważyła pani Dupré sucho.

- Oui. - Nagle rozległ się okrzyk. -
Jeanne-Marie! Popatrz, kto tu jest!

Helenę zerknęła z boku na Jeanne-Marie
i Edith. Jej dręczycielki pochyliły ku
sobie głowy, szepcząc coś i chichocząc.
Helenę zacisnęła pięści. Czuła się tak,
jakby czarna chmura przesłoniła słońce.
Te dwie złośliwe istoty nie mają prawa
tu być, myślała. Nie wśród tych
pięknych materiałów.

Edith spojrzała na nią protekcjonalnie. i

- Co kupujesz? - zapytała.

- Ja... ja jeszcze nie wiem -
wymamrotała Helenę.

Tamte poszeptały coś do siebie i znowu zaczęły chichotać. Pani Dupré spojrzała na nie surowo. Było jej przykro ze względu na tę małą, ale nie mogła wyprosić obu dziewcząt. Ich matki były najlepszymi klientkami; szyły w jej pracowni większość garderoby. Z tego pochodziła główna część dochodów pani Dupré. Sprzedaż materiałów była tylko dodatkiem. Nie, wyrzucenie tych dwóch nie wchodziło w grę. Ale postanowiła, że spróbuje się ich szybko pozbyć.

- Przepraszam na chwilę - rzuciła do Helenę. Dziewczynka kiwnęła głową i

wycofała się do kąta.

Stała tam cicho i patrzyła. Przerazona przyglądała się, jak Edith natychmiast chwyciła zielony aksamit, szarpiąc go jak zwyczajny koc. Jeanne-Marie nie spieszyła się. Powoli oglądała wszystkie bele, obserwując przy tym kątem oka Helenę. Kiedy dotknęła szarego jedwabiu, zauważyła, że Helenę zeszywniała.

Jeanne-Marie uśmiechnęła się z triumfem i spojrzała na panią Dupré.

- Wezmę sześć metrów tego - oznajmiła słodkim głosem.

Serce Helenę zamarło. Popatrzyła

blagalnie na krawcową. Madame Dupré odpowiedziała jej obojętnym spojrzeniem. Potem odwróciła się do Jeanne-Marie.

- To bardzo drogi materiał - zauważyła.

- Może...

- Cena nie gra roli - oświadczyła Jeanne-Marie twardo. - Mama pozwoliła mi wybrać, co będę chciała. Proszę to zapisać na jej rachunek.

- Dobrze - powiedziała pani Dupré z westchnieniem. Popatrzyła na Helenę i serce jej się ścisnęło. Dziewczynka stała w kącie, ściskając rozpaczliwie w dłoni swoje monety.

Kilka minut później tamte wyszły, dumne ze swoich zakupów. Pod pachami niosły materiały zapakowane w brązowy papier. Gawędziły szczęśliwe, planując wspaniałe suknie. Edith miała zielony aksamit, a Jeanne-Marie - surowy jedwab.

- Myślałam, że już nigdy nie wyjdą - westchnęła pani Dupré zmęczonym głosem, kiedy drzwi się zamknęły. - Cóż za źle wychowane pannice! Przydałoby się im dobre lanie! - Potem odwróciła się do Helenę. - Teraz, mademoiselle - powiedziała łagodnie - czegoś cię nauczę.

Helenę milczała. Wciąż stała w kącie i wpatrywała się w krawcową. W oczach

miała żal.

- Nie martw się, panienko - powiedziała pani Dupré pocieszającym tonem. - To wcale nie tak tragiczne, jak myślisz. Surowy jedwab i aksamit są dla was zdecydowanie nieodpowiednie. Nie nadają się na dziewczęce sukienki. Można z nich uszyć kreacje wieczorowe lub piękne kostiumy. A ten szary kolor jest zupełnie nieodpowiedni dla mademoiselle Berty. Nie przy tej okropnej bladej cerze. A zieleń jest równie niefortunna dla tej drugiej. Panna Edith ma zbyt ciemną karnację.

Helena powoli kiwnęła głową. Wydawało jej się, że rozumie, co pani

Dupré próbuje jej wyjaśnić.

-Ale... to...

- Nie przejmuj się, kochanie. - Pani Dupré zrobiła taki ruch ręką, jakby odganiała uprzykrzoną muchę. -
Pozwólmy im zrobić z siebie widowisko. Nie mają gustu. Ty jesteś mądrzejsza, prawda?

Helenę skinęła głową. Poczowała się trochę lepiej. Niewiele, ale lepiej. Tylko niedawny blask w jej oczach zgasł. Zniknęła cała przyjemność wybierania materiału.

Pani Dupré dotknęła jej ramienia.

- Tak się składa, że nie mam dziś przymiarek. Pójdiesz ze mną na górę, wypijemy razem herbatę, a potem posłuchasz lekcji, której nigdy nie powinnaś zapomnieć. Danielle!

Maszyna umilkła. Chuda dziewczyna, która na niej szyła, spojrzała pytająco na swoją pracodawczynię.

- Madame?

- Idę na górę, Danielle. Zajmij się sklepem w czasie mojej nieobecności.

Helenę spojrzała na elegancki zegar ścienny. Była trzecia po południu. Rozmawiały ponad dwie godziny. Pani Dupré uniosła się z obitego perkalem

krzesła.

- Wystarczy na jeden dzień - oznajmiła, wygładzając spódnice. - Teraz idź do domu i przemyśl to, czego się dowiedziałaś. Nie zapomnij, co ci mówiłam o dwóch metodach podejścia do projektu. Pierwsza? - Spojrzała pytająco na Helenę.

Dziewczynka odetchnęła głęboko.

- Zaprojektowanie sukienki, a potem znalezienie odpowiedniego materiału.

- Bon. A druga?

- Zaprojektowanie sukienki z materiału, który już się ma.

- Świetnie. I którą wybierasz? Helenę nie wahała się ani chwili.

- Najpierw pomyślę, jaka sukienka będzie dla mnie odpowiednia. A potem wybiorę materiał, który będzie pasował do projektu i w którym będzie mi do twarzy.

Pani Dupré spojrzała na nią z uznaniem. Szybko się uczy, pomyślała. Mając dobrą nauczycielkę, może daleko zajść.

Rozdział 4

Dziesięć tygodni później, w sobotę, mademoiselle Gribius wstała zza biurka i klasnęła w dłonie, by zwrócić uwagę uczennic.

Dziewczęta siedziały wyprostowane, patrząc na nią z niepokojem. Na ławce przed każdą z nich leżała starannie złożona sukienka.

- Jak wiecie, jest to nasza ostatnia lekcja przed wakacjami. Staralam się dobrze was nauczyć. Teraz zobaczymy, czy mi się to udało - zaczęła mówić obojętnym, spokojnym głosem. Przez chwilę milczała, a jej przenikliwe oczy przesuwaly się po klasie. -Przebierzcie się w kreacje, które uszyłyście.

Pozostaniecie w swoich sukienkach do końca zajęć. Jednakże nie pójdziecie w nich do domu. Przed końcem lekcji włożycie znowu szkolne mundurki. - Zmarszczyła brwi. - Myślę, że tak

będzie lepiej, bo oszczędzicie sobie wstydu. Obserwowałam was podczas pracy i ze smutkiem muszę powiedzieć, że niektóre z was nauczyły się niewiele. Myślę, że wasi rodzice nie byliby zadowoleni, widząc was poprzebierane jak na maskaradę. - Urwała na chwilę. - Dobrze, dziewczynki! Włóżcie swoje sukienki.

Serce Helenę uderzało głośno. Odetchnęła głęboko, aby nabrać odwagi, i powoli, drżącymi rękami zaczęła rozkładać swoją sukienkę. W tym momencie zapomniała o reszcie klasy i pannie Gribius. Widziała tylko własne dzieło.

W ciągu ostatnich tygodni mademoiselle

rzeczywiście z uwagą obserwowała dziewczęta. Ale nie udzielała rad ani nie komentowała niczego. Nie chwaliła ani nie okazywała dezaprobaty. Żadna z dziewcząt nie wiedziała, co myśleć. Mademoiselle nigdy się nie uśmiechała. Jej surowa twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

Największe kłopoty miała Edith. Jej ciągłe „ochy” i mamrotane przekleństwa reszta dziewcząt kwitowała tłumionymi chichotami. Wyjątkowo trudno było kroić i szyć zielony aksamit, bo materiał okazał się gruby i sztywny. Edith ciągle musiała coś pruć i zszywać na nowo. W końcu materiał w wielu miejscach zaczął prześwitywać. Każdej soboty

Edith była bliska łez.

Jeanne-Marie miała nie mniejsze kłopoty, ale podchodziła do szycia z entuzjazmem, nie chcąc narazić się na kpiny koleżanek. Za każdym razem, kiedy ukłuła się igłą,

zaciskała wargi z całej siły, by nie kłać ani nie krzyczeć. Ale jej gwałtowne westchnienia były wystarczające, a syknięcia słyszało się aż na końcu klasy. Odkryła, zbyt późno, że surowy jedwab, który kupiła na złość Helenę, jest tak samo trudny do szycia jak aksamit. Jedwab buntował się i wyslizgiwał spod igły. W dodatku piękny, lejący się materiał bardzo łatwo się strzępił, znacznie łatwiej niż zwyczajne tkaniny,

jak bawełna czy płótno.

W dodatku obie przyjaciółki źle wybrały fasony swoich sukienek. Instrukcje mademoiselle co do prostoty zostały odmiennie zinterpretowane przez każdą z uczennic. Ale żaden z modeli nie był tak ambitny czy dziwaczny, jak kreacje Edith i Jeanne-Marie. Było jasne, że obie nie zastanowiły się nad tym, co chcą uszyć. Próbowały stworzyć coś współczesnego z eleganckich osiemnastowiecznych tkanin. Wymagało to kolejnych wizyt u pani Dupré. Prawie codziennie niefortunne projektantki kupowały kolorowe kokardy i białe lub złote koronki.

Za każdym razem, kiedy dostrzegły coś nowego, chciały ozdobić tym swoje sukienki. Pani Dupré nie służyła im pomocą. Wiedząc, że przyjdą znowu, z premedytacją układała na wystawie coraz to nowe kokardy, wstążki i koronki. Było tego zbyt dużo dla Edith i Jeanne-Marie. Nie znały umiaru. I wszystkie te dodatki miały ozdobić ich kreacje.

Helenę była bardzo wdzięczna pani Dupré za lekcję. Wzięła sobie do serca to, czego się dowiedziała, i wymyśliła sukienkę najprostszą z możliwych. Inspiracji dostarczyło jej zdjęcie, które widziała w „L’Officiel”, przedstawiające ostatni krzyk paryskiej

mody. Suknia miała prostą górę bez żadnych ozdób i rozszerzaną spódnicę. Rękawy były krótkie, a głęboki dekolt został wręcz skandalicznie wydłużony. Helenę wybrała lekką bordową wełenkę, miękką i łatwą do szycia. Intensywna barwa doskonale harmonizowała z czarnymi włosami dziewczyny. Jedynym dodatkiem był uszyty z tej samej tkaniny pasek z piękną klamerką, którą podarowała jej pani Dupré.

Prostota sukni stanowiła o całej jej elegancji.

Dziewczęta przebierały się powoli. Większość drżała z niepokoju, wkładając swoje sukienki.

- Pospieszcie się! - ponaglała je mademoiselle. - Nie mamy na to całego dnia.

Potem mademoiselle kazała im po kolei przejść się po klasie. Przy biurku nauczycielki musiały wykonać obrót i wracały na miejsca. Dziewczęta siedzące z przodu pierwsze prezentowały swoje prace.

Kiedy podniosła się Edith, przez klasę przebiegł śmiech. Dziewczyna stała zarumieniona ze wstydu. Jej sukienka wyglądała wręcz fatalnie. Lewy rękaw był dłuższy i szerszy, dół krzywy i postrzępiony; na dodatek Edith zrobiła tyle fałd w talii, iż wydawało się, że jest

w ciąży. Kokardy i wstążki jeszcze potęgowały koszmarne wrażenie. Wyglądało to tak, jakby kilkunastu cukierników, z których żaden nie miał artystycznych zdolności, ozdobiło lukrem ten sam tort. Nawet Jeanne-Marie nie mogła opanować chichotu. Ale bardzo szybko spoważniała. Okazało się, że jest następna.

Podniosła się powoli. Po raz pierwszy straciła pewność siebie i niepewnie okrążyła salę. Z daleka surowy jedwab nie wyglądał źle, z bliska była to płatanina luźnych ściegów, pomarszczonego materiału i zwisających nici. Jednak postawa Jeanne-Marie sprawiła, że nikt się nie śmiał. Lecz

kiedy niefortunna krawcowa zrobiła piruet, wszystkie dziewczęta zauważyły coś dziwnego z tyłu. Suknia marszczyła się okropnie na plecach i wydawało się, że Jeanne-Marie ma garb. Klasa wybuchnęła śmiechem. Nawet mademoiselle lekko zagryzła usta.

Helene była ostatnia. Kiedy nauczycielka wymówiła jej imię, dziewczynkę ogarnął strach. Zamarła na swoim miejscu. Koleżanki odwróciły głowy i patrzyły na nią z uwagą. Mademoiselle wywołała ją ponownie i Helene zmusiła się, by wstać.

Ruszyła powoli w kierunku nauczycielki, a każdy krok wymagał olbrzymiego wysiłku. W ogóle nie czuła

nóg. Trzymała się sztywno i szła, zaciskając dłonie, zawstydzona. Na czole i pod pachami czuła zimny pot. Nie mogła przestać o tym myśleć; to nowa sukienka, a zaraz się zniszczy.

Wreszcie doszła do biurka mademoiselle Gribius i zatrzymała się półprzytomna, dręczona niepewnością. Pulsowało jej w skroniach. Serce waliło jak oszalałe.

W końcu udało jej się obrócić. Koleżanki gapiły się na nią z otwartymi ustami. Nagle rozległo się spontaniczne chóralne „ach”. Chwilę później Helenę zdała sobie sprawę ze znaczenia tego okrzyku. Jej oczy rozbłysły dumą.

Odniosła pierwszy sukces.

Po raz pierwszy w życiu była półprzytomna ze szczęścia.

Znalazła swoją pasję. Modę.

Rozdział 5

Po zakończeniu zajęć w szkole dziewczęta skupiły się wokół Helenę. Chciały wiedzieć wszystko o fasonie sukienki, błagały, by pozwoliła ją dokładnie obejrzeć, zadawały mnóstwo pytań. Skąd wzięła pomysł? Jak zwykła welenka mogła tak pięknie wyglądać? Dlaczego tak prosty krój dał tak olśniewający efekt?

Helenę nigdy nie czuła się szczęśliwsza. Nagle znalazła się w centrum zainteresowania. Sukienka dała jej popularność. Nawet Edith i Jeanne-Marie podeszły niechętnie.

Jeanne-Marie popatrzyła z wahaniem na Helenę.

- Czy mogłabyś zaprojektować i uszyć dla mnie sukienkę? - zapytała. - Oczywiście za pieniądze.

Helenę nie znała dotąd radości, jaką dają pochwały koleżanek. Ciotka Janine nie pozwalała jej na kontakty z rówieśniczkami. Chodziła tylko do kościoła i pracowała w szklarniach. Nie miała czasu na nic innego. A teraz

poczuła słodycz popularności.

Kiedy wyszła ze szkoły, oślepiło ją słońce. Pod pachą ścisnęła torbę, w której miała sukienkę. Wciąż otaczały ją paplające dziewczęta.

Nagle usłyszała z tyłu wesoły głos:

- Witaj, dzielna mała Francuzeczko!

Odwróciła się gwałtownie. Stał za nią szeroko uśmiechnięty Edmond, z jego ciemną opalenizną kontrastowały olśniewająco białe zęby. Dwóch z przodu brakowało, gdyż stracił je dawno temu w Paryżu. Helenę patrzyła na niego chwilę zdumiona, a potem zarzuciła mu ręce na szyję, brat zaś bez wysiłku

uniósł ją do góry.

- Edmond! - zawołała. - Och,
Edmondzie!

Jego statek właśnie zawinął do portu, Edmond nie zawracał sobie głowy myciem, miał kłujące policzki i śmierdział rybami, ale Helenę nie zwracała na to uwagi; w tej chwili był to najpiękniejszy zapach świata.

Kiedy wreszcie ją postawił, spojrzała na niego z dumą. Minęły dwa miesiące od ich ostatniego spotkania. Przez ten czas Edmond zmężniał i chyba wyrósł. Był przystojniejszy niż kiedykolwiek. Ciężka praca sprawiła, że miał teraz szerokie ramiona i twarde jak stal

mięśnie. Czują je przez ubranie.

Przytuliła twarz do piersi brata i rozplakała się gwałtownie.

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Co się stało? - zapytał łagodnie.
Helenę uśmiechnęła się przez łzy.

- Wiem, że to zabrzmie głupio. Ale...
och, Edmondzie, Edmondzie! Jestem
taka szczęśliwa, że cię widzę. -
Pociągnęła nosem i wytarła oczy dłonią.

Edmond uśmiechnął się szeroko.

- Wiesz, właśnie mi zapłacili. Chodź,
zapraszam cię na obiad do najlepszej

restauracji w mieście. Będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

- Nie chcesz pójść ze mną... do domu? Moglibyśmy tam porozmawiać. Twarz mu spochmurniała. Pokręcił gwałtownie głową.

- Nie! - rzucił gwałtownie. - Nie chcę widzieć tej wiedźmy.

Helena rozumiała go aż za dobrze. Edmond nie zmienił zdania, nie chciał widzieć ciotki Janine i nie chciał jej już znać. Kiedy przyplątywał do Saint-Nazaire, wynajmował pokój w pensjonacie na nabrzeżu. Przez chwilę szli w milczeniu. Potem nagle Edmond wziął Helenę za rękę.

- Będę tu dziesięć dni, a potem znowu ruszam w morze. Uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Więc zabierzesz mnie na festyn świętojański?

- Jasne. Będiesz tam drugą najpiękniejszą dziewczyną. Zatrzymała się i spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Drugą! - powtórzyła zaskoczona. - A kto jest tą pierwszą?

- Ktoś, kogo zaraz poznasz w restauracji. Nagle ogarnął ją dziwny lęk.

- Czy... czy to twoja... dziewczyna? - zapytała słabym głosem. Edmond

powoli kiwnął głową.

- Poznałem ją, kiedy ostatnim razem byliśmy w porcie. - Zauważył w oczach siostry żal. - Och, nie martw się, Jeanne jest wyjątkowa. Ale nigdy nie zajmie twojego miejsca. - Uśmiechnął się. - Ty jesteś moją dzielną małą Francuzeczką.

Odpowiedziała mu wymuszonym uśmiechem. Jej szczęście nagle gdzieś znikło. Nie była już jedyną dziewczyną w życiu brata. Miał ukochaną. Helenę myślała już wcześniej o tym, że Edmond kiedyś się zakocha. Był zbyt przystojny, żeby nie mieć dziewczyny. Nie, nie myślała o tym. Obawiała się tego.

Nagle zrozumiała, co teraz czuje.

Zazdrość.

Restauracja nazywała się Au Petit Caporal. Helenę często obok niej przechodziła, ale nigdy nie była w środku. Musieli zejść dwa stopnie w dół i minąć starą, czystą kuchnię, bo sala jadalna znajdowała się z tyłu. Była prawie pusta, miała niski sufit, białe ściany i podłogę z kamiennych płyt.

Usiedli na wyplatanych krzesłach przy okrągłym stoliku nakrytym serwetą w kratę. Za plecami mieli niewielkie okienko. Na parapecie stały doniczki z geranium, na zewnątrz, przy brzegu, kołysały się przycumowane łodzie. Promienie słońca odbijały się od ich kadłubów.

Helenę od razu rozpoznała dziewczynę Edmonda; wystarczyło zobaczyć, jak spoglądała na jej brata młoda kelnerka. Helenę przyglądała jej się z niechęcią, porównując jej wygląd ze swoim. Tamta była chyba w wieku Edmonda - a więc miała prawie osiemnaście lat, brązowe myszowate włosy, miłą twarz i brązowe, łagodne oczy. Była śliczna, kiedy się uśmiechała.

Edmond wstał i pocałował dziewczynę w policzek. Helenę znowu poczuła ukłucie zazdrości. Odwróciła głowę.

- Witaj, Jeanne - odezwał się Edmond. W jego głosie zabrzmiała jakaś szczególna nuta, której Helenę nigdy

wcześniej nie słyszała. - To moja siostra, Helenę. Helenę, to moja... Jeanne.

Spojrzała na dziewczynę.

- Witaj - rzuciła z rezerwą, nie bardzo wiedząc, jak się zachować. Jeanne jednak uśmiechnęła się życzliwie.

- Jak się masz - rzekła ciepło. Wyczuła, że Helenę jej się obawia. Wsunęła krzesło i usiadła. Potem wyciągnęła rękę, ujęła dłoń Helenę i spojrzała jej poważnie w oczy. -Bardzo lubię Edmonda - powiedziała szczerze. -I wiem, jak ty go kochasz. Mówił mi o tym. Jeżeli mi pozwolisz, ja... ja chciałabym, żebyśmy zostały

przyjaciółkami.

Helenę natychmiast poczuła się lepiej. Spojrzała na Jeanne życzliwiej.

- Ja też bym chciała - odrzekła. - Nigdy nie miałam prawdziwej przyjaciółki. Dzień świętego Jana był ciepły i pogodny. Słońce świeciło jasno, na bezchmurnym

niebie. Nawet ciotka Janine zamknęła swój interes na dzisiejsze święto.

Wczesnie rano Helenę naląła wody do wielkich garnków i zagrzała je na kuchni. Wyszorowała się porządnie, wyczyściła z ziemi paznokcie, wymyła i wyszczotkowała włosy. Wyjątkowo

zależało jej dziś na ładnym wyglądzie.

Miała przecież włożyć nową sukienkę! Nikomu jej jeszcze nie pokazała, ani ciotce Janine, ani pani Dupré, ani Edmondowi, który miał czekać z Jeanne przed bramą dokładnie o dwunastej.

- Powinnaś być już ubrana - warknęła ciotka Janine o wpół do dwunastej. Sama włożyła już tradycyjną odświętną czarną suknię z koronkowym kołnierzem. Siwy warkocz miała okręcony dookoła głowy, a na włosach upięła wysoki, sztywny koronkowy czepek. Wydawała się w pewien sposób niezwyciężona, wyższa niż w rzeczywistości.

Helene posłusznie kiwnęła głową i

poszła na górę do sypialni. Nie zamierzała mówić ciotce, że chce iść sama. Nie ośmieliłaby się nawet wspomnieć przy niej o Edmondzie. Ciotka Janine wpadłaby w szal.

Nie, Helenę miała lepszy plan. Kiedy ciotka nie będzie patrzyła, ona po prostu wymknie się z domu.

Ostrożnie włożyła sukienkę. Bordowa wełna miękko i przyjemnie dotykała czystej skóry. Helenę wstała którejs nocy, rozgrzała w piecu kuchennym żelazną duszę i włożyła ją do żelazka. Potem ostrożnie wyprasowała sukienkę, która teraz nie miała najmniejszej fałdki.

Szczęśliwa, obróciła się teraz, patrząc,

jak materiał układa się na biodrach. Żałowała, że nie ma lustra, żeby się przejrzeć. Ale ciotka Janine nie tolerowała luster. Były symbolem grzechu próżności.

Helene rozsunęła cienkie firanki i spojrzała na dół. Brat i Jeanne czekali już przy bramie. Edmond opierał się o słupek i palił papierosa. Pomachała do niego. Dostrzegł ją i skinął ręką na powitanie.

Szybko wygładziła sukienkę, przesunęła dłonią po włosach i otworzyła drzwi. Nigdzie nie zauważyła ciotki Janine. Odetchnęła z ulgą i po cichutku, zaciskając zęby za każdym razem, kiedy zatrzeszczały schody, zeszła do kuchni.

Helenę jeszcze nigdy nie wyglądała tak uroczo. Bordowy kolor sukienki sprawił, że skóra dziewczyny nabrała ciepłego odcienia. Fioletowe oczy błyszczały z przejęcia jak klejnoty. Helenę czuła się naprawdę szczęśliwa.

Podeszła na palcach do drzwi. Kiedy dotknęła klamki, poraził ją ostry głos.

- Dokąd to się wybierasz?

Odwróciła się powoli. Ciotka Janine stała przy szafie. Brwi miała groźnie ściągnięte, dłonie oparła na chudych biodrach. Helenę wskazała na drzwi.

- Edmond czeka na mnie przy bramie.

Ciotka Janine zbliżała się do niej ukradkiem jak pająk.

- Biegniesz zobaczyć się z bratem, tak? -
wypluła z siebie pogardliwie.

- Tak - odrzekła zimno Helenę. Ciotka
Janine roześmiała się ironicznie.

- Taka wystrojona? - Zacisnęła groźnie
wargi. - Skąd masz tę sukienkę? -
Uszyłam ją.

- Nie kłam!

- Uszyłam! Na lekcjach szycia
mademoiselle Gribius.

- A materiał? Gdzie kupiłaś ten grzeszny

kolor? Czerwony to kolor diabła!

- Nie jest grzeszny! - odparła Helenę. - Nawet biskup nosi czerwone szaty. Ciotka Janine rzuciła się na nią z furją.

- Ty zła, przeklęta grzesznico! Jak śmiesz porównywać tę lubieżną suknię z ubiorem świętego pasterza Kościoła! - Uniosła dłoń, by spoliczkować Helenę, ale dziewczynka zasłoniła się ramieniem. Ciotka Janine jęknęła głośno z bólu. Potem nagle szarpnęła przód sukienki Helenę. Pociągnęła tkaninę z całej siły, na jaką mogły się zdobyć jej kościste palce.

Rozległ się trzask pękającego materiału, a Helenę krzyknęła z rozpacz. Jej

sukienka -jej wspaniała sukienka
Kopciuszka - była zniszczona! Góra
zwisła w strzępach i tylko biały
staniczek osłaniał teraz małe piersi
dziewczyny.

- Nienawidzę cię! - krzyknęła.

- Włóż coś przyzwoitego - warknęła
ciotka Janine. - Pójdiesz do spowiedzi.

- Nie - powiedziała Helenę cicho.
Wyprostowała się, oczy jej zabłyśły. -
Albo owszem, pójdę i powiem
biskupowi, jaka jesteś zła! Jaka...
jaka... - Uniosła strzępy opadającego
stanika i uśmiechnęła się. - Jak
specjalnie podarłaś mi sukienkę, żeby
zobaczyć mnie nagą!

- Nie ośmielisz się tego powiedzieć. To kłamstwo! - wyszeptała ciotka Janine. - Bóg cię ukarze, tak jak karze wszystkich grzeszników! Zobaczysz! - Potem odwróciła się i szeleszcząc halką, wybiegła z domu.

Rozdział 6

Lato minęło, nadeszła jesień, a później zima. Potem jeszcze raz powtórzył się odwieczny cykl natury. Wiosna, lato, jesień, zima. Szóstego stycznia 1952 roku Helenę skończyła piętnaście lat. Na sobotnie popołudnie została zaproszona do Jeanne.

- Witaj - Uśmiechnęła się do niej Jeanne, otworzywszy drzwi. - Edmond

już jest. Wejdz.

Helenę ruszyła za nią do znajomej kuchni, która znajdowała się za wąskim korytarzykiem. Prowadziły do niej drzwi z matowymi szklanymi szybami.

Edmond siedział przy stole. Kiedy Helenę weszła, podniósł się i ucałował siostrę.

- Teraz mam przy sobie obie moje dziewczyny - powiedział ucieszony.

Helenę usiadła obok niego na drewnianej ławie, a Jeanne przeszła przez kuchnię i zniknęła w spiżarni. Po chwili wróciła z butelką białego wina. Wyjęła z kredensu trzy szklaneczki. Ostrożnie napełniła je i postawiła na

stole. Potem usiadła obok Edmonda i uniosła swoją szklankę.

- Za Helenę - wzniosła toast - która za rok zda maturę! Edmond też podniósł swoje wino.

- A votre santé - powiedział. Helenę uśmiechnęła się do nich.

- A votre santé.

Przy drugiej szklaneczce ogarnęło ją miłe ciepło. Wino sprawiło, że czuła się zrelaksowana i zadowolona.

Najprzyjemniejsze były zawsze chwile spędzane razem z nimi w małym mieszkaniu Jeanne, które odziedziczyła po śmierci swojej matki. Było przytulne,

ciepłe i radosne. Edmond nadal wynajmował pokój w pensjonacie, ilekroć statek zawijał do portu. Ale większość czasu spędzał tutaj, wracał do siebie tylko na krótko.

Przez chwilę gawędzili i plotkowali. Potem Jeanne wzięła Edmonda za rękę. Popatrzyła z powagą na Helenę.

- Mamy ci coś do powiedzenia... - zaczęła z wahaniem.

Spojrzała na Edmonda i ścisnęła mu dłoń, dając znak, by teraz on mówił. Kiwnął głową, a Jeanne odwróciła wzrok.

- Jeanne i ja... - zrobił pauzę i wziął

głęboki oddech; w jego oczach błysnął niepokój. - Zamierzamy się pobrać.

Przez moment Helenę wpatrywała się w oboje z otwartymi ustami. Gdy nowina wreszcie do niej dotarła, jej serce zatrzepotało z radości. Pochyliła się, objęła Edmonda i uściskała go mocno. Popatrzył na nią zaskoczony. Potem ucałowała Jeanne.

- Wspaniale! - zawołała podekscytowana. - Kiedy to nastąpi? Ustaliliście już datę? Coś takiego! - Z niedowierzaniem pokręciła głową. - Będę miała bratową! Dostaniesz ode mnie w prezencie suknię ślubną - oznajmiła. - Sama ją uszyję!

- Naprawdę? - ucieszyła się Jeanne.
Helenę podniosła swoją szklaneczkę.

- Chcę wznieść toast - ogłosiła.

Edmond i Jeanne sięgnęli po swoje szklanki. Na twarzy Helenę pojawiły się rumieńce. Po raz pierwszy w życiu wygłaszała toast.

- Za mojego brata i bratową -
powiedziała cicho. - Za dwoje ludzi,
których kocham najbardziej na świecie.

Do domu ciotki Janine wracała sama.
Wokoło panowała cisza, na brudnej
drodze nie było nikogo. Wiał wiatr.

Lodowate podmuchy szarpały jej

ubraniami, ale nie zwracała na to uwagi. Myślami przebywała w zupełnie innym świecie. Świecie mody. Marzyła o Paryżu i pismach pełnych kolorowych zdjęć.

Kiedy tylko skończy szkołę, natychmiast znajdzie sobie pracę. Będzie oszczędzała. A kiedy zbierze wystarczająco dużo pieniędzy, kupi bilet do Paryża, do królestwa mody. A tam zacznie realizować swoje marzenia. Wspaniałe marzenia o własnym piśmie zajmującym się modą. Lepszym niż te, które oglądała u pani Dupré. Piękniejszym niż „Elle”, wytworniejszym niż „L’Officiel”, bardziej opiniotwórczym niż „Vogue”.

Samo snucie marzeń wprawiało ją w zachwyty. Uwielbiała projektować i szyć, ale nie chciała tego robić. Miała zdolności, to prawda, ale niewystarczające, by mogła współzawodniczyć z takimi geniuszami jak Madame Gres, Christian Dior czy Hubert de Givenchy. Miała jednak talent do czegoś innego. Do rozpoznawania wartościowych rzeczy. Wspaniałych materiałów. Bizuterii. Fasonów. Miała to, co pani Dupré nazywała „okiem”.

Kiedy dotarła do domu, dostrzegła w oknach słabe światło. Teraz, kiedy miała stanąć twarzą w twarz z ciotką Janine, wszystkie wielkie marzenia pierzchły nagle. Wróciwszy do rzeczywistości,

Helenę poczuła, że jest bardzo zimno, a ona cała drży.

Ciotka siedziała w kuchni z gościem. Helenę natychmiast rozpoznała tego mężczyznę. Był to bezrobotny spawacz, który kiedyś pracował w stoczni, a teraz większość czasu spędzał w portowych tawernach. Był wysoki, miał ciemne oczy i włosy. Sprawiał wrażenie chytrego i bezwzględnego. Kilka razy, gdy Helenę mijała go na ulicy, robił pod jej adresem nieprzyzwoite uwagi. Nazywał się Pierre Péguy. Dziewczyna go nie lubiła.

- Podejdz tu, Helenę - odezwała się surowo ciotka Janine. Posłusznie podeszła do stołu.

- Usiądź. - Ciotka wskazała kościstym palcem puste krzesło.

Helenę zareagowała nieufnie na tę nagłą życzliwość. Po raz pierwszy ciotka wskazała jej miejsce obok siebie.

- Myślę, że powinnaś o czymś wiedzieć
- oznajmiła stanowczym głosem ciotka Janine. Jej ciemne oczy rozbliły, gdy popatrzyła na mężczyznę siedzącego naprzeciwko. - Pan Péguy poprosił mnie o rękę.

Helenę otworzyła szeroko usta ze zdumienia i popatrzyła na ciotkę, a później na Pierre'a i potem znowu na ciotkę. Janine wychodzi za mąż? I jej

wybrankiem jest pijak bez grosza? To z pewnością głupi żart! Jeszcze raz spojrzała uważnie na ciotkę Janine. Nie, to nie był żart.

- Dałam panu Péguy odpowiedź twierdzącą - oznajmiła Janine. - Przyjęłam jego oświadczenia.

Helenę popatrzyła na nią przerażona, a potem szybko się podniosła.

- Dokąd to? - fuknęła ciotka. - Nie pozwoliłam ci wyjść!

- Ja... ja nie czuję się dobrze, ciociu - wyjąkała dziewczyna.

Zerwała się gwałtownie i przewróciła

krzesło, które upadło z hukiem. Helenę szybko pochyliła się, aby je podnieść. Kiedy się wyprostowała, dostrzegła spojrzenie Pier-re'a. Patrzył na nią dziwnie. Zadrżała. Nie spodobał jej się wyraz oczu mężczyzny.

Tak samo spoglądał kiedyś na Catherine Niemiec.

W noc poślubną ciotki Helenę obudziła się nagle. Małżonkowie jeszcze nie spali; słyszała ich głosy w sypialni obok. Zaspana zmarszczyła brwi. Nie brzmiało to wcale jak rozmowa państwa młodych.

- Oczywiście, że mieli dom -
powiedziała ciotka.

- Jesteś tego pewna? - pytał Pierre.

- Absolutnie. Na Mont...

Helenę nie słyszała dalszego ciągu. Tamci dwoje rozmawiali o domu na Mont-coś-tam. Montlucon? Montlivault? Ziewnęła i przestała się nad tym zastanawiać. Po chwili odwróciła się na drugi bok i niedługo ponownie zasnęła.

Kiedy obudziła się rano, słońce świeciło już jasno. Usiadła na łóżku, ziewnęła i przeciągnęła się. Potem ubrała się szybko i zeszła na dół. Zatrzymała się w połowie schodów i zajrzała do kuchni.

Przy stole siedział pochylony Pierre,

popijając z kubka parującą kawę. Kot, Monsieur Champagne, przycupnął czujnie na chłodniejszej części wielkiego pieca

kuchennego, przyglądając się z uwagą ciotce Janine, która smażyła jajecznicę. Węszył różowym nosem, chwytając w nozdrza przyjemną woń. W kuchni pachniało smażoną szynką.

Dziewczyna poczuła, jak ślinka napływa jej do ust. Może małżeństwo odmieni ciotkę Janine, pomyślała z nadzieją. Nigdy wcześniej w tym domu nie było tak wystawnych śniadań. Na ogół obie jadły suchy chleb, popijając go słabą kawą. A kiedy już zrobiło się naprawdę zimno, rozgrzewały się gorącą

owsianką. A dzisiaj nawet kawa pachniała tak rozkosznie jak nigdy.

- Dzień dobry - powiedziała Helenę i zakryła usta dłonią, by ukryć ziewnięcie.
-Ładnie pachnie.

Ciotka Janine mruknęła coś, ale się nie odwróciła.

Dziewczyna podeszła do stołu i wysunęła krzesło. Kiedy siadała, uderzyła o coś kolanem. Zajrzała pod stół. Stała tam walizka.

- Czy ktoś wyjeżdża? - zapytała zdziwiona. Pierre popatrzył na nią przez długą chwilę.

- Ja - powiedział ochrypłym głosem.
Potem znowu zajął się kawą.

- Dokąd jedziesz?

- Do Paryża.

- Do Paryża! - Oczy Helenę zabłyśły.

- Cicho! - warknęła ciotka Janine.
Odwróciła się od kuchni i rzuciła
mężowi gniewne spojrzenie. - To nie jej
interes!

Wzruszył ramionami i hałaśliwie
siorbnął kawę. Chwilę później ciotka
Janine postawiła przed nim emaliowany
talerz. Były na nim jajka z szynką i
chleb. Pierre pospiesznie złapał widelec

i zaczął łapczywie jeść.

- Ty dostaniesz później śniadanie -
powiedziała ciotka Janine do Helenę. -
On się spieszy na pociąg.

Osiem dni później Pierre wrócił z
Paryża popołudniowym pociągiem.
Helenę i ciotka Janine gracowały
grządki przy furtce, kiedy przed bramą
zatrzymała się taksówka. Przestały
pracować i patrzyły, jak Pierre wydostał
się z auta, zapłacił kierowcy i chwiejnie
ruszył z walizką do domu.

Ciotka Janine wyczuła, że coś jest nie
tak. Zesztywniała, odłożyła motykę i
odgarnęła włosy z czoła. Potem
podeszła do Pierre'a i złapała go za

ramię.

- Dlaczego nie przyszedłeś z dworca na piechotę? - wysyczała. Spojrzał na nią wytrzeszczonymi, przekrwionymi oczyma.

- Nie chciało mi się - burknął.

Roześmiał się, widząc wyraz jej twarzy.

- Nie martw się! Stać nas na to. Jesteśmy teraz bogaci!

- Piłeś! - rzuciła pogardliwym tonem. -

Nie powinnam była puszczać cię samego. Pierre wyrwał ramię z jej uścisku.

- Zostaw mnie, kobieto! - warknął.

Ciotka Janine spiorunowała go

wzrokiem.

- Jak śmiesz tak do mnie mówić? -
Dopiero teraz zauważyła jego strój. -
Ten garnitur! - krzyknęła
oskarżycielskim tonem. - Skąd go masz?

- Kupilem.

- W Paryżu, bez wątpienia. -
Wyprostowała się groźnie. - To grzeszne
miasto! Dzięki Bogu, dom poszedł i już
nie ma potrzeby tam jeździć!

Helene zmarszczyła brwi. Znała tylko
jeden dom w Paryżu. Zadrzała. Tylko
nie dom maman, myślała. O Boże, nie!
Nie dom na... Montmartrze! Nagle
przypomniała sobie rozmowę, którą

słyszała w noc poślubną ciotki Janine. „Mont” znaczyło oczywiście Montmartre! Dlaczego o tym nie pomyślała? Przymknęła oczy. Chodziło o ich dom! Wciąż widziała go w myślach. Kanarkowożółte drzwi wejściowe, wymyślne kraty w oknach i białe kopuły Sacré Coeur w oddali. Mały park po drugiej stronie ulicy. O Boże, nie. Nigdy się nie zastanawiała, czy rodzice tylko wynajmowali tamten dom, czy też był ich własnością.

Ogarnęła ją fala przerażenia. Jeżeli dom należał do mamy, teraz byłby ich! Jej i Edmonda! Mogliby zamieszkać w Paryżu! Czemu nie pomyślała o tym wcześniej? Możliwe, że wymazała ten

dom z pamięci ze względu na tragiczne wydarzenia z czasów wojny.

Powoli zbliżyła się do ciotki Janine i Pierre'a.

- O czym wy mówicie? - zapytała cicho.
Ciotka Janine spojrzała na nią ostro.

- Nie twój interes! Wracaj do pracy!
Jednak Helenę stała nieruchomo.

- Chodzi o dom maman, prawda? -
zapytała, nagle mając już pewność, że
tak jest. Ciotka Janine odwróciła wzrok.

- A jeżeli nawet?

- Nie miałaś prawa go sprzedać! -

wykrzyknęła Helenę. - Należał do Edmonda i do mnie!

Ciotka Janine wycelowała w nią palec.

- Ty niewdzięcznico! Kto się tobą opiekował przez te wszystkie lata? Kto cię żywił i ubierał? Kto cię wziął do siebie?

Tak, pomyślała Helenę. Rzeczywiście, kto? Kto zbierał dla niej po ludziach znoszone ubrania? Kto karmił ją najgorszym, niedobrym jedzeniem? Kto kazał jej harować jak niewolnicy od rana do nocy? No kto?

- Edmondowi to się nie spodoba - oświadczyła, szczękając zębami.

- Myślisz, że się go przestraszę? -
zapytała groźnie ciotka Janine.

- Kto to jest Edmond? - chciał wiedzieć
pijany Pierre. Ciotka Janine odwróciła
się ku niemu.

- To jej brat.

- Tak - dodała Helenę. - Mój brat.
Ciocia Janine wie, do czego jest zdolny.
Prawda, ciociu? - Spojrzała na starszą
kobietę surowo. - Kiedy miał jedenaście
lat, zabił Niemca, który zgwałcił
Catherine! Ciekawa jestem, co zrobi ze
złodziejami, którzy ukradli dom maman.

Oczy Pierre'a zabłysły i pociemniały.

- Nie chcę o tym więcej słyszeć! -
warknęła ciotka Janine głosem drżącym
od gniewu. - Wracaj do pracy!

Rozdział 7

Helena poczuła na ramieniu ciepłą dłoń
Jeanne. Odwróciła się i spojrzała z
wahaniem na przyszłą bratową.
Życzliwe oczy Jeanne rozpraszały
wszelkie obawy, a jej łagodne
dotknięcie dodawało odwagi. Weszły
razem do ciemnego gabinetu pana
Lefevre'a, gdzie śmierdziało pleśnią.

Helena bardzo się denerwowała. Była u
prawnika tylko raz w życiu, ponad sześć
lat temu. Wciąż pamiętała ten dzień.
Ciotka Janine upewniła się, że Helena i

Edmond są wyszorowani do czysta, a potem kazała im włożyć niedzielne ubrania. Już wtedy śmierdziało tu pleśnią i było duszno. Ale najlepiej Helenę zapamiętała niezwykle długą i nudną rozmowę, z której nic nie mogła zrozumieć. Wraz z Edmondem musieli siedzieć sztywno przez długi czas i dobrze się zachowywać, podczas gdy dorośli omawiali między sobą ich przyszłość. Helenę pamiętała, że nie sięgała wtedy nogami do ziemi.

Teraz znowu była w tym biurze, bo powiedziała Jeanne, że dom mamany został sprzedany bez porozumienia z nimi.

Pan Lefevre wysłuchał jej, zacisnął

różowe wargi i podszedł do drewnianej szafki. Powoli przeglądał wypchaną aktami szufladę. Wreszcie wyciągnął zniszczoną okładkę.

- Mam - powiedział. - Junot, Edmond i Helene. - Usiadł za biurkiem i powoli przerzucał papiery, mruczac coś do siebie po cichu.

Helene zerknęła na Jeanne, która kiwnęła głową i uśmiechnęła się, dodając dziewczynie odwagi.

Pan Lefevre wreszcie zamknął akta, złożył grube dłonie na biurku i spojrzał na Helene.

- Dokumenty zostały sporządzone

między czterdziestym piątym a czterdziestym szóstym rokiem. W kwietniu czterdziestego szóstego roku twoja ciotka Janine Junot złożyła wniosek o formalną adopcję ciebie i twojego brata. Z jakichś powodów potem nie kontynuowała tych starań. Została jednakże waszą prawną opiekunką.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że jest odpowiedzialna wobec prawa za wasze wychowanie i zobowiązana do jak najlepszej ochrony waszych interesów.

Helene pochyliła się do przodu.

- Proszę mi powiedzieć - odezwała się dziwnie cichym głosem. - Czy procedury adopcyjne zostały przerwane wcześniej czy po tym, jak wyznaczono ją na naszą opiekunkę?

Pan Lefevre popatrzył na nią z uznaniem. Szybko chwycił ją.

- Po - odpowiedział.

Dziewczyna kiwnęła głową. Więc ciotka Janine miała zamiar ich adoptować, potem jednak się dowiedziała, że to nie będzie konieczne. I tak zyskała nad nimi całkowitą kontrolę.

- A co z nieruchomością naszych rodziców? - zapytała. - Czy ciotka

Janine mogła nią rozporządzać bez naszej zgody?

- Jaką nieruchomością?

- Rodzice mieli dom w Paryżu. Ciotka Janine i mój... - Helenę przełknęła ślinę

- mój nowy wuj właśnie go sprzedali.

Czyja i brat nie mamy do niego żadnych praw?

Prawnik westchnął ciężko.

- Obawiam się, że nie. Widzisz, twoja ciotka nadal sprawuje nad wami opiekę. Może więc podejmować wszelkie decyzje dotyczące waszej przyszłości, tak jak uważa za stosowne, dopóki nie skończycie dwudziestu jeden lat.

W miarę upływu czasu Helenę starała się spędzać coraz mniej czasu w domu. Pierre dużo pił, częściej, od kiedy on i ciotka sprzedali dom mamam, co czyniło jej życie wyjątkowo nieprzyjemnym. Przez całe dni przesiadywał w knajpach lub tkwił w kuchni z butelką wina. Ciotka Janine wpatrywała się ze złością w męża, ale zamiast coś robić, milczała, dusząc w sobie furię. Kiedy w końcu nie mogła się opanować, wyładowywała gniew na Helenę.

Dziewczyna celowo nie zdała egzaminów z matematyki i historii. W ten sposób mogła pozostawać do późna w szkole. Potem, przeciwstawiając się nakazom ciotki Janine, nie wracała

szybko do domu, tylko biegła do mieszkania Jeanne i czekała, aż przyszła bratowa wróci z pracy.

Zawiązała się między nimi serdeczna więź. Jeanne była pierwszą prawdziwą przyjaciółką Helenę. Pomagała jej zyskać pewność siebie i odkrywać uroki kobiecości.

Jak starsza siostra, była zawsze przy Helenę, gdy ta jej potrzebowała. A Helenę potrzebowała jej tym bardziej, że sytuacja w domu stawała się coraz gorsza.

- Gdzie ciocia Janine? - zapytała Helenę. Pierre siedział sam w kuchni, a przed nim stała opróżniona do połowy

butelka wina.

Pociągnął tęgi łyk i uśmiechnął się obleśnie.

- Wyszła - odpowiedział zapitym głosem. Podniósł się i ruszył chwiejnym krokiem w kierunku dziewczyny. Cofnęła się. Jego oddech cuchnął nieprzetrawionym winem, a twarz była purpurowoczerwona. - Jesteś całkiem ładna, wiesz? - dodał i zakołysał się do przodu.

Helena odsunęła się zręcznie na bok, a Pierre potknął się o stół.

- Zobaczysz, będzie ci dobrze - zaszeptał. - Masz na sobie ciało. Nie jak

ten worek kości, z którym się ożeniłem.

- Przestań! - wyszeptała, zaczynając się go bać. - Przestań! Pierre spojrzał na nią z ukosa.

- Nie chcesz, żeby ci było dobrze? Ja wiem, jak sprawić, żeby kobieta poczuła się kobietą!

Helena odwróciła się, by pójść na górę, ale złapał ją za ramię i przyciągnął do siebie. Pochylił się, próbując ją pocałować, ale jego usta nie trafiły na wargi Heleny i zakończyło się to obślinieniem jej nosa. Wykrzywiła się z obrzydzenia i odepchnęła Pierre'a. Rękawem otarła jego ślinę z twarzy.

- Ty świnió! - wysyczała. - Jeżeli jeszcze raz spróbujesz mnie dotknąć, koniec z tobą. Poskarżę się ciotce Janine, a ona wyrzuci cię z domu!

Roześmiał się złośliwie.

- Wcale nie! - wybełkotał i spojrzał na nią przebiegle. - Będzie winiła ciebie! Powiem jej, że mnie sprowokowałaś.

Ogarnęła ją wściekłość. Nie panując nad sobą, uderzyła Pierre'a w twarz.

- Nie ośmielisz się! - Potem odwróciła się i pobiegła na górę. Ale mimo że zamknęła drzwi sypialni, wciąż słyszała jego pijacki śmiech.

Tego wieczoru, zanim położyła się spać, zaklinowała klamkę krzesłem. Nie powstrzymałoby go to, ale gdyby próbował wejść, hałas wywracającego się krzesła musiałby ją obudzić i przynajmniej mogłaby się bronić.

Pomimo tych środków obrony leżała długo, obserwując, czy nie poruszy się klamka, dobrze widoczna w bladym świetle księżyca, prześwitującym przez cienkie zasłony. W końcu uznała, że Pierre musiał zasnąć w kuchni, i przestała nasłuchiwać. Wreszcie zasnęła, ale ciągle budziła się przestraszona, że zaraz zobaczy go przy łóżku. Jednak tej nocy nie próbował jej niepokoić. Kiedy obudziła się rano,

usłyszała głośny hałas. Był to warkot zbliżających się pojazdów.

Podniosła się z ciekawiona i podeszła do okna. Rozsunęła zasłony i wyjrzała. Poranne powietrze było rześkie i chłodne. Helenę zobaczyła kilka maszyn budowlanych stojących przed bramą. Dostrzegła koparkę, dużą betoniarę i dwie brudne ciężarówki do wywożenia ziemi i gruzu. Potężne silniki pracowały głośno, w powietrzu unosił się smród spalin.

Wychyliła się bardziej, żeby mieć lepszy widok. Z ciężarówek zeskoczyli jacyś mężczyźni. Potem zobaczyła ciotkę Janine, która szła w kierunku furtki. Wskazywała coś ręką na prawo i na

lewo, wykrzykując instrukcje, których Helenę nie mogła dosłyszeć z powodu hałasu silników.

Szybko zamknęła okno, ubrała się i zbiegła na dół, przeskakując po dwa stopnie naraz. Kilka sekund później była w ogrodzie. Znalazła ciotkę pośród grupy robotników. Podeszła i dotknęła jej ramienia.

- Co tu się dzieje? - spytała.

Ciotka Janine spojrzała na nią zirytowana.

- Będą tu pracować - odpowiedziała zwięźle. Potem odwróciła się do robotników. Helenę chodziła między

nimi, próbując poskładać fragmenty usłyszanych informacji

w całość. Nie miała pojęcia, o jakie prace chodzi. Wreszcie zatrzymała się, by posłuchać rozmowy dwóch mężczyzn.

Jeden z nich zapalał papierosa.

- Kupiła dwa hektary ziemi - powiedział. Pomachał zapalką, aby ją zgasić. - Zapłaciła gotówką. Wiem, bo moja siostra sprzedała jej swoje pole.

Jego rozmówca aż gwizdnął z wrażenia.

- Skąd wzięła taką forszę? Wygrała na loterii?

- Może. Albo obrabowała bank. - Ten pierwszy roześmiał się z własnego dowcipu. -Chce postawić piętnaście olbrzymich szklarni.

Helena stała porażona tą wiadomością. Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. W końcu odwróciła się i wbiegła do domu.

A więc ciotka Janine powiększa szklarnie, myślała. Nie musiała pytać, skąd wujostwo wzięli pieniądze. Wiedziała doskonale. Ze sprzedaży domu maman.

Uznała, że jeśli zostanie tu dłużej, oszaleje. Musi stąd uciec. Czas wy dostać się na wolność. Zdecydowała,

że jutro pójdzie do pani Dupré.

Rozdział 8

Bonjour, madame - przywitała się grzecznie Helenę. Pani Dupré wyszła zza lady i uśmiechnęła się ciepło.

- Miło cię znowu zobaczyć. Minęło dużo czasu, odkąd się ostatnio widziałyśmy. Helenę kiwnęła głową.

- Nie chciałam pani przeszkadzać.

- Nonsens! - odparła krawcowa z wyrzutem. - Nigdy mi nie przeszkadzasz. Powinnaś o tym wiedzieć!

Dopiero teraz przyjrzała się Helenę.

Nagle zdała sobie sprawę z tego, że dziewczyna się zmieniała. Wyrosła. Ale to nie wszystko. Wydoroślała. Stawała się wyjątkowo piękną młodą kobietą. A te jej oczy! Dziwne, że nigdy wcześniej tego nie zauważyłam, pomyślała pani Dupré. Są jak dwa fiołki. Teraz jeszcze powinna stracić trochę tych dziecięcych okrągłości.

Zorientowała się, że Helenę patrzy na nią ze zdziwieniem.

- Przepraszam - rzuciła madame Dupré.
- Zastanawiałam się nad czymś. -
- Uśmiechnęła się zakłopotana. -
- Zaczynam się chyba starzeć.

Helenę nerwowo przełknęła ślinę.

Gardło miała ściśnięte i suche.

- Pytałam... - W tym momencie głos jej się załamał. Poczwała się nagle jak żebraczka. - O pracę, pani Dupré! - wykrztusiła wreszcie.

Madame spojrzała na nią zaskoczona.

- Ale przecież ty chodzisz jeszcze do szkoły.

- Oui, madame. Ale chcę zrezygnować.

Pani Dupré zmarszczyła brwi. Podeszła do okna i wyjrzała przez nie zamyślona. W zachowaniu Helenę było coś dziwnego. Dziewczyna prosiła o pracę nie dlatego, że kocha tkaniny i ma talent

do szycia. Był inny, bardziej dramatyczny powód. Miała to wypisane na twarzy. A jednak gdzieś głębiej kryła się ogromna ambicja.

Madame wahała się tylko chwilę. Wiedziała, że Helenę ma wyjątkowy talent. Coś -może instynkt - podpowiedziało jej, że powinna zatrudnić tę dziewczynę. I tak Danielle, która szyła na maszynie, wkrótce zrezygnuje z pracy, bo wychodzi za mąż. Helenę szybko przejmie jej obowiązki.

Pani Dupré odwróciła się do dziewczyny. Widziała, z jakim napięciem i rozpaczą Helenę oczekuje na odpowiedź, niemal przygotowana na odmowę.

- Dostałaś tę pracę - powiedziała krawcowa z uśmiechem.

Cała rozpacz nagle zniknęła z twarzy Helenę. W oczach dziewczyny zabłyśła radość. Chciała zarzucić ręce na szyję madame, by pokazać, jak bardzo jest szczęśliwa, ale powstrzymała się w porę. Nie powinna wprawiać pracodawczyni w zakłopotanie, pomyślała.

- Nie ciesz się za bardzo - ostrzegła ją pani Dupré. - Pracy jest dużo, a pensja niewielka.

- Nic nie szkodzi - szepnęła Helenę. Odetchnęła głęboko. - Kiedy mogę

zacząć?

- Kiedy chcesz.

- Jutro? - zapytała gorliwie.

- Zatem widzimy się jutro rano.

Helenę na moment zamknęła oczy. To zbyt piękne, by mogło być prawdziwe! Nie tylko odejdzie od Pierre'a i ciotki Janine, ale to również pierwszy krok - pierwszy konkretny krok - do Paryża. Tylko tam będzie mogła zrealizować swoje marzenia.

- Co? - zapytała ciotka Janine, a jej głos drżał od gniewu.

- Znalazłam pracę - oświadczyła Helenę krótko.

- Nie dałam ci na to pozwolenia - warknęła ciotka. - Poza tym wciąż chodzisz do szkoły.

- Mam zamiar pracować - powiedziała Helenę twardo. - I nikt mnie nie powstrzyma.

- A co z nauką? - spytała ciotka. - Myślałam, że będziesz dalej tu pracować, jak skończysz szkołę.

Helenę milczała.

- No i? Gdzie zamierzasz mieszkać?

- Myślałam, że zostanę tutaj, dopóki nie zarobię na wynajęcie pokoju. Na ustach ciotki pojawił się krzywy brzydki uśmiech.

- Dlaczego się nie przeprowadzisz od razu, w tej minucie? - W jej głosie brzmiały ostre, nieprzyjemne tony.

Helenę wyczuła napięcie, które kryło się w tych słowach. Ciotka próbowała wyrzucić na nią nacisk, dając wybór pomiędzy pracą w szklarniach a opuszczeniem domu. I chciała osiągnąć swój cel w taki sposób, żeby wyglądało to na decyzję samej dziewczyny.

Helenę zacisnęła pięści. Nie wpadnie tak łatwo w pułapkę. Najbardziej ze

wszystkiego pragnęła natychmiast się spakować i odejść stąd. Niestety, nie miała pieniędzy. Musi gdzieś mieszkać. Może u Jeanne? Ale natychmiast odrzuciła tę myśl. To nie byłoby fair w stosunku do przyszłej bratowej. Musi dać sobie radę z ciotką Janine. I bronić własnych decyzji, udowadniając, że nie jest popychadłem.

- A jeżeli zdecyduję się pracować i nadal tu mieszkać? - zapytała. - Co wtedy?

- Wyrzucę cię.

- Nie możesz tego zrobić.

Ciotka Janine uśmiechnęła się zimno.

- Przekonamy się. Masz wybór: ogrodnictwo albo twoja praca - powiedziała.

- Będę tu mieszkać, dopóki nie zarobię na wynajęcie pokoju. I zamierzam pracować - oświadczyła Helenę.

Patrzyła na ciotkę Janine przez długą chwilę. To, co zamierzała teraz zrobić, zakrawało na hazard. Nie wiedziała, jak daleko może się posunąć, ale zaryzykowała.

- Zgodnie z tym, co powiedział mi mecenas Lefevre - zaczęła mówić cichym głosem - jesteś moją prawną opiekunką. I Edmonda także, dopóki nie skończymy dwudziestu jeden lat. Tylko z

racji opieki, którą nade mną sprawujesz, wolno ci było dysponować naszą własnością. - Zmusiła się do triumfalnego uśmiechu. - Jeżeli mnie wyrzucisz, przestaniesz już być moją opiekunką, nieprawdaż, ciociu Janine? I będę mogła pozwać cię do sądu, by odzyskać dom mamam. Oczywiście już go nie ma, bo są nowe szklarnie. Ponieważ postawiłaś je za pieniądze moje i Edmonda, możemy się stać ich właścicielami. Wtedy będziesz miała w sąsiedztwie konkurencję. - Umilkła na chwilę. - Jak ci się to podoba, ciociu? - spytała miękko.

Jedno musiała przyznać ciotce: ta kobieta wiedziała, kiedy się wycofać.

Pobladła z wściekłości i wymaszerowała sztywnym krokiem z pokoju.

Rozdział 9

Powoli życie Helenę stawało się znośniej sze. Jej całym światem była teraz pracownia madame Dupré. Dziewczyna wychodziła do pracy wcześniej rano i wracała późno w nocy. Pensję miała niską, ale pani Dupré powiedziała jej w zaufaniu, że za trzy miesiące odchodzi Danielle i wtedy Helenę miała dostać podwyżkę.

Tymczasem Danielle wszystko jej objaśniała. Nauczyła Helenę szyć na maszynie tak, aby zadowolić panią

Dupré, która była dużo bardziej wymagająca niż mademoiselle Gribius. Nowa pracownica musiała też przyswoić sobie tysiące małych umiejętności, jako że ich znajomość pani Dupré uważała za konieczną. I Helenę uczyła się szybko. W ciągu tygodnia posługiwała się maszyną lepiej niż Danielle. A żądny wiedzy umysł dziewczyny wchłaniał wiadomości jak gąbka.

Ale jej ulubioną porą były godziny po zamknięciu sklepu. Kiedy zostawała sama, gasiła wszystkie światła z wyjątkiem jednej lampy i siadała na podłodze za ladą. Ze skupionym wyrazem twarzy przeglądała cenne stare

magazyny mody. Wtedy poznawała to, co uważała za prawdziwy świat - świat stylu, elegancji i mody, która przekraczała wszelkie granice i bariery. Helenę uważnie studiowała każde pismo strona po stronie. Oglądała w skupieniu każdy szkic, każde ogłoszenie, każdą modelkę, każdą pozę i zdjęcie.

Nauczyła się dostrzegać subtelne różnice między słynnymi projektantami.

Prezentowano tam dzieła wielkich kreatorów mody - Odile Joly, Elisy Schiaparelli, Diora, Madame Gres i Chanel - i mnóstwo projektów utalentowanych młodych twórców rokujących wielkie nadzieje. Helenę zdecydowała, że kiedy będzie miała

własne pismo, poświęci jeden artykuł w każdym numerze nowemu talentowi. Znała upodobania i styl każdego projektanta. Właśnie po stylu mogła rozpoznać tworzone przez nich stroje z taką łatwością jak ludzi po twarzach, sposobie chodzenia, manierach. Zaczęła nawet przewidywać, co może wylansować Madame Gres w następnej kolekcji albo czego Dior definitywnie nie zrobi, chociaż w najśmielszych marzeniach nie mogła przypuszczać, że Chanel zaproponuje sztuczną biżuterię. Potrafiła zrozumieć subtelną różnicę między klasyczną prostotą Chanel a brakiem odwagi Elisy Schiaparelli; elegancją Diora a śmiałością Madame Gres. A ponad wszystkimi była

wspaniała, wielka Odile Joly, pierwsza dama mody, która królowała niepodzielnie pośród największych twórców. W jakiś przedziwny sposób umiała zawsze połączyć wszystkie zdobycze konkurencji w jeden prosty, płynny styl - tak indywidualny, tak odmienny, a zarazem subtelnie elegancki, że wprost emanował czystą magią i zdumiewał wszystkich pozostałych czarodziejów świata mody.

Helene czytała i pochłaniała wiedzę, aż nie mogła już wchłonąć więcej. Nadal jednak uważnie studiowała magazyny, choćby po to, by dostrzec jakiś szczegół, który wcześniej przeoczyła. Jej ulubionymi dniami były te, kiedy

listonosz przynosił „Elle” lub „L’Officiel” czy „Paris Vogue”. Pani Dupré rozumiała pasję dziewczyny i pozwalała jej pierwszej oglądać czasopisma.

Drżącymi palcami szybko odwijała szary papier i wpatrywała się z przejęciem w kolorową, lśniącą okładkę. Zawsze przed otwarciem czasopisma gładziła gruby papier dłonią. Uwielbiała dotykać palcami luksusowego błyszczącego kartonu i czuć jego wytworny zapach.

Wreszcie nadszedł dzień, kiedy Helenę spojrzała na jakąś fotografię i zmarszczyła brwi. Powiedziała sama do siebie: „Zrobiłabym to lepiej. Inaczej

ustawiłabym modelkę. Na następnym zdjęciu ubrałabym ją w projekt Gres zamiast Schiaparelli. Skierowałabym obiektyw aparatu w górę zamiast wprost”. Był to moment, kiedy dostrzegła, że coś już widzi i wie.

Pani Dupré przyglądała się postępow dziewczyny z zainteresowaniem.

Widziała to jasno: Helenę była urodzoną krawcową, cierpliwą uczennicą, a także miała świetny gust. Bezbłędnie odróżniała dobre od złego. A dzięki subtelny wskazówkom pani Dupré - która starała się sprawić wrażenie, że jej podopieczna odkrywa wszystko sama - dziewczyna nauczyła się rozpoznawać różnicę między dobrym a wyjątkowym i

między wyjątkowym a
wysublimowanym.

Pewnego dnia madame przystanęła obok
maszyny do szycia i w milczeniu
przyglądała się pracy Helenę.

Dziewczyna była zręczna i miała
profesjonalną pewność siebie, której
osiągnięcie wymagało zazwyczaj wielu
lat pracy.

Helenę przestała szyc i podniosła oczy
na swoją pracodawczynię.

- Chodź na górę do mojego mieszkania,
Helenę. Chciałabym z tobą
porozmawiać. Dziewczyna kiwnęła
głową.

- Oui, madame. - Starannie złożyła sukienkę, którą szyła, i ruszyła za madame. Gorączkowo zastanawiała się, co zrobiła źle.

Kiedy znalazły się w małym mieszkaniu nad sklepem, pani Dupré włączyła światło w pokoju i wskazała na obite kwiecistym perkalem krzesło.

Helene niezręcznie złożyła ręce na kolanach i patrzyła, jak jej pracodawczyni siada naprzeciwko, elegancko układając nogi.

Pani Dupré zastanawiała się przez chwilę.

- Jak długo już u mnie pracujesz? -

zapytała. Helenę spojrzała na nią osłupiała.

- Nie... nie jestem pewna, proszę pani. Miesiąc?

Pani Dupré uśmiechnęła się i pokręciła przecząco głową.

- Dokładnie trzy miesiące - poprawiła ją. Helenę aż otworzyła usta ze zdziwienia.

- To... to niemożliwe!

Pani Dupré pokiwała głową.

- Możliwe. Kiedy dojdiesz do mojego wieku, tygodnie będą ci się ciągnęły jak

lata. Jakie to dziwne, pomyślała Helenę. Każda minuta w domu ciotki Janine była

wiecznością, a tutaj miesiące zdawały się trwać zaledwie minuty.

- Za dwa tygodnie odchodzi Danielle. Od tego dnia przejmujesz całkowicie jej obowiązki.

- Oui, madame - odpowiedziała dziewczyna z entuzjazmem.

Pani Dupré uniosła brwi. Helenę nie okazywała niepokoju z powodu dodatkowej odpowiedzialności. Była pewna, że sobie poradzi.

- Wygląda na to, że lubisz swoją pracę -

zauważyła madame.

- Bardzo proszę pani. Nigdy nie czułam się szczęśliwsza. Pani Dupré spojrzała na nią przenikliwie.

- Lecz nie jesteś usatysfakcjonowana. - Było to stwierdzenie, nie pytanie. Helenę wahała się przez chwilę. Potem kiwnęła głową.

- Ależ jestem usatysfakcjonowana, madame - powiedziała ostrożnie. - I bardzo wdzięczna za to, że dała mi pani szansę.

- Ach! Jednak nie tego tak naprawdę pragniesz, mam rację? Helenę milczała.

- Niezupełnie - odrzekła w końcu.

Pani Dupré pochyliła się do przodu i spojrzała jej w oczy.

- Opowiedz mi o tym. Co chciałabyś robić?

Helenę zaczęła coś mówić, ale przerwała. Wstała i podeszła do okna, odchyliła koronkowe zasłony, by wyrzec na brukowaną kocimi łbami ulicę i szereg kamiennych domów. Potem odwróciła się twarzą do szefowej.

- Potrafię dobrze szyć, madame. Mogłabym nawet projektować ubrania. Tylko że nigdy nie będę w tym dobra.

Zbyt wiele biorę od innych. Ale.. -
zrobiła pauzę, a potem ciągnęła z
powagą: - Ale widzę, co jest dobre.
Instynktownie wiem, jak łączyć rzeczy.

Pani Dupré przytaknęła. Dziewczyna
była mądra nad swój wiek.

- Mów dalej - zachęciła ją łagodnie.
Helenę wzięła głęboki oddech.

- Chcę jechać do Paryża - wyznała
żarliwie. - Chcę wydawać własny...
magazyn mody.

Pani Dupré nie była zaskoczona.
Widziała ambicję i tęsknotę Helenę. Od
pewnego czasu dostrzegała, że te
pragnienia nabierają siły. Westchnęła.

Kiedyś i ona miała podobne

marzenia. Ale teraz jest już za późno. Zbyt przywykła do swojego wygodnego życia. Może jej ambicje nie były wystarczająco silne. Ale Helenę osiągnie swój cel.

- Też kiedyś chciałam spróbować szczęścia w Paryżu - powiedziała. Jej oczy wpatrywały się w coś odległego.

Helenę była zdumiona.

- Dlaczego pani tego nie zrobiła? Pani Dupré wzruszyła ramionami.

- Wpadłam w pułapkę. Byłam zbyt wygodna. Bałam się ryzyka. Zaczynania

wszystkiego od początku. - Umilkła na chwilę, a potem dodała cicho. - Nie miałam wystarczającego talentu.

Helena wpatrzyła się w nią zaskoczona. Zawsze myślała, że pani Dupré ma silną wolę i wyjątkowe zdolności. Nie wyobrażała sobie, że ta kobieta mogłaby nie osiągnąć czegoś, co postanowiła zdobyć. Nagle przypomniała sobie tamten pierwszy raz, kiedy weszła do sklepu i zobaczyła na wystawie piękną sukienkę. Kopię, poprawiła się w myślach. Teraz wiedziała, czyj to był model: Madame Gres.

Pani Dupré gwałtownie wstała.

- Chodź ze mną - powiedziała.

Helenę podniosła się i przeszła za nią do eleganckiej małej sypialni. Na ścianach była tapeta w niezapominajki, w rogu stała toaletka z lustrem, a naprzeciwko dwie duże szafy.

Pani Dupré wskazała Helenę, by usiadła.

- Chcę ci coś pokazać - powiedziała z zażenowaniem. - Kiedyś przywiozłam to z Paryża. - Otworzyła szafę i wyjęła wieszak przykryty długim prześcieradłem. Zdjęła przykrycie.

Helenę wstrzymała oddech. Była to suknia od Diora. Najpiękniejsza, jaką kiedykolwiek widziała. Nawet na wieszaku zdawała się żyć własnym

życiem. Delikatny atlas migotał bajecznym światłem.

- Jest piękna, non?

Helena milczała. Ledwie była w stanie kiwnąć głową. Powoli, ostrożnie wyciągnęła dłoń i dotknęła tkaniny. Ułożyła ją ostrożnie na łóżku i oglądała krój, wykonanie, materiał.

Był to szczyt krawieckiej doskonałości. Dziewczyna uniosła brzeg spódnicy do ust i ucałowała z szacunkiem.

Madame Dupré przyglądała się jej uważnie.

- Teraz rozumiesz, dlaczego jestem...

życiową bankrutką? - zapytała. Helenę patrzyła na nią ze współczuciem.

- Nigdy nie zdołam samodzielnie stworzyć czegoś takiego - wyszeptała krawcowa. - Ale, och, jak bardzo tego pragnęłam. Teraz pogodziłam się z tym, że jestem tylko przeciętną krawcową. Brakuje mi prawdziwego talentu. Z trudem udało mi się to zaakceptować. Tak długo goniłam za nieuchwytnym. Dziwne, jak często powracają do mnie tamte utracone ambicje. - Uśmiechnęła się z żalem. - Tym razem tyje przywołałaś.

Helenę uroczyście skinęła głową. Nagle pani Dupré chwyciła ją za rękę.

- Wyjedź z Saint-Nazaire! - wyszeptała.
- Kiedy tylko będziesz mogła! Masz talent, szczęście, znasz swoje ambicje, swoje zdolności. Wyjedź, aby osiągnąć sukces w Paryżu!

Helenę przełknęła ślinę.

- Tak, madame. Wyjadę najszybciej, jak tylko będę mogła.

Pani Dupré ostrożnie zakryła suknię płótnem i powiesiła w szafie. Zamknęła drzwi, a potem obie wróciły do salonu. Przez chwilę milczały.

- Obiecałam ci podwyżkę - odezwała się w końcu madame. Podeszła do wytwornego biurka i otworzyła szufladę.

Wyjęła małą książeczkę i podała Helenę.

- Co to jest? - Dziewczyna spojrzała ciekawie. - To... książeczka oszczędnościowa!

- Na twoje nazwisko. Pozwoliłam sobie zadysponować twoją pierwszą podwyżką. - Spojrzała jej w oczy. - To na Paryż - dodała cicho.

- Tak... - wyszeptała dziewczyna. - Na Paryż!

Późnym wieczorem Helenę wracała do domu ciotki. W ciemności trudno było dostrzec korzenie i zwalone pnie. Ale Helenę lubiła samotność nocy i odległe,

uspokajające uderzenia fal o brzeg. Miała wtedy czas na rozmyślanie, na układanie planów. Pani Dupré ma rację, uznała. Powinna jak najszybciej wyjechać z Saint-Nazaire. Nie ma tu dla niej przyszłości. Ze smutkiem przypomniała sobie utracone marzenia i nadzieje pracodawczyni. Nie chciała wpaść w tę samą pułapkę. Musi jasno widzieć przed sobą cel.

Minęła znajomy zakręt. W oddali widziała światła domu Brocqsów. Włożyła ręce do kieszeni płaszcza. Dużo się dziś nauczyła. Uśmiechnęła się do siebie. Oceniała każdy dzień ilością zdobytej wiedzy.

- Tu jesteś, moja ślicznotko! - wyszeptał

nagle męski głos w ciemności. Helenę drgnęła z przerażenia. Pierre! Wyteńczyła wzrok i próbowała odnaleźć go w

ciemnościach, ale nie mogła nic dojrzeć. Co on tu robi, myślała w popłochu. Do domu jeszcze dobry kilometr. I nagle zrozumiała. Czekał. Zastawił pułapkę. Na nią. Głos znowu wyszeptał:

- Moja ślicznotko, czekam tu na ciebie!
Okręciła się dookoła własnej osi.

- Gdzie jesteś? - krzyknęła.

Liście na drzewach po lewej stronie nagle zaszeleściły. Zwróciła twarz w tym kierunku. Ale to był tylko wiatr.

- Jestem tutaj, moja ślicznotko! - Teraz jego głos zdawał się dobiegać z prawej strony. Helenę odwróciła się w tym kierunku.

- Nie, nie, moja ślicznotko! Nie uciekaj! Jestem przed tobą!

Cofnęła się instynktownie - i wpadła prosto w jego ramiona. Objął ją mocno i przytrzymał.

Zaczęła krzyczeć, ale zimna, twarda dłoń zakryła jej usta.

- Nie krzycz, moja ślicznotko! - szepnął, a jego gorący oddech owiał szyję dziewczyny.

Jęknęła rozpaczliwie. Muszę coś zrobić, myślała gorączkowo. Cokolwiek. Na chwilę poddała się jego uściskom. Zdumiony Pierre opuścił ręce, a wtedy Helenę wyslizgnęła się z jego ramion. Próbował objąć ją znowu, ale odwróciła się i kopnęła go kolanem w krocze. Syknął z bólu, a Helenę zaczęła biec przez ciemne pola tak szybko, jak tylko mogła. Rzuciła się między drzewa; ostre gałęzie rozrywały jej sukienkę i raniły twarz. Przerazał ją każdy konar. Były jak palce, a Helenę uciekała przed ich uściskiem. Potknęła się o kamień i upadła. Przez moment myślała, że to Pierre podstawił jej nogę. Podniosła się z trudem i ruszyła dalej, nie zatrzymując się nawet, by sprawdzić, czy ją ścigał.

Zupełnie straciła wyczucie kierunku.

Płuca pękały jej ze zmęczenia.

Zatrzymała się na moment i pełną piersią wciągnęła powietrze. Serce waliło jej jak młot.

- Czekam na ciebie, moja ślicznotko!

- Nie! - wrzasnęła i zakryła oczy dłońmi.

- Nie, nie, nie, nie, nie!

Nagle poczuła, że ogarnia ją ciemność. Przez chwilę chwiała się niepewnie, a potem wydawało jej się, że pada. Miała wrażenie, że on jest blisko, ale nie była tego pewna. Zdawało jej się, że czuje, jak jego uda zaciskają się wokół jej twarzy. Było to jak... senny koszmar.

Tak nierealne. Gdzieś nad sobą słyszała płytkie i urywane dyszenie.

Po chwili wróciła jej świadomość. Helenę poczuła na twarzy ciepłe krople. Czyżby zaczęło padać? - zastanawiała się zaskoczona. Potem usłyszała szelest oddalających się kroków. Odszedł.

Jęknęła i chwilę leżała bez ruchu. Nagle zorientowała się, że na ustach również ma jakiś płyn. Poczowała dziwnie słony smak.

Po chwili uświadomiła sobie, co to jest. Sperma. Z obrzydzeniem zaczęła wycierać usta nadgarstkiem. Ale nie mogła się opanować i nagle chwyciły ją mdłości. Zanim zdołała je powstrzymać,

zwymiotowała.

Kiedy zapaliły się światła w sklepie, Helenę spojrzała w górę i zamrugła. Pani Dupré stała w drzwiach, w płaszczu narzuconym na koszulę nocną i z włosami zakręconymi na metalowe wałki. Spoglądała na Helenę czerwonymi zaspanymi oczami, jakby dopiero się obudziła.

- Co ty tu robisz? - zapytała. - Już po północy. - Potem niemal zachłysnęła się własnym oddechem. - Co ci się stało? Twoja twarz... jest cała poraniona!

Helenę drżała. Odwróciła głowę.

- Nie mogę dłużej zostać u ciotki,

madame, więc przyszedłam tutaj. Staralam się wejść po cichu. Nie chciałam pani obudzić.

- W porządku. Usłyszałam hałas i zeszłam sprawdzić, co się dzieje. - Pani Dupré podeszła bliżej i przyjrzała się badawczo twarzy dziewczyny. - Kto ci to zrobił? Wyglądasz, jakby ktoś cię pobił! - powiedziała ostrym głosem.

- Proszę... - błagała. - Niech się pani tym nie przejmuje.

- Nie przejmuje! - parsknęła pani Dupré.
- Ktoś tu powinien się przejmować, ale na pewno nie ja! - Spojrzała na nią. - No więc! - naciskała. - Czy to któryś z chłopców?

Helenę w milczeniu pokręciła przecząco głową. Oczy pani Dupré rozszerzyły się ze zdumienia.

- Nie mów mi, że zrobił ci to ktoś z domowników! - powiedziała gniewnie. Helenę niechętnie skinęła głową. Pani Dupré groźnie zmarszczyła brwi.

- Czy to twoja ciotka?

- Proszę... - odezwała się Helenę cichym, nieśmiałym szeptem.

- Dobrze, nie będziemy teraz o tym mówić - uspokoiła ją madame. - Ale powiedz mi, czy dlatego tak bardzo zależało ci na pracy? Żeby stamtąd uciec?

Helenę ponownie przytaknęła.

- Musiałam się wydostać z domu.
Chciałam zaoszczędzić pieniądze na
wynajęcie pokoju.

Pani Dupré objęła ją mocno.

- Biedna mała! Nie martw się, nie
wrócisz tam. I nie będziesz musiała
wydawać pieniędzy na pokój. Zostawisz
je na podróż do Paryża!

Helenę popatrzyła na nią ze
zdziwieniem.

- Ale gdzie będę mieszkała?

- Coś się znajdzie.

Helena spojrzała na nią pytająco.
Krawcowa uśmiechnęła się i wskazała sufit.

- Mansarda na górze stoi pusta. Jest tam stare łóżko i trochę mebli. To będzie teraz twój pokój.

Twarz Heleny rozjaśniła się w uśmiechu.

- Naprawdę?

Pani Dupré potwierdziła ruchem głowy.

- Chodź ze mną. Dam ci pościel. Jutro możesz pójść do ciotki po swoje rzeczy.

- Podniosła ostrzegawczo palec. - Ale nie sama! - dodała stanowczo.

- Non, madame. Pójdzie ze mną narzeczona brata.

- Zatem załatwione. Chodź, zobaczymy, jak wygląda twój nowy pokój.

Poszły na górę. Mansarda miała pochyły sufit, tak że tylko na środku można się było wyprostować. Pachniało tu stęchlizną, w powietrzu unosił się kurz. Od ściany do ściany wisiały sznury do bielizny.

- Będziesz musiała trochę posprzątać - powiedziała krawcowa i uchyliła jedno z okien. - Ale powinno ci tu być dość wygodnie.

Helene złożyła ręce.

- Nie wiem, jak pani dziękować. Pani Dupré wzruszyła ramionami.

- To nic takiego. Postaraj się szybko zasnąć. Jutro masz wolne. - Otarła kurz z dłoni i podeszła do drzwi. - Dobranoc, Helenę.

Helenę zaczekała, aż ucichną kroki jej pracodawczyni w dole schodów. Potem podeszła do okna i wyjrzała. Ponad szczytami dachów mogła dojrzeć światła portu, gdzie zwykle cumowały łodzie rybackie. O tej porze nabrzeże wydawało się dziwnie wymarłe i można było dojrzeć ledwie kilka łodzi. W dali ciemna zatoka łączyła się z równie ciemnym niebem. Uśmiechnęła się do siebie. Będzie można stąd zobaczyć

statek Edmonda, pomyślała.

Jeanne wytrzepała zakurzony chodnik za oknem i zakasłała.

- Spryskaj podłogę wodą, zanim zaczniesz zamiatać. Inaczej zadławimy się kurzem na śmierć!

Były ubrane prawie identycznie, w stare sukienki Jeanne; głowy owinęły szalikami. Jeanne potrząsnęła głową i zachichotała.

- Czyż nie wyglądamy jak dwie służące?

Helenę kiwnęła głową i pochyliła się, by starannie wymieść brudy z kąta.

- Kiedy sprzątniemy ten stryszek, będzie tu całkiem przyjemnie. Jeanne rozejrzała się po poddaszu.

- Jest tu wystarczająco dużo miejsca dla jednej osoby - powiedziała z przejęciem. - I pomyśl, to twój własny pokój. - Nagle w jej głosie zabrzmiał gniew. - Już nigdy nie wrócisz do tych okropnych ludzi!

Helenę z westchnieniem opadła na rozchwiane krzesło.

- Nie mogę powiedzieć prawdy Edmondowi. To mnie boli, bo nigdy nie mieliśmy przed sobą tajemnic. Ale boję się...

Jeanne spojrzała na nią.

- Wiem. Z mojej strony nie musisz się niczego obawiać, nie pisnę ani słowa. Ale co zamierzasz mu powiedzieć?

- Część prawdy. Że nie mogłam już wytrzymać z ciotką Janine. Będzie mi tu bardzo wygodnie. Wystarczy zejść na dół i już jestem w pracy. Muszę oszczędzać każdy grosz bo chcę wyjechać do Paryża.

- Dobrze. Powiem mu to samo.

Helenę podeszła do Jeanne i uściskała ją serdecznie.

- Kiedy się poznałyśmy, powiedziałaś,

że chcesz, abyśmy zostały przyjaciółkami - wyszeptała ciepło. - Jestem bardzo szczęśliwa, że tak się stało.

- Wiem - odpowiedziała Jeanne. - Ale lepiej wracajmy do pracy. Edmond przyjeżdża za kilka dni. Chcemy, żeby mu się spodobało twoje poddasze, prawda?

Helene przytaknęła. Przyglądała się z uwagą przyszłej bratowej.

- Czemu na mnie patrzysz? - zapytała Jeanne. Helene uśmiechnęła się i odwróciła wzrok.

- Och, nieważne - odrzekła wymijająco.

Nie mówiła prawdy. Oceniała wzrost, budowę i figurę Jeanne. Patrzyła na młodą kobietę oczami krawcowej. Dzisiaj, kiedy Jeanne wyjdzie, pomyślała, zaczę szkicować dla niej suknię ślubną. Przecież do ślubu pozostały zaledwie cztery miesiące.

Ktoś zastukał do drzwi.

- Proszę - zawołała Helene.

Weszła pani Dupré, niosąc drewnianą tacę przykrytą serwetką.

- Pomyślałam, że pewnie już zgłodniałyście - powiedziała z uśmiechem. -Przyniosłam wam więc maleńką przekąskę. - Położyła tacę na

łóżku. - Wielkie nieba! Nigdy nie myślałam, że to poddasze może tak pięknie wyglądać!

- Dopiero zaczęłyśmy - odrzekła Helenę.

- Może powinnaś się zająć urządzaniem wewnątrz zamiast modą? Helenę uśmiechnęła się zadowolona.

- Jest tu może jeszcze trochę pusto. Ale mam sentyment do tego pokoju. - Spojrzała na poddasze okiem właścicielki. - Jak chyba każdy do swojego pierwszego własnego miejsca.

- Tak - zgodziła się z nią. madame. - Nigdy nie zapomnę mojego pierwszego pokoju. Wąska klitka z odłóżającą tapetą

w chińskie róże... - Zrobiła lekki ruch
dłonią. - Ale jestem pewna, że macie do
roboty coś. ciekawszego, niż
wysłuchiwać wspomnień starej kobiety.
Zostawię was same. - Dotykała już
klamki, ale jeszcze się odwróciła. - Aha,
Helenę...

- Tak, proszę pani?

- Dostałam dziś rano list od comtesse de
Léger, potwierdzający jej zamówienie.
Chyba ci jeszcze nie mówiłam.

- Nie, madame. Pani Dupré wyjaśniła.

- Hrabina co roku jeździ do Paryża i
zamawia całą kolekcję u najlepszych
projektantów. Nikt oprócz mnie nie wie,

że nosi te stroje tylko podczas specjalnych okazji. Robię dla niej kopie wszystkiego, co kupuje. W ten sposób ma identyczne - tańsze - rzeczy do chodzenia po domu. Szybie dla niej zabiera mi zwykle cztery tygodnie. Zamykam pracownię na czas mojej wizyty w zamku. - Zrobiła pauzę. - Zawsze zabieram swoją najlepszą szwaczkę. Tym razem postanowiłam wziąć ciebie.

W oczach Helenę rozbłysła radość.

- Strasznie bym chciała, madame. Kiedy to będzie?

- Cały wrzesień. Helenę posmutniała.

- Co się stało? Myślałam, że się ucieszysz.

- Cieszę się. Tylko że Jeanne i Edmond... - Odwróciła się i spojrzała z żalem na przyszłą bratową. - Oni biorą wtedy ślub i...

- Helenę, chcę, żebyś pojechała - wtrąciła się Jeanne. - Edmond i ja odłożymy nasze wesele. Pobierzemy się w grudniu.

-Ale...

- Cicho! To twoja życiowa szansa. Poza tym nigdy nie byłaś w żadnym zamku, prawda?

Helenę nie odpowiedziała. Nie chciała sięgać pamięcią do lat wojny i zajętego przez okupantów zamku nad Loarą, do Catherine i Marie...

- Zresztą kto wie? - rzuciła lekko Jeanne. - Możesz spotkać przystojnego hrabiego. - Spojrzała na panią Dupré. - Jest tam jakiś pan zamku, czyż nie?

- Och... tak. Ale to mąż comtesse. Jednakże mają dość przystojnego młodego syna. Chyba na imię mu Hubert. Tak, Hubert de Léger. - Madame spojrzała zamyślona na Helenę. - Chyba tylko rok czy dwa starszy od ciebie.

Rozdział 10

Było pochmurno i zanosiło się na deszcz, kiedy pani Dupré z Helenę wysiadły z pociągu w Bordeaux. Czekał na nie starszy siwy mężczyzna w granatowym uniformie z mosiężnymi guzikami, w wypolerowanych wysokich butach i czapce z daszkiem. Natychmiast rozpoznał madame Dupré i uklonił się nisko. Potem wskazał ręką bagaż i spojrzał na nie pytająco.

Pani Dupré uśmiechnęła się do mężczyzny.

- Bonjour, André. Tak, to nasze walizki.

Bagaze zostały szybko załadowane na wózek i zawieszone na parking, gdzie czekała stara czarna limuzyna. André

przytrzymawał drzwi, gdy madame Dupré i Helenę wsiadały, a potem sam usiadł za kierownicą. Podczas jazdy Helenę ukradkiem pogładziła dłonią welurowe siedzenie. Było twarde, ale gładkie w dotyku. Uśmiechnęła się do siebie. Oto prawdziwy luksus, pomyślała.

Sunęli powoli wąskimi uliczkami. Helenę przycisnęła nos do szyby. Bordeaux było dużo większe niż Saint-Nazaire i wydawało się nawet, że leży w innym kraju. Kamienne domy były duże i bogato zdobione. Niektóre miały nawet balkony. Znajdowało się tu dużo sklepów, a ulicami mknęło wiele samochodów. Minęli gwarne targowisko

na placu. Parasole i markizy rozpościerały się nad straganami pełnymi serów, pieczywa, jajek, owoców i warzyw. Helenę dostrzegła misternie splecione główki czosnku, które kołysały się na sznurkach.

Przejechali przez ciemny, podobny do tunelu łuk i znaleźli się przed wielką wieżą. Była to ciekawa budowla.

Wysoko, ponad łukiem znajdował się duży prostokątny zegar. A jeszcze wyżej, w następnym łuku otoczonym przez kamienne wieżyczki, wisiał wielki

dzwon dumnie milczący po porannym oznajmieniu, że raz jeszcze rozpoczęły się zbiory w winnicach Bordeaux. Kiedy już minęli wieżę, Helenę odwróciła się i

wyrzała przez tylną szybę. Jeszcze przez chwilę podziwiała zegar. Ogromne złote wskazówki wskazywały w pół do szóstej.

Zostawili za sobą miasto i skierowali się na północ. Po obu stronach mijali zielone pastwiska, rozległe lasy i ożywione wsie. Kiedy przejeżdżali przez wioski, kierowca zwalniał i Helenę mogła przelotnie dojrzeć stare kamienne domy i skrzynki z bladoróżowym i ciemnoczerwonym geranium. Często też pojawiały się wokół łagodne wzgórza, które wyglądały tak, jakby ktoś przejechał po nich broną. Były to winnice - serce i dusza Gaskonii. Po pewnym czasie

Helena odwróciła się do pani Dupré.

- Czy jeszcze daleko? Madame poklepała ją po ramieniu.

- Półtorej godziny. Odpręż się, odpocznij. Zamki de Légerów są w Medoc. Helena zdziwiła się, w jej głosie zabrzmiało niedowierzanie.

- Są? To znaczy, że jest ich więcej niż jeden?

- Są dwa. - Pani Dupré oparła się wygodnie. - Zamek Hautecloque-de Léger i Loustalot-de Léger.

- Obydwa są prawdziwymi zamkami? Jej pracodawczyni przytaknęła.

- Obydwa. I każdy ma własną winnicę. Ale hrabiostwo mieszkają w Hautescloque. Jest większy i bardziej luksusowy. - Uśmiechnęła się lekko. - A także bardziej reprezentacyjny.

Po godzinie dotarli do granic posiadłości de Légerów i pani Dupré wskazała dziewczynie ich herb. Teraz mijali dużo większe winnice. Łagodnie opadające wzgórza wydawały się ciągnąć od horyzontu do horyzontu.

- To największa winnica we Francji - powiedziała madame.

Helenę kiwnęła głową. Milczała. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziała.

- Spójrz prędko w lewo! - Pani Dupré wskazała okno po stronie Helenę. Dziewczyna szybko odwróciła głowę. Pomiędzy sięgającymi piersi krzewami

winorośli krzątali się robotnicy. Zrywali dojrzałe grona, co jakiś czas spoglądając z niepokojem na zachmurzone niebo. Helenę zauważyła zawiły labirynt brukowanych drózek przecinających winnicę. W oddali, otoczony spokojnymi wodami olbrzymiej fosy, wznosił się majestatyczny zamek. Średniowieczne kamienne wieżyczki i chropowate ściany harmonizowały z eleganckimi renesansowymi ozdobami.

- To zamek Loustalot-de Léger -

powiedziała pani Dupré. - Otacza go ponad tysiąc hektarów winnic.

- To... strasznie dużo! - zawołała Helenę. Jej pracodawczyni kiwnęła głową.

- Dwa lata temu produkowano tu prawie dwa miliony butelek wina. Możesz to sobie wyobrazić?

Helenę potrząsnęła głową zdumiona.

- Ci Légerowie muszą być bardzo bogaci - zauważyła. Pani Dupré uśmiechnęła się, ale nic nie powiedziała.

Tak, myślała, rzeczywiście są bardzo

bogaci. Ale hrabina odznaczała się typową dla Francuzów chytryością i skąpstwem. Zamiast wydać dziesięć tysięcy franków więcej na drugą oryginalną kolekcję paryskich projektantów, wolała skopiować pierwszą za trzy tysiące. Aż trudno uwierzyć, że kobieta, która jest multimilionerką, woli zaoszczędzić siedem tysięcy franków!

- A zamek Hautecloque-de Léger? - zapytała Helenę.

- Jest trochę bardziej na północy. Otacza go tylko sto hektarów winnic. Wkrótce tam będziemy.

Właśnie dojeżdżali, kiedy z nieba spadły

pierwsze ciężkie krople deszczu. André westchnął i mruknął coś o winogronach. Gdy zbliżyli się do bramy zamku, zwolnił.

Helena wyjrzała przez przednią szybę. Wycieraczki z trudem zmagaly się ze strugami deszczu, ale udało jej się dostrzec dużą kamienną płytę na szczycie bramy. Widniały na niej lew i salamandra podtrzymujące tarczę. Był to herb rodu de Légerów.

Jechali aleją wysadzaną topolami. Po jednej stronie był duży park przypisywany słynnemu architektowi krajobrazu Le Notre'owi, który zaprojektował ogrody w Wersalu. Nawet przez ciężką zasłonę deszczu

Helenę zdołała dostrzec zamek
Hauteclouque-de Léger. Głośno
wciągnęła powietrze w płuca. Nie był
podobny do żadnego zamku, jaki sobie
kiedykolwiek wyobrażała. Nie miał ani
baszt, ani wieżyczek. Widziała przed
sobą

wytworną, nobliwą trzypiętrową
budowlę, która sprawiała wrażenie
zimnej z powodu doskonałej symetrii.
Wąski główny gmach miał po obu
stronach dwa boczne skrzydła
zakończone dużymi pawilonami.
Spadziste strome dachy osłaniały rząd
wysokich latarni. Pośrodku znajdowały
się imponujące marmurowe schody
wiodące na taras.

Objechali budynek i samochód zatrzymał się przed małym wejściem z tyłu. André wyciągnął wielki czarny parasol, przytrzymał drzwi i osłaniał swoje pasażerki przed deszczem, kiedy szybko szły do budynku.

Gruba kobieta o czerwonej twarzy, ubrana na biało, otworzyła szeroko drzwi. Pani Dupré z Heleną wbiegły do środka, André zaś wrócił do samochodu.

Helenę rozejrzała się zdumiona.

Znajdowała się w olbrzymiej kuchni. Na ścianach wisiały mosiężne i stalowe garnki oraz patelnie. Przy drewnianym stole młoda dziewczyna z wprawą wyrabiała ciasto. Helenę czuła się rozczarowana, że nie mogły wejść po

majestatycznych schodach od frontu.

Gruba kobieta zapewne była kucharką. Zamknęła drzwi, uśmiechnęła się szeroko i wytarła wielkie dłonie o fartuch.

- Bonjour, madame - powiedziała przyjaźnie. - Czy miała pani przyjemną podróż? Pani Dupré uśmiechnęła się do niej i strzepnęła kilka kropli deszczu z rękawów.

- Bonjour, Therese. Tak, podróż była przyjemna, dopóki nie zaczęło padać. Therese uniosła w górę ręce dramatycznym gestem.

- Ta pogoda! Mieliśmy takie suche lato,

a teraz ten deszcz! To nie wyjdzie na dobre biednym winogronom. -
Wzruszyła ramionami. - Cóż, nie możemy oczekiwać, że każdy rok będzie dobry.

- Chyba tak - zgodziła się z nią pani Dupré.

- Pani hrabina poleciła mi, żeby umieścić panią tam, gdzie zwykle - powiedziała Therese. - Czy to pani odpowiada?

- Oczywiście, merci - odrzekła pani Dupré.

- Zatem chodźmy na górę. Jestem pewna, że chcecie się umyć i przebrać. Madame

spojrzała na Helenę.

- Chodź. Nasze bagaże zostaną przyniesione później.

Helenę szła za nimi po stromej klatce schodowej do kwater dla służby na ostatnim piętrze zamku. Ulokowano je na poddaszu, w pokojach z pochyłymi sufitami.

Usiadła ciężko na łóżku i rozejrzała się rozczarowana; tynki na ścianach były popękane, a meble, choć wygodne, całkiem zwyczajne. Jedyne okrągłe okno znajdowało się tak nisko nad podłogą, że musiała się pochylić, by przez nie wyrzeć.

Raz jeszcze poczuła się urażona. Oczekiwała wytwornej sypialni, łóżka z baldachimem i kosztownych mebli. Przygryzła wargi. Musi uważać, żeby nie powiedzieć czegoś niestosownego. Limuzyna z szoferem świadczyła o tym, że hrabiostwo uważali je za lepsze niż reszta służby, ale dużo, dużo gorsze od de Légerów.

Następnego dnia późnym popołudniem comtesse wezwała madame Dupré do Gobelinowej Komnaty. Lokaj w liberii prowadził je po kamiennych schodach. Ta klatka schodowa w przeciwieństwie do schodów dla służby była delikatnie rzeźbiona w owoce i kwiaty. Helenę przekonała się, że zamek był

rzeczywiście imponujący. Wspaniałe wnętrza zachowały się doskonale i wyglądały jak przed wiekami. Wszędzie znajdowały się siedemnasto- i osiemnastowieczne obrazy, flamandzkie gobeliny, chińskie stoliki z laki i dywany z Aubusson. Wytworne meble w stylu Ludwika XV podkreślały arystokratyczny charakter budowli.

- Wszystko autentyczne - zapewniła ją szeptem pani Dupré.

Helene aż krzyknęła, kiedy służący otworzył olbrzymie podwójne drzwi Gobelinowej Komnaty. Ściany pokrywały czerwonozłote, subtelnie tkane arras, od których pomieszczenie wzięło swoją nazwę. Umeblowanie

stanowiły fotele i sofy z epoki Ludwika XV. Ale nie było ani jednego obrazu. Zamiast tego wszędzie można było dostrzec chińską i japońską porcelanę. Stały tam rozmaite posążki, wazy i figurki mandarynów. Wytworny stół zdobiła wspaniała kompozycja kwiatowa. A na haftowanej sofie w głębi siedziała hrabina de la Brissac et de Léger.

Comtesse wywodziła się z rodu Brissac-Orleans, a jedną z jej odległych prababek była Anna z Bretanii, żona króla Ludwika XII. Hrabina była szczupła, elegancka i tak samo wyniosła, zauważyła Helenę, jak fasada zamku. Jej włosy miały kolor popiołu i były

idealnie uczesane. Błada cera wydawała się porcelanowa, ale dłonie, którymi gładziła małego maltańskiego spaniela, zdradzały wiek. Upływające lata pozostawiły na nich

ciemniejsze plamki i przebarwienia. Miała wąski rzymski nos, a sieć maleńkich zmarszczek pojawiła się w kącikach zimnych, kamiennych oczu. Siedziała sztywno wyprostowana. Była ubrana w prostą bluzkę z białego jedwabiu i piękny bladożółty kostium. Chanel, rozpoznała Helenę. Pani Dupré dygnęła grzecznie.

- Bonjour, comtesse - przywitała się oficjalnie.

- Bonjour, madame. - Głos hrabiny był głośny i dźwięczny. Bardzo wyraźnie wymawiała każdą sylabę.

- Chciałabym przedstawić moją nową szwaczkę, Helenę Junot. - Pani Dupré wskazała dłonią dziewczynę.

Helenę dygnęła tak, jak kazała jej spojrzeniem pani Dupré, ale jej ruchy były jakoś dziwnie niezgrabne. Czowała, że się rumieni.

- Bonjour, comtesse - wyszeptała nerwowo.

Zimne, ciemne oczy hrabiny przesunęły się badawczo po Helenę.

- Jest bardzo młoda! - powiedziała zaskoczona.

- Oui, comtesse - odrzekła szybko pani Dupré. - Ale to najbardziej utalentowana szwaczka, jaką kiedykolwiek spotkałam. Daleko zajdzie.

- Czyżby? - Ciemne oczy raz jeszcze zwróciły się na Helenę, tym razem z uprzejmym zainteresowaniem. - Jest dość atrakcyjną młodą damą.

Helenę znowu poczuła, że na twarz wypływają jej rumieńce. Rzadko trafiały jej się komplementy, a kiedy je otrzymywała, nie wiedziała, jak zareagować. Teraz też stała bez słowa. Widząc zadowolony wyraz twarzy

hrabiny de Léger, domyśliła się, że jej milczenie zostało odczytane jako wyraz skromności.

Comtesse pociągnęła za sznureczek dzwonka, który wisiał nad sofą. Chwilę później bezszelestnie pojawiła się młoda pokojówka ubrana na czarno.

- Lise, życzę sobie, żebyś udzieliła pani Dupré i jej pracownicy wszelkiej pomocy, jakiej będą potrzebowały.

- Oui, comtesse.

- Bien. Możesz je zaprowadzić do szwalni na górze. Potem zanieś tam stroje, które przysłano z Paryża. Wszystkie z wyjątkiem sukni.

- Oui, comtesse.

- To wszystko. - Hrabina odprawiła ją władczym gestem.

Pani Dupré spojrzała znacząco na Helenę. Raz jeszcze dygnęły i razem z Lise opuściły Gobelinową Komnatę.

Szwalnia znajdowała się na drugim piętrze północno-wschodniego skrzydła. Kiedyś musiała to być wspaniała sypialnia. Miała wysoki rzeźbiony sufit, boazerię na ścianach i długie okna, które dawały maksimum światła. Przykryte prześcieradłami sprzęty przypominały białe zjawy. Zimny, pełen kurzu pokój zdecydowanie wymagał wietrzenia. Helenę podeszła do okien i otworzyła je

na oścież. Poczwała powiew świeżego powietrza i kilka migoczących kropelek deszczu spadło jej na twarz. Przez chwilę stała, oglądając park Le Notre'a.

Pani Dupré obeszyła pokój i energicznymi ruchami pozdejmowała białe prześcieradła. Okazało się, że zakrywały maszynę do szycia, duży, zawalony papierami stół, manekiny, wieszak, trzyczęściowy parawan, za którym hrabina mogła się dyskretnie przebrać, i potrójne lustro w połączonych ramach. Potem madame podeszła do rzeźbionej szafy i otworzyła drzwi. Wewnątrz leżały bele materiałów, nici, igły, poduszcзки na szpilki, nożyce, różne dodatki i inne

drobiazgi potrzebne krawcowej.

- Comtesse nalega na częste przymiarki -
wyjaśniła pani Dupré przyciszonym
głosem. - To dlatego szwalnia nie
znajduje się w części przeznaczony dla
służby. -

Helenę odsunęła od siebie talerz.

- Objadłam się - oznajmiła.

Pani Dupré spojrzała na nią ostro i
pogroziła palcem.

- Dama nigdy nie mówi: „Objadłam się”
- oświadczyła surowo. - W
towarzystwie dama powie: „Jestem już
najedzona, dziękuję”. Musisz zwracać

uwagę na dobre maniere. Kiedy znajdziesz się w Paryżu, mogą zdecydować o twoim sukcesie lub porażce.

Helenę kiwnęła głową, zapamiętując tę informację. Jadły obiad przy małym stole w pokoju pani Dupré. Było to wynikiem dziwacznych zasad etykiety, która umieszczała je pomiędzy szczeblami drabiny społecznej; ich status był dużo niższy niż de Légerów, ale wyższy niż służby, więc musiały jeść posiłki osobno. Pani Dupré wyjaśniała dziewczynie, że gdyby w zamku była nauczycielka, jadłaby z nimi, ponieważ jednak nie ma tu

guwernantki, muszą jadać same. Helenę

kręciło się w głowie od tych zawiłości i zastanawiała się, ile owa drabina może mieć szczebli.

Pani Dupré ostrożnie odłożyła nóż i widelec na talerz, dając w ten sposób znak, że ona również skończyła posiłek. Delikatnie musnęła usta serwetką.

- Therese przyniesie nam potem kawę i deser - powiedziała. - Wie, że lubię pić kawę dużo później.

Helene kiwnęła głową, sącząc powoli wino.

- Nie mogę czekać do jutra - powiedziała. - Sukienki są takie piękne! I kostiumy Chanel - nie mogę wprost

przestać się nimi zachwycać. Nigdy nie wpadłabym na to, żeby wszywać w obrąbek maleńkie łańcuszki, bo wtedy spódnica lepiej się układa.

Pani Dupré kiwnęła głową.

- Chanel jest genialna - powiedziała po prostu. Podniosła się i podeszła do małego okrągłego okna. Pochyliła się, rozsunęła cienkie firanki i wyjrzała. Opuściła je na miejsce i odwróciła się do dziewczyny. - Przestało padać. Pójdziemy na spacer?

Helene odsunęła się z krzesłem i wstała.

- Chętnie. Chciałabym odetchnąć świeżym powietrzem. Wezmę tylko

płaszcz. Zeszły na dół przez kuchenne drzwi. Było jeszcze jasno, ale wkrótce miał zapaść

zmierzch. Deszcz sprawił, że szara jesienna trawa stała się zielona jak wiosną. Nad parkiem unosiła się lekka mgiełka. Chmury przerzedziły się i przypominały szary kobierzec. Nagle się rozsunęły i wyjrzało przez nie słońce.

Pani Dupré z uśmiechem popatrzyła na niebo.

- Może jest jeszcze nadzieja na dojrzałe winogrona - powiedziała. - Przejdziemy się trochę.

Spacerowały przez kilka minut. Nagle

ich oczom ukazały się stajnie. Helenę była zdumiona ich wielkością.

- De Légerowie muszą mieć dużo koni, skoro są tu takie duże stajnie. Pani Dupré pokiwała głową.

- Owszem. De Légerowie są dumni ze swoich umiejętności jeździeckich. Trzymają wierzchowce do polowań na lisy, a nawet mają konie wyścigowe. - Przestały rozmawiać,

bo usłyszały zbliżający się stukot końskich kopyt. Odwróciły się, by spojrzeć w ich kierunku.

Helenę krzyknęła i zasłoniła sobą panią Dupré. Wspaniałały czarny arab pędził

przez trawnik wprost na nie. Wyglądało to tak, jakby jeździec stracił kontrolę nad wierzchowcem, ale w ostatniej chwili z wprawą ściągnął cugle. Wielki koń zarżał i zatrzymał się niecały metr od nich. Wokoło unosił się pył ulatujący spod kopyt ogiera. Helenę czuła ciepło bijące od konia.

Musiał galopować przez dłuższy czas.

Padł na nią cień jeźdźca. Uniosła wzrok.

Był niezaprzeczalnie przystojny. Miał ciemne włosy, wyraźnie zarysowany, wysunięty podbródek i głębokie, błyszczące oczy. Przypominały oczy hrabiny, ale jej były zimne, te zaś wydawały się złośliwe. Helenę zdołała

też zauważyć muskularną sylwetkę jeźdźca, który doskonale trzymał się w siodle.

Hubert de Léger uśmiechnął się i dotknął szpicrutą daszka czapki.

- Ach, madame Dupré, witam - powiedział. Pani Dupré skinęła mu głową.

- Przestraszył nas pan prawie na śmierć - rzekła z tłumioną furią. Zignorował ją i skinął głową w kierunku Helenę.

- Kim jesteś? - Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

Miał w sobie ten zniewalający urok,

który sprawił, że nagle zaczęła się bać.
Stała jak zahipnotyzowana.

- Helenę Junot - wymamrotała cicho,
patrzając w bok.

- Wyglądasz dużo lepiej niż dziewczyna,
którą madame przywiozła w zeszłym
roku. - Spojrzał na panią Dupré i
uśmiechnął się rozbrajająco. - Czyż nie?

- Myślę, że to kwestia gustu -
odpowiedziała sztywno.

Hubert de Léger odchylił głowę do tyłu i
wybuchnął śmiechem, ukazując białe
zęby. Potem spowaźniał i spojrzał na
Helenę.

- Jeździsz?

- Chodzi o jazdę... konną? - spytała zażenowana.

- A jaką? - odparł z kpiącym uśmiechem.

- Nigdy... nigdy nie próbowałam.

- To nic trudnego. - Ścisnął cugle w dłoniach; ogier ani chwili nie stał spokojnie.

- Nie jestem pewna, czy lubię konie - powiedziała szybko Helenę.

- Polubisz - rzucił władczy tonem. - Będiesz świetnie wyglądała na koniu.

Mamy ich w stajniach mnóstwo.

Niektóre są bardzo łagodne. Nauczę cię jeździć. - Zamilkł na chwilę. - Powinnaś czuć się zaszczycona.

Helena wyglądała raczej na poruszoną. Gwałtownie zamachała dłońmi i odwróciła głowę.

- Może któregoś dnia - mruknęła wymijająco.

- Jutro? - zapytał szybko.

- Nie, jutro muszę pracować - odrzekła stanowczo, a potem spojrzała na panią Dupré, w widoczny sposób oczekując jej pomocy.

Madame pospieszyła na odsiecz.

- Pańska matka byłaby bardzo niezadowolona, gdyby jej stroje nie były gotowe na czas.

Hubert uśmiechnął się chytrze i pochylił w jej kierunku.

- Wiem przecież, że nigdy nie pracuje pani dłużej niż do szóstej po południu. - Potem spojrzał na Helenę. - Zatem umówmy się na lekcję jutro o wpół do siódmej.

Zanim zdołała odmówić, uderzył ogiera szpicrutą i ukłuł ostrogami.

Wierzchowiec natychmiast pogalopował aleją, wzbijając kopytami grudki ziemi.

Wkrótce zniknął między drzewami.

Helenę odwróciła się do pani Dupré.

- Co ja mam teraz zrobić? - jęknęła. Jej mentorka wzruszyła ramionami.

- Hubert de Léger nie przyjmuje łatwo odpowiedzi „nie”. Odziedziczył upór po rodzinie matki.

Dziewczyna wyglądała na nieszczęśliwą.

- Może powinnam później pójść i z nim porozmawiać? Pani Dupré potrząsnęła głową.

- To byłaby strata czasu. Jest czarujący,

ale złośliwy. Choćbyś szukała wszędzie, nie znajdziesz go do jutra do wpół do siódmej. Chyba nie masz wyjścia i po prostu musisz się z nim spotkać.

Rozdział 11

Kilka minut po wpół do siódmej następnego dnia pani Dupré odprowadziła Helenę aż do stajni i pomogła jej się przebrać w jeden ze strojów jeździeckich przeznaczonych dla gości. Kiedy dziewczyna była gotowa, madame cofnęła się i dokładnie ją obejrzała. Zmarszczyła brwi.

- Żakiet jest trochę za szeroki w biuście, ale poza tym leży nieźle. - Podeszła bliżej i poprawiła opadający z

kapelusza welon. - Tak, całkiem nieźle - powtórzyła z satysfakcją.

Helenę podeszła do lustra w garderobie i stanęła przed nim zdumiona, patrząc na swoje odbicie. Kostium był piękny.

Czarna spódnica miała wystarczającą długość, by nieco odsłonić lśniące buty, które wcisnęła na siłę, ponieważ były za niskie w podbiciu.

- Dama musi mieć szyte na miarę buty - rzędziła pani Dupré, pomagając Helenę je wciągnąć.

Czarny żakiet i biała bluzka okazały się trochę za duże, ale miały elegancki krój, a czarny krawat dodawał im szyku. Helenę czuła się jednak zażenowana

tym, że nosi strój, który do niej nie należy.

Weszły do wyłożonej jasnymi płytkami siodlarni, w której unosił się zapach skóry i drewna. W oszklonej szafce ustawiono jeździeckie trofea i medale, na ścianach wisiały siodła, mosiężne rogi do polowania i oprawione sztychy przedstawiające konie, które startowały w gonitwach w Chantilly i Longchamps.

Helena spojrzała na to wszystko i cofnęła się do drzwi garderoby.

- Może lepiej...

Pani Dupré chwyciła ją za ramię.

- Och, nie! Dasz sobie radę. -Ale...

- Bądź cicho! - Jej pracodawczyni gestykulowała z podniecenia. - Po prostu bądź sobą! Jesteś taka sztywna i nieśmiała. Odpręż się! Nie myśl o niczym. - Głos jej złagodniał. - Pamiętaj, że wyglądasz uroczo.

- Jestem głodna.

Pani Dupré zmarszczyła brwi.

- Krótka dieta jeszcze nikomu nie zaszkodziła - oświadczyła. - Przeżyjesz utratę kilku kilogramów.

Usłyszały tętent końskich kopyt.

- No już, wychodź - powiedziała stanowczo madame i popchnęła Helenę w kierunku drzwi. - Nie masz się czego bać. Baw się dobrze... i bądź ostrożna. - Spojrzała na nią znacząco.

Helenę zarumieniła się i zakłęła w duchu. Ostatnio ciągle się rumienie, pomyślała. Musi coś z tym wreszcie zrobić. Przecież nie może chodzić cały czas czerwona jak burak. Ale co pani Dupré rozumiała, mówiąc o byciu ostrożną? Ostrożną w stosunku do czego? Konia czy... jeźdźca?

Zobaczywszy ją, Hubert de Léger zręcznie zeskoczył z siodła i podszedł do niej, prowadząc araba za uzdę.

- Wspaniale wyglądasz. Wiedziałem, że przyjdiesz.

- Dziękuję - odrzekła zimno. Poczowała złość, słysząc w jego głosie arogancję i zarozumiałość.

- Chodź - powiedział. - Przywiążę tu Szejka, a stajenny przyprowadzi konia dla ciebie. Zostaniemy przez chwilę na padoku.

Nerwowo kiwnęła głową, a on przywołał jednego z chłopców stajennych, który po kilku minutach podprowadził konia. Była to wielka kasztanowa klacz z damskim siodłem. Helenę spojrzała na nią i cofnęła się przestraszona.

- To... to tak wysoko.

- Poradzisz sobie.

- Nie jestem tego taka pewna - mruknęła powątpiewająco.

Przez następne pół godziny uczył ją wyłącznie wsiadania i zsiadania. Helenę podejrzewała, że ćwiczył z nią tak pilnie dlatego, że mógł bezkarnie obejmować ją i trzymać za biodra czy też „przypadkowo” obściskiwać, kiedy ją podnosił.

Z zaskoczeniem odkryła, że dotyk jego rąk był całkiem przyjemny. Wyczuwała w tym mężczyźnie brutalną siłę i porywczość, chociaż starał się być

łagodny i uprzedzająco grzeczny. Kilka razy ich twarze znalazły się blisko siebie, a wtedy przez kilka chwil patrzyli sobie w oczy. Potem ona szybko odwracała wzrok, a on kontynuował lekcję jakby nigdy nic.

On coś knuje, myślała rozbawiona. Ale taką grę muszą prowadzić dwie osoby. Po prostu zmienię reguły i zagram po swojemu, postanowiła. Starła się szybko opanować wsiadanie i zsiadanie. Była wyjątkowo zadowolona, widząc rozczarowanie Huberta z powodu jej szybkich postępów. Jeden - zero, powiedziała sobie w duchu.

- Teraz pojedziemy - oznajmił Hubert w końcu. - Najpierw wolny kłus dookoła

stajni, a potem spacer wokół parku. - Sięgnął do kieszeni po kostkę cukru i podał ją klaczy. Wsunęła pysk w jego dłoń i delikatnie wzięła cukier.

Helene przeciwiczyła klus wokół stajni, a potem powoli ruszyła do parku. Musiała przyznać, że jazda konna ogromnie jej się spodobała. Wymagała skupienia i zręczności, ale dziewczyna uczyła się szybko. Raz nawet poderwała klacz do galopu, a wiatr dmuchnął jej w twarz.

Kiedy wracali, Hubert kazał Helene zostać z tyłu. Potem pochylił się nisko, spiął konia ostrogami i skierował go na ogrodzenie. Helene wstrzymała oddech.

Zamierzał przeskoczyć przez płot!
Zauważyła, że ogrodzenie składało się z wielu barierek różnej wysokości.

Arab posłusznie pokonywał kolejne przeszkody. Helenę z niedowierzaniem potrząsnęła głową. Hubert popisывał się przed nią, zdawała sobie z tego sprawę. Mimo wszystko był to jednak imponujący pokaz umiejętności człowieka i konia.

Pokonawszy wszystkie płotki, de Léger zawrócił i podjechał do dziewczyny. Nic nie powiedziała, ale jej uśmiech wystarczył za słowa. Wyraźnie zadowolony Hubert zeskoczył z ogiera i gestem polecił Helenę zsiąść. Oddali cugle stajennym.

- Jesteś zmęczona? - zapytał.
- Tak, ale to przyjemne zmęczenie - odrzekła szczerze.
- Wiem, co masz na myśli. Czujesz ból od siodła?
- Ani trochę - oświadczyła stanowczo.
- Poczujesz jutro - zapewnił ją ze śmiechem.

Wrócili przez park do zamku. Zapadał zmierzch i niebo pokryło się ciemną purpurą. Przez kilka minut milczeli. Hubert uderzał szpicrutą o buty.

- Straciłaś przez tę lekcję kolację -
zauważył w końcu. - Możesz zjeść ze
mną.

- Nie jestem głodna.

- Nie przyjmuję takiej odpowiedzi -
odparł.

- Ale... muszę się przebrać. - Wskazała
na amazonkę.

- A więc idź i zrób to.

- Nie - powiedziała stanowczo. -
Naprawdę nie mogę. To nie byłoby w
porządku. Spojrzał na nią pytająco.

- Co nie byłoby w porządku?

- Nasz wspólny obiad.

- Dlaczego? - Spojrzał na nią rozbawiony. - Bo jestem synem hrabiego de Léger? Poczwała, że znowu się rumieni.

- Tak - powiedziała cicho.

Ale on potrafił przekonywać. Mogłaby odmówić, gdyby próbował jej rozkazywać. Nie zrobił tego jednak, tylko prosił. Wreszcie Helenę się poddała. Odmowa była niemożliwa. Helenę podejrzewała, że Hubert wiedział, jaki wpływ ma na kobiety. Postanowiła nie zwracać na to uwagi.

Kiedy dotarli do domu, rozstali się na

godzinę. Helenę pobiegła na górę, poczekała, aż jedna z pokojówek wyjdzie z łazienki, która była wspólna (to trwało tak długo!), i szybko wzięła kąpiel. Przez kilka minut pozwoliła sobie na luksus wylegiwania się w wannie, a potem poszła do swojego pokoju i ubrała się starannie. Kiedy skończyła, spojrzała w lustro. Czarna sukienka wydawała się prosta, niemal surowa, ale nadawała się na każdą okazję, od spaceru po nabożeństwo żałobne. Zresztą była to jedyna porządna sukienka, jaką miała. Z przejęcia zapomniała zamknąć drzwi łączące jej pokój z sypialnią pani Dupré. Nagle zdała sobie sprawę z tego, że madame przygląda jej się uśmiechnięta.

- Jak... jak wyglądam? - spytała Helenę z wahaniem.

- To zależy od tego, dokąd się wybierasz.

- Na dół. Hubert zaprosił mnie na obiad.

- W takim razie wyglądasz pięknie - powiedziała jej pracodawczyni i lekko zmarszczyła brwi. - Ale trochę surowo.

Helenę spojrzała na nią w panice.

- Co pani przez to rozumie?

- Musimy przełamać powagę czerni. Czerń jest elegancka, ale wymaga dodatków. - Odpięła jeden z cienkich

złotych łańcuszków, które miała na szyi.
- Pożyczę ci go.

Dziewczyna pokręciła głową.

- Nie mogę go wziąć.

- Nie martw się. Nic mu się nie stanie.

- Będę bardzo ostrożna - obiecała.

Pani Dupré zapięła łańcuszek na jej szyi. Helenę nigdy nie wyglądała lepiej. Na twarzy miała rumieńce, których z pewnością nie wywołała jazda konna. Była to oznaka szczęścia i podekscytowania. Miłość? - pomyślała nagle madame. Miała nadzieję, że nie. Hubert de Léger był zbyt gwałtowny,

zbyt młody i z pewnością nie umiał traktować poważnie niczyich uczuć.

- Baw się dobrze - powiedziała, a potem dodała szeptem: -I pamiętaj o dobrych manierach.

Helene pokiwała głową.

- Będę - obiecała cicho i wyszła z pokoju.

Hubert czekał na nią w salonie na pierwszym piętrze. Przeszedł przez dywan Savonnerie i spojrzał na dziewczynę z uznaniem.

- Musimy poczekać kilka minut. Moi rodzice zaraz zejdą. Serce Helene

niemał przestało bić.

- To znaczy... że jeszcze nie jedli?

Potrząsnął głową.

- Nie. Zwykle jadamy obiad późno. -

Uśmiechnął się. - Nie martw się, oni nie gryzą.

Poprawiła nerwowo naszyjnik od pani Dupré. Myślała, że zje obiad z Hubertem, a nie z jego rodzicami. Nie widziała jeszcze hrabiego, ale comtesse zniechęciła ją wystarczająco. Była zbyt wyniosła, zbyt wystudiowana elegancka i wyrafinowana. Jej czarne zimne oczy przerażały Helenę. Przez chwilę miała ochotę wymamrotać jakąś wymówkę i uciec. Zamiast tego powiedziała

nieswoim głosem:

- Jaki piękny obraz. -I wskazała na jedno z oprawionych w złote ramy płócien na pokrytej bladoniebieską morą ścianie.

- Podejdźmy bliżej, żeby go obejrzyć - zaproponował Hubert. Ujął ją pod ramię i poprowadził przez salon.

Zarumieniła się lekko, czując ciepło jego dłoni, co nadało jej twarzy piękny różowy koloryt. Spojrzała na Huberta i uśmiechnęła się nerwowo. Opuścił rękę i stanął z tyłu, patrząc, jak przechodziła od obrazu do obrazu. Długo nie mogła oderwać wzroku od małego płótna nad jedną z kanap. Było bardzo stare, tak że mogła dostrzec sieć drobnych pęknięć

farby. Przedstawiało młodego chłopca z uśmiechem na ustach i półprzymkniętymi oczyma.

- Ten jest najpiękniejszy ze wszystkich - powiedziała miękko.

- Ma pani dobry gust, mademoiselle. To Rafael - odezwał się kobiecy głos. Helenę zeszywniała i odwróciła się powoli. Znała aż za dobrze ten ostry głos i

precyzyjną wymowę. Dygnęła grzecznie i sama była zaskoczona, że teraz udało jej się to zrobić tak zgrabnie.

- Dobry wieczór, comtesse - powiedziała grzecznie.

- Dobry wieczór, mademoiselle. -
Hrabina uśmiechnęła się zimno i
podeszła bliżej. -Hrabia wkrótce
zejdzie. - Jej ciemne oczy spojrzały na
dziewczynę z ciekawością. - Nie miałam
pojęcia, że interesuje się pani sztuką.
Kiedyś muszę panią oprowadzić po
zamku. Jest tu wiele arcydzieł malarstwa
włoskiego i francuskiego. Mówi się, że
mamy największą kolekcję jej płócien
Claude'a Lorraina w Europie. Jeden z
moich przodków był jego wielbicielem.

Helenę grzecznie kiwnęła głową.

- Bardzo bym chciała je zobaczyć, pani
hrabino. Comtesse odwróciła się do
Huberta.

- Jeździłeś dzisiaj konno? - zapytała.
Uśmiechnął się do matki.

- Tak, jeździłem z panną Junot.

Brwi hrabiny uniosły się na ułamek sekundy.

- Pani jeździ konno?

- Dopiero się uczę - odpowiedziała szybko Helenę.

- Każda młoda dama powinna umieć jeździć konno - oświadczyła stanowczo comtesse. - Kiedy byłam młoda, zdobyłam wiele nagród na pokazach.

- Naprawdę? - zapytała Helenę. Nie

miała pojęcia, co to za pokazy, ale patrzyła na hrabinę zaskoczona. Ta elegancka dama nie wyglądała na entuzjastkę jazdy konnej.

Chwilę później do pokoju wszedł hrabia. Helenę dygnęła i raz jeszcze zaskoczyła ją własna zręczność.

Momentalnie zauważyła, że to po ojcu Hubert odziedziczył postawę i sposób bycia. Jedynie rysy Huberta, jego ciemne oczy i wysunięty podbródek wyraźnie pochodziły od matki, bo hrabia miał jasnoniebieskie tęczęwki. W siwiejących włosach pozostały pasemka naturalnego koloru blond. Helenę zdecydowała, że hrabia wyglądał dystyngowanie.

- Idziemy? - zapytał, podając ramię żonie, która kiwnęła głową. Hubert dotknął łokcia Helenę i wszyscy czworo przeszli do jadalni. Dlaczego on mi to robi, zastanawiała się, gdy szli do jadalni.

Jadalnia była wytwornie i bogato urządzona. Helenę podziwiała błyszczący parkiet, lśniące boazerie na ścianach, marmurowy kominek, drogi żyrandol nad stołem i pozłacane rzeźbione krzesła. Wspaniały kandelabr ze smukłymi świecami, ciężkie srebrne sztuce, wspaniała porcelana z Limoges i kryształowe kieliszki rozłożono na serwetkach wprost na lśniącym stole. Nie było obrusa.

Helenę zobaczyła cztery nakrycia z wprawiającymi w zakłopotanie rzędami widelców, łyżek i noży ułożonych z wojskową precyzją. Za każdym z krzeseł stał lokaj w liberii. Helenę nigdy nawet nie marzyła o takim obiedzie.

Lokaje odsunęli krzesła od stołu. Helenę poczekała, aż hrabiostwo zajęli swoje miejsca, a potem usiadła i powtórzyła w myślach nauki pani Dupré: „Jeżeli masz wątpliwości co do przeznaczenia widelca, szklanki czy talerza - patrz, co robią inni. Naśladuj

ich, a nie popełnisz błędu”. Spojrzała na hrabinę, która delikatnie rozłożyła płócienną serwetkę i umieściła ją na kolanach, i sama zrobiła to samo.

Obiad trwał długo, a większa część rozmowy okazała się nudna. Helenę uważała jednak, że to najbardziej fascynujący wieczór w jej życiu. Czowała się wyróżniona tym zaproszeniem. Oczywiście wiedziała, że nie udało jej się przełamać rygorystycznych barier towarzyskich, ale siedziała przy stole z de Légerami i już to samo w sobie było niewielkim sukcesem. Udowadniało, że czasami można się dostać do wyższej sfery. Była to kwestia obracania się we właściwym towarzystwie, poznawania ludzi należących do określonej klasy. Pozostanie w tym kręgu to już inna historia. Jednak piękność i wdzięk oraz wytworne maniery i błyskotliwy dowcip

mogły zapewne pomóc zatuszować zbyt niskie pochodzenie.

Helene podziękowała w duchu pani Dupré, kiedy lokaj podał jej po raz drugi wazę z zupą rakową.

- Jestem już najedzona, dziękuję - odmówiła grzecznie, mimo że miała ochotę na jeszcze. Wiedziała, że nie byłoby to właściwe, bo nikt inny nie wziął dokładki.

Była wręcz olśniona jedzeniem. Wyglądało nawet bardziej wspaniale, niż smakowało. Po zupie przyniesiono sorbet. Na początku myślała, że to deser. Ale tak nie było. Napój chłodzący miał oczyścić smak. Potem każdej osobie po

kolei podawano wielką tacę. Był na niej cały szczupak faszerowany kremem z mały. Grzbiet ryby ozdobiono liśćmi sałaty i małymi kwiatkami. Dookoła leżały pieczarki. Do tego dania, serwowanego z białym sosem maślanym, podano butelkę Pouilly-Fuisse. Wino pozostało przez kilka minut odkorkowane, aby chwilę pooddychało. Helenę ujęła swój kieliszek i wdychała bukiet. Comtesse raz jeszcze uniosła brwi. Helenę powoli sączyła wino. Wszystko było naprawdę przepyszne. Pragnęła tylko, by mogła znaleźć się tu z nią pani Dupré.

Większa część konwersacji jej nie obchodziła. Mówiono o winnicach,

samochodach, polityce, a także powtarzano plotki o jakiejś baronowej de Savonnieres i jej pięknej córce Mirielle. Helenę słuchała w milczeniu zadowolona z samego faktu, że mówi się o takich rzeczach w jej obecności. Zaskoczyło ją, że plotek nie wypowiadano szeptem.

Tutaj plotkowało się otwarcie, z rozbawieniem, szczycąc się złośliwością i dowcipem ostrym niczym rapier.

Potem rozpoczęto temat, który ją zainteresował. Ostatniego wieczoru przed powrotem pani Dupré do Saint-Nazaire w zamku urządzano bal.

Hrabia rzucił żonie szybkie spojrzenie.

- Czy zaprosiłaś baronową de Savonnières? - zapytał.

- Ależ oczywiście - odpowiedziała hrabina, jakby to była rzecz najnaturalniejsza w świecie.

Hrabia uniósł brwi, a w jego głosie zabrzmiało powątpiewanie:

- Czy nie sądzisz, że po tym ostatnim skandalu mądrzej byłoby jej nie zapraszać? Wargi comtesse ułożyły się w złośliwy uśmiech.

- Wprost przeciwnie, Filipie. Wszyscy będą mnie za to chwalić! Wiesz, jak

lubię stawiać ludzi naprzeciw siebie, szczególnie wrogów. - Z radości aż zmarszczyła swój wąski nos. - Dzięki temu mamy później tak rozkoszne plotki.

Przez chwilę wszyscy milczeli. Ciszę przerywał jedynie dźwięk srebrnych sztućców stukających o porcelanę. W oczach Helenę błyszczało podniecenie. Okrągłe okno w jej pokoju wychodziło na frontowy podjazd. Będzie mogła przyglądać się nadjeżdżającym gościom. Ciekawe, czy rozpozna tę baronową de Savonnieres i jej piękną córkę.

Podano deser: olbrzymie aksamitne brzoskwinie na porcelanowych talerzykach z Limoges. Helenę już miała wziąć owoc do ręki, ale na szczęście w

porę dyskretnie przyjrzała się innym. Jedli swój deser sztuczkami. Ostrożnie zaczęła ich naśladować. Nigdy nawet nie wyobrażała sobie, że są ludzie, którzy jedzą owoce nożykiem i widelcem! To tylko utwierdziło ją w przekonaniu, że musi się jeszcze wiele nauczyć.

Hubert uśmiechnął się do niej przez stół.

- Oczywiście jesteś zaproszona -
oznajmił. - Jako mój gość.

Wpatrywała się w niego bezmyślnie. Była tak bardzo pochłonięta przyglądaniem się, jak hrabina kroi swoją brzoskwinię, że nie zwracała uwagi na nic innego. Słowa Huberta ją

zaskoczyły. Zaproszona? Na co?

- Przepraszam, nie dosłyszałam -
powiedziała grzecznie.

- Na bal, oczywiście - wyjaśnił. -
Będiesz moim gościem.

Nagle poczuła dreszcz podniecenia. Bal!
Nie śmiała nawet o nim marzyć, a oto
teraz Hubert ją zaprosił. W obecności
swoich rodziców! Szybko spojrzała na
hrabiego i hrabinę, oczekując jakiejś
negatywnej reakcji z ich strony. Może
nieznacznie potrząsną głowami, otworzą
szerzej oczy, lekko uniosą brwi. Ale nic
takiego nie dostrzegła.

Skromnie spuściła wzrok.

- Ja... nie wiem - odrzekła z wahaniem.

- Dlaczego nie? - naciskał. Ale kiedy tylko wypowiedział te słowa, zaklął w duchu. Wiedział dlaczego. Z tego samego powodu, dla którego chciała odrzucić zaproszenie na obiad.

Ponieważ on był de Légerem i czuła się przy nim niezręcznie.

- Będiesz się świetnie bawić - zapewnił ją szybko. - Wierz mi, zrobisz furorę. Helenę ogarnęło przygnębienie. Odkroiła maleńki kawałeczek brzoskwini i jadła go

w milczeniu. Czy Hubert nie może tego zrozumieć? Tak pragnęła pójść na ten bal. Och, po prostu o tym marzyła. Już

się nie bała. Nie martwiła się tym, że to nie jej sfera. Ale nie miała nic, w co mogłaby się ubrać. Surowa, czarna sukienka na pewno się nie nadawała. Rozczarowanie było jak tępy ból, który promieniował od jej serca, sięgając aż do rąk i nóg, tak że zdrętwiały jej palce. Westchnęła w duchu. Nic na to nie poradzi. Musi się z tym pogodzić.

Po obiedzie wrócili do salonu na kawę i koniak. Helenę sączyła kawę, ale podziękowała za alkohol. Nie była do niego przyzwyczajona i już samo wino sprawiło, że czuła się dziwnie lekka.

Hrabia zapalił cygaro. On i Hubert siedzieli naprzeciw siebie i dyskutowali o interesach oraz polityce. Hrabina

usiadła na sofie obok Helenę, wskazywała niektóre z obrazów i opowiadała ich historię. Była zadowolona, mając wdzięczną słuchaczkę. Jej zimne ciemne źrenice błyszczały tak, jakby miała przed oczami to, o czym właśnie mówiła. Helenę słuchała oczarowana. Wyglądało na to, że de Légerowie przez stulecia byli obecni wszędzie - w polityce, winiarstwie i sztuce. Fascynowała ją rozległa wiedza hrabiny i czuła się zaszczycona tym, że taka arystokratka chciała jej tyle opowiedzieć. Chciwie chłoneła każde słowo wielkiej damy.

Wreszcie hrabia wstał. Potem wraz z żoną pożegnali się i odeszli, a służący

zamknął za nimi drzwi. Hubert uśmiechnął się do Helenę.

- Czy cię nudzimy? - zapytał rozbawionym głosem.

- Ależ nie! - zaprotestowała. - Wszystko tutaj jest fascynujące. Zmienił temat.

- Co powiesz na przejażdżkę?
Potrząsnęła głową.

- Musiałabym się przebrać. Poza tym ostrzegałeś mnie przed efektem siodła. Roześmiał się.

- Nie konno, tylko samochodem. Do wioski. Wiesz, możemy zajrzeć do Chez Gaston przed pójściem spać! Mają tam

dobre płyty.

- Nie jestem pewna, czy powinnam -
odpowiedziała szybko. Spojrzał na nią
kpiąco.

- Czyżbym słyszał w twoim głosie
strach?

- Oczywiście, że nie - odpowiedziała
ostro.

- Więc idź po płaszcz. Spotkamy się
przy samochodzie. Będę czekał przed
wejściem.

Przez chwilę Helenę nie wierzyła
własnym uszom.

- Od frontu? - zapytała powoli. - To znaczy... przed tymi wielkimi schodami z marmuru?

- Oczywiście. To przecież wejście, prawda?

No tak, pomyślała z przekąsem. Może dla ciebie, przyszły panie hrabio de Léger. Tylko że pani Dupré, Therese, reszta służby i ja też mamy używać drzwi od kuchni. - Powstrzymała się jednak od tej złośliwej uwagi.

- Będę za pięć minut - odrzekła bezwiednie.

- Za dziesięć. Muszę jeszcze zatankować auto.

W pośpiechu wbiegła na schody dla służby i wpadła do pokoju. Drzwi do sypialni pani Dupré nadal były otwarte. Kiedy madame usłyszała, że Helenę wchodzi, odłożyła książkę i stanęła na progu.

- Jesteś bardzo przejęta - zauważyła.

Helenę kiwnęła głową, z trudem łapiąc oddech.

- Hubert de Léger zabiera mnie do wioski! - oznajmiła. Pani Dupré rzuciła jej przeciągłe spojrzenie.

- Z pewnością spróbuje cię oczarować - zauważyła sucho. - Sprawia wrażenie, że jest tobą zajęty.

Helena wyczuła w głosie swojej mentorki niezadowolenie. Spojrzała na nią z wahaniem.

- Myśli pani, że nie powinnam z nim jechać? - zapytała. Pani Dupré uśmiechnęła się lekko.

- Idź - powiedziała, unosząc jednak ostrzegawczo palec. - Tylko bądź ostrożna. Hubert de Léger to kobieciarz. A kiedy dostanie to, czego chce, porzuca dziewczynę.

- Będę ostrożna - obiecała Helena. - Pod wpływem impulsu przebiegła przez pokój i ucałowała panią Dupré w policzek. Potem wzięła płaszcz i wyszła w pośpiechu, zostawiając za sobą

uchylone drzwi.

Bar Chez Gaston nie znajdował się w najbliższej wiosce, tylko w Saint-Médard, dziesięć kilometrów na północ od Bordeaux, w piwnicy starego budynku. Kamienne ściany pomalowano na biało; wewnątrz było ciemne i hałaśliwe, a powietrze siwe od dymu. Z trzeszczącego gramofonu płynęła amerykańska melodia.

Helena zaskoczyła samą siebie, gdyż okazała się bardzo dobrą tancerką. Może dlatego, że pozwoliła się prowadzić Hubertowi. Kiedy poruszali się rytmicznie po parkiecie, na chwilę przymknęła oczy i czuła się, jakby płynęła w powietrzu.

Gdy kolejny wolny taniec się skończył, Hubert poprowadził ją za rękę do ich małego stolika. Pomógł Helenę usiąść i usadowił się naprzeciwko. Wyciągnął butelkę szampana z wiaderka z lodem, żeby napełnić kieliszki.

Helenę zakryła swój dłonią.

- Dziękuję, wypitałam już wystarczająco dużo - powiedziała niewyraźnie.

Zmarszczyła brwi. Z wielkim wysiłkiem przychodziło jej sensowne formułowanie badań.

- Daj spokój - nalegał. - Jeszcze kieliszek ci nie zaszkodzi. Poza tym rozluźnisz się. Spojrzała mu w oczy.

- Sądysz, że tego potrzebuję? - spytała kokieteryjnie.

- Troszeczkę. - Pokazał palcami ile.

Popatrzyła na jego drugą rękę. Hubert wciąż trzymał butelkę nad kieliszkiem. Czy to już druga? - zastanowiła się, ale potem wzruszyła ramionami i posłała do diabła ostrożność.

Cofnęła dłoń, a on napełnił oba kieliszki po brzegi.

- A votre santé - powiedział.

- A votre santé - powtórzyła i wypła połowę jednym długim łykiem. Poczwała nagle, że jest bardzo spragniona. Pewnie

od tańca i dymu, pomyślała.

Hubert wpatrywał się w nią przez chwilę. Poczowała rozkoszne ciepło w całym ciele.

- Jesteś piękna - szepnął. - Wiesz o tym?

Zarumieniła się gwałtownie. Jak to dobrze, że w sali było ciemnawo. Przynajmniej Hubert nie widział jej rumieńców.

- Zawstydziłem cię? - zapytał cicho.

- Tak - szepnęła.

Uśmiechnął się, a potem jego spojrzenie zatrzymało się na piersiach Helenę.

Zmusiła się, by nie patrzeć na swój biust. Co się stało, zastanawiała się gorączkowo. Sukienka jest rozdarta? A może zachlapała się szampanem? Co u licha? Nagle domyśliła się, o co mu chodzi, gwałtownie odepchnęła krzesło i chwiejnie wstała.

- Może... lepiej zatańczmy -
powiedziała zmienionym głosem.

Hubert wyczuł zmieszanie Helenę i poszedł za nią na parkiet. Przez chwilę stała, patrząc na swoje stopy. Miała wrażenie, że są dziwnie lekkie, tak jakby ulatywała w powietrze.

Z gramofonu popłynęła wolna melodia.

Helenę objęła Huberta, a on ją przytulił. Powoli zaczęli się poruszać zgodnie z rytmem muzyki. Dziewczyna zamknęła oczy. Na parkiecie Hubert nie patrzył na nią z pożądaniem i nie mówił rzeczy, które ją zawstydzaly. Prowadził ją z wdziękiem w takt muzyki, czuła jego mocne mięśnie, jego męski zapach ją oszalał.

Hubert przesunął dłoń i przycisnął Helenę mocniej do siebie. Wzięła głęboki oddech. Znajomy rozkoszny ból narastał w głębi jej ciała. W popłochu usiłowała go opanować, ale im bardziej się starała, tym stawał się silniejszy i bardziej natarczywy. Nagle poczuła dziwną wilgoć między udami.

Hubert pochylił głowę, a jego wargi niemal dotknęły ucha dziewczyny.

- Chcę się z tobą kochać - wyszeptał żarliwie.

Powoli otworzyła oczy i spojrzała na niego oszołomiona.

- Chyba się upiłam.

- Nic nie szkodzi - odrzekł szybko. - To nie zmienia moich uczuć do ciebie.

Spojrzała na niego spod półprzymkniętych powiek.

- A co do mnie czujesz? - zapytała łagodnie.

- Pragnę cię.

Nagle poczuła ogromne rozczarowanie.

- Czy to wszystko?

Hubert westchnął i przycisnął twarz Helenę do piersi.

Nie widziała, jak wykrzywił ironicznie usta. W jego głosie zabrzmiało znużenie, ale do niej to nie dotarło. Usłyszała jedynie słowa, które chciała usłyszeć.

- Kocham cię - szepnął.

Rozdział 12

Z hałaśliwego baru wyszli w ciszę księżycowej nocy. Powietrze było chłodne i czyste po dusznej, wypełnionej dymem piwnicy. Helenę odetchnęła głęboko i oparła głowę na ramieniu Huberta. Ich buty stukały głośno po brukowanej ulicy.

Pomógł dziewczynie wsiąść, zatrzasnął drzwi samochodu i usiadł za kierownicą. W świetle księżyca jego twarz wydawała się blada. Helenę cofnęła się aż pod drzwi. Nagle Hubert pochylił się ku niej i wziął ją w ramiona. Pocałował ją namiętnie, a Helenę objęła go mocno.

Powoli odsunął się i włączył silnik.

- Dokąd jedziemy? - spytała cicho.

- Do hotelu.

Helena pogładziła go po ramieniu.

- Nie do hotelu, Hubercie - wyszeptała.

- Znajdź jakieś romantyczne miejsce.

Uderzył dłońmi w kierownicę,
zastanawiając się szybko. Potem
mruknął coś, włączył światła i zmienił
bieg.

- Znam takie miejsce.

- Gdzie to jest? - szepnęła.

- Zaraz zobaczysz - odrzekł z czułym

uśmiechem.

Ulice były puste, więc jechali szybko. Znaki odblaskowe na poboczach chwyciły światło reflektorów i uciekały w tył.

W niecałe półgodziny dotarli do Loustalot-de Léger.

Z daleka zamek wyglądał jak zawieszony na ciemnym niebie czarny cień. Jak na zamówienie księżyc przedarł się przez chmury i rozjaśnił bladym magicznym blaskiem mury, średniowieczne wieżyczki oraz późniejsze, bardziej delikatne renesansowe ornamenty. Fosa wyglądała jak srebrna wstęga. Helenę wpatrywała

się w zamek jak urzeczona.

- Czy jest wystarczająco romantyczny? - zapytał Hubert.

- Tak - odrzekła z zachwytem. - Jest piękny.

Hubert poprowadził samochód wąską drogą przecinającą winnicę i wreszcie dotarli do parkingu obok fosy. Z tego miejsca widać było jedynie średniowieczne mury. W świetle księżyca blanki i wieżyczki wydawały się potężne i nie do zdobycia.

Hubert objął Helenę i poprowadził przez długi kamienny most.

- Co będzie, jeżeli ktoś nas zobaczy? - wyszeptała, patrząc na niego z obawą. Roześmiał się, a jego białe zęby błysnęły w świetle księżyca.

- Nie martw się - powiedział. - Jestem przecież właścicielem, a nie złodziejem. Zresztą mamy tu niewielu służących. Nawet się nie pokażą. Wiedzą, że wchodzę i wychodzę o różnych porach.

Nagle zeszywniała.

- Z... kobietami? - zapytała cicho.

Co za głupie pytanie, ofuknęła się w myślach. Kogo próbowała oszukać? Oczywiście, że Hubert przyjeżdżał tu z innymi kobietami! Jak go nazwała pani

Dupré? Kobięciarzem. Helenę poczuła się nagle tak, jakby z jej oczu opadła zasłona. Zanim Hubert zdążył odpowiedzieć, dziewczyna wyprostowała się z godnością.

- Odwieź mnie z powrotem - zażądała stanowczym tonem. - Do Hautecloque.

Wracali w milczeniu. Hubert z wściekłością naciskał gaz do oporu. Helenę bała się cokolwiek powiedzieć. Bała się go prosić, by zwolnił. Siedziała blada i wpatrywała się w ciemne, uciekające do tyłu rzędy winorośli.

Rozbijemy się, myślała, przyciskając dłoń do piersi, a drugą ręką trzymając się kurczowo uchwyty przy drzwiach.

Zaraz zginiemy oboje.

Kiedy w końcu samochód zatrzymał się przed marmurowymi schodami, spojrzała na Huberta z zawahaniem. Chciała coś powiedzieć - błagać, by się na nią nie gniewał, wyjaśniać coś. Była jednak zbyt zażenowana. Szarpała się chwilę z klamką (tym razem Hubert nie potraktował jej jak damy i nie wyszedł z auta), wysiadła i trzasnęła drzwiami. Nie zamknęły się i musiała popchnąć je mocniej. Hubert włączył silnik, zawrócił i odjechał. Z powrotem do Saint-Médard? - zastanawiała się Helenę. Do Chez Gaston? Do kobiety, którą już miał i która powita go chętna i stęskniona?

Spojrzała na białe marmurowe schody.

Nagle wydały jej się zbyt wyniosłe, zimne i arystokratyczne. Zadrżała.

Szybko okrążyła zamek i weszła kuchennymi drzwiami.

Była wściekła na Huberta. Im więcej o nim myślała, tym większa ogarniała ją złość. Upił ją szampanem, prawdopodobnie podejrzewając, że nie przywykła do alkoholu. A potem chciał ją zaciągnąć do łóżka.

Lecz jeszcze bardziej była wściekła na siebie. Jak mogła się nie domyślić, dlaczego zabrał ją na przejażdżkę, myślała ze wstydem.

Nie widziała więcej Huberta ani on nie

próbował jej szukać. Ich znajomość się skończyła. Było tak, jak uprzedzała pani Dupré: nie chciał, by go znaleziono, więc nie zamierzał dać się znaleźć. A może to Helenę nie chciała? Tak czy inaczej mieli niewiele okazji, żeby się spotkać. On mieszkał w reprezentacyjnej części zamku, ona w pomieszczeniach dla służby. Większość dni spędzała, pracując w szwalni, i starała się nie wychodzić do parku. Tylko kilkakrotnie dała się namówić na spacer pani Dupré. Nigdy nie opowiedziała swojej pracodawczyni, co zaszło, a jej mentorka była wystarczająco taktowna, żeby nie poruszać tego tematu.

Zbliżał się dzień balu. Helenę już o nim

nie marzyła, prawdę mówiąc, wolałaby nawet nie przebywać tego wieczoru w zamku. Wszystko z powodu nieporozumienia z Hubertem, jak to określała. A bal będzie jej boleśnie przypominać całą tę sprawę.

Dzień przed balem pani Dupré zawiadomiła hrabinę, że praca została ukończona. Mimo panującego w pałacu zamieszania służący przyniósł odpowiedź, że comtesse przyjdzie za pół godziny.

- Z pewnością zechce przymierzyć każdy strój - mówiła madame. - Miejmy nadzieję, że będzie zadowolona.

Helena spojrzała na nią niepewnie.

- Nie czuję się dobrze - wymamrotała. -
Czy mogłabym odejść? Pani Dupré
zmarszczyła brwi.

- Usiądź - poleciła, wskazując jedno z
krzesel. Helenę usiadła i spojrzała
nerwowo na swoją pracodawczynię.

Madame zmrużyła oczy.

- Nie wiem, co zaszło czy nie zaszło
między tobą a Hubertem de Légerem -
zaczęła - ale to sprawa między wami.
Zakładam, że hrabina nie odegrała w
tym żadnej roli? -Uniosła pytająco brwi.

Helenę milczała przez moment, a potem
pokręciła głową.

- Nie - odrzekła w końcu.

- W takim razie uważam, że powinnaś zostać. Przecież pracowałaś bardzo ciężko i właściwie jesteś odpowiedzialna tak samo jak ja za nasz sukces czy też niepowodzenie. Jeżeli hrabina będzie chciała coś pochwalić albo skrytykować, powinnaś przy tym być.

- Aleja... nie czuję się dobrze - zaprotestowała słabo Helenę. Pani Dupré nie dała się przekonać.

- Wiem, że czujesz się świetnie - odparła stanowczo. - Nalegam, żebyś została. Przygnębiona Helenę pochyliła głowę.

Hrabina przyszła punktualnie; dokładnie pół godziny później rozległo się pukanie. Lokaj otworzył drzwi i pojawiła się pani de Léger.

Miała na sobie powiewny orientalny kaftan. Siwiejące, starannie ułożone włosy połyskiwały jak srebrny haft na rękawach.

Pani Dupré rzuciła szybkie spojrzenie na Helenę i obie grzecznie dygnęły. Służący wycofał się i zamknął drzwi. Hrabina przeszła przez pokój i stanęła za parawanem, a krawcowa podawała jej uszyte stroje. Każda rzecz wisiała na pokrytym satyną wieszaku. Rękawy były starannie wypchane bibułą, grzbiety wieszaków również były pokryte bibułą,

żeby kołnierze dobrze się układały.

Najpierw pani Dupré przyniosła kopię jasnożółtego kostiumu Chanel. Potem były jeszcze dwa takie komplety -jeden błękitny, a drugi tweedowy. Następnie błyszcząca czerwona suknia według projektu Elisy Schiaparelli i dwie Balenciagi -jedna biała, druga czarna. Wreszcie trzy modele Givenchy'ego: dwa kostiumy i sukienka w kolorach ziemi.

Każda rzecz pasowała idealnie. Pani Dupré patrzyła na swoje dzieło z satysfakcją. Nawet profesjonalne oko miałoby trudności z odróżnieniem kopii od oryginału.

Comtesse stawiała raz po raz przed trójdzielny lustrem. Uważnie przyglądała się sobie z każdej strony, unosila ramiona, obracała się powoli. W końcu, po przymierzeniu ostatniego modelu Givenchy'ego z aprobatą kiwnęła głową.

- Dobra robota, madame - pochwaliła panią Dupré. Krawcowa wyglądała na zadowoloną.

- To była przyjemność, pani hrabino - odrzekła skromnie.

Pani de Léger kiwnęła głową i weszła za parawan. Kiedy znów się pojawiła w orientalnym kaftanie, powiedziała:

- Lise zabierze ubrania za kilka minut.
Pani Dupré przytaknęła. Hrabina
spojrzała teraz na Helenę.

- Miałam nadzieję, że będziemy się
częściej widywać, mademoiselle -
odezwała się z wyrzutem.

Helenę oblała się pąsem.

- Oui, comtesse - wymamrotała. - Ja też
miałam taką nadzieję.

- Przypominam sobie, że mój syn
zaprosił cię na jutrzejszy bal.
Przyjdiesz? Pani Dupré aż się
zakrztusiła z wrażenia. To dopiero
nowina! Szybko spojrzała na

Helenę. Dziewczyna nie objawiała żadnych uczuć; fiołkowe oczy miały barwę przydymionego ametystu.

- Obawiam się, że nie mogę przyjąć tego uprzejmego zaproszenia, hrabino - powiedziała grzecznie. - Mam nadzieję, że mi pani wybaczy.

Pani Dupré zabrakło tchu, a hrabina spojrzała zaskoczona na tę, która śmiała jej odmówić.

- Ależ to niemożliwe! Mój syn bardzo się zmartwi, jeśli się nie pojawisz. Prosił, bym powiedziała ci osobiście, że będzie czekał na ciebie w salonie jutro o ósmej wieczorem.

Serce Helenę zabiło mocniej. Hubert rzeczywiście tak powiedział? pytała się w duchu. Czy to możliwe, że chciał się z nią spotkać? Nie jest już na nią zły? Z radości czuła się lekka jak piórko. Ale nie mogę iść na bal, pomyślała w popłochu. Nie miała w co się ubrać. Musi znaleźć jakieś usprawiedliwienie.

- Przykro mi - rzekła. - Myślałam, że on... ja... - Spojrzała bezradnie na panią Dupré, błagając o pomoc. Madame prawie niedostrzegalnie pokręciła głową.

Hrabina wyciągnęła dłoń, uniosła podbródek Helenę i odwróciła jej twarz ku sobie.

- Nie wiem, czy jesteś bardzo głupia, czy bardzo mądra, mademoiselle - powiedziała. - Mój syn był niezwykle poruszony twoim zachowaniem.

- Ja... przepraszam.

- Nie masz za co. Właściwie jesteś pierwszą kobietą, która ośmieliła się czegoś mu odmówić. - W ciemnych oczach hrabiny zabłyśły iskierki rozbawienia. - Był bardzo urażony, ale co dziwne, szanuje cię za to. I ja również. - Uśmiechnęła się. - Będzie w Okrągłym Salonie o ósmej.

- Przykro mi, pani hrabino - Helenę bezradnie rozłożyła ręce. - Nie sądziłam, że będę mile widziana na

balu, nie przygotowałam sobie żadnej...
- spuściła wzrok - ...sukni.

Hrabina w zamyśleniu zmarszczyła brwi. Potem spojrzała na panią Dupré.

- Czy mogłaby pani szybko coś dla niej uszyć? Pani Dupré pochyliła głowę.

- Oczywiście, pani hrabino. Ale nie mam materiału.

- Coś chyba jeszcze zostało w szafie, czyż nie? - Hrabina wskazała wymanikiurowanym palcem tkaniny.

- Oui, comtesse. Ale głównie bardzo drogie jasne jedwabie. Pani de Léger lekceważąco machnęła ręką.

- Niech pani weźmie, ile trzeba, ale proszę uszyć coś pięknego. Dostanie pani dodatkowe wynagrodzenie.

- Oui, comtesse. -Madame Dupré przyszedł nagle do głowy jakiś pomysł. - Wiem, że proszę o zbyt wiele, ale cieplarnie...

- Tak? - Hrabina spojrzała na nią pytająco.

- Trochę kwiatów. Do ozdobienia sukni. Czy mogłabym poprosić ogrodnika o dostarczenie ich?

- Świeże kwiaty do sukni? - Comtesse zmarszczyła brwi. - To nieco zaskakujące. Ale jeżeli pani uważa, że

będzie to piękne, proszę wziąć tyle kwiatów, ile pani potrzeba,

- Dziękuję, pani hrabino.

Pani de Léger ruszyła w kierunku drzwi. Helenę i madame Dupré dygnęły. Nagle hrabina odwróciła się i spojrzała na Helenę.

- Zatem do jutra do ósmej. W Okrągłym Salonie. Drzwi się za nią zamknęły. Helenę westchnęła i opadła na krzesło.

-I co ja teraz zrobię? - jęknęła.

Pani Dupré spojrzała na nią podekscytowana.

- Wiem, co ja teraz zrobię. Zamierzam wymyślić i uszyć suknię swojego życia!

-Oczy jej zabłyśły z podniecenia.

Gwałtownie machnęła dłońmi. - Szybko, rozbieraj się! Muszę cię natychmiast wymierzyć. Nie ma czasu do stracenia!

Pani Dupré nie jadła obiadu ani kolacji.

- Nie mam czasu! - krzyczała. - Będę szyć całą noc!

Helenę również ogarnęło podniecenie, kiedy patrzyła, jak jej pracodawczyni atakuje nożycami belę jedwabiu.

Materiał rozdzielał się gładko. Helenę ostrożnie przesunęła dłoń po jedwabiu. Był miękki, biały i delikatny. Błyszczał i migotał jak śnieg w promieniach słońca.

Pani Dupré oczami wyobraźni widziała już rezultat swoich wysiłków. Kroiła i szyła bez formy, z szybkością i pasją, jakiej Helenę nigdy wcześniej u niej nie widziała. Tworzyła kreację absolutnie oryginalną, nowatorską. Nie miała być naśladownictwem Givenchy'ego, Balenciagi, Odile Joly czy Diora.

W miarę upływu godzin suknia powoli nabierała kształtu. Dziewczyna mogła już dojrzeć prostokątny, głęboki dekolt i mocno przymarszczoną spódnicę. Nie było rękawów, góra miała się trzymać na szerokich ramiączkach. Od czasu do czasu pani Dupré przykładała do Helenę kawałki jedwabiu. Potem cofała się z ustami pełnymi szpilek i ze

zmarszczonymi brwiami oceniała swoje dzieło. Tu robiła zakładkę, tam rysowała coś kredką, a potem całość wracała na pokryty papierem stół.

Szyła wszystko w ręku. Helenę była zdumiona. Wydawało się, że igła w palcach madame śmiga szybciej niż w maszynie.

Okolo północy Helenę nie mogła opanować znużenia i zasnęła na krześle. Pani Dupré spojrzała na nią z uśmiechem. Dziewczyna miała nogi wyprostowane, stopy skrzyżowane, dłonie położyła na kolanach. Głowa opadła jej na ramię, a czarne włosy przykryły twarz. Ach, nie masz to jak sen młodości, pomyślała pani Dupré. Taki

beztroski i odświeżający. Cóż, Helenę potrzebuje odpoczynku. Bal będzie trwał całą noc.

Kiedy nadszedł ranek, pani Dupré nadal pracowała, i co najważniejsze, wcale nie czuła zmęczenia. Twórcze podniecenie odsunęło potrzebę snu.

Helenę obudziła się nagle. Otworzyła oczy i coś wymamrotała. Ziewnęła głośno i przetarła palcami powieki. Przez wielkie okna do pokoju zaglądało słońce. Spojrzała zdumiona na panią Dupré.

- Ależ... jest już dzień! Madame uśmiechnęła się do niej.

- Tak, i mamy piękny poranek.

Helena aż się zachłysnęła, gdy zobaczyła leżącą na stole suknię. Podniosła się powoli i podeszła bliżej. Jej balowa kreacja wyglądała na skończoną. Słońce podkreślało biel; jedwab błyszczał i odbijał światło. Patrząc na nią, dziewczyna musiała zmrużyć oczy.

- Jaka piękna! - westchnęła.

Pani Dupré rzuciła jej zagadkowe spojrzenie.

- Będzie, ale za parę godzin. Dobrze spałaś? Helena kiwnęła głową i przeciągnęła się mocno. Zesztywniała od spania na krześle.

- Tak, całkiem nieźle. Ale pani nie zmrużyła oka!

- Prześpię się, jak już skończę twoją suknię. Teraz chcę, żebyś ją szybko przymierzyła, zanim wrócę do pracy. Pamiętaj, żebyś dziś zjadła tylko lekkie śniadanie i skromny obiad. Im bardziej będziesz głodna, tym lepiej będziesz wyglądać. Musimy pokazać, że jesteś szczupła i zgrabna.

Helena przytaknęła.

-I muszę się wykąpać, umyć włosy, coś z nimi zrobić...

- Nie rób nic, tylko je umyj i wysusz! - poleciła pani Dupré.

- Dlaczego?

Jej pracodawczyni uśmiechnęła się tajemniczo i wstała.

- Zobaczysz. Teraz stań tutaj, zrobimy przymiarke.

Helene rozebrała się szybko, a madame pomogła jej włożyć suknie. Głęboko wycięty stanik był obcisły i dziewczyna zauważyła, że wypychał jej małe sprężyste piersi do przodu, sprawiając, że wydawały się większe i okrągłejsze niż w rzeczywistości. Spódnica była szeroka i powiewna - metry miękkiego, przymarszczonego jedwabiu falującego jak mgła. Ucieszona Helene podeszła do lustra i zrobiła obrót. Dostrzegła w

przelocie swoje odbicie. Suknia jakby płynęła wokół jej nóg. Usłyszała delikatny szum jedwabiu.

- Jest... jest cudowna! - zawołała.

Obróciła się jeszcze raz i nagle rozpacz starła zachwyty z jej twarzy. Ramiona dziewczyny nagle opadły. Zobaczyła swoje buty. Te, które wzięła ze sobą, z pewnością nie nadawały się do takiej sukni. Serce jej się ścisnęło.

- O co chodzi? - zapytała pani Dupré, natychmiast zauważając przygnębienie Helenę.

Jej podopieczna bez słowa uniosła spódnicę i pokazała swoje buty. Pani

Dupré uśmiechnęła się ze spokojem.

- Już o tym pomyślałam.

Helene ożywiła się na nowo. Zaczęła poruszać się przed lustrem, obserwując fałdy unoszącego się i opadającego jedwabiu. Suknia jak gdyby żyła własnym życiem.

- Pomyślała pani o butach? - Odwróciła się do pani Dupré.

- Uszyję ci jedwabne pantofelki na miękkich, skórzanych podszwach. Na kostkach zwiążemy je białymi jedwabnymi kokardami, tak jak pantofle baletnic.

Rozpromieniona Helenę uściskała swoją mentorkę.

- Jest pani genialna! - zawołała radośnie.

Pani Dupré była zadowolona z efektu, ale nie okazała tego.

- Ostrożnie - burknęła. - Podrzesz suknię! Zdejmuj ją, ale już! Chcę skończyć na czas. Zostało niecałe dziewięć godzin do balu. - Pomogła Helenę się rozebrać. - Idź coś zjeść. Jak będziesz szła do łazienki, zajrzyj do mojej szafki nocnej. Mam tam trochę pachnących ziół do kąpieli. Wsyp garść do wanny.

Do czwartej po południu Helenę zakończyła przygotowania. Wykąpała się dwukrotnie i starannie umyła włosy. Kiedy wyschły, pani Dupré kazała jej zwinąć je jak najciaśniej wokół głowy i upiąć. Potem Helenę zeszła do szwalni.

Suknia była prawie gotowa. Dziewczyna stanęła, wpatrując się w nią jak urzeczona. Potrząsnęła niedowierzająco głową. Nigdy jeszcze nie widziała czegoś tak cudownego. Leżała na stole, a pani Dupré zręcznie obszywała od spodu dół tasiemką. Nie było to tak naprawdę konieczne, ale obszycie stanowiło ostateczne luksusowe wykończenie. Helenę wiedziała, że majaje tylko najwytworniejsze kreacje i

że zapobiega to strzępieniu się brzegów. Ta suknia nie miała być noszona tak długo, aby mogła się wystrzępić, ale Helenę rozumiała, że pani Dupré pragnie, by jej dzieło pod każdym względem dorównywało najdroższym strojom na balu.

- Już. Koniec. - Madame westchnęła z aprobatą i dół sukni opadł na blat stołu.
-Przymierz ją raz jeszcze - powiedziała.
- Muszę zobaczyć, czy nie trzeba jeszcze czegoś poprawić.

Helenę ostrożnie wsunęła na siebie suknię. Oczy jej błyszczały, nie śmiała głębiej odetchnąć. Kreacja pani Dupré była naprawdę wspaniała. Jej prostota stanowiła styl sam w sobie. Krawcowa

odstąpiła krok w tył, by ocenić efekt, i pokiwała głową usatysfakcjonowana.

- Jest piękniejsza niż wszystko, co kiedykolwiek widziałam w „Vogue’u” - rzekła Helenę ochrypłym głosem.

Pani Dupré przytaknęła.

- Leży doskonale. Dzięki Bogu, nie potrzeba żadnych poprawek. Wyskakuj z niej i powieś ją na którymś z wieszaków. Uszyję pantofle. A ty pójdziesz do ogrodnika. Powiedz mu, żeby przyniósł nam niezwłocznie olbrzymi bukiet jaśminu. Hrabina pozwoliła.

Helenę zmarszczyła brwi. Zupełnie

zapomniała o kwiatach. Zastanawiała się, do czego, u licha, mogą być potrzebne.

O siódmej trzydzieści zaczęła się ubierać. Pani Dupré trzęsła się nad nią i gdakała jak kwoka. Najpierw pantofelki. Helenę wsunęła je i zawiązała jedwabne wstążki na kostkach. Spróbowała przejść się po pokoju. Czuła się, jakby płynęła w powietrzu. Pozwalały jej poruszać się z wdziękiem, którego nie miała wcześniej. Potem suknia.

Wreszcie pani Dupré sięgnęła po jedwabny turban, który uszyła z tego samego materiału, i osłoniła nim włosy Helenę. Obejmował ciasno jej głowę, podkreślając owal twarzy i wysokie

czoło.

Potem nastąpiło ukoronowanie dzieła - kwiaty. Pani Dupré podniosła delikatne, puszyste boa z pączków jaśminu naszytych na jedwab. Udrapowała je zręcznie wokół ramion Helenę. Potem wzięła igłę i ostrożnie przyszyła boa do stanika.

Dziewczyna spojrzała w lustro i westchnęła. Była to suknia jak z bajki.

Żywe, przypominające koronkę kwiaty były dużo bardziej eleganckie niż jakakolwiek biżuteria.

Madame zerknęła na zegarek.
Brakowało pięciu minut do ósmej.

Odsunęła się w tył i uśmiechnęła z satysfakcją. Wiedziała, że po raz pierwszy w życiu stworzyła arcydzieło. Arcydzieło, które nie było kopią, ale jej własnym pomysłem. Nagle poczuła się zmęczona. Wkrótce odpoczne, pocieszyła się w myślach.

- Wyglądasz pięknie! - powiedziała z dumą do Helenę. Oczy dziewczyny były wilgotne od łez.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam się pani za to odwdzięczyć. Pani Dupré zmrużyła oczy i odezwała się szorstko:

- Otrzyj łzy! Nie chcesz mieć zapuchniętych, czerwonych powiek, prawda? Dziewczyna gwałtownie

potrząsnęła głową.

- Baw się dobrze. - Madame wzięła ją za rękę i mocno uścisnęła.

A potem rozległo się pukanie do drzwi. Lokaj w czerwonej odświętnej liberii przyszedł, by zaprowadzić Helenę na dół.

Goście już przybywali. Kiedy Helenę schodziła po rzeźbionej kamiennej klatce schodowej za służącym, mogła słyszeć orkiestrę grającą gdzieś w głębi zamku. Próbowwała nie okazywać po sobie zdenerwowania. Delikatnie uniosła dół sukni, żeby się nie potknąć. Ujrzała w przelocie swoje odbicie w lustrze zdobiącym filar i z wrażenia aż

zabrakło jej tchu. Wciąż nie mogła uwierzyć, że to naprawdę ona tak wygląda.

Kilkoro gości tłoczyło się przy schodach - mężczyźni w smokingach szytych na miarę, kobiety w kosztownych sukniach i wspaniałej biżuterii. Oczy Helenę uchwyciły iskry rzucane przez diamentowe kolczyki i błyski podobnych do pajęczych sieci kolia z brylantów i szmaragdów, głębokie, ogniste lśnienie rubinów, chłodny, księżycowy blask szafirów. Dostrzegła wyraz twarzy gości, którzy spoglądali na nią z zainteresowaniem. Wszyscy byli oszołomieni.

Rozsunęli się, aby mogła przejść, a lokaj

zaprowadził ją do salonu. Hrabia i hrabina stali w otwartych drzwiach i witali gości. W odległym krańcu Helenę dostrzegła Huberta, który chodził niecierpliwie tam i z powrotem, spoglądając na złoty zegarek kieszonkowy. Zamknął go nagle szybkim ruchem. Był bardzo przystojny w czarnym nieskazitelnym smokingu, białej jedwabnej koszuli i muszce.

Nagle wszelkie rozmowy wokoło ucichły. Przez moment Helenę zastanawiała się dlaczego. Potem zrozumiała. Czwała na sobie oczy wszystkich.

Przez chwilę wahała się, potem zgrabnie

dygnęła przed hrabią i hrabiną. Kiedy się wyprostowała, stał obok niej Hubert.

Hrabina uśmiechnęła się do Helenę.

- To wyjątkowa suknia - szepnęła. - Wyglądasz uroczo, a pani Dupré jest genialna. Musisz jej to przekazać.

- Dziękuję, comtesse. Zrobię to.

Hrabia posłał jej uśmiech; w jego niebieskich oczach dostrzegła rosnące zainteresowanie. Potem Hubert wziął ją pod rękę. Zatrzymał się przy nich lokaj niosący srebrną tacę wypełnioną kieliszkami szampana. Helenę wzięła jeden. Piła bardzo wolno,

patrząc na Huberta. Zdecydowała, że nie wolno jej wypić więcej niż dwa kieliszki przez całą noc. Nie będzie wtedy miała żadnych kłopotów.

- Kim ona jest? - Usłyszała pytanie młodej kobiety w morelowej sukni od Diora.

- Nie wiem, chérie - odpowiedziała jej starsza towarzyszka. - Ale zamierzam się dowiedzieć, od kogo jest ta suknia.

Hubert uśmiechnął się do Helenę.

- Stałaś się sensacją. Nie miałem pojęcia, że z ciebie taka piękność. Oddała mu uśmiech szczerze uradowana.

- Chciałabyś przejść do sali balowej? - zapytał, a Helenę kiwnęła głową.

Ujął ją pod ramię i poprowadził przez hol. Westchnęła ze zdumienia.

Ustawiono tu przykryte białymi obrusami stoły pełne przekąsek: krewetek, ostryg i maleńkich jajek przepiórczych ułożonych na irańskim kawiorze. Była tam obfitość wykwintnych przystawek artystycznie ułożonych wokół połyskującej lodowej rzeźby. Prawdopodobnie wyobrażała ona lwa i salamandrę trzymające herb de Légerów.

Helenę była jeszcze bardziej olśniona, kiedy weszli do sali balowej. Przez chwilę stała i patrzyła. Nigdy wcześniej

nie widziała tak imponującego wnętrza. Sala była olbrzymia, z wysokim sufitem i kolumnami. Pod ścianami stały palmy przyniesione z oranżerii. W kryształowych kandelabrach błyszcząły setki smukłych białych świec, a ich płomyki tańczyły i migotały. Na małej scenie orkiestra grała walce.

- Chciałabyś zatańczyć? - zapytał Hubert, wykonując uroczysty ukłon. Helenę spojrzała na lśniący parkiet. Było jeszcze wczesnie.

Nikt nie tańczył. Helenę skinęła głową, oddała szampana przechodzącemu lokajowi i pozwoliła, by Hubert wziął ją pod rękę. W milczeniu poprowadził

dziewczyne przez salę. Jej suknia szeleściła i połyskiwała jak delikatna biała mgła, a kwiaty przypominały setki zamrożonych płatków śniegu.

Skończył się walc i natychmiast rozpoczął się następny.

Wirowało teraz obok nich kilka innych par. Jeden walc przechodził w drugi. I następny. I kolejny. Helenę nie miała pojęcia, jak długo tańczyli.

- Chciałabym chwilę odpocząć -
powiedziała wreszcie.

Hubert objął ją ramieniem i poprowadził daleko od wirujących gości. Zobaczyła, że hrabia i hrabina

stoją teraz w sali balowej. Pewnie już wszyscy goście przyjechali, pomyślała Helenę.

Hrabia kiwnął lekko głową synowi i posłał jej uśmiech. Poczwała na sobie jego uważny wzrok. Zarumieniła się.

- Czy zrobi mi pani zaszczyt i zatańczy ze mną ten taniec? - zapytał, stając przy nich.

Potem poczuła jego dłoń na plecach. Drgnęła. Cokolwiek czuła, będąc z Hubertem, okazało się niczym w porównaniu z potężną falą, która teraz przepłynęła przez jej ciało. Czy będzie tak zawsze, gdy jakiś mężczyzna mnie dotknie, zastanawiała się w popłochu.

- Wygląda pani uroczo - rzekł hrabia, kiedy wirowali na parkiecie. - Czy wolno mi pochwalić suknię?

- Dziękuję - odrzekła grzecznie. - Jest pan bardzo uprzejmy, panie hrabio.

- Lepiej pani w bieli niż w czerni - oznajmił. - Powinna pani zawsze ubierać się na biało.

Jej serce zatrzepotało gwałtownie, kiedy na niego spojrzała. Pamiętał, co miała na sobie podczas obiadu całe tygodnie temu! Czy to możliwe? Przecież nie zamienili ze sobą nawet dwóch zdań. Ledwie na nią wtedy spojrzał.

Kiedy taniec się skończył, hrabia

odprowadził ją do Huberta. Hrabina uśmiechnęła się. Helenę zauważyła jej wspaniałe kolczyki. Były ze złota i wyglądały na bardzo stare.

Wygrawerowano na nich salamandrę, lwa i herb de Légerów. Helenę zdawała sobie sprawę z tego, że comtesse musi posiadać wspaniałą biżuterię, ale ponieważ dziś włożyła tylko te kolczyki, musiały być one z pewnością bardzo cenne.

- Moja droga hrabino - rozległ się kobiecy głos z tyłu. Wszyscy się odwrócili.

- Ależ, baronowo, jak miło, że pani przyszła - odezwała się hrabina słodkim głosem. - Niepokoiłam się, że coś pani

przeszkodziło.

Kobieta roześmiała się głośno i skrzekliwie.

- Zawsze się spóźniam.

Helena wpatrywała się w baronową. Była w średnim wieku, miała rude włosy i bystre oczy. Nosiła suknię od Balmaina ze szkarłatnego atłasu i naszyjnik z wielkich

rubinów. Po jednej stronie przybyłej stał pochylony stary siwowłosy mężczyzna, po drugiej piękna młoda kobieta w zieleni. Młoda dama miała szmaragdowy naszyjnik i kolczyki. Spoglądała na gości z chłodną

pewnością siebie.

Helene zastanawiała się, czy ta ruda kobieta to baronowa de Savonnières. Spojrzała na zimną piękność u jej boku. Czyżby to była owa Mirielle? Czy to o nich plotkowała hrabina podczas obiadu?

Pani de Léger uśmiechnęła się i przedstawiła Helene. Więc to jednak były baronowa de Savonnières i Mirielle. A stary mężczyzna to baron.

Mirielle spojrzała na Huberta z wyrzutem i dotknęła jego ramienia.

- Nie widziałam cię od wieków - powiedziała głosem pełnym wyrzutu.

Uśmiechnął się do niej z przymusem.

- Obawiam się, że byłem ostatnio bardzo zajęty. Muszę przeprosić za zaniechanie. Oczy baronowej rozbłysły i uśmiechnęła się jak rekin, ukazując długie i ostre zęby.

- Nie poprosisz Mirielle do tańca? - spytała zachęcającym tonem. Hubert, widząc, że został przyparty do muru, ukłonił się Helenę.

- Przepraszam na kilka minut - powiedział. Wziął Mirielle pod ramię i poprowadził na parkiet.

- Czarująca para, nieprawdaż? - zachwyciła się baronowa, patrząc, jak

szli. Hrabina bez słowa kiwnęła głową. Gładko zmieniła temat i wciągnęła do rozmowy

Helenę. Po jednym tańcu Hubert i Mirielle wrócili.

- Cóż to? - zapytała baronowa z nieukrywaną irytacją. - Tylko jeden walc? Nie mów mi, że już nie lubisz tańczyć! - Rzuciła Hubertowi spojrzenie pełne dezaprobaty.

Uśmiechnął się grzecznie i wskazał na Helenę.

- Zaprosiłem na bal mademoiselle Junot. Myślę, że jest moim obowiązkiem poświęcić jej trochę uwagi. - Zanim

baronowa zdążyła odpowiedzieć,
zwrócił się do Helenę. - Czy mogę
prosić?

Nie mogła powstrzymać uśmiechu na
widok jadowitego spojrzenia Mirielle,
gdy zaczęli tańczyć.

- Kto to jest? - zapytała baronowa ze
złością, spoglądając na dziewczynę.

- Przyjaciółka rodziny - odpowiedziała
hrabina wymijająco. - Czarująca młoda
dama.

- Tak... - Baronowa zamilkła,
rozglądając się uważnie po sali. -
Chodź, Mirielle. Widzę tam
Rothschildów... - Wskazała palcem

grupę gości w oddali i natychmiast do nich pospieszyły; stary baron człapał za nimi z tyłu. Rothschildowie zauważyli ją jednak i uciekli na parkiet, tańcząc w przeciwnym kierunku.

- Cóż za okropna kobieta - odezwał się hrabia, kiedy baronowa odeszła. - Nie rozumiem, dlaczego wszyscy zawsze ją zapraszają.

Jego żona uśmiechnęła się chytrze.

- Żeby dodać smaczku przyjęciu oczywiście. Ludzie lubią napięcie, a ona go dostarcza. - Spojrzała na parkiet z satysfakcją. Do tej pory bal był olbrzymim sukcesem. Zerknęła przelotnie na Helenę.

- Hubert i ta dziewczyna świetnie razem wyglądają, nie uważasz? Hrabia przytaknął.

- Rzeczywiście - powiedział powoli. - Jest bardzo piękna. I dobrze tańczy.

- Tak - odrzekła hrabina z westchnieniem. - Szkoda, że nie ma tytułu. - Spojrzała na męża. - Cóż, Philippe, nie zamierzasz poprosić mnie do tańca?

Odwrócił wzrok od tańczącej pary.

- Oczywiście. - Skłonił się z galanterią przed żoną. Tańcząc, od czasu do czasu rzucał ukradkowe spojrzenia na syna i Helenę. Tak, dziewczyna jest

oszałamiająca, pomyślał ogarnięty nagłym pożądaniem. I porusza się lekko, jak anioł. W jakiś sposób uświadamia ci, że jest kobietą, a ty mężczyzną.

Helenę wyszła z balu o pierwszej.

- Dokąd to? - Hubert złapał ją za ramię. Uśmiechnęła się smutno.

- Na górę. Jutro mamy przed sobą długą podróż. Powinnam odpocząć.

- A więc wyjeżdżasz? Kiwnęła głową.

- Tak. Skończyliśmy pracę. -I nie chcesz zostać?

Spojrzała mu w oczy. Dostrzegła w nich

cień smutku.

- Chciałabym zostać, ale nie mogę. Są rzeczy, które muszę zrobić.

- Jakie?

Przez chwilę milczała. Czy on kiedykolwiek zrozumie, co zamierzała zrobić? Jak mogła mu wyjaśnić, że jej cel to błyszczący kolorowy magazyn mody? Była pewna, że Hubert nigdy by nie zrozumiał jej potrzeby stworzenia czegoś od zera. Dla niego życie to wspaniałe przyjęcia, piękne kobiety, słodkie winogrona, szampan i konie.

- Muszę już iść, Hubercie - oświadczyła stanowczo.

- Przykro mi. - Spojrzał na nią posepnie.
- Myślałem, że mnie kochasz - powiedział cicho.

Helena popatrzyła na zatłoczony parkiet. Ujrzała pięknie ubrane pary poruszające się lekko w rytm muzyki, dostrzegła biżuterię zdobiącą eleganckie damy i ich piękne suknie. Widziała pewność siebie tych kobiet, ich dumne miny, klasę i zarozumiałość, które dawało tylko arystokratyczne urodzenie. Takiej kobiety potrzebuje Hubert, pomyślała. Wytwornej, pewnej siebie, kulturalnej i opanowanej. Takiej, która wie, jak prowadzić grzeczne rozmowy, jakie wina podawać do obiadu, których gości zaprosić, żeby przyjęcie się udało.

- Ja również myślałam, że cię kocham -
odrzekła miękko. - Ale nie jestem
gotowa do miłości. I nie jestem
odpowiednią kobietą dla ciebie.

Hubert chwycił ją za rękę.

- Możemy wziąć ślub! - zawołał z
przejęciem. - Jestem przecież
spadkobiercą tytułu. Zostałabyś kiedyś
hrabiną! Moglibyśmy mieszkać w zamku
Loustalot, dopóki moi rodzice żyją.
Potem przeprowadzilibyśmy się tutaj. Z
czasem mnie pokochasz.

Spojrzała na niego. Milczała przez
chwilę, nie wiedząc, co powiedzieć.
Potem uśmiechnęła się smutno i
pokręciła głową.

- To by nam nie wyszło, Hubercie -
powiedziała łagodnie. - Przepraszam.

Na poddaszu, gdzie mieściły się pokoiki
służby, Helenę nie mogła już słyszeć
muzyki. Pomimo że drzwi łączące jej
izdebkę z sypialnią pani Dupré były
zamknięte, dziewczyna zachowywała się
bardzo cicho. Wiedziała, że jej mentorka
musi być śmiertelnie zmęczona, i nie
chciała jej budzić. Powoli zdjęła turban,
zsunęła suknię i

powiesiła ją ostrożnie na wieszaku.
Rano usunie kwiaty i spakuje swoją
kreację. Szczęście Kopciuszka nie
trwało długo; miała pięć pięknych,
ekscytujących godzin. Teraz znowu jest
szwaczką. Nagle zdała sobie sprawę,

jak bardzo czuje się zmęczona. Bolały ją nogi.

Usiadła na łóżku i rozwiązała pantofelki. Wreszcie miała czas, żeby zebrać myśli. Masując stopy, zastanawiała się, czy propozycja Huberta była poważna. Prawdopodobnie tak. Jednak aby małżeństwo było udane, potrzebne są dwie rzeczy: miłość i akceptacja rodziny. Helenę wiedziała, że nie kocha Huberta wystarczająco mocno, by zostać jego żoną. Nie była też pewna, czy on ją kocha. Może po prostu wziął namiętność za prawdziwe uczucie? A akceptacja rodziców? Ona nie miała rodziny, ale on tak. Czy hrabia i hrabina pozwoliliby synowi na małżeństwo ze szwaczką?

Najprawdopodobniej nie.

Wstała i podeszła do okna. Pochyliła się, rozsunęła zasłony i wyjrzała. Noc była ciemna i mglista. W świetle latarni widziała limuzyny podjeżdżające pod marmurowe schody. Szoferzy otwierali drzwi. Goście wsiadali. Bal się kończył.

Dla wszystkich. Ale najbardziej dla Helenę.

Rozdział 13

Opowiadaj o wszystkim! - zawołała podniecona Jeanne, kiedy Helenę wróciła do Saint-Nazaire. - Widziałaś hrabiego? Czyjego syn jest przystojny?

Helena spojrzała na nią przez kuchenny stół i uśmiechnęła się słabo.

- Tak - odpowiedziała powoli. - Nawet bardzo przystojny.

- No i co, zakochałaś się w nim do szaleństwa?

To miał być dowcip, jednak Helenę się nie roześmiała. Pokręciła głową przecząco.

- Początkowo myślałam, że tak. Ale to on zakochał się we mnie. Jeanne wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczami.

- Czy to znaczy, że on...?

- Poprosił mnie o rękę - przyznała się Helenę.

- Nie mówisz poważnie! - Jeanne spojrzała na nią bacznie. - Mówisz poważnie... - W jej głosie zabrzmiał podziw.

Helenę kiwnęła głową.

- Nie powiesz chyba, że mu odmówiłaś!

- wykrzyknęła przyszła bratowa.

- Owszem - odrzekła Helenę z uśmiechem.

- Naprawdę? Opowiedz mi wszystko ze szczegółami!

Rozmawiały do późnej nocy. Helenę nie ukrywała niczego. Kiedy doszła do opisu balu, Jeanne pokręciła głową. Nie mogła wyobrazić sobie tego wszystkiego.

- Musisz zobaczyć moją suknię - dodała Helenę w zadumie. - Była najpiękniejsza. Oczy Jeanne zabłyśły.

- Nie mogę się już doczekać!

Nagle Helenę wychyliła się przez stół i chwyciła Jeanne za rękę.

- Wiesz co? Dam ci ją. Trzeba ją trochę dopasować, bo jesteś szczuplejsza ode mnie, ale będziesz miała wspaniałą suknię ślubną.

Jeanne pokręciła głową.

- Nie mogę jej wziąć - zaprotestowała. -
Zbyt... zbyt wiele dla ciebie znaczy.
Helenę uśmiechnęła się serdecznie.

- Musisz ją przyjąć. Miałam zamiar
sama uszyć dla ciebie suknię, ale ta jest
po prostu idealna. Chcę, żebyś pięknie
wyglądała. Poza tym raz się wychodzi za
mąż, prawda? - przekonywała Jeanne. -
A ty też chciałabyś pięknie wyglądać dla
Edmonda, czyż nie?

- Tak, ale... może ci się jeszcze kiedyś
przydać... Helenę zdecydowanie
potrząsnęła głową.

- Nigdy już nie będę miała takiej okazji.

Jeanne nie wydawała się przekonana.

- Kiedy wyjedziesz do Paryża... Helenę westchnęła.

- Do tego jeszcze daleko. Pani Dupré dała mi wprawdzie dużą premię i zaoszczędziłam już trochę pieniędzy, ale to nie wystarczy. Nie na Paryż. - Nagle twarz jej się rozpromieniła. - Jak się miewa Edmond?

- Przyjechał tylko na dwa dni - powiedziała Jeanne. - Uznał, że będziemy potrzebowali więcej pieniędzy i zamiast wziąć urlop, wrócił na morze. Myślę, że twoja ambicja pcha go do działania.

- Co masz na myśli?

Jeanne nagle przykryła usta dłonią.

- Och! Wygadałam się. Helenę wbiła w nią wzrok.

- Powiedz wszystko - zażądała.

- Miałam ci nie mówić - opierała się Jeanne. - Edmond sam chciał to zrobić. Helenę zachichotała.

- Skoro już mi tyle powiedziałaś, równie dobrze mogę usłyszeć resztę. Jeanne zawahała się i pokręciła głową. Potem ściszyła głos.

- Oszczędzamy, żeby Edmond mógł się

dalej uczyć. Helenę otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Nie spodziewała się takiej nowiny.

- Nauka... - powiedziała na głos. Edmond ma rację, pomyślała. Wykształcenie jest mu potrzebne.

W oczach Jeanne błyszczało uczucie, gdy mówiła dziwnie łagodnym głosem:

- Edmond chce od życia więcej, niż tylko być rybakiem, Helenę. Myśli o przyszłości. Chce zostać kimś. A kiedy będziemy mieli dzieci, też chcemy dla nich tego, co najlepsze. Więc myśli o studiach prawniczych. - Zrobiła pauzę. - Tak jak ty zdecydował, że aby czegoś dokonać, musimy wyjechać do Paryża.

- Paryż! - Oczy Helenę rozbłysły, a serce zaczęło uderzać mocniej. - To cudownie! -zawołała.

Jeanne kontynuowała jednym tchem:

- Wszystko przemyśleliśmy. Przez następne dwa lata będziemy oszczędzać. Potem tak szybko, jak tylko zdołamy, pojedziemy za tobą do stolicy. Podobno jest tam dużo pracy, więc chyba bez trudu zostanę kelnerką. Będę zarabiać, by pomóc mu ukończyć studia! - zakończyła, patrząc dumnie na przyszłą szwagierkę.

Jaka szkoda, że nie mamy już domu na Montmartrze, pomyślała Helenę z goryczą. Gdyby był nasz, ani ja, ani

Edmond nie musielibyśmy teraz tak oszczędzać na wyjazd do Paryża. Ale zamiast wypowiedzieć na głos swoje żale, zapytała wesoło:

- Kiedy on wraca?

- W przyszły piątek. A ślub w sobotę. Tylko pomyśl, Edmond będzie miał cały tydzień urlopu!

Helenę klasnęła w rękę.

- Dobrze. Będzie czas na świętowanie. Jeanne zmarszczyła brwi.

- Przecież ma być ślub. Czy myśleliście już o weselu? - zapytała Helenę. Jeanne kiwnęła głową.

- Dobrze. Musimy urządzić uroczysty obiad i... dobry Boże! Jeszcze tyle pracy przed nami. Nie mamy czasu do stracenia! Musisz przyjść w niedzielę. Zacznę natychmiast poprawiać suknię! A jeżeli znajdę odpowiedni materiał, uszyję ci też welon.

Jeanne wpatrywała się w nią zaskoczona. Nagle zaczęła się śmiać. Helenę przestała chodzić i spojrzała na nią.

- Co cię tak bawi?

- Jesteś taka przejęta, że można by pomyśleć, że to ty będziesz panną młodą.

Rozdział 14

Ślub wypadł wspaniale, a Jeanne była tak cudowną panną młodą, jaką pragnie być każda zakochana dziewczyna.

Helena westchnęła. To był cud, który zdarza się tylko raz w życiu, pomyślała. Edmond zdenerwowany i niespokojny jak każdy pan młody, czekał w kościele na swoją ukochaną, a potem połączyli się na zawsze. Teraz ceremonia się skończyła i Helena zdała sobie sprawę z tego, że nadszedł jej czas - nie aby spotkać miłość, lecz by wreszcie wyruszyć do upragnionego Paryża i zrealizować marzenia. Była gotowa.

Ostrożnie przeszła przez szyny na peron trzeci. Edmond postawił u jej stóp

walizkę. Helenę odwróciła się i spojrzała na niewielką grupkę tych, którzy jej dobrze życzyli. Jeanne, Edmond i pani Dupré. Jedyni przyjaciele, jakich kiedykolwiek miała. A teraz będzie sama. Łzy stanęły jej w oczach. Kiedy ich znowu zobaczę, zastanawiała się.

Słyszała już sapanie lokomotywy. Spojrzała na tory. W oddali pióropusz białego dymu uprzedzał, że zbliża się pociąg.

- Jedzie - wykrztusiła Jeanne.

Helenę wstrzymała oddech i pełna obawy kiwnęła głową. Pani Dupré podała jej małą paczkę.

- Zrobiłam ci parę kanapek -
powiedziała. Dziewczyna przyjęła je z
wdzięcznością.

- Poczekaj, mam jeszcze coś. - Pani
Dupré sięgnęła do książeczki
oszczędnościowej, wyjęła kopertę i
wcisnęła ją Helenę w dłoń.

Dziewczyna spojrzała na nią zdumiona. -
Co to jest?

- Drobiazg, który może ci się przydać -
odrzekła pani Dupré wymijająco.
Helenę zajrzała do środka. Były tam
pieniądze.

- Nie - powiedziała stanowczo.

- Będiesz ich potrzebowała -
perswadowała madame, odpychając jej
dłoń. - To nieduża suma. Nie zdążyłam
pójść do banku. To wszystko, co miałam
w kasie.

Helena objęła panią Dupré i przez
chwilę nie mogła wydobyć z siebie
głosu.

- Dziękuję - wykrztusiła w końcu. - Za
wszystko. Nigdy nie zapomnę tego, co
pani dla mnie zrobiła.

Oczy pani Dupré zwilgotniały.

- Zobaczysz, odniesiesz sukces! -
wyszeptała. - Podbijesz Paryż!

- Tak będzie - obiecała Helenę.
Odwróciła się do bratowej. - Do
widzenia, moja jedyna przyjaciółko.

Usta Jeanne drżały. Bez słowa
przyciągnęła do siebie szwagierkę.

- Zaopiekujesz się Edmondem? -
zapytała miękko Helenę. Jeanne
przytaknęła. Wyglądało na to, że zaraz
wybuchnie płaczem. Helenę odwróciła
się do brata.

- Cóż, chyba wreszcie jesteś na dobrej
drodze, dzielna mała Francuzeczko -
zauważył łagodnie.

Poczuła, że zaraz się rozplacze. Objęła
go mocno i uściskała.

- Jestem przerażona - szepnęła mu do ucha. Brat spojrział na nią ze zdumieniem.

- Czym?

- Paryżem.

- Nie bój się - powiedział z mocą.

- Nie chcę być sama.

- Nie martw się. Przyjedziemy do ciebie tak szybko, jak to będzie możliwe. A Jeanne będzie pisać do ciebie list raz na tydzień.

Helene kiwnęła głową i uśmiechnęła się przez łzy.

- Jeśli stanę się bogata wcześniej niż ty, pomogę ci skończyć szkołę.

- A jeśli ja skończę szkołę, zanim ty będziesz bogata, dzielna mała Francuzeczko, pomogę ci wydawać ten magazyn.

Pociąg wjechał na stację z głośnym stukotem i stanął, szarpiąc gwałtownie. Helenę spojrzała na ponure zielone wagony. Potem popatrzyła na swoich najbliższych. Nie było już nic więcej do powiedzenia.

- Wsiadaj - rzekł Edmond radośnie, uwalniając się z jej objęć. - Ruszaj na podbój Paryża!

Coś utkwiło jej w gardle i dławilo ją, utrudniając mówienie.

- Do Paryża - wykrztusiła w końcu cicho Helenę.

DZISIAJ Czwartek, 11 stycznia

Rozdział 1

Było wpół do jedenastej rano, kiedy James Cortland Gore III odwrócił swój skórzany fotel w kierunku okna. Mógł przez nie widzieć nowojorski port i East River. Leniwie spojrział w dół.

Dwadzieścia jeden pięter niżej malutkie postacie turystów chodziły po pokładach

starych statków przycumowanych w Soutch Street Seaport.

Zwrócił się znowu twarzą do biurka i wysunął górną szufladę, w której trzymał cygara. Otworzył drewnianą kasetkę, wybrał jedno, powąchał je, podniósł do ucha i ostrożnie nim potrząsnął.

Usatysfakcjonowany obciął koniec, odchylił się do tyłu w fotelu i zapalił. Kosztowny aromat hawańskiego tytoniu wypełnił gabinet, gdy James z zadowoleniem wypuszczał z ust kłęby dymu.

Jest lepiej, pomyślał z satysfakcją. Już za kilka dni będzie mógł zrobić Geraldine niespodziankę, kupując wart pół miliona dolarów jacht, o którym tak

marzyła. Rozmyślał o tym przez chwilę. Tak, jacht może być całkiem przyjemną rozrywką. Przecież w czasie rejsu nie będzie nic innego do roboty poza jedzeniem i piciem, a James właśnie to uwielbiał robić. I w dodatku będzie go stać na to wszystko. Zeszłej nocy odebrał kolejny telefon...

Pracował w domu. Przeglądał ważne dokumenty, a na kominku paliła się pachnąca świeca. Nagle zadzwonił telefon.

- Wiesz, kto mówi? - zapytał znajomy głos.

Serce zabiło mu mocniej. Rozejrzał się, czy jest sam. Geraldine miała

denerwujący zwyczaj wślizgiwać się do pokoju bezszelestnie jak myszka, tak że często wcale nie wiedział, że przyszła.

- Tak - wyszeptał do słuchawki bardzo cicho, jakby się bał, że ktoś go może podsłuchać.

- No i...? Podjąłeś decyzję?

James wyjął jedwabną chusteczkę z kieszeni czerwonej bonzurki i osuszył czoło. Zdążył już się spocić.

- Tak - wykrztusił w końcu. - Podjąłem.

- Jaka jest odpowiedź?

Zawahał się, ale tylko na ułamek

sekundy.

- Zrobię to - wyszeptał. - Nie dostanie
prolongaty. Zorganizuję to tak, żebyście
mogli kupić jej udziały.

- Dobrze. - Głos wydał się
usatysfakcjonowany. - W momencie,
kiedy podpiszemy papiery, dostaniesz
walizkę zawierającą milion dolarów.

- Sprawa będzie załatwiona.

Telefon szczyknął i zamilkł. Minęła
długa chwila, zanim James zrozumiał, że
odwieszono słuchawkę. Drżały mu
policzki, gdy odkładał swoją. Czuł ulgę,
ale jednocześnie był zdenerwowany.
Tak samo jak wtedy, gdy podpisywał

sobie pożyczki z banku.

Interkom na biurku zabrzączał. Gore wychylił się do przodu i nacisnął guzik.

- Tak, Alice?

- Panie Gore, jest tu dwóch panów z księgowości, którzy chcą się z panem zobaczyć.

Wpatrywał się w interkom, myśląc gorączkowo. Twarz mu pobleadła. Ktoś z księgowości? Znowu zaczął się pocić. Dobry Boże, tylko nie kontrolerzy, modlił się w duchu. Nie teraz, kiedy mógł zwrócić wszystkie „pożyczki”. Potrzeba mu zaledwie tygodnia! Litościwy Boże, tylko nie to. Potem

starał się opanować idiotyczny strach. Wpadasz w histerię, ale w rzeczywistości nie ma się czego bać, tłumaczył sobie w duchu. Nie możesz panikować przy każdym spotkaniu z tamtymi. Ta myśl sprawiła, że poczuł się lepiej, ale postanowił, że kiedy tylko dostanie ten swój milion, natychmiast uzupełni braki w kasie. Po długiej chwili zebrał się na odwagę.

- Wpuść ich, proszę - polecił.

Kilka sekund później Alice otworzyła drzwi i wprowadziła przybyłych do gabinetu. Jamesowi załomotało serce, bał się, że zaraz zwymiotuje. To nie byli po prostu dwaj pracownicy księgowości. Znał ich. Niski i krępy

mężczyzna to Paluzzi; drugi, wysoki

blondyn, nazywał się O'Rourke. Byli najlepszymi specjalistami od wewnętrznej kontroli finansów.

Umysł Gore'a pracował na najwyższych obrotach. Jeżeli szybko czegoś nie wymyśli, to cały jego świat, marzenia, całe jego życie rozleci się w jednej sekundzie. Musiał ich przechytrzyć i w jakiś sposób zyskać tydzień na wyjście z tego bagna. Przede wszystkim jednak trzeba opanować strach. I wyrzuty sumienia.

- Witam panów - odezwał się z wymuszonym uśmiechem. - Proszę, usiądźcie. Skinęli obojętnie głowami i

usiedli naprzeciw biurka.

Gore oparł wilgotne dłonie na wypolerowanym mahoniowym blacie, próbując opanować drżenie rąk. Obrzucił przybyłych niewinnym spojrzeniem.

- Czym mogę służyć? - zapytał, starając się nadać głosowi normalne brzmienie. Paluzzi spojrział na niego uważnie. Mocno zbudowany Włoch z gęstymi czarnymi

włosami i wyjątkowo grubymi brwiami wyglądał bardziej na ciężarowca niż na kontrolera finansów. Ale pozory mylą. Gore zdawał sobie sprawę, że ten człowiek cieszy się opinią doskonałego

audytora. Był najlepszym wewnętrznym kontrolerem w Manhattan Bank.

- Panie Gore - odezwał się uprzejmie -
przejrzeliśmy pańskie operacje
finansowe z ostatnich pięciu lat.

Pierwsze czterdzieści trzy miesiące są w
porządku. Ale w pozostałych
siedemnastu wykryliśmy niezgodności.

- Niezgodności? - Gore czuł, jak krew
pulsuje mu w skroniach. - Jakie
niezgodności?

W ciemnych oczach Paluzziego nie było
żadnych emocji.

- Sam pan wie najlepiej.

To się nie dzieje naprawdę, powtarzał sobie w myślach James. To tylko koszmarne sen. Koszmarne sen. Zaraz się skończy, gdy się obudzę.

- Czy zna pan sumę niedoborów, panie Gore? - włączył się O'Rourke.

Nie! Nie chcę słyszeć ani słowa więcej, pomyślał; dłużej tego nie zniosę! Ale obcy głos, który należał do niego, zapytał: -Ile?

- Dokładnie pięćset tysięcy dziewięćdziesiąt pięć dolarów - powiedział Paluzzi. -Takiej kwoty brakuje na pańskich rachunkach.

Gore zmusił się do słabego śmiechu, ale

natychmiast zdał sobie sprawę z tego, jak nieprzekonująco on zabrzmiał.

- Gdzieś musi być jakiś błąd - powiedział. - Macie wykazy operacji?

- Są w naszym biurze. Nie ma w nich żadnej pomyłki. Gore odsunął krzesło i wstał.

- Chciałbym je z panami przejrzeć, jeśli to możliwe. Czy mogliby panowie zostawić mnie na chwilę samego?

Muszę pilnie zatelefonować. -

Zauważył, jak wymienili spojrzenia, i wyprostował się z godnością. - Nie,

panowie - oświadczył spokojnie. - Nie zamierzam dzwonić po adwokata.

Niepotrzebny mi obrońca.

O'Rourke spojrział pytająco na swojego kolegę. Paluzzi wzruszył ramionami, a potem obydwaj wstali i wyszli do sekretariatu. Cicho zamknęli za sobą drzwi.

Gore ukrył twarz w dłoniach. Wszystko skończone, pomyślał. Nie miał już żadnej możliwości obrony. Zostanie oskarżony o kradzież, pójdzie do więzienia, wyrzucą go z klubów i już nigdy nie znajdzie dobrej pracy. A w każdym razie nie w banku. Po tym, co zrobił, żaden bank na świecie go nie zatrudni. Stał się złodziejem!

Jeszcze tylko tydzień i wszystko potoczyłoby się inaczej. Ale teraz już za późno. Nagle zastanowił się, co powie

Geraldine. Uśmiechnął się gorzko. Prawdopodobnie żona wpadnie w szal, że po tylu latach ciężkiej walki o swoją pozycję towarzyską znajdzie się na samym dnie. Znienawidzi go, uznał.

Geraldine nigdy nie lubiła tych, którzy przegrywali.

Wolno podszedł do drzwi, ale przystanął i odwrócił się, by spojrzeć w okno. Ze swojego miejsca widział tylko niebo. Wabiło go słodko jak śpiewająca syrena.

Nagle James zrozumiał, co musi zrobić. Miał tylko jedną drogę ucieczki.

Wziął głęboki oddech. Potem szybko,

zanim zdążył zmienić zdanie, rzucił się do przodu z wyciągniętymi rękami. Szklana tafla roztrzaskała się na kawałki pod wpływem uderzenia. James wyleciał przez okno, wykonując groteskowe, niezgrabne salto całym ciałem.

Poczuł gwałtowny powiew zimnego orzeźwiającego powietrza. Zdążył jedynie krzyknąć, a potem wszystko się skończyło.

Geraldine miała rację. Jej mąż popełnił samobójstwo. Jeżeli nie z powodu bransoletki Bulgariego, to z jakichś innych przyczyn.

Rozdział 2

Helenę stała za biurkiem tyłem do okna. Z zamyślonym wyrazem twarzy patrzyła na arkusze papieru pokrywające pięknie inkrustowany blat. Były to kolorowe kserokopie okładek jej magazynów. Błyszczące kobiece twarze patrzyły na nią zimno. Studiowała z uwagą każdą z okładek.

Oto „La Moda” z patrzącą prosto w obiektyw supermodelką, francuski numer „Les Modes” z wyzywającą dziewczyną o prowokująco wydętych, wilgotnych wargach; blada Niemka z okładki „Mode” stała w agresywnej pozie, a słodka blondynka z potarganymi przez wiatr włosami uśmiechała się z amerykańskiego „Les Modes”.

Ciekawe, że przeciętna Amerykanka woli słodką, bezmyślną ślicznotkę od przystojnej amazonki, którą uwielbiają Europejki, zauważyła w duchu Helenę.

Angielska edycja „Les Modes” prezentowała modelkę o kształtach sportsmenki, ubraną w powiewną letnią sukienkę od Haldsona, a w „Yachting and Boating” zamieszczono zdjęcia dwóch dziewcząt w uwodzicielskich skąpych bikini, za sterem niesłychanie kosztownej motorówki Riva.

Wszystkie okładki były doskonałe, wiedziała o tym. Ale mimo to w każdej coś jej się nie zgadzało. W pierwszej chwili Helenę nie mogła sobie uświadomić, co to takiego, potem jednak

zrozumiała: miała przed sobą okładki czerwcowych magazynów, a za oknem wciąż szalała zima. Chociaż zawsze przygotowywano okładki cztery do sześciu miesięcy wcześniej, nie mogła przywyknąć do kostiumów kąpielowych i szyfonowych sukni zimą oraz wełnianych ubrań i futer latem. Było w tym coś dziwnie niewłaściwego. Czuła się jak wróżka przepowiadająca przyszłość; na myśl o tym przechodził ją dreszcz podniecenia. Każda pora roku przynosiła jej konfrontację z tym szczególnym *deja vu*.

Usłyszała, że otwierają się drzwi, i podniosła wzrok. Do gabinetu wkroczył bez pukania Edmond. On jedyny mógł do

niej wejść niezapowiedziany, ale zwykle nie korzystał z tego przywileju. Zawsze czekał, aby Julie zawiadomiła jego siostrę, że przyszedł. To, że brat odstąpił od swoich zwyczajów, wywołało u Helenę złe przeczucia. Musiało się wydarzyć coś bardzo ważnego. Przez tyle lat tylko dwa razy wbiegł do niej tak jak dzisiaj. I w obu wypadkach stało się coś złego.

Podszedł do niej energicznie i nie czekając na pytania, oznajmił:

- Masz tygodniową prolongatę!

Manhattan Bank nie zażąda jutro zwrotu pożyczki. Helenę zmarszczyła brwi, analizując w milczeniu nieoczekiwany rozwój wydarzeń.

Przesunięcie nieprzekraczalnego terminu zwrotu pożyczki o tydzień na dłuższą metę nie rozwiązywało jednak ich problemów; nadal mieli nóż na gardle. Ale ta zwłoka była czymś niespotykanym.

- Nie rozumiem - szepnęła w końcu.

- Więc usiądź, a ja ci wszystko opowiem.

Kiwnęła głową i usiadła na jednym z rzeźbionych francuskich foteli przed biurkiem. Założyła nogę na nogę i czekała bez słowa, aż Edmond zapali papierosa.

- Właśnie odkryłem, że Gore nie prowadzi już twoich rachunków - oznajmił. - Ten, kto go zastąpi, będzie musiał się zapoznać z dokumentacją, zbadać twoje sprawy finansowe i podjąć decyzję. Minie tydzień - a może nawet dłużej - aż się z tym upora.

Helenę rzuciła mu zdziwione spojrzenie.

- Ale dlaczego? Gore zrezygnował z pracy? - zapytała z ciekawością. Nie mogła sobie wyobrazić, żeby dobrze opłacany finansista zrobił coś takiego.

Edmond potrząsnął głową i spojrzał na siostrę. Jego głos zabrzmiał dziwnie.

- Popęłnił samobójstwo. Wyskoczył z

okna w gabinecie. Helenę pobladła i zadrżała. Nagle zrobiło jej się zimno.

- Czuję się, jakby śmierć koło mnie przeszła - odezwała się cicho.

- Co masz na myśli? Spuściła wzrok na swoje dłonie.

- Wczoraj spotkałam jego żonę. Pokazała mi bransoletkę, którą właśnie kupiła u Bulgariego, i wiesz, co powiedziała?

Edmond w milczeniu potrząsnął głową.

- Zażartowała: „Mój mąż chyba popełni samobójstwo, kiedy ją zobaczy”.

Dokładnie takie były jej słowa.

Edmond popatrzył na siostrę.

- To smutne - rzekł ze współczuciem. - Mam nadzieję, że biedaczka nie będzie się winiła za to, co się stało. - Umilkł na chwilę. - Niemniej jednak swoim postępkom Gore

wyświadczył nam olbrzymią przysługę. Załatwił ci prolongatę. Nawet jeżeli będzie to tylko tydzień.

Helene z namysłem kiwnęła głową. Przynajmniej zyskała więcej czasu, żeby wszystko przemyśleć, ocenić możliwości i podjąć właściwą decyzję. Ale wciąż nie rozumiała jednej rzeczy.

- Edmondzie, dlaczego on to zrobił?

Wzruszył ramionami i zaciągnął się głęboko dymem z papierosa.

- Nikt nie wie tego na pewno. Pojawiły się jednak pewne pogłoski. Manhattan Bank próbował je wyciszyć, ale plotki zawsze przeciekają. Mówi się, że Gore zdefraudował dużą sumę. Widocznie uznał, że śmierć jest jedynym wyjściem.

Hubert de Léger czekał w swojej bibliotece na piętrze na sygnał telefonu. Wreszcie aparat zadzwonił.

-Monsieur le comte - odezwał się po francusku jego lokaj - wszyscy już są.

- Dziękuję, Eduardzie - odpowiedział. - Zaraz tam będę. Zajmij się gośćmi.

Podaj drinki.

- Już to zrobiłem, panie hrabio.

- Dobrze. - Hrabia odłożył słuchawkę i skończył czytać list.

Nie spieszył się. Niech czekają, pomyślał. To tylko powiększy ich niepewność. Wezwał ich pośpiesznie trochę ponad pół godziny temu i każde chciało znać przyczynę tego niespodziewanego spotkania. Celowo nie zdradził przez telefon żadnych szczegółów, dlatego wszyscy natychmiast się u niego stawili. Teraz postanowił trochę ich przetrzymać.

Zrobił kilka notatek, wysłał faks.

Skończył swój koniak i wreszcie wstał. Już pewnie rozsadza ich wszystkich niecierpliwość, uznał.

Zjechał małą windą do holu na parterze. Przy drzwiach salonu zatrzymał się, potem pchnął je i wszedł.

Powoli rozejrzał się po wielkim, umeblowanym w stylu empire pokoju. Na fotelach i sofie z rzeźbionymi złożonymi nogami w kształcie łap zwierząt siedzieli Z.Z. Bavier, Karl von Eiderfeld i Marcello d'Itri. W oczach Huberta błysnęła satysfakcja. Nie, nikt z wrogów Helenę nie stracił ani sekundy, żeby się tu zjawić. Wszyscy trzymali w dłoniach pełne kieliszki.

Hrabia odgadł myśli swoich gości i na jego ustach pojawił się niespodziewanie uprzejmy uśmiech.

- Cieszę się, że mogliście przyjechać tak szybko. Szczególnie na tak niespodziewane wezwanie.

Z.Z. popatrzyła na niego, mrużąc swoje rysie oczy.

-I dlatego kazałeś nam tak długo czekać?
- wysyczała z irytacją.

- Oczywiście, że nie, moja droga Z.Z. Spóźniłem się z powodu niezwykle ważnego telefonu. - Podeszedł do kobiety, pochylił się i ucałował ją w policzek. - Moje najszczęsze

przeprosiny.

Spojrzała na niego powątpiewająco. Podejrzliwa suka, pomyślał. Podszedł do barku, nalał sobie kieliszek armaniaku i oparł się o marmurowy kominek. Ponieważ tamci wszyscy siedzieli, Hubert postanowił stać. Dawało mu to poczucie dominacji.

- Więc? - zażądała wyjaśnień Z.Z. - Czy mógłbyś nam wyjaśnić, co takiego się stało, że musieliśmy wszystko rzucić i przyjechać tutaj?

Hrabia sęczył powoli armaniak.

- Nieprzewidziany rozwój wypadków. Musimy zweryfikować nasze plany. Z.Z.

spojrzała na niego ostro.

- Nieprzewidziany rozwój wypadków?
Co, do licha masz na myśli?

- Gore - odpowiedział łagodnie. -
Bankier. D'Itri i Z.Z. wymienili
spojrzenia.

- Co z nim? - zapytał włoski projektant.
- Zmienił zdanie? Nie sprzeda nam jej
udziałów?

Hrabia popatrzył teraz na niego.

- Nie chodzi o to, że nie sprzeda. Nie
może.

- Nie widzę różnicy między „nie

sprzeda” i „nie może sprzedać”. - D'Itri był zdumiony.

- Ach, jest pewna subtelna różnica - odparł de Léger.

- Chodzi o to, że ona nagle może spłacić tę pożyczkę? - W głosie Z.Z. brzmiało niedowierzenie.

D'Itri i von Eiderfeld zaczęli jednocześnie mówić coś z podnieceniem.

Hrabia uniósł dłoń, aby ich uciszyć.

- Za piętnaście jedenasta dziś rano pan Gore przedwcześnie pożegnał się z życiem. Popełnił samobójstwo.

- Verdammt! - Von Eiderfeld uderzył
otwartą dłońią w głowę sfinksa
zdobiącą fotel. - Wiedziałem, że nie
powinniśmy mu ufać!

D'Itri spojrział ponuro na gospodarza.

- Co teraz zrobimy?

- Co możemy zrobić! - wrzasnęła Z.Z.
Spojrziała oskarżycielsko na Huberta. -
Zapewniałeś nas, że wszystko
załatwione, że musi się udać! -
Drżącymi palcami zapaliła dunhilla.

Hubert był spokojny. Nie miał zamiaru
wdawać się w kłótnie.

- Czegoś takiego nie mogłem

przewidzieć - wyjaśnił cierpliwie. - Też mi się to nie podoba. Wygląda na to, że Gore sprzeniewierzył pieniądze banku. I został przyłapany w momencie najgorszym z możliwych.

- O Jezu! -jęknęła Z.Z. Wychyliła zawartość swojego kieliszka jednym długim haustem.

- Teraz, kiedy Gore odszedł - zapytał von Eiderfeld z zadumą - co z naszym planem?

Hrabia wzruszył ramionami.

- Ktoś inny zajmie jego miejsce. Musimy tylko cierpliwie poczekać i zobaczyć, kto to będzie. Potem z nim

porozmawiamy.

- A jeżeli nie da się go przekupić? -
warknął d'Itri. - Co wtedy?

- Mój drogi Marcello - odparł Hubert
zimnym tonem. - Każdy ma swoją cenę.
Powinieneś to wiedzieć lepiej niż
ktokolwiek inny.

D'Itri zarumienił się gwałtownie.

- O co ci chodzi? - zażądał odpowiedzi.
W jego głosie zabrzmiała złość. Hrabia
uśmiechnął się.

- Chodzi mi o to, że z nas wszystkich ty
jeden nie masz najmniejszego powodu,
by nienawidzić Helenę. Bez niej byłbyś

nikim. Och, może miałbyś trzeciorzędny sklep z

odzieżą. Przyznaj się, to ona cię stworzyła. A teraz nie odpowiada ci cena. - Zrobił pauzę. - Marcello, gryziesz rękę, która cię karmi. D'Itri zakrył dłońmi uszy.

- Zamknij się! - krzyknął z furją. - Przestań! - Gwałtownie zerwał się z fotela. - A co z tobą? - Wskazywał po kolei każde z nich oskarżycielskim gestem. - A ty? A ty?

Hrabia uśmiechnął się dobrotliwie.

- Mamy swoje powody, Marcello. Ważniejsze powody. Dla nas to nie tylko

kwestia zapomnienia o długach wdzięczności.

- Dobrze, pieprzę was! - D'Itri wykonał pogardliwy ruch dłońmi i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Przez chwilę wszyscy milczeli. Potem Z.Z. zaczęła się śmiać.

- Ojej! Och! Co za wulgarny typ!

Hrabia przeszedł przez pokój i nalał sobie następny kieliszek armaniaku.

- To prostak - oświadczył pogardliwie. - Może mieć pieniądze, ale tak czy inaczej liczy się klasa. Nie ma nic gorszego niż nuworysz. - Spojrzał na von Eiderfelda i

uśmiechnął się przepraszająco. - Z pańskim wyjątkiem oczywiście. Nie zaliczam pana do tej kategorii.

- Mam nadzieję, że nie - oświadczył z godnością przemysłowiec. Wstał. - Czy da nam pan znać, gdy tylko skontaktuje się z tym nowym człowiekiem w banku?

Hubert pokiwał głową.

- Oczywiście.

- Dobrze. Teraz, niestety, muszę już iść. Mam ważne spotkanie, na które już jestem spóźniony. - Sztywno uściśnął dłoń hrabiego i ruszył do drzwi.

Kiedy zostali sami, Z.Z. potrząsnęła

głową.

- Na widok von Eiderfelda zawsze przechodzą mnie ciarki - powiedziała z obrzydzeniem w głosie. - Ta odrażająco biała skóra i czerwone oczy.

Przypomina monstrum z horroru. -
Wzdrygnęła się.

Hrabia milczał; Z.Z. zrozumiała to właściwie.

- Cóż, myślę, że na mnie też już czas - rzekła z westchnieniem. - Po tych złych nowinach chyba zajrzę do Bendelsa i kupię sobie jakiś drobiazg dla poprawy nastroju.

Wszedł Eduard z futrem ze srebrnych

lisów i podał je Z.Z. Potem hrabia osobiście odprowadził ją do drzwi.

W holu zatrzymała się nagle i odwróciła do niego. Jej wargi ułożyły się w drwiący uśmiech, a w oczach zabłysło złośliwe rozbawienie.

- Drogi hrabio, nigdy nam nie mówiłeś, dlaczego ty tak bardzo nienawidzisz Helenę Junot. Czy to zbyt odrażające dla moich delikatnych uszu?

Hubert spojrzał na swój kieliszek. Na jego twarzy pojawił się nagle taki ból, że Z.Z. aż się wzdrygnęła. Poczowała się naprawdę winna, że poruszyła ten temat.

Kiedy przemówił, jego słowa były tak

ciche, że ledwie mogła je dosłyszeć.

- Ja... kiedyś ją kochałem.

Spojrzała na niego zaintrygowana. Ciekawość wyparła chwilowe zakłopotanie. -No i... Co się stało?

Nagle zaczął drżeć, a potem ścisnął kieliszek tak mocno, że cienki kryształ pękł mu w dłoni. Z palców Huberta zaczęła kapać krew, gdy kawałki szkła powbijały się w skórę. Z.Z. usłyszała dźwięk, który zabrzmiał jak zduszony szloch.

- Co się stało? - powtórzył. Potem w holu rozległ się jego histeryczny śmiech.

WCZORAJ III UTRZYMANKA

Rozdział 1

Paryż, 1953

Kiedy pociąg dotarł do Paryża, Helenę poczuła, jak coś ściska ją w gardle. Wstała, otworzyła okno i wysunęła przez nie głowę. Poczowała uderzenie zimnego wiatru w twarz. Wciągnęła w płuca pierwszy haust paryskiego powietrza i z jej oczu trysnęły łzy. W oddali widziała wieżę Eiffla. Przez chwilę wpatrywała się w nią z nagłą tęsknotą. Żelazna konstrukcja wzbijała się triumfalnie w niebo ponad niekończącym się morzem szarych dachów, jak długo wypatrywana latarnia

morska. Potem zniknęła, a pociąg zaczął wydawać zgrzytliwe i piskliwe dźwięki oznajmiające, że zbliżają się do stacji.

W końcu zatrzymał się z szarpnięciem, a Helenę ostrożnie zesłała na peron. Z przodu chmury pary kłębiły się nad i pod syczącą lokomotywą. Wydawało się, że jakiś olbrzym głęboko wzdycha. Wysoko w górze metalowe belki podtrzymywały szklany dach dworca Montparnasse w całkowitej sprzeczności z prawem grawitacji. Dziewczyna postawiła walizkę na betonie i rozejrzała się wokół. Od razu rzuciło się jej w oczy, że teraz podróżni wyglądają lepiej niż paryżanie, których zapamiętała z czasów wojny, i że są dobrze ubrani. Dookoła

pulsowało życie, jak nazywają to Francuzi *joie de vivre*. Zniknęły mroczne sprawy, które pozostawiły cień w jej wspomnieniach: straszna cisza, przerażenie na twarzach przechodniów, ciągłe, ukradkowe spojrzenia przez ramię, grzebanie w tych wszystkich potrzebnych dokumentach - oficjalnych, ostemplowanych pieczęciami okupanta. Zniknęły również swastyki i wszechobecni Niemcy o przenikliwych oczach. Paryż był inny. Widziała to i czuła się tu dobrze.

Podszedł do niej starszy bagażowy.

- Mademoiselle? - Spojrzał na nią pytająco. Szybko potrząsnęła głową.

- Non, merci - powiedziała cicho.
Bagażowym się płaci, a Helenę nie
miała ani jednego sou do wyrzucenia.
Nie stać jej było na taką ekstrawagancję.
Chwyciła starą walizkę i wyniosła ją na
ulicę.

Jasne słońce uderzyło ją w oczy.
Zamrugła, ale nie z powodu światła.
Przed dworcem zobaczyła coś
najbardziej niewiarygodnego, co mogła
sobie wyobrazić. Rząd błyszczących,
czarnych taksówek. Potrząsnęła głową
ze zdziwieniem. Czy te cuda nigdy się
nie skończą? I ulice - po raz pierwszy w
życiu widziała tak zatłoczone jezdnie.
Zniknęły tramwaje konne i rowery.
Zamiast nich wszędzie jeździły

samochody we wszystkich kolorach tęczy. Jak inaczej wyglądało tu wszystko podczas okupacji! Gdyby tylko mamam mogła to zobaczyć.

- Taksówkę, panienko? - Wąsaty kierowca otworzył przed nią drzwi auta. Zawahała się i spojrzała do środka. Eleganckie czyściutkie siedzenia zapraszały, aby

wsiąść. Przez moment Helenę o mało nie uległa pokusie. Byłoby miło uczcić swój powrót przejażdżką po Polach Elizejskich i wąskich uliczkach prawego brzegu Sekwany. Ale to także byłaby bezsensowna strata pieniędzy. Helenę szybko ścisnęła uchwyt walizki i odeszła. Potrzebowała każdego sou.

Najpierw bezwzględnie musi znaleźć tanie lokum. Potem kupić coś do jedzenia.

Zmęczona Helenę wdrapała się po schodach na czwarte piętro do swojego mieszkania. Kolejny stracony dzień, pomyślała apatycznie, otwierając drzwi. Rzuciła klucz na rozchwiany stolik kuchenny, nogą zatrzasnęła za sobą drzwi i zrzuciła płaszcz. Opadła na łóżko, a materac ugiął się pod nią. Była wykończona. Kiedy przyjechała do Paryża, jej nadzieje sięgały nieba. Wszystko wydawało się możliwe. Teraz rzeczywistość weryfikowała te plany powoli, ale wytrwale.

Wciąż nie miała pracy. Od trzech tygodni szukała jakiegoś zajęcia i ciągle bez skutku. Podczas gdy cały Paryż się krzątał, ona wydeptywała chodniki. A dzisiejszy dzień był najgorszy ze wszystkich. Zamknęła oczy.

Dzisiaj odpowiedziała na ogłoszenie, w którym właściciel pracowni szyjącej staniki poszukiwał modelek. Nie była to praca odpowiadająca Helenę, ale zrozpaczona dziewczyna chwyciła się już wszystkiego. Popęłniła karygodny błąd. „Pracownia” okazała się elegancką nazwą podrzędnego domu publicznego. A odrażający, tłusty wieprz, który

kierował interesem, rzucił się na nią i

gonił japo brudnym „biurze”.

Wzdrygnęła się z obrzydzenia. Na szczęście udało jej się zmylić go, dopaść drzwi i uciec. Co robić, zastanawiała się teraz.

Miała już tylko niecałe pięćdziesiąt franków. W maleńkiej szafce zostały jedynie dwa jajka i butelka mleka. A za dwa dni musi zapłacić komorne.

Westchnęła i otworzyła oczy. Usiadła i rozejrzała się po swojej mansardzie. To wprost nieprawdopodobne! Jedna izdebka na poddaszu Montmartre’u kosztowała krocie. Helenę zacisnęła wargi. W obszernych listach do Edmonda i pani Dupré pisała, że

mieszkanie jest małe, ale czarujące i ma stąd wspaniały widok. Prosiła, żeby się o nianie martwili, i skłamała nawet, że dostała już kilka propozycji pracy. I że musi je starannie przemyśleć, żeby wybrać taką, która zapewni jej przyszłość.

Przyszłość? Jaką przyszłość? - pytała się w myślach. Propozycje pracy? Atak drania, który śmierdział tanim winem? Czy to była oferta pracy?

Nagle Helenę zaczęła się śmiać.

Czarujące mieszkanie? Rzeczywiście czarujące, pomyślała. Brudne ściany, pomalowane kiedyś zapewne białą farbą, popękane linoleum, trzy z

dziewięciu szyb wybite i załatane deskami. A widok, o którym tak ciepło pisała? Znów dostała napadu śmiechu. Ten widok ograniczał się do okna po przeciwnej stronie podwórka. Mieszkał tam zarośnięty artysta, który onanizował się dużo częściej, niż malował. Kiedy Helenę to zobaczyła, natychmiast zerwała ze stołu postrzępioną serwetę i zasłoniła nią szybę. Była szczęśliwa, że może sobie oszczędzić tego widoku.

A wielkość mieszkania? Była to klitka długości trzech i pół metra i szerokości niespełna trzech metrów. Nie miała szafy. Wszystkie rzeczy wisiały na gwoździach w ścianie, które wbił tam zapewne jakiś wcześniejszy lokator.

Toaleta w korytarzu była nieogrzewana, Helenę dzieliła ją z trzema sąsiadami. Nie było łazienki.

Nienawidziła tego miejsca.

Helenę spojrzała na podłogę. Leżała tam sukienka, którą rzuciła. Dziś wieczorem trzeba ją znowu uprać, wysuszyć i pożyczyć żelazko. Jutro włoży ją znowu; musi znów wydeptywać chodniki w poszukiwaniu pracy.

Nagle jej śmiech zmienił się w płacz. Ukryła twarz w poduszce. Jej ciałem wstrząsnął gwałtowny szloch. Jaki to wszystko ma sens, pytała samą siebie. Z pewnością to już koniec.

Właśnie wtedy usłyszała ciężkie kroki na schodach, a potem rozległo się głośne pukanie do drzwi. Zmarszczyła brwi. Nikogo nie oczekiwała; nie знаła nikogo w Paryżu. Uniosła głowę z poduszki, trochę przestraszona. Może to konsjerżka? Czy to możliwe, że już dzisiaj przyszła po komorne?

Ta myśl zmroziła Helenę. Nie miała dość pieniędzy, aby zapłacić. Zawahała się i spojrzała na drzwi. Może jeżeli będzie naprawdę cicho, ta stara wiedźma pomyśli, że nikogo nie ma, i sobie pójdzie, uznała.

Pukanie powtórzyło się jednak, tym razem głośniejsze.

Helenę westchnęła.

- Chwileczkę! - zawołała wreszcie słabym głosem, podnosząc się z łóżka. Zdjęła z wieszaka szlafrok, włożyła go szybko i otarła oczy dłońmi. Zawijając pasek, podeszła do drzwi i otworzyła je z trzaskiem.

Stała jak wryta, patrząc z zaskoczeniem na gościa. Był wysoki, bardzo wysoki. Musiał mieć przynajmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu, niesforne rude włosy, rudą brodę i rozbrajający uśmiech.

Nie widziała go nigdy wcześniej. Oczy miał łagodne, błękitne jak niebo. W ręce trzymał do połowy opróżnioną butelkę

wina i zwiniętą gazetę, z której wystawał bochenek chleba.

Helene zamrugała oczami.

- Kim jesteś? - spytała. Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Jestem Guy Barbeau - powiedział po prostu. - Artysta albo ladaco, wedle uznania. - Mieszkam po drugiej stronie korytarza. - Wyciągnął wolną rękę.

- Nazywam się Helene Junot - wybąkała zażenowana. Potrząsnął jej dłonią. Kiedy ją puścił, wskazała gestem za siebie. - Ja... hm mieszkam tutaj.

Roześmiał się i zerknął do środka.

- Nie mogę w to uwierzyć! - zawołał.

Popatrzyła na niego, nie rozumiejąc. - W co?

- Że masz więcej przestrzeni niż ja!
Uśmiechnęła się mimo woli.

- A ja nie wierzę, że może być
cokolwiek mniejszego niż ten gołębnik.

- Będiesz zaskoczona, kiedy zobaczysz
mój śmietnik. Mogę wejść? Pytanie ją
zaskoczyło. Zawahała się. Czy powinna
go wpuścić? Chociaż się nie

bała, nie wiedziała, czy to właściwe.
Potem jednak kiwnęła głową i wpuściła
gościa. Guy Barbeau wszedł i położył

przyniesione rzeczy na kuchennym stole.

- Jadłaś już kolację? - zapytał.

- Czy jadłam...?

- Widzę, że nie. - Był bardzo pewny siebie. - Zjemy więc razem. Masz dwa kieliszki i nóż?

Helena zarumieniła się z zakłopotania.

- Nie mam kieliszków - odrzekła nieśmiało. - Czy wystarczą dwie małe butelki od mleka?

- Wspaniale. Szczyt luksusu. Dzięki Bogu twoja kuchnia jest lepiej wyposażona niż moja.

Przysunął stół bliżej łóżka i rozwinął gazetę. Poza chlebem miał tam kawałek sera, puszkę sardynek i kilka plasterów twardego salami. Z wprawą otworzył puszkę, a potem wygładził gazetę i artystycznie rozłożył na niej jedzenie. Kiedy Helenę skończyła płukać w zlewie butelki, Guy siedział już na łóżku.

- Wygląda to pysznie - powiedziała grzecznie, siadając obok niego. Roześmiał się beztrósco.

- Zwyczajne jedzenie biedaków. Paliwo dla ciała. Niestety, niezdolne wykarmić duszy. - Nalał trochę wina do każdej z butelek po mleku.

- Santé.

- Santé.

Helenę zatrzasnęła za sobą szklane drzwi sklepu. Nadal padało, więc podniosła wyżej kołnierz płaszcza. Kolejna porażka. Westchnęła ciężko. Dzisiaj musi zapłacić komorne.

Skręciła w prawo i skierowała się na Boulevard St. Germain. Starła się o pracę sprzedawczyni w eleganckim nowym butiku naprzeciwko Sainte Clotilde. Właścicielka, madame d'Arbeuf, rozmawiała z nią w małym pokoiku za sklepem.

Madame d'Arbeuf wierzyła w pierwsze

wrażenie. Jej surowe oczy z uwagą badały dziewczynę. To, co zobaczyła, nie olśniło jej. Nawet najlepsza sukienka Helenę stanowiła smutny kontrast, a właściwie kłopot w bogato urządzonym sklepie. Co gorsza, zaczęło padać i Helenę zmokła.

- Jakie ma pani doświadczenie w handlu, mademoiselle? - burknęła madame d'Arbeuf.

- Ja... pracowałam w sklepie z odzieżą
- odpowiedziała Helenę.

- Och. Gdzie?

- W Saint-Nazaire.

Madame d'Arbeuf zmarszczyła brwi.

- Saint-Nazaire? Zaraz, zaraz, Saint-Nazaire... - Potrząsnęła głową. - Nie mogę sobie przypomnieć, gdzie to jest. Gdzieś w pobliżu Cannes?

Helena nie mogła powstrzymać uśmiechu. Saint-Nazaire równie dobrze mogłoby być miliony lat świetlnych od Cannes.

- Nie, proszę pani. To nad Zatoką Biskajską.

- Och! - Właścicielka wstała. - Właściwie szukam kogoś bardziej... - Uśmiechnęła się blado - bardziej wyrobionego. Bardziej ogładzonego.

Sama pani rozumie, butik Chat Blanc ma międzynarodową klientelę, mademoiselle. Obawiam się... - Na twarzy Helenę odmalowała się rozpacz.

- Ale ja jestem bardzo inteligentna! Szybko się uczę! Sama pani zobaczy... Madame d'Arbeuf spojrzała na nią z niesmakiem spod eleganckich okularów w

niebieskich oprawkach.

- Nie ma mowy - oświadczyła stanowczo. - Przykro mi, że zabrałam pani czas.

Rozdział 2

Kiedy dziewczyna wróciła do domu, konsjerżka czekała już koło schodów. Nie było sposobu, by ją ominąć. Na klęczkach szorowała linoleum szczotką ryżową. Kiedy zauważyła Helenę, podniosła się i wytarła czerwone ręce o fartuch.

- Panienko! Dzisiaj płaci się komorne. Helenę spojrzała na nią błagalnie.

- Przepraszam, pani Guerin. Nie mam jeszcze pieniędzy. Może jutro.

- Jutro! - prychnęła pani Guerin. - Zbieram pieniądze wtedy, kiedy się należy. To znaczy dzisiaj. Zgodziła się pani na to, wprowadzając się.

- Wiem. Proszę mi dać kilka dni -
błagała Helenę. - Proszę. Brat przyśle
mi pieniądze.

- Przykro mi, mademoiselle. W tym
domu pobiera się komorne z góry. Albo
się płaci, albo wyprowadza!

Drzwi wejściowe za nimi otworzyły się
z trzaskiem, wchodzący jednak wyraźnie
zmienił zamiar i postanowił się
wycofać. Helenę odwróciła się i
przelotnie spojrzała na Guy Barbeau,
który skradał się jak kot polujący na
kanarka.

- Panie Barbeau!

Przeraźliwy głos konsjerżki zatrzymał

Guy w miejscu.

- Pan również! Tak jak mówiłam pannie Junot, dziś płaci się komorne. Podszedł do nich bojaźliwie, strzepując z płaszcza krople deszczu. Przemoknięte

rude włosy przyłgnęły mu do głowy. Uśmiechnął się słabo do Helenę.

- Witaj ponownie.

- Cześć - odpowiedziała.

- Poszcęściło ci się? - zapytał. Potrząsnęła głową.

- Nie - odrzekła cicho.

Pani Guerin oparła ręce na biodrach i spojrzała na niego groźnie.

- Ma pan pieniądze? Westchnął ciężko i spuścił wzrok.

- Tylko kilka dni. Proszę.

- Przerabialiśmy to wystarczająco często. Niech pan idzie na górę i pakuje się, zanim wezwę policję.

- Ale moje obrazy! Płótna! Potrzebuję kilku dni, żeby je przenieść. - Spojrzał zrozpaczony na Helenę. - Czy nie mogłabyś...

Z żalem potrząsnęła głową.

- Zostałam wyrzucona, nie słyszałeś?

Nagle Guy chwycił ją za ramię i pociągnął na bok.

- Słuchaj - szepnął z przejęciem - ile masz pieniędzy?

- Około czterdziestu franków - odrzekła zdumiona. - Dlaczego pytasz? Coś sobie kalkulował.

- A ja mam pięćdziesiąt!

- Więc oboje musimy się wynosić.

- Nie rozumiesz? Twoje komorne wynosi siedemdziesiąt franków, tak? Helenę kiwnęła głową.

- Więc wprowadzę się do ciebie!
Będziemy współlokatorami. Zawahała się chwilę.

- Nie wiem - odrzekła z namysłem. -
Będzie nam strasznie ciasno.

- Wolisz wylądować na ulicy?

To miało sens. Helenę wolno kiwnęła głową.

- Dopóki to będzie wyłącznie wspólne mieszkanie - zastrzegła od razu. Uniósł prawą dłoń.

- Tak mi, Boże, dopomóż. Helenę uśmiechnęła się z ulgą.

- Monsieur Barbeau, kupiliśmy sobie właśnie miesięczne zawieszenie wyroku. Pięć minut później wszystko było załatwione i poszli na górę, aby przenieść dobytek

Guy. W drzwiach pokoju malarza Helenę szeroko otworzyła oczy. Stało tam olbrzymie płótno oparte o ścianę.

Było prawie długości poddasza. Helenę cofnęła się pod drzwi, oglądając obraz.

- Jest wyjątkowy! - wykrzyknęła.

- Jak dotąd to moje najlepsze dzieło - powiedział Guy. Odsunął stos małych płócien i stanął obok dziewczyny. - Nazywa się „Hiperboliczne

wniebowstąpienie”. Pracuję nad nim od dziewięciu miesięcy. Za kilka dni skończę.

Nie mogła oderwać oczu od tego obrazu. Przedstawiał surrealistyczną Madonnę wybuchającą w powietrzu pełnym światła. Wyglądało to tak, jakby ktoś nafaszerował ją dynamitem, a potem uwiecznił chwilę eksplozji.

- Kiedy tylko skończę, zabiorę ją do Lichtenstein Gallery - wyjaśnił Guy. - Sam André Lichtenstein przyszedł tu kilka tygodni temu. Chce ją u siebie wystawić. To jest coś. To najważniejszy marszand w Paryżu.

- Jest wspaniała! - wykrzyknęła Helenę

z entuzjazmem. Guy kiwnął głową.

- Mam nadzieję, że jakiś kolekcjoner też tak pomyśli. Uśmiechnęła się uspokajająco.

- Myślę, że nie musisz się o to martwić. Jestem pewna, że twój obraz zostanie natychmiast zauważony. I ktokolwiek go kupi, będzie bardzo szczęśliwy.

Spojrzał na nią z ciekawością.

- Naprawdę w to wierzysz? Przytaknęła, nie odrywając oczu od płótna.

- Jest piękniejszy niż większość tych, które widziałam w Luwrze. Przypomina mi Rafaela. Tylko u niego jest więcej

głębi. - Potrząsnęła głową. - Jest niesamowity.

W sobotę rano zjedli skromne śniadanie składające się z chleba i owoców.

Chleb był twardy i suchy, miał już dwa dni, ale właśnie dlatego kupili go bardzo tanio. Nadpsute owoce można było wieczorem znaleźć koło pojemników na śmieci w hali targowej.

Helenę pokroiła owoce na małe kawałki i zrobiła z nich sałatkę, która wyglądała przepysznie.

Kiedy skończyli jeść, Guy przeniósł stół do odległego kąta.

- Jedzenie - wymamrotał. - Nie mówiłaś, że jesteś tak wspaniałą kucharką. Oprócz współlokatorki zdobyłem szefa kuchni pierwszej klasy. Wspaniała sałatka. Była to miła odmiana po gryzieniu nadgniłych jabłek.

Helenę ucieszyła się, że docenił jej wysiłki.

- Będiesz teraz malował? - zapytała. Przytaknął ruchem głowy.

- Dobrze. Zatem idę na długi spacer. Przez dwa weekendy zwiedzałam Luwr, a każdy dzień roboczy spędziłam, szukając pracy. Dzisiaj zamierzam spacerować bez celu,

po prostu dla przyjemności. - Sięgnęła za „Hiperboliczne wniebowstąpienie” i wyciągnęła zza obrazu brązową wełnianą spódnicę i gruby, zrobiony na drutach sweter, który miała zamiar włożyć na wierzch i ścisnąć skórzanym paskiem. Zastanawiała się, co zrobić, aby upodobnić się do modnych i szykownych paryżanek, które widywała na ulicach. Może powinnam upiąć włosy, pomyślała. Ten pomysł wywołał na jej twarzy uśmiech. Zastanowiła się, jak by wyglądała.

- Chcesz, żebym wyszedł, kiedy się będziesz przebierać? - zapytał Guy. Pokręciła głową przecząco.

- Nie musisz. Skorzystam z toalety.

Przynajmniej jest tam lustro. Kiwnął głową, zdjął serwetę z okna i otworzył je. Mansardę zalała powódź

słonecznego światła. Wpadł też do środka chłodny wiaterek.

- Włóż płaszcz, bo się przeziębisz - powiedziała malarzowi Helenę.

Skinął obojętnie głową. Był już w innym świecie; jego oczy widziały tylko wielkie płótno. Nie słyszał nawet, kiedy zamknęły się za nią drzwi.

Spacerowała kilka godzin. Początkowo była to wędrówka bez celu. Helenę zostawiła za sobą stare uliczki Montmartre'u i przeszła jednym z

łukowatych mostów na lewy brzeg Sekwany. Na chodnikach pełno było sobotnich zakupowiczów i przechadzających się rodzin. Nawet w kawiarenkach na świeżym powietrzu siedzieli już klienci, którzy nie obawiali się chłodu. Wiosna była już blisko. W powietrzu czuło się jej zapach.

Mijając sklep z damską bielizną, pomiędzy stanikami Helenę zobaczyła swoje odbicie. Podeszła bliżej. Nie mogła uwierzyć, że to ona. Upięte włosy zupełnie ją odmieniły. Wydawała się wyższa, bardziej dojrzała, a zarazem pełna młodzięczego entuzjazmu. I o dziwo, ostatnie głodowe tygodnie wcale jej nie zaszkodziły. Wprost przeciwnie,

utraciła dzieciinne okrągłości. Nie była już smukła; zrobiła się bardzo chuda. Miała figurę modelki.

Przyjrzała się sobie dokładniej. Kości policzkowe miała teraz bardziej wyraźne, oczy wydawały się większe i dziwnie błyszczące. Pasek eksponował szczupłą talię.

Odwróciła się, sprawdzając profil. Usatysfakcjonowana zanotowała w pamięci, by zawsze podkreślać talię.

Spacerowała dalej, mrucząc coś do siebie cicho. Nagle poczuła się piękniejsza, pewniejsza siebie, stylowa. Jak prawdziwa paryżanka. Teraz potrzeba jej tylko trochę ogłady. Będzie

się przyglądać eleganckim damom, postanowiła. Nauczy się ich sposobu chodzenia, przejmie maniery.

Za każdym razem, gdy mijała wystawę, rzucała ukradkowe spojrzenia na własne odbicie. Tak, to prawda. Rzeczywiście się zmieniała.

Kiedy dotarła do bulwaru St. Germain, właśnie popisywali się żonglerzy. Otaczała ich gromada dzieci, które krzyczały i klaskały w dłonie. Uśmiechnięta Helenę przystanęła i patrzyła na tę scenę z rozbawieniem. Nagle ujrzała obraz z przeszłości. Radość zniknęła, a na jej miejsce w oczach dziewczyny pojawił się smutek. Kiedyś stała tu z Michelle, oglądając

występ innych żonglerów.

Dawno temu.

Nagle otoczyły ją wspomnienia. Może wywołały je hipnotyczne ruchy czerwonych piłeczek rzuconych i łapanych z zawodową precyzją. Może krzyki dzieci. Albo zapach wiosny w powietrzu. Cokolwiek to było, otworzyło długo zatrzaśnięte drzwi do czasów dzieciństwa, sprawiając, że nagle zobaczyła tamto wszystko na nowo. Zrobiło jej się słabo. Czuła się jak na karuzeli, a cały świat wirował wokół niej.

Odwróciła się jak w transie i zaczęła iść przed siebie. Nie był to już spacer bez

celu. Teraz jakaś niewytłumaczalna siła przyciągała ją niczym magnes do określonego miejsca.

Odgłosy miasta były teraz cichsze. Krzyki dzieci przerodziły się w szepty. Helenę słyszała wyraźnie jedynie stukot własnych obcasów na chodniku. Szła coraz szybciej i szybciej. Każdy następny krok wydawał się głośniejszy od poprzedniego jak narastający grzmot zbliżającej się burzy. Chodnik kołysał się jak falująca wstęga.

Potem tuż nad sobą usłyszała huk piorunu. Owiało ją nagle ciepło i zaczęła się osuwać na ziemię. W zasięgu ręki miała żelazny słup lampy, objęła go więc, żeby utrzymać się na nogach.

Trwała tak przez chwilę.

Obok zatrzymał się starszy mężczyzna i spojrzał na Helenę.

- Mademoiselle? - zapytał zaniepokojony. - Wszystko w porządku?

Wzięła głęboki oddech i kiwnęła głową. Staruszek odszedł. Wszystko w porządku? - pytała samą siebie. Nie, wcale nie. Ale nikt nie zdołałby jej pomóc.

Przez następne pół godziny zwawo maszerowała przed siebie. Zawroty głowy minęły, gdy się zdecydowała. Już wiedziała, dokąd może pójść.

Nie miała kłopotów ze znalezieniem kamiennych stopni, które prowadziły na wzgórze. Minęło ponad dziesięć lat, odkąd tu była po raz ostatni, ale trafiła tak łatwo, jakby to było wczoraj.

W połowie drogi zobaczyła mały park. Nadal tu był, tak samo jak ławka, na której bawiła się Antoinette. I tak jak drzewa akacjowe. Nie miały liści, tak jak wtedy, kiedy widziała je po raz ostatni. Tylko teraz były dużo większe. Akacje szybko rosną.

A po drugiej stronie stał dom. Spojrzała na niego ciekawie. Wydawał jej się teraz mniejszy niż wówczas, gdy była dzieckiem. Ale rozpoznawała go, mimo że wyglądał na nowszy niż dom ze

wspomnień. Wymieniono frontowe drzwi; teraz były z ciemnego dębu. Odeszła na zawsze kanarkowa żółć. Ale dolne okna nadal miały ozdobne poskręcane w esy-floresy kraty, a wysoko, ponad dachem, błyszcząły białe kopuły Sacré Coeur. W powietrzu wisiał ciężki zapach smażonej wieprzowiny.

Tutaj mieszkałabym, gdyby ciotka Janine nie sprzedała domu, pomyślała z goryczą Helenę. To wszystko należałoby do mnie i Edmonda. Ale nie ma sensu ciągle tego rozpamiętywać - powiedziała sobie.

Trzeba myśleć rozsądnie i być praktyczną. Ona i Edmond nie mieli już żadnego prawa do tego domu. Został im ukradziony. Zacisnęła usta i powtórzyła

sobie w myślach: ukradziony.

Spojrzała na budynek. Gdyby nadal do nich należał, rozwiązałoby to mnóstwo problemów. Mogłaby mieszkać na parterze i urządzić sobie sypialnię w dawnej jadalni. Położyłaby na ścianach wesołe tapety. Miałaby salonik i kuchnię, mogłaby także korzystać z ogródka na tyłach. Nie musiałyby mieszkać z Guy Barbeau w tej obskurnej klitce.

I na dodatek mogłaby wynajmować całą górę. Nie miałyby kłopotów finansowych, nie błagałaby jędzowatej konsjerżki o cierpliwość, nie zbierałaby zgniłych owoców...

Znowu zakręciło jej się w głowie i opadła na twarde deski ławki.

Jak na zwolnionym filmie, przed jej oczami przesuwały się zniekształcone obrazy. Zobaczyła mamą bezlitośnie kopaną w brzuch przez niemieckiego oficera o czerwonych oczach. Nawet teraz mogła słyszeć jej krzyki odbijające się echem w domu. Raz jeszcze

przeżyła serię z karabinu maszynowego, która odrzuciła Michelle na drzwi, gdzie ich opiekunka upadła jak bezwładny wór ziemniaków.

Helenę podniosła się gwałtownie i zaczęła szybko biec przed siebie.

Łzy przesłaniały jej oczy i gwałtownie ocierała je dłońmi. Mogła sobie poradzić ze wszystkim, ale nie z tym domem. Nie chcę go już nigdy widzieć, myślała. Nigdy w życiu.

- To dobrze, że ten złodziej Pierre go sprzedał - powiedziała na głos do siebie, biegnąc po kocich łbach. - Nie mogłabym tam mieszkać. Nigdy. Nie można żyć w domu pełnym duchów.

Ruszyła prosto do swojego pokoiku, dziwnie zadowolona, że Guy tam jest. Jego towarzystwo wydawało jej się teraz czymś wspaniałym.

Kiedy wróciła, okno było nadal otwarte. W pokoju panowało lodowate zimno.

Guy się nie odzywał. Siedział na podłodze oparty plecami o ścianę. Był śmiertelnie zmęczony. Oczy miał wlepione w „Hiperboliczne wniebowstąpienie”.

Helena przeskoczyła przez paletę i usiadła obok niego. Wpatrzyła się w płótno, które emanowało jakąś dziwną mocą. Nie musiał nic mówić. Obraz był skończony.

Wstała i wyszła bez słowa. Po dziesięciu minutach wróciła z butelką szampana. Wydała na niego wszystkie pieniądze, jakie mieli. Kiedy otworzyła butelkę, korek przeleciał przez pokój i wypadł przez okno. Ostrożnie napełniła ich butelki do picia i podała jedną Guy.

Stuknęli się szkłem.

- Za twoją przyszłość. - Helenę spojrzała mu w oczy.

Kiwnął głową. „Hiperboliczne wniebowstąpienie” było arcydziełem, a z André Lichtensteinem nawet niemożliwe stawało się możliwe. Marszand umiał wylansować nowy talent.

Guy uśmiechnął się pełen nadziei. Droga do sławy i fortuny zdawała się stać przed nim otworem. Będzie nie tylko sławnym malarzem, ale może także wejdzie do tej małej grupy artystów, którzy odnosili sukcesy finansowe. Kto wie? Może nawet zostanie następnym

Picassesem, kolejnym Dalim. Teraz wszystko wydawało się możliwe.

Ale to nigdy nie nastąpiło.

Rozdział 3

Helene odepchnęła zaskoczoną panią Guerin i pobiegła na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz. Gwałtownie otworzyła drzwi i wpadła na poddasze. Pot spływał jej z czoła, a pierś unosiła się z wysiłkiem. Biegła całą drogę.

Guy stał przy zlewie. Odwrócił się do niej i spojrzał zaskoczony na jej czerwoną twarz.

- Gdzie się pali?

Odetchnęła głęboko i rzuciła się na łóżko.

- Nowiny... nie mogłam się doczekać... żeby ci powiedzieć... biegłam...

- Najpierw złap oddech - poleciał spokojnie. - Potem mi wszystko opowiesz. Może napijesz się wody?

Kiwnęła głową i czekała niecierpliwie, kiedy podchodził do zlewu i napełniał pod kranem butelkę. Gdy ją niósł, woda kapiała na podłogę.

- Dzięki. - Wzięła butelkę drżącymi dłońmi i piła chciwie. Guy usiadł obok Helenę na łóżku.

- Złapałaś oddech?

Bez słowa kiwnęła głową i grzbietem dłoni otarła wodę z ust. Guy otworzył szerzej oczy, domyślając się nowiny.

- Co? - Uścisnął ją mocno, a potem cofnął się szybko. - Gdzie? Jak? Mów! Oczy Helenę błyszczały.

- Odpowiedziałam na ogłoszenie. Nie mówiłam ci, bo nie chciałam, żebyś się martwił, gdyby nic z tego nie wyszło. Tak naprawdę to nie miałam nadziei! Ale wreszcie wpadnie nam trochę pieniędzy! Będziemy mogli kupić coś do jedzenia, a nawet zapłacić czynsz!

Zerwała się z łóżka i zaczęła tańczyć po

pokoju. Sukienka wirowała wokół jej kolan.

- Będziemy bogaci! - śpiewała. -
Będziemy bogaci!

Pod nimi ktoś zaczął walić w sufit, uradowana Helenę tańczyła jednak dalej. Wreszcie zmęczona opadła na łóżko. Znowu zabrakło jej tchu.

- No więc? - Guy się zniecierpliwił. -
Zamierzasz tańczyć przez całą noc czy też może powiesz mi, co to za praca i gdzie?

- To doprawdy nic wielkiego. Będę szatniarką! Ale to niedaleko i mogę chodzić tam pieszo. Nawet w deszcz.

Myślę, że pierwszą rzeczą, jaką sobie kupię, będzie parasol. - Jej oczy zabłyśły. - I będę się cieszyć za każdym razem, gdy zacznie padać. Nigdy już nie zmoknę!

- Będiesz szatniarką? - powtórzył cicho Guy.

- Tak. - Pomachała lekceważąco dłonią.

- Och, wiem, że to nic specjalnego. Ale mówili mi, że są dobre napiwki.

- Gdzie to jest? - zapytał nieufnie.

- Na rue de la Tour-d'Auvergne. Powoli pokiwał głową.

- Czy nie jest to przypadkiem Folies de

Babylon? Helenę spojrzała na niego zaskoczona.

- Byłeś tam!

Pokręcił głową z wahaniem.

- Nie, nie byłem. Ale słyszałem wystarczająco dużo. To nie jest przyzwoity lokal. Ma... powiedzmy, złą reputację.

- Nie jest przyzwoity? Reputacja? Co chcesz mi powiedzieć? Że nie powinnam tam pracować, bo to nocny klub? - naskoczyła na niego ze złością.

- Nie dlatego. Ale przychodzą tam mężczyźni, którzy szukają dziewczyn do

towarzystwa. Niezbyt porządnych dziewczyn. Wiesz, o co mi chodzi.

- Tak, wiem - odrzekła znużonym głosem Helenę. - Jestem w Paryżu dostatecznie długo, żeby wiedzieć, że istnieje coś takiego jak prostytutka. No więc co? Nie jestem prostytutką i nie zamierzam nią zostać. Będę zwykłą szatniarką.

Guy wzruszył ramionami.

- Zrobisz, jak zechcesz. Ale nie zostaniesz tam długo. Oni stale zmieniają dziewczęta.

- Więc będę pracowała dwa razy więcej. Trzy razy. Na pewno utrzymam tę pracę. Zdenerwowany Guy wcisnął

ręce w kieszenie i zaczął chodzić po pokoju.

Helenę patrzyła na niego przez chwilę bez słowa. W końcu zapytała:

- Nie chcesz, żebym tam pracowała, tak?

- Nie mogę ci mówić, co masz robić - odrzekł, przystając na chwilę. Helenę złapała go za rękę i ścisnęła z całej siły.

- Potrzebujemy pieniędzy, Guy, nie rozumiesz tego? To jest szansa! Jeszcze dwa tygodnie i musimy zapłacić komorne. - Teraz ona maszerowała tam i z powrotem po poddaszu. - Musimy mieć pieniądze, żeby jeść. - Spojrzała na niego błagalnie. - Proszę, zrozum mnie.

Chcę wreszcie jeść jak inni ludzie.
Jestem zmęczona przeszukiwaniem
śmieci i odganianiem much, żeby zdobyć
resztki, które ktoś wyrzucił!

- To ty nie rozumiesz - odrzekł cicho. -
W Folies de Babylon będzie gorzej.
Tam ty sama staniesz się śmieciem.

- Więc stanę się taka jak te resztki, które
jem! - oświadczyła ze złością. - A znam
już dobrze ich smak. Czy naprawdę
myślisz, że praca w śmietniku jest czymś
gorszym niż wyciąganie resztek z niego?

Guy sięgnął po wiszący na haku płaszcz.

- Idę na spacer. - Spojrzał na nią z
niesmakiem. - Potrzebuję świeżego

powietrza. Patrzyła z zaskoczeniem, jak wychodził. Chciała otworzyć drzwi i go zawołać, ale

zmieniła zdanie. Westchnęła i odwróciła się. To bez sensu. Był zbyt uparty, aby jej posłuchać.

Nagle zauważyła jakąś zmianę w pokoju. Po chwili uświadomiła sobie, że „Hiperboliczne wniebowstąpienie” zniknęło. Widocznie André Lichtenstein zabrał obraz podczas jej nieobecności. Zrozumiała, że zepsuła radość Guy, ciesząc się swoją pożałowania godną pracą. Nic dziwnego, że poczuł się urażony.

Podbiegła do drzwi i otworzyła je

szeroko.

- Guy! - zawołała. - Guy! Proszę, zaczekaj!

Ale było już za późno. W odpowiedzi usłyszała jedynie wściekłe trzaśnięcie wejściowych drzwi, aż zadźwięczały szybki.

- Ty głupcze! - Krzyk pani Guerin rozległ się echem po klatce schodowej. - Chcesz rozwalić dom?

Helena powoli zamknęła drzwi i oparła się o nie ciężko. Żałowała, że nie ma czasu, by usiąść, odprężyć się i zastanowić nad tym, co zaszło. Ale wkrótce musiała zacząć się

przygotowywać. Za niecałe dwie godziny miała być w pracy.

Uśmiechnęła się z goryczą. Świetny początek, nie ma co.

Przyszła na rue de la Tour-d'Auvergne pół godziny przed otwarciem klubu. Noc była ciemna, ale duży czerwony neon nad wejściem jeszcze się nie świecił.

Helenę zawahała się przez chwilę, stojąc w wielkich, szklanych, podwójnych drzwiach. Były pomalowane liliową farbą, żeby klienci nie mogli przez nie zerknąć bez płacenia, ale jej wydawały się złowieszcze. Była tak zdenerwowana, że zęby stukały jej jak kastaniety. Nigdy

wcześniej nie pracowała w wielkim mieście, a w dodatku w nocnym lokalu, i ogarnął ją strach. Może ci tutaj będą na nią patrzyli tak jak madame d'Arbeuf i uznają, że jest prowincjonalną gęsią. Albo jeszcze gorzej... Serce zaczęło jej mocno bić. A jeśli to miejsce okaże się jeszcze gorsze, niż mówił Guy? Już chciała uciec, ale zmusiła się do pozostania. Myśl o pieniądzach, mówiła do siebie surowo. Chyba nie chcesz głodować? Popatrzyła na liliowe drzwi, a potem odetchnęła głęboko, pchnęła je i weszła do środka. Próbowwała ze wszystkich sił być dzielna, ale nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Trzęsła się jak w febrze.

Jasne światła pod sufitem jeszcze się paliły, a w ich blasku wewnątrz wydawało się niegustowne i tandetne. Helenę mimo woli zmarszczyła nos, czując smród zestarzałego tytoniu i rozlanego alkoholu wiszący w powietrzu. Mijając pokój hostess, zatrzymała się i zerknęła do środka. Potem ruszyła między małymi stolikami w kierunku sceny, która zajmowała cały przód wielkiej sali. Idąc, rozglądała się wokoło.

Jej obawy z wolna się rozwiały. Podświadomie oczekiwała jaskini rozpusty, a tymczasem całość wyglądała raczej teatralnie i zabawnie. Ten, kto urządzał to miejsce, nie miał dobrego

smaku, a z kolorów znał tylko połączenie lila z różem. Ściany były liliowe, ozdobione różowymi cekinami, podobnie jak kurtyna zasłaniająca scenę. Po obu stronach stały figury Murzynek w turbanach. Z wyjątkiem twarzy one również były całe w kolorze liliowym z różowymi cekinami.

W sali znajdowało się chyba około stu stolików. Każdy przykryty różową serwetą, z małą lampką z różowym abażurem, wielką różową kartą z czarnym numerem i różowym

telefonem. Helenę od razu się domyśliła, do czego służą te aparaty. Można ich było używać, by dzwonić z jednego stolika do drugiego, wykręcając jego

numer. Miał to być dyskretny sposób zawierania znajomości.

Za różowym barem dwóch znudzonych Algierczyków w średnim wieku polerowało kieliszki. Z przodu siedział na taborecie wielki wykidajło. Spojrzał na nią zezem. Czyścił scyzorykiem paznokcie. Złożył go ostrożnie i kiwnął na nią grubym paluchem. Podeszła i spojrzała pytająco. Jego ciemne oczy błyszczały pod gęstymi czarnymi rzęsami.

- Frontowe drzwi tylko dla klientów - oświadczył kiepskim francuskim. -
- Drzwi dla pracowników w bocznej alei.
- Kiwnął w lewo.

Helena była zakłopotana.

- Przepraszam - wykrztusiła. - Nie powiedziano mi.

- Dobrze, nie zapominaj na przyszłość. Ten klub należy do monsieur Blonda. On nie lubi pomyłek. Szczególnie ze strony pięknych dziewcząt. - Obejrzał ją od stóp do głów. - Tutaj trzeba słuchać monsieur Blonda.

Kiwnęła głową i uśmiechnęła się niewyraźnie.

- Zapamiętam.

- Bardzo dobrze. - Sięgnął do kieszeni po papierosa i patrząc na Helenę,

zaciągnął się dymem.

Pokiwał głową. Wygląda świeżo i zdrowo, nie jak te zniszczone dziwki o ziemistej cerze i wymalowane stare pudła. Tak, jest rzeczywiście piękna. Jeżeli monsieur Blond nie zainteresuje się nią, to może... - Uśmiechnął się do swoich myśli.

- Teraz bądź grzeczną dziewczynką i przejdź przez scenę. Zapytaj o Matkę. Da ci kostium i powie, co masz robić - zwrócił się przyjaźnie do Helenę.

Kostium? - zdziwiła się. Jaki kostium? Nikt jej nic nie mówił o kostiumie. Potem wzruszyła ramionami. Odwróciła się, minęła bar i weszła po stopniach na

scenę. Po omacku dotykała przez chwilę kurtyny, potem znalazła wejście i wślizgnęła się za kulisy.

Panował tam ożywiony ruch. Górne światła świeciły jaśniej niż te w sali. Helenę zobaczyła wysokie, długonogie tancerki w nabijanych cekinami skąpych kostiumach i wielu muskularnych statystów w opiętych strojach lub jedynie w przepaskach na biodrach. Stali znudzeni i palili papierosy. Z bliska ich makijaż był krzykliwy, a skóra pod powłoką

pudru chropowata i pokryta pryszczami. Zaskoczona zauważyła, że tancerki miały pomalowane różem piersi, a płaskie brzuchy chłopców podkolorowano

brązową szminką.

W kącie orkiestra stroiła instrumenty; klarnet zapiszczał głośno.

Helene zdumiała kiczowata świetność tego wszystkiego. Maszyneria unosząca kurtynę była wielka i błyszcząca.

Dziewczyna spojrzała na nią z lękiem. Na szczycie szerokiej złotej piramidy znajdowały się figury stojących dęba koni z kolorowymi pióropuszcami na łbach. Spojrzała wyżej, na sufit. Było tam jeszcze więcej dekoracji zawieszonych wysoko nad sceną i gotowych do opuszczenia w określonym momencie.

Nagle podłoga pod nią zaczęła się

poruszać. Przerazona spojrzała w dół. Zorientowała się, że stoi na obrotowej scenie. Zeskoczyła na nieruchomą część i znalazła się w środku grupy plotkujących dziewcząt. Większość z nich miała na sobie różowe bikini i wielkie turbany z różowymi strusimi piórami. Trzymały sztywno głowy, aby imponujące zawoje się nie zsunęły.

- Nie znoszę tego kostiumu - narzekwała ze złością jedna z dziewcząt. Miała gruby różowy koński ogon przymocowany na pośladkach, a drugi na czubku głowy. - Monsieur Blond jest sadystą, że kazał nam się ubrać tak wcześniej. Bolą mnie stopy i chcę usiąść!

- Parsknęła i zatupała. Ogon podskakiwał

w górę i dół, tak jak u konia. Helenę nie mogła powstrzymać chichotu.

Dziewczyna odwróciła mocno umalowaną twarz i oparła ręce na nagich biodrach.

- Może mi powiesz, z czego się śmiejesz? - zapytała groźnie. Helenę zakryła dłonią usta i cofnęła się szybko.

- N-nie, mademoiselle - wyjąkała zakłopotana. - Excusez-moi, nie śmiałam się z pani. Tylko... szukam Matki.

- Och! - Dziewczyna zmrużyła oczy. - Jesteś tu nowa, co? Helenę kiwnęła głową.

- Jestem nową szatniarką.

- Słuchaj, kochanie, wszystkie jesteśmy szatniarkami. Czyż nie, moje panie? -
Spojrzała na pozostałe i mrugnęła.

Wybuchnęły śmiechem. Helenę czuła, że się rumieni. Jedna z dziewcząt wystąpiła do przodu.

- Nie zwracaj uwagi na Angelique -
powiedziała życzliwie. - Jest wściekła,
bo zaszła w ciążę i musi sama zapłacić
za skrobankę. Chodź, zaprowadzę cię do
Matki. - Wzięła Helenę pod rękę i
popatrzyła groźnie na koleżankę. Potem
ponownie zwróciła się do Helenę: -
Mam na imię Denise.

- A ja Helenę. - Uśmiechnęła się nieśmiało. Poszły dalej przez ciemny wąski korytarz.

- Nie przejmuj się dziewczętami - powiedziała Denise. - Tak naprawdę nie są złe. Tylko lubią udawać takie ostre. A te wszystkie pióra są ciężkie i grzeją, wierz mi. To zdumiewające, że nie kłócimy się częściej. Ach, jest Matka.

Zatrzymały się w drzwiach jednej z garderób. Były otwarte i Helenę mogła zerknąć do środka. Stary, pomarszczony, drobny mężczyzna z krótką brązową grzywką, ubrany w białą falbaniastą koszulę robił makijaż jakiejś statystce.

- Nic nie widzę przez te rzęsy, Matko! -

jęczała dziewczyna. - Są sztywne jak szczotka!

- Nie martw się, chérie. Najwyżej wyklują ci oczy - zagadał piskliwym głosem i coś poprawił. - Gotowe. - Odstąpił do tyłu, by ocenić efekt, i złożył ręce. - Wyglądasz szykownie.

Helenę spojrzała zdumiona na Denise.

- To jest Matka? - wyszeptała z niedowierzaniem, pokazując palcem mężczyznę. Denise przytaknęła.

- Poza tym, że ma ostry język, jest nieszkodliwy. Jeżeli jesteś dziewczyną. Chłopcy go nie lubią, bo ciągle próbuje ich obściskać. Nazywamy go Matką,

bo to pedzio. Właściwie podoba mu się to, bo czuje się jedną z nas.

- Jedną z nas?

- Jasne. Nas, dziewcząt. - Denise uśmiechnęła się. - W każdym razie matkuje nam wszystkim. Jest jak stara kwoka, ale bardzo go kochamy.

Helenę pokręciła głową. Kobiety z końskimi ogonami. Sztuczne rzęsy. Mężczyzna nazywany Matką, który lubi chłopców. To wszystko było bardzo dziwne. Patrzyła, jak statystka pochyliła się nad lustrem i zamrugła oczami.

- Prawdopodobnie oślepnę w ciągu pięciu minut - zawodziła. Matka wziął ją

za ramię i skierował ku drzwiom.

- Zmykaj, chérie. - Nagle spojrzął na Helenę i uderzył się dłonią w czoło. - Chyba zemdleję! - krzyknął. - Skąd się tu wzięła ta zdrowa istota? Mon Dieu! Czy mam zrobić z niej wymalowaną lafiryndę? Och, chyba zaraz zemdleję!

- Jest nową szatniarką - wyjaśniła Denise. Matka uśmiechnął się do Helenę.

- Jak się masz? Hm. Masz uroczą skórkę. Może dam ci kostium mlecarki? - zastanawiał się.

- Kostium... mlecarki? - zapytała zmieszana Helenę, patrząc na Denise.

Jej towarzyszka zmarszczyła groźnie brwi.

- Nie ośmielisz się! To jeden z jego wiejskich kostiumów. Po prostu najbrzydszy, jaki można sobie wyobrazić. Dotąd żadna dziewczyna nie zgodziła się go włożyć. Ma tak głęboko wycięty dekolt, że cycki praktycznie wiszą na wierzchu, do tego lamówki z koronki, a jeszcze ten paskudny wiejski kapelusz a la Maria Antonina. Fe! - wzdrygnęła się z obrzydzeniem.

Matka spojrzał na nią z wściekłością.

- Co rozumiesz przez „fe”? Sam go zaprojektowałem. Prosta góra, siatkowe pończochy i to wszystko. Jest bardzo

seksowny.

- Jest ohydny - warknęła Denise. - Masz kataraktę na oczach? Gdzie twój gust? Nie widzisz, że ona ma klasę? Daj jej coś przyzwoitego, żeby nie wyglądała jak stara szmata. W przeciwnym razie zmówimy się i odetniemy ci jaja.

Wydał z siebie piskliwy krzyk.

- Wstrętne dziewczęta! Nie ośmielicie się!

Była szósta rano, kiedy dziewczęta wreszcie wyszły z klubu. Świtało. Helenę zamrugąła. Po atmosferze zabawy karnawałowej w środku, po wielkiej ciemnej sali pełnej różowych

lampek, po występach tancerzy, smokingach mężczyzn i pięknych sukniach kobiet zdumiewające było znaleźć się nagle na świeżym powietrzu i przekonać się, że jest już dzień.

W alejce czekał na nią Guy. Kiedy go ujrzała, serce zabiło jej mocniej.

- Jak było? - zapytał z uśmiechem.
Poczuła się szczęśliwa.

- Zaczynam myśleć, że nie najgorzej.

Mówiła prawdę. W jakiś dziwny sposób była właściwie zadowolona. Może dlatego, że wreszcie skończyła pracę. A może z powodu dziewcząt? Denise miała rację, nie były złe.

- Dobrze - powiedział. - Chcę usłyszeć o wszystkim.

Helenę poczuła czyjąś dłoń na ramieniu. Odwróciła się. Stała przed nią Denise z bladą, bezbarwną twarzą bez makijażu. Rude włosy miała ukryte pod szalem.

- Do zobaczenia wieczorem - powiedziała. Spojrzała kątem oka na Guy, a potem pochyliła się i przysunęła wargi do ucha Helenę. - Masz przystojnego chłopaka - szepnęła cichutko. - I do tego dżentelmena. Pomyśl tylko, czekał tutaj, żeby odprowadzić cię do domu! Nie wypuszczaj go z rąk i jak najszybciej włóż mu na palec obrączkę! - Potem jej głos zabrzmiał normalnie. Pomachała im ręką. - Bon nuit! -

zaśpiewała.

Helenę roześmiała się i również jej pomachała.

- Bon nuit, Denise. Śpij dobrze. Guy wziął ją pod ramię.

- Wyglądasz na zmęczoną - zauważył, gdy szli do domu.

- Czuję się wykończona! Nigdy w życiu nie pracowałam tak ciężko. Jestem na nogach od dziewiątej wieczorem. Wiesz, co zrobię, kiedy tylko przyjdziemy do domu? Zagrzeję wielki garnek wody i wymoczę nogi.

Pogładził ją po dłoni.

- Nawet o tym nie myśl. Usiądziesz i odpoczniesz, a ja zagrzeję wodę dla ciebie. Przez kilka minut szli w milczeniu. Potem Helenę zatrzymała się i spojrzała na

niego.

- Słuchaj, Guy - powiedziała cicho. -
Przepraszam.

- Za co?

- Za wczorajsze przedpołudnie. Byłam taka przejęta pracą, że nie zauważyłam, iż nie ma obrazu.

Guy beztrósco wzruszył ramionami.

- Spójrzmy na to od innej strony. Obojgu nam udało się coś osiągnąć tego samego dnia. - Umilkł i spojrzał jej w oczy ze skruchą. - Ja także przepraszam za to, jak się

zachowałem. Nie miałem prawa tak mówić. Nigdy nie będziesz szmata, Helenę. - Uśmiechnął się łagodnie. - Czy wciąż wybierasz się do galerii na otwarcie wystawy?

- Możesz na mnie liczyć. Nie zrezygnowałabym z tego za żadne skarby świata. Pokiwał głową zadowolony.

- Oczywiście nie jestem jedynym artystą. Trzeba mieć dwadzieścia lub trzydzieści obrazów, żeby móc wystawić je

samodzielnie. Ale to początek. A pan Lichtenstein uważa, że są spore szanse na sprzedaż obrazu za przyzwoitą cenę. Tak jak ci mówiłem, on kreuje geniuszy. Teraz ty mów. Jak ci poszło?

Helena pogrzebała w kieszeni i wyciągnęła pogniecione banknoty.

- Patrz!

- Dobry Boże! Ile tego jest?

Schowwała pieniądze z powrotem i zaśmiała się z dumą.

- Jeszcze nie liczyłam. Dostałam jedną trzecią napiwków. Tyle samo zatrzymuje klub i Yvette, druga szatniarka. Słuchaj,

może znajdziemy jakąś kawiarnię otwartą o tak nieprzyzwoitej porze i uczymy to śniadaniem?

Zmarszczył brwi.

- Myślisz, że powinniśmy?

- Oczywiście. To tylko pieniądze.

- Mówisz jak prawdziwa milionerka.

Pół godziny później skończyli pić kawę i jeść bułeczki w niewielkiej kafejce otwieranej bardzo wcześnie dla robotników. Helenę odstawiła filizankę na mały stolik. Popatrzyła na Guya i roześmiała się szczerze.

- Doprawdy, Guy! - powiedziała. -
Mówię poważnie. Nie miałam pojęcia!
Obawiałam się... no że będę musiała się
opędzać, wiesz? Przed mężczyznami.
Ale w pewnym momencie zainteresował
się mną starszy, siwy dżentelmen.
Chciał, bym z nim posiedziała i napiła
się szampana. Nie chciałam, ale Yvette
powiedziała mi, że nie mogę odmówić.
No więc podeszłam do jego stolika. Ten
starszy pan był bardzo uprzejmy i
poprosił, żebym usiadła. Potem jeden z
kelnerów - wszyscy są Algierczykami,
wiesz - podszedł i zapytał: „Czy życzy
sobie pani coś do picia,
mademoiselle?”. A ja na to: „Tak,
proszę. Chciałabym szklanek wody
mineralnej”. Za jakieś trzy minuty kelner

wrócił i

powiedział, że monsieur Blond chce mnie widzieć. To szef, wiesz. Cóż, myślałam, iż będzie nalegał, żebym poszła do hotelu czy gdzie indziej z tym starym mężczyzną. Po drodze wymyślałam sobie różne wymówki. Ale kiedy weszłam do biura, dostałam chyba najostrzejszą naganę w życiu!

„Mademoiselle - oświadczył pan Blond - naśladowała jego zimny syczący głos. - Nie wiem, z jakiego cholernego regionu pani pochodzi, ale chcę coś pani wyjaśnić. Czy pani wie, jak tu zarabiamy pieniądze?” Popatrzyłam na niego, pewnie miałam głupi wyraz twarzy. „Pobierając opłatę za wstęp?” -

spytałam zażenowana. „Sprzedając szampana. Za każdym razem, gdy gość chce pani postawić coś do picia, zamawia pani szampana. Czy to jasne?”

Guy śmiał się tak, że aż łzy popłynęły mu z kącików oczu. Było to zaraźliwe i Helenę również roześmiała się histerycznie.

- Wiesz co - powiedział - jeżeli ktoś może zniszczyć ten klub, to tylko ty!

Rozdział 4

Tydzień później, krótko po północy, do Folies de Babylon weszła Jocelyne. Ostrożnie położyła eleganckie futro na blacie w szatni, wzięła plastikowy

numerek i poszła za szefem sali do stolika oznaczonego liczbą dwadzieścia jeden. Była świadoma tego, że wszyscy mężczyźni pożerali ją oczami. Unosił się za nią intensywny, słodki zapach lawendy.

Lawenda. Ta suka wciąż używa lawendy, pomyślała Helenę, chwytając się blatu. Nagle cofnęła się do roku 1944 w okupowanym przez Niemców Paryżu. Znowu znajdowała się wraz z rodzeństwem w luksusowym burdelu prowadzonym przez elegancką filigranową madame Chang.

Przypomniała sobie, gdzie obudziło ją ciche pukanie do drzwi pokoju Gisele. Jocelyne w błękitnym szyfonowym

peniuarze rozmawiała z Gisele gardłowym szeptem.

- „Ale dlaczego SS szuka tych dzieci?” - zapytała Gisele.

- „Są mordercami” - wysyczała Jocelyne. Gisele roześmiała się z niedowierzaniem.

- „Mordercami? Te kochane dzieciaki?”

- „Zabiły wczoraj niemieckiego żołnierza... Jest nagroda za informacje, które pomogą w ich ujęciu... pół miliona franków... Możemy za to kupić trzy, a nawet cztery sukienki”.

Taka była ich cena. Czwooro dzieci

wydanych wrogom w zamian za trzy, a może cztery sukienki. Dla tych dwóch kobiet suknie były cenne, a czyjeś życie nie miało żadnej wartości.

Helenę patrzyła na Jocelyne.

Początkowy szok mijał i poczuła, jak ogarniają zimna śmiertelna nienawiść.

Yvette spojrzała na nią zaskoczona.

- Coś nie tak? - zapytała z obawą w głosie. Helenę ponuro patrzyła przed siebie.

- Wszystko w porządku! - odrzekła ochrypłym głosem.

- Zatem pospiesz się i powieś to futro.

Helena odsunęła się od okrycia Jocelyne, jakby to był wąż.

- Przepraszam! - Yvette spojrzała na Helena, chwyciła futro i poszła je powiesić. Przez całą noc Helena nie odrywała wzroku od Jocelyne. Ta kobieta wyglądała

wspaniale; musiała to przyznać. Kiedy wchodziła do sali, wszyscy ją zauważali. Miała urodę i królewską postawę. Ani razu nie spojrzała na tandetne widowisko na scenie. To ona była gwiazdą w Folies de Babylon.

Nawet ubierała się jak gwiazda; miała czerwoną wieczorową suknię i długie rękawiczki. Nadal była uderzająco

piękna: szczupłe ciało i pełne, okrągłe piersi. Złote kręcone włosy, cienkie złote brwi. Zmieniły się tylko niebieskie oczy - wydawały się teraz dziwnie puste.

Więc Jocelyne nie pracuje już w luksusowym burdelu, pomyślała Helenę z satysfakcją. Stała się zwykłą barową dziwką. Ale zasłużyła na coś gorszego! Ta suka wydała Edmonda, Catherine, Marie i mnie. To Zdrajczyni. Kolaborantka!

Helenę zmrużyła oczy. Jocelyne tak samo jak Niemcy była winna tego, co spotkało Catherine i Marie. To przez nią ich malutką siostrzyczkę przypalano papierosem. Przez nią Catherine i Marie

zginęły gdzieś w obozie.

Tak, a dla Jocelyne los był łaskawy.
Zbyt łaskawy.

Przez godzinę siedziała przy stoliku, sączyła szampana, paliła papierosy i odpowiadała na telefony. Ale w miarę upływu czasu zaczęła tracić opanowanie. Wydawała się czymś zdenerwowana. Helenę zastanawiała się czym. Z pewnością nie brakiem zainteresowania ze strony panów. Telefon dzwonił bez przerwy.

Wreszcie do stolika Jocelyne podszedł wysoki, śniady mężczyzna z brodą. Helenę patrzyła z uwagą. Mężczyzna nie usiadł, zamienił kilka słów z Jocelyne, a

potem dyskretnie sięgnął do kieszeni i wsunął Jocelyne coś do ręki. Kiedy zniknął, rozejrzała się z niepokojem i wstała. Helenę myślała, że tamta wychodzi. Jednak ona skierowała się do toalety.

Helenę wahała się przez chwilę, a potem zwróciła się do Yvette:

- Muszę iść do łazienki. Zastąpisz mnie?
- Jasne. Dobrze się czujesz?
- Chyba zjadłam coś, co mi zaszkodziło
- powiedziała szybko Helenę i zanim koleżanka zdążyła zapytać o coś jeszcze, pospieszyła śladem Jocelyne.

Toaleta była w głębi małego korytarza. Helenę zamknęła za sobą drzwi i przez chwilę stała w jasno oświetlonym pomieszczeniu. Było tu zupełnie cicho. Dźwięki dochodzące ze sceny wydawały się słabe i odległe. Zerknęła na drzwi prowadzące do trzech kabin. Wiedziała, że miały zamki, ale wiedziała również, że wszystkie były zepsute. Monsieur Blond nie życzył sobie, aby jego pracownice marnowały czas w toalecie. Raz przyłapał tam jedną z dziewczyn na picciu alkoholu.

Helenę podeszła do pierwszych drzwi i pchnęła je. Kabina była pusta. Druga również. W końcu pchnęła trzecie drzwi. Z trudem powstrzymała okrzyk.

Jocelyne siedziała z zamkniętymi oczami na sedesie. Zsunęła długą białą rękawiczkę; a z ramienia wystawała igła.

Dziewczyna cichuteńko zamknęła drzwi; oszołomiona Jocelyne nawet jej nie zauważyła. Helenę szybko wyszła z łazienki i przez chwilę stała bez ruchu. Potem zobaczyła telefon na ścianie obok drzwi toalety. Zacisnęła wargi. Przyszedł jej do głowy pewien pomysł, ale potrzebowała drobnych. Pobiegnęła z powrotem.

Yvette popatrzyła na nią podejrzliwie.

- Po co ci drobne? - zapytała.

- Nie bądź taka ciekawa. Muszę zadzwonić.

Yvette niechętnie sięgnęła do pudełka z napiwkami i podała jej monetę.

- Zrób to szybko. Monsieur Blond nie lubi, gdy dziewczęta gadają przez telefon. Helenę obejrzała się; Jocelyne nie wyszła jeszcze z toalety.

- Dzięki za radę - rzekła sucho. Potem zadzwoniła na policję. Podała rysopis Jocelyne, numer stolika, wyjaśniła, gdzie znajduje się toaleta. Kiedy telefonowała, minął ją jeden z porządkowych. Przestała rozmawiać, gdy był obok niej.

Wróciła do pracy i niecierpliwie czekała na żandarmów. W pewnej chwili niespokojnie odwróciła się do Yvette.

- Która godzina?

Yvette westchnęła i spojrzała na zegarek.

- Dwie minuty później niż było ostatnio, kiedy pytałaś - odrzekła zmęczonym głosem i spojrzała na nią podejrzliwie. - O co chodzi? Czekasz na kogoś?

Helena potrząsnęła głową.

-Nie... J

Nagle zamarła. Jocelyne wracała do stolika. Nie była już spięta ani zdenerwowana. Narkotyk zrobił swoje. Jeden z kelnerów podał jej butelkę szampana w wiaderku z lodem i napełnił kieliszek. Uśmiechnęła się, a potem odebrała telefon, rozejrzała po sali i rzuciła komuś wystudiowany uśmiech. Skinęła aprobowująco głową, a chwilę później Helenę zobaczyła niskiego, grubego mężczyznę w wieczorowym garniturze. Podniósł się od swojego stolika i zadowolony podszedł do Jocelyne. Odsunął krzesło, usiadł naprzeciw niej i zapalił papierosa.

Kilka minut później przy drzwiach nastąpiło zamieszanie. Helenę wychyliła

się zza lady. Dwóch umundurowanych żandarmów odpychało Algierczyków. Rozejrzeli się i podeszli do stolika Jocelyne, która sprawiała wrażenie zaskoczonej. Niski grubas skoczył na równe nogi i mówił coś nerwowo, żywo gestykułując. Jeden z żandarmów chwycił torebkę Jocelyne i wysypał jej zawartość na stół. Kobieta krzyknęła. Zsunął rękawiczkę z jej ramienia. Stała bez ruchu, ramiona jej drżały, kręcone włosy opadły na twarz. Wszelkie rozmowy ustały. Monsieur Blond i jeden z jego goryli pośpiesznie szli do stolika. Ciemny garnitur i przeciwsłoneczne okulary właściciela kontrastowały z jego jasnymi włosami.

Odciągnął jednego z żandarmów na bok i próbował coś tłumaczyć. Orkiestra na scenie nie przestawała grać, a dziewczęta z rewii robiły, co mogły, by zainteresować gości swoim występem. Nikt na nie nie patrzył. Klienci wołali o rachunki, a prostytutki szukały torebek, zbierając się do wyjścia.

- Co się dzieje? - spytała zaciekawiona Yvette. Odsunęła Helenę, żeby mieć lepszy widok.

- Wyprowadzają kogoś - odrzekła cicho Helenę. Yvette spojrzała na nią oskarżycielsko.

- To ty, prawda? Ty wezwałaś policję! Po to szukałaś drobnych. Dlatego byłaś

taka zdenerwowana!

Helenę spuściła wzrok.

- Ty idiotko! - wysyczała Yvette. - Nie wiedziałaś, że to miejsce balansuje na granicy prawa! Chcesz, żeby zamknęli klub? Chcesz, żebyśmy wszystkie straciły pracę?

Helenę potrząsnęła głową.

- Przepraszam - szepnęła. - Nie pomyślałam o tym.

- Nie pomyślałaś! Do diabła, to o czym myślałaś? Jeżeli dziewczyny się dowiedzą, wy drapią ci oczy!

- Nie powiesz im, prawda? Yvette uśmiechnęła się złośliwie.

- Nie tym razem. Jocelyne to najohydniejsza suka, jaką znam.

Jocelyne została wyprowadzona, a atmosfera w klubie powoli się uspokajała. Monsieur Blond rozmawiał ze wszystkimi wychodzącymi klientami i większość z nich zdecydowała się zostać. Potem Helenę zauważyła, że podszedł do niego algierski bramkarz i coś mu szeptał. Ten sam, który widział, jak telefonowała. Szef kiwnął głową i wrócił do biura. Algierczyk podszedł do Helenę.

- Monsieur Blond chce cię widzieć -

oświadczył ponuro. - Natychmiast.
Yvette spojrzała na nią zmartwiona.
Helenę uśmiechnęła się słabo i ruszyła
za

bramkarzem.

Gabinet właściciela znajdował się w
tym samym korytarzu co toalety. Kiedy
Helenę weszła, szef siedział za
biurkiem. Teraz też nosił okulary
przeciwśłoneczne. Nigdy nie widziała
go bez nich.

Spojrzał na nią obojętnie i wskazał na
bramkarza.

- Houari powiedział mi, że korzystałaś z
telefonu w holu. - Jego głos był ostry i

zimny.

Helenę wzięła głęboki oddech. Nie było sensu zaprzeczać. Wielu ludzi mogło ją zauważyć.

- Tak - odrzekła cicho. -I wezwałaś policję? Przytaknęła.

Monsieur Blond strzelił palcami.

- Możesz mi powiedzieć dlaczego?

Helenę spuściła wzrok na kosztowny dywan. Jej oczy śledziły intrygujący wzór. Wreszcie potrząsnęła głową.

- To osobista sprawa - odpowiedziała cicho.

- Jesteś bardzo tajemnicza, mademoiselle. Wygląda na to, że chcesz nas zrujnować.

- Nie chciałam narobić kłopotów - odrzekła pospiesznie. Potem przygryzła wargi. Czuła się głupio. Co mogła powiedzieć? Że wezwanie policji było prywatną wendetą? Że nie pomyślała o następstwach dla klubu?

- Obawiam się, że nie mam wyboru, mademoiselle - oznajmił sucho monsieur Blond. - Od tej chwili już tu nie pracujesz.

Helenę podniosła wzrok na imponujący kamienny budynek przy Faubourg St. Honoré. Był to przykład najlepszej

paryskiej architektury osiemnastowiecznego neokla-sycyzmu. Miał fasadę z kolumnami i spadziste dachy. Wyglądał raczej na pałac niż na budynek o przeznaczeniu handlowym. Galeria André Lichtensteina zajmowała większość parteru.

- Wygląda dość surowo - zauważyła nerwowo. Guy roześmiał się.

- Nie pozwól, by cokolwiek cię onieśmielało.

- Czuję się tu niezręcznie. Nie jestem gotowa na spotkanie ze śmietanką towarzyską.

- A kto mówi, że oni są gotowi na

spotkanie z tobą? No już, wchodzimy. -
Wziął ją pod ramię i poprowadził do
dużych oszklonych drzwi, które
przytrzymał dla nich odzwierny.

Galeria była pełna ludzi. Większość
gości miała oryginalne, pełne fantazji
stroje, po których można było odróżnić
artystów od kupujących. Ci pierwsi byli
biedniej ubrani i nieuczesani. Helenę od
razu zauważyła „Hiperboliczne
wniebowstąpienie”. Wisiało wysoko, na
honorowym miejscu, na czarnej ścianie
w głównej sali, naprzeciwko schodów
wiodących na półpiętro, tak że można
było podziwiać obraz z dwóch
poziomów.

Pojawił się kelner z tacą pełną

kieliszków i Guy podał jeden Helenę.

- Za „Hiperboliczne wniebowstąpienie”.

- Uśmiechnęła się i stuknęła z nim kieliszkiem.

- Amen.

André Lichtenstein, mężczyzna w doskonale skrojonym wieczorowym garniturze, torował sobie drogę do nich przez tłum. Wysoki, dystyngowany, wyglądał bardziej na menedżera niż marszanda. Widać handel dziełami sztuki przynosi wielkie pieniądze, pomyślała Helenę. Właściciel galerii miał ciemne, posiwiałe na skroniach włosy i nosił okulary w złotych oprawkach.

- Jak się miewa nasz geniusz? - zapytał gładkim głosem. Guy uśmiechnął się nerwowo.

- Chyba dobrze.

Lichtenstein odwrócił się do Helenę.

- Mademoiselle Junot - przedstawił ją Guy. - Helenę, poznaj monsieur Lichtensteina.

Uśmiechnęła się, przełożyła kieliszek do lewej ręki i wyciągnęła prawą.

Zdumiała się, kiedy marszand uniósł jej dłoń do ust i pocałował. Ledwie poczuła muśnięcie jego warg. Potem wyprostował się i uśmiechnął.

- Jest pani bardzo piękna, mademoiselle
- powiedział i zwrócił się do Guy. -
Chcę, żebyś poznał pewne małżeństwo,
które wyraziło chęć kupienia twojego
płótna.

Guy otworzył usta ze zdumienia.

- Tak szybko? Poważnie?

Lichtenstein kiwnął głową.

- Poważnie - odrzekł z kamienną twarzą.

Helene spojrzała na przyjaciela. W jej
oczach błyszczał entuzjazm.

„Słyszałeś?” -pytała go bez słów.

Lichtenstein odwrócił się na chwilę i

rozejrzał po sali, szukając kogoś.

- Są prawdopodobnie na górze - powiedział. Wziął Helenę pod ramię i poprowadził na środek sali, gdzie wznosiły się kręcone schody prowadzące na półpiętro.

Roztaczał się stamtąd wspaniały widok na główną salę. „Hiperboliczne wniebowstąpienie” zdawało się eksplodować w powietrzu, barwne fragmenty Madonny zawieszono były w zamrożonej próżni.

André Lichtenstein podszedł do małżeństwa w średnim wieku.

- Madame Vanel, chciałbym państwu

przedstawić artystę, który namalował „Hiperboliczne wniebowstąpienie”, Guy Barbeau - powiedział z lekkim ukłonem.

Państwo Vanelowie należeli do dwudziestowiecznej klasy nuworyszy. Monsieur Vanel zbił fortunę dość przypadkowo, wypiekając chleb i ciasta. Był niski i pulchny, miał rumianą cerę i szpakowate włosy. Wciąż zdumiewało go nagłe bogactwo i chociaż stał się milionerem, wyglądał nadal tak, jakby całe dni spędzał przy piecu. Madame Vanel różniła się od niego krańcowo. Korzystała bez umiaru z pieniędzy męża. Była szczupła, miała brązowe, starannie ułożone włosy. A także zbyt wiele biżuterii i ostry makijaż. Zarówno jej

ubiór, jak i głos były krzykliwe.

Guy uśmiechnął się do niej nerwowo.

- Miło mi panią poznać - rzekł oficjalnie.

Madame Vanel wyciągnęła rękę.

Pochylił się i z zażenowaniem ucałował jej dłoń. Lichtenstein uśmiechnął się do pana Vanela.

- Monsieur Barbeau z radością odpowie na pytania, jakie mogą państwo mieć odnośnie do obrazu. Proszę z nim podyskutować. Kiedy państwo podejmą decyzję, proszę mnie zawiadomić.

Monsieur Vanel obojętnie kiwnął głową

i sięgnął po kieliszek szampana. Jego żona odciągnęła Guy na bok. Ta kobieta nie miała pojęcia o surrealizmie, ale wiedziała, że w najbogatszych domach wieszają na ścianach obrazy, których nikt nie rozumie.

Świadczyło to o poziomie kultury, a madame Vanel chciała być uważana za kulturalną. Miała zamiar nabyć jeden z tych śmiesznych zagadkowych obrazów. I porozmawiać z prawdziwym artystą, o którym André Lichtenstein mówił, że jest wschodzącą gwiazdą.

- Niech go pani kupi teraz, kiedy jest tańszy - powiedział jej konfidencyjnie marszand. - Za kilka lat jego cena wzrośnie stukrotnie.

Lichtenstein uśmiechnął się do Helenę.

- Pozwólmy im chwilę pogadać - rzekł. -
Obraz jest już prawie sprzedany.
Zatrzymali się znowu, bo chciał
porozmawiać z jakimś potencjalnym
nabywcą. Aby

nie podsłuchiwać, Helenę rozejrzała się
po sali i nagle serce skoczyło jej do
gardła. Zobaczyła starszą kobietę, która
wiodła prym w otaczającej ją grupie.
Widywała jej zdjęcia w magazynach
mody, była jedną z jej wielbicielek.
Żywa legenda - Odile Joly, najbardziej
zaskakująca projektantka mody
dwudziestego wieku. Helenę nie mogła
oderwać od niej wzroku.

Odile Joly była tak drobna, że wyglądała jak mała dziewczynka. Skończyła już siedemdziesiąt lat i wydawała się chuda jak zagłodzony ptak. Miała cienką, żyłastą szyję, w której odznaczały się struny głosowe sterczące jak naciągnięte kable. Nosiła grube okulary w szylkretowych oprawkach, a spod podobnego do miski kapelusza wyglądały obcięte na pazia czarne włosy. Miała na sobie własnego projektu kostium w bladoperłowym kolorze. Tkanina mieniła się lekko złotem. Krążyły plotki, że to jej jedyny kostium. Kiedy się śmiała, pokazywała wszystkie zęby, a rysy jej twarzy były niezwykle wyraziste. Bez przerwy mocno gestykulowała; jej ręce poruszały

się jak skrzydła uczącego się latać ptaka. Z jakiegoś powodu - może ze zdenerwowania - gniotła w palcach brzeg marynarki. Paliła papierosa za papierosem, a jej wielkie brązowe oczy bez przerwy przesuwały się po zgromadzonych na wystawie. Chociaż niewielu ludzi mogło dokładnie zrozumieć, co mówiła, wszyscy z uwagą słuchali jej ostrego, zgrzytliwego głosu.

Nagle Odile Joly dostrzegła Helenę. Jej oczy błysnęły spoza okularów - studiując, analizując i oceniając jednym spojrzeniem wygląd dziewczyny. Potem słynna projektantka zaczęła powoli iść do przodu. Otaczająca ją grupa rozstała się z szacunkiem.

Serce Helenę zaczęło bić szaleńczym rytmem. Czy to możliwe? Czy Odile Joly zbliżała się właśnie do niej?

- Zawsze ubieraj się na biało, chérie - rozkazała Odile Joly władcym tonem, wymachując energicznie w powietrzu ręką, w której trzymała papierosa. - Nigdy, nigdy nie noś granatu takiego jak ten teraz. - Zmarszczyła brwi z dezaprobatą. - Nie, nawet nie biel. Biel jest zbyt ostra. Zbyt błyszcząca. Oślepia. Noś kolor szampana. Tak, to jest to. Szampan! - Jak gdyby smakowała to słowo językiem.

Helenę bała się oddychać. Rzuciła szybkie spojrzenie na bok. Znajomi projektantki stali za nią, słuchając

werdyktu wielkiej Odile i kiwając aprobowująco głowami. Wreszcie odważyła się przemówić.

- Ja... będę od tej pory nosić kolor szampana - wyjąkała. Odile Joly wykonała ptasi ruch głową.

- Dobrze. Szampan przede wszystkim, ale także wszystkie blade odcienie. Ale nic pastelowego i sorbetowego. Są bezbarwne. Dla tchórzy. Ludzi, którzy chcą wyglądać „bezpiecznie”, a wyglądają jak mdłe rożki lodów. - Jej oczy przesunęły się po Helenę. - Masz wspaniałą figurę. Figurę modelki. Twoje proporcje są fantastyczne. Powiedz, chérie, jesteś modelką?

- N-nie - wyjąkała Helenę. Czuła, że się poci.

- Cóż zatem robisz?

- Obecnie nic.

Wielkie brązowe oczy spojrzały na nią przenikliwie.

- Powinnaś być modelką. Jeżeli cię to interesuje, przyjdź do mojego atelier. Maison d'Odile Joly.

Helenę bez słowa kiwnęła głową. Zdarzyło się to, o czym nie ośmieliłaby się nawet marzyć. Słyszała, że należy znaleźć się w odpowiednim czasie w odpowiednim miejscu, ale czy mogła

przewidzieć, że to będzie tutaj? I pomyśleć, że wcale nie miała ochoty tu przyjść. Nie po tym, jak straciła posadę, przepracowawszy zaledwie tydzień. Przyszła tylko ze względu na Guy. I co się wydarzyło? Spotkała wielką Odile, która zaproponowała jej pracę modelki! Bez rozmowy kwalifikacyjnej, nie pytając Helenę o doświadczenie. To zbyt piękne, by mogło być prawdą.

- Dziękuję - powiedziała do Odile drżącym głosem. - Ja... będę w atelier w poniedziałek.

Chociaż kłębiący się wokół niej tłum trajkotał niczym tysiąc srok, zupełnie go nie słyszała. Potrzebowała czasu, by zrozumieć swoje niewiarygodne

szczęście. Spotkała sławną Odile Joly. Największa dyktatorka mody w świecie - i najpotężniejsza - zaproponowała jej posadę. Czy to możliwe, pytała się w myślach raz po raz. Czy to się dzieje naprawdę? To coś, o czym nawet nie śmiała marzyć. Przybyła do Paryża, pełna naiwnych złudzeń, które rozwiały się jedno po drugim. Teraz, nagle, nie tylko znalazła się pośród ludzi sukcesu, bogaczy, których nigdy nie spodziewała się poznać, ale, co więcej, spotkała osobę, którą uwielbiała od lat.

Stała samotnie w kącie od ponad pięciu minut, kiedy podszedł do niej wysoki, atrakcyjny mężczyzna. Uśmiechnął się i podał Helenę kieliszek szampana.

- Czy nie przeszkadzam? - zapytał grzecznie. Ale jego francuski, co natychmiast zauważyła, miał ciężki akcent charakterystyczny dla Anglika z wyższych sfer.

- Nie, oczywiście, że mi pan nie przeszkadza - zapewniła go szybko. Uśmiechnął się.

- Co by pani powiedziała na to, żebyśmy obeszlą salę i rzucili okiem na wystawione tu dzieła? Nikt tego nie robi.

I tak nie zobaczymy nic oprócz tłumu, pomyślała, ale zgodziła się grzecznie.

- Bardzo chętnie.

Anglik wziął ją delikatnie pod ramię i zaczął oprowadzać po galerii, wskazując różne obrazy i rzeźby. Onieśmielona Helenę szła jak we śnie.

Kiedy stali przed białą rzeźbą Brancusiego, która nie miała twarzy, rzuciła okiem na swojego towarzysza. Przyglądał jej się z rozbawieniem.

Szybko odwróciła wzrok. Zachowujesz się jak uczennica, skarciła się w myślach.

- Nie wiem, jak się pani nazywa - zauważył. Spojrzała na niego ponownie i przełknęła ślinę.

- Mademoiselle Junot. Ukłonił się lekko.

- Ja jestem Nigel.

- Miło mi pana poznać, monsieur Nigel - odrzekła poważnie Helena. Odchylił głowę do tyłu i roześmiał się.

- Czy... Czy powiedziałam coś niewłaściwego? - spytała zaskoczona.

- Nie, nie. Wcale nie. Tylko że Nigel to moje imię. A nazywam się Somerset. Możesz do mnie mówić Nigel.

Serce zaczęło jej bić mocniej. Poczwała, że ten mężczyzna niesamowicie ją pociąga. Co się dzieje? - pomyślała. Najpierw Odile Joly, a teraz ten intrygujący człowiek.

- Nigel... - powtórzyła powoli, jakby do siebie. - To piękne imię. Ja... jestem Helenę.

- To również piękne imię. I pełne majestatu. Spojrzała na niego szybko, by sprawdzić, czy nie żartuje, i uznała, że nie.

- Mam nadzieję, że nie uznasz tego za niewłaściwe - zaczął - ale ciekaw jestem, czy nie zechciałabyś...

Nagle od wysokich ścian galerii odbił się głośny krzyk. Wszyscy ucichli.

- O mój Boże, nie! - Helenę usłyszała mamroczącego do siebie André Lichtensteina, który przepychał się przez

tłum elegancko ubranych ludzi.

- Do diabła! - wrzeszczał głos na półpiętrze. - Zielony! Zwariowałaś? Kto słyszał, żeby dopasowywać barwy obrazu do koloru sofy w salonie!

Helena zbladła. Był to Guy. Co się stało? - pomyślała. Na kogo tak krzyczał?

- Przepraszam - rzuciła szybko do Nigela.

Podawała mu swój kieliszek i ruszyła za Lichtensteinem. Znaleźli Guya na półpiętrze. Miał czerwoną twarz; skronie mu pulsowały. Przerazona madame Vanel schowała się za mężem.

- On zwariował! - wykrztusiła drżącym ze strachu głosem. - Zwariował! Guy zwrócił się do tłumu gości.

- Ta... ta kobieta - wskazał drżącym palcem na madame Vanel - chce, żebym zmienił kolory obrazu. Mojego obrazu! - Okręcił się i wskazał „Hiperboliczne wniebowstąpienie”. - Chce, żebym sprostyutował swój talent jak tania dziwka.

Lichtenstein chwycił go za ramię, ale Guy wyrwał się ze złością. Helenę podeszła do przyjaciela.

- Chodź, Guy - powiedziała cicho. - Myślę, że czas, abyśmy poszli do domu.

Zaśmiał się ironicznie.

- Do domu? Do jakiego domu? Do tej gównianej szcurzej nory? Gdzie? Nikt nie przejmuje się tym, jak żyją artyści. Ci ludzie pieprzą wszystko z wyjątkiem własnych sof i rachunków w banku.

Potrząsnęła nim gwałtownie.

- Guy, chodź - wyszeptała zrozpaczona.

Roześmiał się znowu i odepchnął jej rękę. W oczach miał szaleństwo.

- Nie bez obrazu! Jest za dobry dla tych... dla tych... - zabrakło mu słów i wyrzucił pięści w górę. Cały drżał. Nagle ruszył w kierunku schodów.

Ludzie cofnęli się przerażeni. Guy zbiegał na dół po dwa stopnie naraz. Teraz wszyscy ci, którzy stali na półpiętrze, skupili się, by zobaczyć, co będzie się działo na dole. Helenę oparła się o stalową poręcz. Guy przepchnął się przez tłum i stanął przed obrazem. Zaczął krzyczeć jak szalony, wpatrując się w swoje dzieło.

- Jesteś za dobry dla tego świata! Za dobry! Słyszysz? Obraz nie odpowiadał. Twarz Lichtensteina była niczym kamienna maska.

- Jesteś skończony! - wysyczał marszand. - Dopilnuję, by zamknięto przed tym wariatem wszystkie galerie w mieście!

Helene zamknęła oczy. Dlaczego Guy to robi? - pomyślała. Wszystko układało się tak dobrze. Obraz był prawie sprzedany! Dlaczego nie wytłumaczył po cichu madame Vanel, że nie może spełnić jej prośby? Dlaczego wywołał taki skandal? Dlaczego? Dlaczego?

Nagle tłum jęknął. Helene otworzyła oczy. Guy podskakiwał, by dosięgnąć obrazu. Za pierwszym razem mu się nie udało, ale potem chwycił ręką za dolną ramę i zawisł w powietrzu z nogami nad ziemią. Przez chwilę „Hiperboliczne wniebowstąpienie” kołysało się na boki. Wreszcie jeden z drutów, na których powieszono płótno, zerwał się, Guy

stracił równowagę i upadł na dywan. Lewy róg ramy ominął go i runął na podłogę, a wielkie płótno zadrżało od impetu uderzenia. Przez chwilę Guy był jak ogłuszony. Potem zerwał się na nogi, złapał stojącą w pobliżu ławkę i zaatakował nią obraz. Kiedy pokazały się dziury, odrzucił ławkę i własnymi rękoma dokończył dzieła zniszczenia.

Te same palce, które stworzyły „Hiperboliczne wniebowstąpienie”, podarły je teraz na strzępy.

Rozdział 5

Helenę otarła dłonią pot z czoła. Włożyła pędzel do puszkki, wytarła ręce w ścierkę i rozejrzała się dookoła. Była

zadowolona. To zdumiewające, czego może dokonać puszka farby, pomyślała. Brudnobiały pokój został całkowicie przeobrażony. Krwistoczerwona farba zakryła nierówności ścian i pęknięcia tynku. Druga warstwa była już prawie sucha.

Trzyczęściowy parawan kupiony na pchlim targu również pomalowała na czerwono. Ustawiała go tak, aby zasłaniał zlew i piecyk. Materiał, który wyszukała w sklepie na prawym brzegu, dopełni przemiany. Tania czerwona tkanina miała granatowosrebrny połysk. Z jednego kawałka Helenę zrobiła serwetkę na kuchenny stół. Prostokątne szkło, które również tam wypatrzyła,

miało chronić blat. Teraz kiedy nareszcie zarobiła trochę pieniędzy, zdecydowała się kupić kilka drobiazgów. Lampę z abażurem i popękany stary krajobraz w złotych ramach znalazła na pchlim targu. To nie Rembrandt, pomyślała, ale jest całkiem ładny. Szczytem luksusu miały być czerwone firanki. Uszyła też narzutę na łóżko i poszewki na poduszki - granatowe i czerwone. Sprytnie zawiesiła w odległym kącie pokoju długą zasłonę. Powbijała w ścianę wieszaki i w ten sposób zyskała praktyczną szafę. Przynajmniej ubrania nie wisiały na wierzchu.

Spojrzała na podłogę i skrzywiła się z

niesmakiem. Pomiędzy rozpostartymi gazetami prześwitywały łaty żółtego linoleum. W następnej kolejności trzeba je czymś zakryć, postanowiła. Może znajdzie się gdzieś kawałek taniego czerwonego linoleum. Po zapastowaniu będzie wyglądało całkiem ładnie.

Usiadła na łóżku. Teraz, kiedy skończyła, pokój wydawał się strasznie cichy i pusty. Odkąd Guy odszedł, tęskniła za ich rozmowami, jego uśmiechem i poszukiwaniem natchnienia. Po wystawie wypadł z galerii i poszedł pić. W niedzielę rano wrócił zawstydzony i zaczął się pakować.

- Dokąd idziesz? - zapytała.

Uśmiechnął się posępnie.

- Wracam do domu.

- Chyba nie do Strasburga?! Zwrócił na nią smutne niebieskie oczy.

- Tak, z powrotem do Strasburga.

- Ale, Guy! - protestowała. - Masz olbrzymi talent! - W jej głosie zabrzmiał żal. - Nie możesz go zmarnować.

Potrząsnął głową.

- Nie potrafię już malować - wyznał cicho. - Nie, kiedy moje obrazy mają kupować tacy ludzie jak Vanelowie.

Helenę westchnęła i wstała. Zniosła puszkę i pędzel do zlewu i starannie opłukała. Potem pozbierała z podłogi gazety, posprzątała mieszkanie i przygotowała sobie sałatkę na obiad. Teraz, kiedy została modelką, musiała dbać o linię. Po umyciu naczyń usiadła przy stole, by napisać listy. W zamyśleniu gryzła gumkę na czubku ołówka. Zaczęła pisać:

Paryż, 30.07.1953

Kochani Jeanne i Edmondzie!

Wiem, że długo nie pisałam, i czuję się z tego powodu winna. Uwierzcie mi, naprawdę byłam bardzo zajęta i nie mogłam znaleźć ani chwili.

Jestem teraz modelką. Nie w czasopiśmie, tylko w prawdziwym domu mody, w Maison d'Odile Joly. Brzmi to wspaniale. Ale na razie jestem czymś w rodzaju manekina dla Odile Joly.

Projektuje ona swoje ubiory w bardzo dziwaczny sposób. Używa żywych modelek zamiast manekinów i razem z innymi dziewczętami muszę stać nieruchomo całe godziny, mając na sobie sterty materiałów, podczas gdy Odile Joly wycina formy i przypina je do nas.

W przyszłym tygodniu nastąpi wielkie wydarzenie - pokaz zimowy - i zostaną przeniesiona z grupy manekinów do modelek prezentujących stroje. To

ekscytujące. Przyjadą wszyscy ważni klienci, prasa i fotoreporterzy z całego świata. Będę w gazetach i czasopiśmie! Jeżeli uda mi się znaleźć zdjęcia, wytnę je i wyślę Wam.

Mam nadzieję, że u Was wszystko w porządku. Nie mogę się doczekać Waszego przyjazdu do Paryża. Tu jest cudownie i wiem, że go pokochacie.

Całuję i ściskam, Wasza dzielna mała Francuzeczka w Paryżu

Przeczytała list, złożyła go, wsunęła do koperty pocałowała przed zaklejeniem. Potem zaczęła pisać następny:

Paryż, 30.07.1953

Droga pani Dupré!

Wiem, że to dopiero mój drugi list, ale byłam bardzo zajęta i chwyciłam się różnych dziwnych prac. Wreszcie znalazłam odpowiednie zajęcie.

Uwielbiam to, co robię -jestem modelką w Maison d'Odile Joly. Naprawdę! Muszę Pani opowiedzieć, jak to wszystko wygląda.

Przede wszystkim wszyscy nazywają ją Odile Joly - nigdy Odile lub madame Joly. Odróżnia ją to od innych; na przykład Jacques Feth to zawsze „Jacques”, Chanel - „Cha-nel”, Dior - „Christian”, a madame Gres - „Madame Gres”. Zaczynam już się orientować w różnych drobiazgach.

Odile (będę tak ją teraz nazywać i marny mój los, jeżeli to kiedyś odkryje) jest bardzo drobna i szczupła. Jak Pani wie, znana jest głównie z kostiumów, ale projektuje też sukienki, kreacje balowe i płaszcze. Wie też pani prawdopodobnie, że zawsze nosi zabawne małe (albo wielkie) kapelusze i mieszka w apartamencie na Plaza Athénée. Ale czy Pani wiedziała, że jest nałogową palaczką? Atelier na Faubourg St. Honoré mieści się w jednym z tych wielkich gmachów, z których słynie Paryż. Odile jest właścicielką całego budynku i również drugiego, mniejszego, znajdującego się obok. Jedna z modelek powiedziała mi, że u Odile pracuje

tysiąc dziewcząt. W zeszłym roku firma sprzedała ponad trzydzieści tysięcy sztuk odzieży - a wiadomo, jakie drogie są te ubrania! Biedna rodzina w Saint-Nazaire mogłaby żyć za taki kostium cały rok. Ale tu nie jest Saint-Nazaire. To Paryż.

Spędzam większość czasu w pracowni. Jest to właściwie sala pokazów. Odile tworzy swoje stroje w wielu pokojach i pracuje nad tuzinem różnych projektów naraz. Zwykle jednak pracuje w olbrzymim pomieszczeniu wyłożonym szarym linoleum. Ma swoją metodę. Układa na mnie całe metry płótna czy wełny, czy czegoś tam innego, i odchodzi w tył, przycina coś tu i tam

nożycami - ciach, ciach; ma pełne usta szpilek i dosłownie używa swojego swetra i spódnicy jako poduszeczek na szpilki, więc ciągle się

kłuje, a potem przesuwa się po podłodze na kolanach, by obejrzeć ze wszystkich stron swoje dzieło. W ten sposób powstają oryginalne projekty. Firma szyje także gotową odzież na eksport (głównie do Ameryki). Wyobraża sobie Pani, że ponad pięćset szwaczek kopiuje ubrania Odile dzień i noc przez cały czas?

W zeszłym tygodniu po raz pierwszy weszłam do salonu wystawowego. To dlatego, że mam awansować. Na razie ciągle jestem ulubionym manekinem

Odile, ale będę modelką na zimowym pokazie. Czy to nie cudownie?

Obiecałam Jeanne i Edmondowi zdjęcia z gazet, wyślę je także Pani.

Zaprezentuję najwspanialszy kostium z wełny w kolorze szampana, ślicznie wykończony futrem.

Kiedy przyjedzie Pani do Paryża, zorganizuję dla Pani wstęp na jeden z pokazów. Sala składa się właściwie z pięciu mniejszych, połączonych sceną dla modelek. Wszystkie pomieszczenia są pięknie ozdobione i przypominają zamek Hauteclouque. Wszędzie leżą dywany, a w największym pokoju znajdują się schody prowadzące do

pracowni Odile. Przyjmowani są tam superważni klienci. Ściany pokrywa biała boazeria, a kryształowe kandelabry rzucają długie cienie na ściany.

Na razie to wszystkie nowiny. Napiszę natychmiast, gdy coś się wydarzy.

Z poważaniem, Helenę

Znowu przeczytała uważnie list, zastanawiając się, czy jest coś, co powinna dodać w postscriptum. Przez chwilę pomyślała o intrygującym Angliku, którego spotkała w galerii, ale zdecydowała, że lepiej o nim nie wspominać. Od tamtej pory dużo myślała o Nigelu i żałowała, że pobięła

za Guy, ale nic nie mogła już zrobić. Najlepiej byłoby zapomnieć o tym mężczyźnie, bo nie miała najmniejszej nadziei na powtórne spotkanie.

Westchnęła, zaadresowała i zakleiła kopertę. Odetchnęła z ulgą, bo po raz pierwszy napisała prawdę.

W pozbawionej wentylacji garderobie za ciężką aksamitną kurtyną było jak w piecu. Paryż smażył się w upale od prawie dwóch tygodni. Wszyscy czekali na chłodny deszcz, ale nikt nie marzył o nim tak bardzo jak modelki Odile Joly. Zimowe stroje były grube i ciężkie.

Helena nerwowo obejrzała swoje odbicie w trzyczęściowym lustrze. Jedną z garderobianych źle zapięła jej bluzkę z

tyłu. Otyła kobieta w średnim wieku cofnęła się, zmarszczyła brwi, zbliżyła się ponownie i zaczęła coś poprawiać przy kołnierzyku. W ostatnim momencie Helenę miała włożyć ciepły tweedowy żakiet. W całym pokoju garderobiane pomagały modelkom się ubrać. Wzdłuż ścian znajdowały się metalowe wieszaki. Na nich wisiała zimowa kolekcja 1953-1954.

Tym razem Odile nie została z dziewczętami w atelier. To był moment jej chwały. Stała na szczycie słynnych kręconych schodów w głównej sali; z tego miejsca widziała wszystko. Mogła mieć na oku modelki, najważniejszych klientów i najbardziej wpływowych

dziennikarzy. Ale najlepiej widziała śmietankę towarzyską. Wszyscy uprzywilejowani mieli honorowe miejsca - poniżej niej, na stopniach wyłożonych dywanem schodów.

Odile Joly była odprężona i spokojna. Zakończyła swoją pracę, kolekcja została skompletowana. Wiedziała, że jest dobra. Na moment przymknęła oczy. Czowała iskierki podniecenia unoszące się w powietrzu niczym drobinki elektryczności. Takie samo podniecenie panowało w teatrze przed podniesieniem kurtyny. Ale ona tego nie odczuwała. Dla niej podniecający był sam proces tworzenia. Krojenie. Szycie. Odkrywanie nowego stylu,

zaprojektowanie nowej kieszeni,
nowego guzika.

Spojrzała w dół na wybieg dla modelek. Miał on kształt litery X. W centrum była środkowa sala, a każde ramię litery prowadziło do jednego z czterech pozostałych pomieszczeń. Jednak liczyli się tylko goście w głównej sali. W pozostałych siedzieli zwyczajni widzowie. Turyści, którym właściciele hoteli zorganizowali wstęp na pokaz. Mierni dziennikarze. Gapie, którzy nigdy niczego nie kupią.

Wielkie ciemne oczy Odile rejestrowały wszystko, co działo się wokół niej. Wysokie okna były otwarte, by wpuścić wiatr, którego wcale się nie czuło. Sale

pokazu zapełniały się z wolna.

Honorowi goście zajmowali miejsca na schodach. Znaleźli się wśród nich dwaj książęta. Starszy, Alfonse, był właściwie nędzarzem. Odile Joly wiedziała, że walczył z Niemcami podczas wojny, próbując ocalić skarby francuskiej kultury, i kochała go za to. Zawsze upewniała się, czy książę i księżna otrzymali najlepsze miejsca. I nalegała, by księżna ubierała się u niej za darmo.

Przyszły też dwie inne księżne. Jedna, starsza, ze sztywno ułożoną fryzurą, była rozwódką z Cleveland, która poślubiła duńskiego arystokratę. Słyszeła z tego, że nigdy w życiu za nic nie płaciła - ani za

wykwintne dania w kosztownych restauracjach, ani za najlepsze apartamenty w hotelach, ani nawet za stroje. Rachunki pokrywał jej przyjaciel, młody amerykański spadkobierca imperium samochodowego, który ją uwielbiał i towarzyszył jej wszędzie. Zidiociały stary książę się nie liczył. Młody mężczyzna był homoseksualistą, zatem księżna obracała się w „bezpiecznym” towarzystwie. Odile Joly należała do tych nielicznych osób, którym płacono za dostarczane rzeczy. Inaczej przestałaby ubierać księżną.

Projektantka uśmiechnęła się do żony dalekowschodniego monarchy na wygnaniu. W ciągu ostatnich trzech lat

Sammyo Kittilongkhon kupiła ponad trzysta pięćdziesiąt różnych kreacji w Maison d'Odile Joly. Była najlepszą klientką.

Dalej siedziała diuszesa, a za nią niemiecka aktorka .. i żona amerykańskiego polityka, Barbara Sennett. Bajecznie bogata pani Sennett rok wcześniej stała się bohaterką sporego skandalu - próbowała sfalszować rachunek u Odile Joly z dwudziestu pięciu tysięcy dolarów na dwa tysiące pięćset. Jej niezręczne oszustwo zostało wykryte przez straż celną USA na lotnisku w Idlewild.

Na pokazie znaleźli się również wpływowi dziennikarze. Oczywiście Odile

Joly przesunęły się po krzesłach wzdłuż wybiegu. Między ludźmi z towarzystwa siedzieli głównie dziennikarze, a ich status określał rząd, w którym otrzymali miejsca. Pierwszy był prestiżowy, ostatni nazywano Syberią. Każde miejsce było uważnie obserwowane i komentowane; plotki trwały w nieskończoność, gdy ktoś osiągnął lub utracił dotychczasową pozycję.

Na samym przodzie Odile Joly dostrzegła Pauline Mounier - reporterkę z kroniki towarzyskiej „Couture Magazine”. Pauline zasługiwała na ostatni rząd, ale przyszła w towarzystwie Daphne Epaminondas. Madame Epaminondas była pierwszą

żoną najbogatszego człowieka na świecie, greckiego magnata przemysłowego, Zeno Callicratesa Skouriego. Kupowała trzydzieści kreacji rocznie. Również w pierwszym rzędzie, ale po przeciwnej stronie chodnika, znalazła się Cynthia Skouri, obecna amerykańska żona potentata. Dwa miejsca dalej siedziała Ariadne Cosindas, znana

balerina. Takie rozlokowanie pań miało być tematem plotek na długo po pokazie, powszechnie wiadomo bowiem, że Ariadne Cosindas była kochanką Zeno Skouriego podczas obydwóch jego związków. Teraz trzy kobiety, które dzieliły łóżko z tym samym mężczyzną,

pilnie unikały swojego wzroku.

Przedstawiciele paryskiego oddziału „Women’s Wear Daily” - reporter, grafik i fotograf-dostali się do dalszych rzędów, w głównej sali. Dziennikarze „Women’s Wear Daily” zwykle zajmowali miejsca w jednym z czterech dodatkowych pomieszczeń, ale Odile Joly umiała patrzeć w przyszłość. Przewidywała, że w przeciągu dziesięciu lat „WWD” stanie się najpotężniejszym magazynem mody na świecie, chociaż obecnie nawet najgorsze miejsca w głównej sali były dla reporterów tego pisma zaszczytem. Jeżeli „WWD” istotnie zacznie zwiększać swoje wpływy, Odile Joly

zacznie ich przesuwać rząd po rzędzie do przodu.

Za grupą „WWD” siedzieli hrabia i hrabina de la Brissac de Léger. Pomarszczona twarz Odile Joly rozjaśniła się złośliwym uśmiechem. Hrabia i hrabina zostali wypędzeni na te miejsca ze względu na zdjęcie comtesse, które ostatnio zobaczyła. Wykonano je na lokalnych zawodach polo w Bordeaux. Aczkolwiek w zwykłych okolicznościach nie miało prawa znaleźć się w prasie, nieoczekiwana obecność kuzyna hrabiego - dawnego pułkownika armii francuskiej, a obecnie zdobywającego uznanie polityka - uczyniła je wydarzeniem godnym

wzmianki. Hrabina została uwieczniona z opuszczonymi majtkami. Jej kolorowe zdjęcie na całą stronę ukazało się w „Paris Match” i Odile Joly je zobaczyła. Jej jastrzębie oczy natychmiast dostrzegły, że pani de Léger miała na sobie skopiowany kostium. Ponieważ ta dama była stałą klientką, Odile nie mogła jej wyrzucić z głównej sali. Ale mogła - i zrobiła to - przesunąć hrabinę i hrabiego z ich zwykłych miejsc w drugim rzędzie na najmniej ważne w tyle. Ten fakt z pewnością zostanie odnotowany przez dziennikarzy i skomentowany. W przyszłości pani de Léger będzie ostrożniejsza. I, co najważniejsze, Odile była pewna, że tym razem wielka dama kupi trzy razy więcej

ubrań niż zazwyczaj, żeby się zrehabilitować i zapewnić sobie na przyszłość drugi rząd. To dawało Odile Joly poczucie satysfakcji i siły.

Oczy projektantki przesunęły się po wybiegu dla modelek do jednego z dodatkowych pomieszczeń. Widziała tylko jego część. Nagle zeszywniała. Ktoś wydał jej

się znajomy. Zmarszczyła brwi, próbując przypomnieć sobie twarz w okularach przeciwsłonecznych i wystającą spod kapelusza blond perukę. Kobieta zapaliła papierosa. Trzymała go między kciukiem a palcem wskazującym, wdychając dym.

Odile Joly skinęła głową na pracownicę obsługi. Czarnowłosa kobieta w ciemnej sukience pospieszyła do schodów. Odile Joly wychyliła się przez poręcz.

- Pokój trzeci, miejsce trzydzieści siedem! - wyszeptała z wściekłością. - Jak ona się tu dostała?

Kobieta odwróciła się dyskretnie i spojrzała przez otwarte drzwi. Dama na krześle numer trzydzieści siedem nosiła okulary, szeroki kapelusz przybrany futrem z ocelota i jedwabną bluzkę z wielką koronkową kokardą przy kołnierzyku. Pracownica spojrzała ponownie na Odile Joly.

- Właścicielka hotelu Cusset załatwiła

jej rezerwację. Nie widziałam nic...

- Ty głupia! - wysyczała Odile. - To Simone Doucet! Nie widzisz?

Jej pracownica spojrzała ponownie w kierunku krzesła. Nagle twarz jej pobiadła.

- Na Boga, to ona! - wyszeptała przerażona. - Ja... ja nie umiem powiedzieć, jak mi przykro! Nie rozpoznałam jej w tym stroju.

Odile Joly prychnęła.

- Strój, też coś! Raczej przebranie. Ten nędzny szpieg wcisnął się tu przebrany za damę! Wyrzuć ją natychmiast!

Porządkowa pospieszyła wykonać polecenie. Simone Doucet była projektantką w jednym z mniejszych domów mody, które egzystowały, kradnąc pomysły wielkim twórcom. Na pokazach ściśle przestrzegano więc zasady, by dla pracowników innych salonów drzwi były zamknięte. Odile Joly z satysfakcją patrzyła, jak ochrona eksportuje Simone Doucet do wyjścia.

Projektantka dała sygnał dłonią i światła kandelabrow natychmiast przygasły. Rozpoczął się pokaz.

W garderobie robiło się z każdą minutą goręcej. Modelki ociekały potem. Ustawiły się w kolejności, w jakiej miały prezentować stroje. Garderobiane

w pośpiechu dokonywały ostatnich poprawek przy kreacjach dziewcząt, wygładzały spódnice i żakiety, delikatnie osuszały bibułkami pot na umalowanych twarzach. Wszystko było wyliczone co

do ułamka sekundy. Póltorej minuty po opuszczeniu garderoby pierwsza modelka miała być z powrotem.

W tym czasie na scenę wychodziły cztery następne. W ciągu trzech minut każda z dziewcząt musiała się przebrać i przygotować do kolejnego wyjścia. Każda miała zmieniać strój siedem razy.

Helenę występowała ostatnia. Patrzyła nerwowo, gdy pierwsza koleżanka

wychodziła za kurtynę. Usłyszała, jak ktoś w sali anonsował strój, który tamta miała na sobie. Cztery inne modelki ruszyły w kierunku wyjścia. Ta, która wróciła, szybko zrzuciła prezentowaną odzież i pospiesznie przebierała się w kolejną kreację.

A potem była już przed nią tylko jedna dziewczyna. Odwróciła się do Helenę.

- Powodzenia - wyszeptała. Helenę uśmiechnęła się słabo.

- Dzięki, Lione. I nawzajem.

A potem przyszła jej kolej. Kolana jej drżały. Wzięła głęboki oddech i wysunęła się za kurtynę. Udawała przed

sobą, że to tylko próba generalna. Przez ostatni tydzień uczyły się ładnie chodzić. Choreografia była bardzo ważna. Każdy krok miał być naturalny i lekki jak w tańcu. Tylko modelki Odile Joly wiedziały, jak trudne to było w rzeczywistości. Zaplanowano, że na wybiegu mają się znajdować jednocześnie cztery modelki poruszające się po różnych ramionach iksa, ale dokładnie w tej samej linii. Miały się spotykać w centrum i wymieniać na poszczególnych odgałęzieniach.

Helene sunęła w kierunku głównej sali, patrząc nieprzytomnie przed siebie, nieświadoma kierujących się na nią spojrzeń. Rozległ się uprzejmy aplauz.

Trzaskające flesze aparatów fotograficznych oślepiły ją na moment, ale się nie zachwiała. Widzowie wydawali się rozmazani; poczuła na sobie oczy Odile Joly, lecz nie zwracała uwagi na spojrzenie szefowej.

Robiła obrót na końcu każdego odgałęzienia wybiegu i wracała do głównej sali. Przeszła wszystkie cztery i wbiegła do garderoby.

Hrabina de Léger natychmiast rozpoznała Helenę. Zimne oczy arystokratki zmrużyły się, a program, którym się wachlowała, zawisł w powietrzu. Ta dziewczyna wiedziała o kopiowanych ubraniach. Comtesse opanowała się błyskawicznie. Spuściła

wzrok na kolana. Czy może stąd to nieoczekiwane zdjęcie w „Paris Match”? Wiedziała, że tylko

jedna osoba mogła rozpoznać wspaniałe wykonane przez madame Dupré kopie kostiumów Odile Joly - nawet z odległości lub na fotografii - sama projektantka. Do diabła z tym zdjęciem! Czy to dlatego Odile posadziła ich oboje na tych okropnych miejscach? Co za skandal! Wszyscy będą plotkować! Jedyne, co teraz mogła zrobić, to udawać, że nic się nie wydarzyło, i ułagodzić Odile olbrzymim zamówieniem.

Helенę raz jeszcze wyszła z za kurtyny.

Na skrzyżowaniu w centrum iksa minęła Lione, która wdzięcznie płynęła do garderoby. Helenę prezentowała teraz wełniany kostium. Rozległ się spontaniczny pomruk aprobaty.

Hrabia de Léger trącił żonę łokciem.

- Czy to nie ta sama dziewczyna, która była w zamku? - zapytał szeptem.
Hrabina przytaknęła obojętnie.

- Jak się nazywa?

- Junot czy jakoś tak. Tak, Helenę Junot.

- Poirytowana zanotowała na kartce, że chce mieć ten kostium z alpaki. Była gotowa kupić wszystko, byle tylko odzyskać krzesło w drugim rzędzie.

Miejsce z tyłu uraziło ją do głębi.

Kiedy Helenę wróciła do garderoby, panowało tam zamieszanie.

- Lione zemdlą! - wyszeptała jedna z koleżanek. Garderobiana pobiegła, by ocucić dziewczynę.

- To te światła! - syczała inna modelka.

- To zbyt wiele... przy tym upale!

- Nieważne! - warknęła ze złością garderobiana. - Jedna z was musi ją zastąpić. - Rozejrzała się dookoła. Jej oczy spoczęły na Helenę. - Masz podobną figurę. To musisz być ty. Pamiętaj, że będzie tylko po półtorej minuty na zmianę ubrań. Wyjdiesz

jeszcze dwanaście razy. Prezenterka przestawi ci kolejność. No już, szybko! Unieś ręce! Nie ma chwili do stracenia.

Helenę została przebrana w strój Lione w rekordowym czasie. Pomagały jej dwie garderobiane, jedna zręcznie spinała sukienkę, by ją zwęzić. Helenę czuła, że strasznie się poci. Potem wypchnięto ją za kurtynę. Uśmiechnęła się automatycznie.

I nagle nie była już zdenerwowana. Prezentowanie ubrań stało się jej pasją.

Rano do atelier zapukał posłaniec z długim, wąskim pudełkiem z kwiaciarni na Polach Elizejskich. Zaskoczona Helenę podpisała żółty kwit i wzięła

przesyłkę. Kiedy

chłopiec wyszedł, uniosła wieko. W pudełku zobaczyła tuzin czerwonych róż na długich łodygach. Zmarszczyła brwi.

- Wiesz, od kogo je dostałaś? - zapytała Lione przez drzwi.

Helene spojrzała na nią i potrząsnęła głową. Potem sięgnęła na dno i wyjęła małą białą kopertę. Wyciągnęła z niej kartkę. Był na niej niezapomniany symbol. Lew, salamandra i herb de Légerów. Odwróciła kartkę. Z tyłu napisano niebieskim atramentem: „Jutro o dziewiątej wieczorem. Czekam u Maxima. Zapytaj o mój stolik”. Niżej był podpis: „Filip de Léger”.

Opadła na rozchwiane krzesło.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Lione.
Helenę kiwnęła głową.

- Tak - odrzekła drżącym głosem. - Czy mogłabyś... zostawić mnie na chwilę samą? Koleżanka skinęła głową.

- Oczywiście. Przepraszam, że ci przeszkodziłam. Porozmawiamy później.
-Pomachała dłonią i delikatnie zamknęła za sobą drzwi.

Zadumana Helenę obracała w dłoniach kartkę, patrząc to na herb, to na wiadomość. Mieszkała w Paryżu od ponad pół roku i przestała być naiwną gąską z prowincji. W Paryżu uczysz się

szybko, myślała. Przez sześć miesięcy dowiedziała się wszystkiego, co trzeba wiedzieć. I rozumiała doskonale, że mężczyzna taki jak Filip de Léger nie zaprasza do Maxima dziewczyny tylko dlatego, że szyła kiedyś ubrania dla jego żony, albo dlatego, że raz z nią zatańczył. Poza tym jest sprawa samego Maxima.

Nie była to zwykła restauracja, ale restauracja najwspanialsza na świecie. Znajdowała się przy ulicy Royale. Na początku stulecia bywały tam kokoty; teraz przekształciła się w miejsce spotkań osób z towarzystwa. Każdy szedł tam, by się pokazać. Śmietanka towarzyska. Turyści. Wystarczyło tylko

być bogatym i płacić słone rachunki bez mrugnięcia okiem.

Helena zacisnęła usta, uderzając w kartę otwartą dłonią. Możliwe, że Filip de Léger szuka panią do towarzystwa, ale z drugiej strony wcale nie musiała się na nic zgodzić. Co ważniejsze, na karcie nie było adresu. Nie dał jej możliwości odmowy.

Uśmiechnęła się do siebie.

Prawdopodobnie będzie tylko obiad, więc po co robić wiele hałasu o nic.

Wizyta u Maxima jest pewnie dla hrabiego równie ekscytująca jak dla niej zakupy na targu za rogiem. Trzeba spojrzeć na to z odpowiedniej perspektywy - tłumaczyła sobie.

Dzisiaj zatrzyma się przed tą restauracją i popatrzy, co mają na sobie siedzące tam kobiety. Zaoszczędziła trochę pieniędzy. Nie wystarczy na kreację od Diora czy Odile Jo-ly, ale mogła kupić prostą, czarną sukienkę w Bon Marché czy Au Printemps. Czerwone linoleum, które widziała w małym sklepie przy rue Victor-Masse, będzie musiało poczekać.

Celowo została w atelier do późna. Zanim o wpół do ósmej wyszła Odile, włożyła róże do pudełka, wsunęła je pod ramię i ruszyła wzdłuż Faubourg St. Honoré. Kiedy dotarła do ulicy Royale, skręciła w prawo, przeszła na drugą stronę i zatrzymała się naprzeciwko

Maxima, ale trochę z boku. Po piętnastu minutach wiedziała już wszystko. Prosta, czarna sukienka będzie całkiem odpowiednia.

Następnego ranka zjawiała się w atelier o zwykłej porze. Po pewnym czasie nadeszła cała procesja posłańców z pudłami. Wszystkie były dla Helenę Junot.

- Co to jest? - zapytała Lione. Helenę była zaskoczona. -Nie... nie wiem.

Lione zapaliła papierosa i zaciągnęła się głęboko. Wczoraj róże, dzisiaj... - urwała w pół zdania.

- O co chodzi? - zdziwiła się Helenę.

- Lepiej nie pokazuj tych pudełek Odile Joly.

- Dlaczego?

- Nie poznajesz?

- Nie, a powinnam?

Lione uśmiechnęła się złośliwie.

- Odile Joly je rozpozna. Są od konkurencji. Na przykład to duże jest od Diora. Podeszły i podniosły pokrywkę z pierwszego. W środku były długie do łokci

rękawiczki.

- Jakie piękne! - westchnęła Lione.

Następne pudełko było od Germaine Guerin. Helenę wyjęła czerwoną, jedwabną, wieczorową torebkę. Kolejna paczka pochodziła od Charles'a Jourdana. Była w niej para eleganckich czerwonych pantofli na szpilkach. W następnym znajdowały się identyczne czerwone szpilki, tylko o numer większe. W sumie były cztery pary w różnych rozmiarach.

Helenę powoli rozpakowała wielkie pudło od Diora. Rozchyliła delikatną bibułkę i stanęła jak oniemiała.

- Mój Boże! - rzekła Lione cicho. - To wieczorowy kostium!

Helenę ostrożnie wyjęła z pudła rubinowoczerwony żakiet. Był dopasowany w biodrach, miał szerokie rękawy do łokci, wąskie klapy i wąski czerwony pasek. Obcisła spódnica sięgała do połowy łydki.

Koleżanka gwizdnęła przeciągle.

- Musiał się w tobie zakochać -
zadecydowała. Helenę odwróciła się i
zaczęła spacerować po pokoju.

Przez chwilę milczała.

- Nie wiem. To zbyt wiele, bym mogła
przyjąć.

- Ale nie możesz mu tego zwrócić! -

powiedziała szybko Lione. - To by złamało biedakowi serce. - Spojrzała na Helenę. - Musi być bardzo bogaty.

Helenę kiwnęła głową.

- Owszem.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi.

- Chwileczkę! - zawołała Helenę.

Szybko złożyła kostium, schowała go do pudła i zakryła je pokrywą. Rozejrzała się, zebrała pozostałe rzeczy i pochowała do pudełek. Potem otarła czoło i podeszła do drzwi.

- Kolejny posłaniec - zauważyła sucho

jedną ze starszych kobiet pracujących w atelier, wskazując młodego mężczyznę za sobą.

Helena spiesznie podpisała kolejny papier, przyjęła małą paczkę i zamknęła drzwi.

- Skąd był? - zapytała Lione.

- Nie wiem - odrzekła Helena. - Nie pomyślałam, żeby mu się przyjrzeć.

Koleżanka oparła ręce na biodrach.

- Cóż, odpakuj to! - zaproponowała.

Helena w milczeniu rozwiązała wstążkę i rozdarła papier. Zabrakło jej tchu. Na

skórzanym pudełku był wytłoczony złoty napis „Chaumet”. Drżącymi palcami uniosła wieczko.

Na tle czarnego aksamitu błyszczały diamentowo-rubinowe kolczyki w kształcie papug.

- No tak... - Lione była pod wrażeniem.
- A teraz biżuteria.

Rozdział 6

Helenę postępowała za maître przez salę Maxima. Szła powoli, jej długa suknia w kolorze szampana zamiatała podłogę, a na futrze błyszczały kropelki topniejącego śniegu. Posłuchała rady Lione i upięła włosy w kok, odsłaniając

policzki. W uszach miała diamentowe kolczyki. Idąc, uśmiechała się do znajomych. Dwukrotnie przystanęła, wymieniając serdeczne pozdrowienia i najnowsze plotki, podczas gdy maître czekał cierpliwie.

- Wygląda jak kokota z dawnych czasów
- zauważyła starsza kobieta suchym szeptem, który przywodził na myśl wiatr przelatujący nad pustynią. Westchnęła z żalem, kiedy Helenę ją mijała. - Było ich tu niegdyś pełno. Słyszało się tylko szelest atłasu, szum jedwabiu. Nosiły najwytworniejsze suknie. Po tym można je było poznać - zamiatające podłogę suknie, wielkie kapelusze. Nosiły je z dumą. Były jak chińskie damy, które

nosiły długie paznokcie. Pokazywały, że nie są kimś przeciętnym. Nie pracowały.

- Ona pracuje - odezwała się jej młodsza towarzyszka. - Chociaż trzeba przyznać, że nie musi.

- Tak, jest modelką. Ale przypomina mi te wszystkie kokoty. Nigdy nie zapomnę pewnej nocy tutaj... - Staruszka urwała na chwilę. - Był rok tysiąc dziewięćset trzynasty. A może czternasty? Jedna z nich złapała butelkę wina i uderzyła nią w twarz swojego kochanka. Wszystko dlatego, że przyszedł z inną kobietą. To były piękne dni!

Hrabia uśmiechnął się, kiedy Helenę opadła na czerwone wyściełane krzesło

i zsunęła norki, pozwalając, by opadły z ramion. Dopasowana suknia uwydatniała jej doskonałe kształty. Ujął dłoń dziewczyny i podniósł do ust.

- Za każdym razem jesteś piękniejsza - powiedział.

Spojrzała mu w oczy... Miały ten znaczący wyraz, który znała aż za dobrze. Ujął jej dłoń i wsunął sobie między nogi. Jego penis stwardniał.

Uśmiechnęła się i cofnęła dłoń, bo przyniesiono im do stolika butelkę szampana w wiaderku z lodem. Spędzali tyle czasu u Maxima, że nie musieli zamawiać alkoholu. Wszyscy kelnerzy wiedzieli, że najpierw będzie szampan,

a potem butelka wina z Hautecloque-de Léger do obiadu (jeżeli jedli rybę, zamawiali białe Château Haut-Brion), a na koniec kawa i koniak. Helenę nigdy nie piła więcej niż po pół kieliszka wina i szampana i tylko kilka łyčzków koniaku.

- Przepraszam, że nie mogłem cię przyjąć w domu. - Hrabia znacząco wzruszył ramionami.

Helenę kiwnęła głową. Znała ten ruch. Hrabina była w mieście. Wypiła mały łyk szampana. Wspominał o żonie tylko wtedy, kiedy opóźniała jego wizyty. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął długi skórzany futerał od Van Cleefa i podał go dziewczynie.

- Żebyś nie czuła się zaniedbywana,
przyniosłem ci mały upominek.

Uśmiechnęła się i otworzyła pudełko.
Zimne szafiry otoczone diamentami
błysnęły

ogniem. Wzięła głęboki oddech. Był to
najbardziej kosztowny prezent, jaki do
tej pory otrzymała.

-Podobaję się?

Spojrzała na niego.

- Są cudowne - rzekła cicho. Zdjęła
kolczyki i pozwoliła, by zapiął jej na
szyi kolię z szafirów. Uniosła dłoń i
wyczuła pod palcami ich chłód.

Cieszyła się, że je ma.

Teraz będę mogła zrobić dobry użytek z kolczyków, pomyślała. Podobnie jak z rubinowo-diaamentowych papug. Potem, kiedy hrabia znowu jej coś podaruje, naszyjnik z szafirów podąży śladem poprzednich klejnotów.

Czy to możliwe, że dostała już siedem sztuk, pytała samą siebie. Czy to możliwe, że spotyka się z tym mężczyzną już od sześciu miesięcy? Że przychodzi regularnie do Maxima? Nigdy nie zapomni tego pierwszego razu.

Szła za szefem sali do stolika hrabiego i patrzyła nieobecny wzrokiem przed siebie. W duchu dziękowała Odile Joly,

że musiała tyle razy to ćwiczyć. Teraz przekonała się, że było warto. Rutyna pozwalała opanować nerwy i drżenie nóg. Sprawiała, że Helenę czuła się pewna siebie. Niedostępna.

Zblazowana.

Restauracja ją onieśmieliła. Wielkie sale były urządzone w stylu art nouveau. Freski na ścianach przedstawiały nimfy nalewające wino. Za stolikami stały żółte lampy, a ich światło odbijało się w olbrzymich lustrach. Przyciemnione górne oświetlenie przypominało odwrócone parasole. Idąc, mijała spiralne schody, drewniane filary, kolumny z czarnego żelaza i stare brązy, które błyszcząły jak nowe. Białe

serwety były sztywne, srebra lśniły, kryształy rzucały blask. Kobiety nosiły wspaniałe suknie i kosztowną biżuterię. Mężczyźni mieli na sobie eleganckie garnitury.

Szmer konwersacji nagle ustał, jak gdyby ktoś nacisnął niewidzialny wyłącznik. Helenę czuła, że wszystkie oczy przyglądają jej się z ciekawością. Goście pochylali się do siebie i szeptali. Wiedziała, że mówią o niej.

- Dior - dobiegł ją szept jakiejś kobiety.

- Jest piękna! - dodał inny głos. -
Popatrz na te kości policzkowe!

W tym momencie Helenę zrozumiała.

Roześmiała się w duchu lekceważąco. Ależ była głupia, że się denerwowała. Ci ludzie ją podziwiali.

Teraz ośmieliła się rozejrzeć po sali. Była zadowolona, że zdecydowała się mimo wszystko włożyć czerwony kostium. Jedno spojrzenie powiedziało jej, że była najlepiej ubraną kobietą w restauracji. Nagle poczuła się niezwyciężona. Dobre ubranie dziwnie dodaje kobiecie pewności siebie.

Hrabia wstał, gdy maître pomógł jej usiąść. De Léger zamówił szampana. Przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa.

- Byłam zaszokowana, otrzymawszy te

wszystkie rzeczy - odezwała się Helenę z wahaniem. - Nie chciałam zrobić panu wstydu, przychodząc w łachmanach, dlatego pozwoliłam sobie przyjąć te prezenty.

- Cieszę się, że to zrobiłaś. Wiedziałem, że będziesz w nich oszałamiająca.

Otworzyła torebkę i drżącymi palcami wyjęła pudełko od Chaumeta. Położyła je na

stoliku. Hrabia patrzył na nią z rozbawieniem.

- Ale nie mogę przyjąć tego - oświadczyła cicho. - Te kolczyki są zbyt drogie. Roześmiał się nagle.

- Jest pani rozpaczliwie poprawna, mademoiselle.

Czuła, że się rumieni. Spuściła oczy. I równie nagle, jak się pojawił, rumieniec zniknął. Helenę spojrzała w oczy hrabiemu.

- Jestem nieuczciwa - powiedziała z nagłą mądrością.

- Nie ma różnicy między przyjmowaniem strojów od Diora i biżuterii Chaumeta. Popatrzył na nią zaskoczony. Potem kiwnął głową, sięgnął po pudełko i otworzył je.

Papugi uchwyciły światła lamp i luster, rozbłyskując czerwonymi i białymi

iskrami. Powoli wyjął kolczyki i delikatnie włożył jej w uszy.

- Wyglądają, jakby były zrobione specjalnie dla ciebie - powiedział, cofając dłoń.

- A jaka jest cena za nie? - zapytała cicho Helenę. - Czego pan ode mnie chce? Przez chwilę milczał. Odchylił się do tyłu na krześle i zapalił papierosa. Zgasił

zapałkę i rzucił ją do popielniczki. Spojrzał uważnie na Helenę.

- Nie żądam zapłaty - odrzekł wreszcie.
- Ale mam dla ciebie propozycję.
Możesz ją przyjąć lub odrzucić. Dam ci

tyle czasu, ile zechcesz, żebyś mogła wszystko przemyśleć.

Spojrzała na niego pytająco. Nagle wyschły jej wargi. Czuła to samo napięcie między udami co w Hauteclouque, kiedy ją poprosił do tańca. Tylko że tym razem nie musiał jej dotykać.

- Co to za propozycja? - zapytała, doskonale wiedząc, o co chodzi.

- Chcę, żebyś została moją kochanką - powiedział otwarcie.

Popatrzyła na niego trzeźwo. A więc miała rację. Hrabia de Léger szuka metresy. To jej nawet nie zdziwiło, nie

zaszokowało. Ucieszyła się w pewien sposób, że nie próbował jej oszukać, nie wymyślał żadnych historii i nie używał czułych słów. Poza tym był bardzo atrakcyjnym mężczyzną. Pamiętała tamto drzenie, które ją ogarnęło, gdy tańczyli na balu w Hautecloque. Teraz było tak samo. Kto wie? To, co proponował, mogłoby być... całkiem interesujące.

Helenę zacisnęła usta, a po chwili uśmiechnęła się zimno. -I co byśmy osiągnęli z takiego... układu? Zaciągnął się papierosem i wypuścił dym do góry.

- Ja chcę mieć kochankę - powiedział głębokim głosem. - Zwykle bywam w Paryżu przez dwa dni każdego tygodnia. Oczekuję, że będziesz spędzała ze mną

te wieczory. Jeżeli chodzi o ciebie, to możesz zamieszkać w moim domu przy Boulevard Maillot. Dostaniesz miesięczną pensję i otworzę ci rachunki w lepszych sklepach. Będziesz też otrzymywać prezenty.

- Aleja mam pracę - zauważyła. - Nie chcę jej zostawić. Daje mi poczucie bezpieczeństwa.

- Nie musisz z niej rezygnować - odparł.

Helena długo siedziała w milczeniu, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem. Jej umysł pracował na najwyższych obrotach. Hrabia oferował jej dom w jednej z najlepszych dzielnic Paryża i otwarte rachunki w

najdroższych sklepach. I, co ważniejsze, mogła nie tylko nadal pracować u Odile Joly, ale miałyby też dodatkowe dochody. Plus prezenty.

Prawdopodobnie klejnoty. Jest to ten typ oferty, który porządne dziewczęta natychmiast odrzucają. Oczywiście jeśli zostanie jego utrzymanką, znajdzie się w najlepszym razie w kategorii „kochanek” lub też „dziwek” - w najgorszym wypadku. Ale była też druga strona, której Helenę nie mogła nie zauważyć.

Dawno temu przysięgła sobie odnaleźć dwóch niemieckich łotrów - sierżanta o nazwisku Schmidt i oficera o długiej, okrutnej twarzy - sprawców nieszczęść całej rodziny. Przysięgła sobie, że odda

w ręce sprawiedliwości bestie, które sprawiły, że maman, Catherine i Marie cierpiały i odeszły na zawsze.

Znalezienie tych potworów nie będzie łatwym zadaniem. Potrzebowała na to pieniędzy. Dużo pieniędzy.

Przysięgła sobie także, że odniesie sukces przed Edmondem i pomoże bratu. On i Jeanne byli teraz przykuci do Saint-Nazaire. Sam nie da sobie rady, ona musi mu pomóc. Znowu potrzebowała tylko jednego, aby spełnić marzenia brata: pieniędzy.

I wreszcie jej własny cel. Jej pismo. To będzie wymagało większych pieniędzy, niż kiedykolwiek sama mogłaby zarobić.

Westchnęła smutno. Wszystko, czego pragnęła, wymagało pieniędzy. To prawda, że miała dobrą pracę u Odile Joly. Ale jako modelka nie zarabiała nawet tyle, żeby móc zrealizować choć jedno ze swoich zamierzeń. I prawdopodobnie nigdy jej się to nie uda. A co gorsza, kariera modelki trwa krótko. Pojawią się oznaki starości - i co wtedy? Wtedy jej przyszłość będzie równie beznadziejna jak teraźniejszość Edmonda i Jeanne. Nadeszła pora, by pomyśleć o przyszłości - żeby zrealizować marzenia. Pora, by działać zdecydowanie. Aby jej pragnienia i ambicje przekształciły się w rzeczywistość.

Propozycja hrabiego stanowiła pierwszy krok do celu.

Podano szampana. Helenę przyglądała się, jak kelner otwierał butelkę i napełniał kieliszki. Kiedy znowu zostali sami, wypła mały łyk. Spojrzała na hrabiego i podjęła decyzję.

Zawieram pakt z diabłem, postanowiła.

- Monsieur le comte - rzekła miękko - umowa stoi.

Tej nocy podarował jej jeszcze dwa prezenty. Rubinowo-diaamentowy naszyjnik stanowiący komplet z kolczykami i złoty klucz - symboliczny klucz do nowego domu. Do praktycznego

użytku dostała też normalny klucz. Po obiedzie pojechali do hrabiego czarnowśniowym rolls-royce'em. Na miejscu szofer otworzył przed nią drzwi auta. Helenę spojrzała na dom z trwogą. Stary biały budynek w ogrodzie wyglądał jak mały pałacyk. Ponad wielkimi podwójnymi drzwiami, na pierwszym i drugim piętrze, znajdowały się otoczone balustradami balkony. Ostatnie piętro z mansardowym dachem miało pięć owalnych okienek. Pozostałe okna były olbrzymie.

- Czy ci odpowiada? - zapytał hrabia.

Helenę odwróciła się i spojrzała na niego. Nie mogła wykrztusić słowa. Nie wiedziała, co powiedzieć. Wreszcie

zdołała kiwnąć głową.

- Wejdziemy?

Nie czekając na jej odpowiedź, ujął ją pod ramię i poprowadził przez ogród w kierunku marmurowych schodów.

Wyjęła swój klucz i po raz pierwszy otworzyła drzwi nowego domu. Z niedowierzaniem rozejrzała się po holu, podziwiając lśniąca posadzkę i ściany wyłożone marmurem. Miała wielką chęć obejrzeć cały budynek, chciała przejść się

od pokoju do pokoju i zapoznać z nowym miejscem. Ale musiała z tym poczekać do rana. Wyczuwała, że tego wieczora hrabia ma w planach coś dużo

bardziej pilnego.

Bez zwłoki weszli na górę do olbrzymiej przyciemnionej sypialni. Patrzyła, jak podszedł do okna i zaciągnął ciężkie zasłony. Wiedziała, czego od niej oczekiwał. Rozebrała się w milczeniu.

Kiedy i on był nagi, nagle zaczęła się bać. Podeszła do szerokiego łóża, zdjęła narzutę i ułożyła się sztywno na pościeli, przyglądając się mężczyźnie z przerażeniem.

Podszedł do niej powoli. Usiadł na łóżku i przesuwając palcami po jej piersiach. Na początku była spięta. Nie chciała ulec własnym pragnieniom.

Potem nagle przestała się opierać. Zamknęła oczy i poddała się przyjemnym dreszczom, które małymi falami ogarniały jej ciało. Jej piersi unosiły się i opadały, brodawki stwardniały pod palcami mężczyzny. Potem położył się na niej, a ich ramiona i uda splotły się ciasno. Między nogami czuła jego pulsujący członek. Jęknęła cicho, gdy fala namiętności ogarnęła jej ciało.

- Kochaj mnie - wyszeptała, oddając mu się zupełnie.

Poczuła, że się cofnął i uwolnił ją z uścisku. Przesunął się niżej i pochylił głowę. Potem było rozkoszne uczucie między udami. Zerknęła w dół i

zadrżała, czując zapowiedź pierwszego orgazmu. Hrabia zaczekał, aż jej podniecenie opadnie, a potem wszedł w nią jednym zdecydowanym ruchem. Objęła go mocno, rozkoszując się naciskiem jego ciała. Nagle opuścił ją.

- Nie przestawaj! - błagała.

Uniósł jej nogi wysoko w powietrze, ponad głowę. Pośladki Helenę znajdowały się teraz w powietrzu nad łóżkiem. Bez uprzedzenia wcisnął członek w jej odbytnicę. Instynktownie zacisnęła mięśnie, ale wszedł głębiej. Jego biodra wykonywały gwałtowne ruchy. Helenę wiła się jak w agonii, ból był przeszywający. Z jej ust wydarł się

krzyk.

- Dziwka! - wysyczał i spoliczkował ją. Krzyk zamarł w jej gardle. - Dziwka! - powtórzył głośniej.

Wyciągnął dłoń, by ponownie uderzyć Helenę. Uchyliła się i kręciła głową na boki. Nagle krzyknął. Jego ciałem wstrząsnął spazm. Puścił jej nogi, pochylił się i wtulił twarz w piersi dziewczyny.

- Mamo! - załkał. - Mamo!

Helenę delikatnie pogładziła go po głowie. Czowała jego łzy spływające po jej piersiach.

Pokojówka zapukała delikatnie do drzwi, a potem weszła do sypialni i cichutko przesunęła się do okna. Zastony nie przepuszczały światła. Dwoma ruchami rozsunęła je, a wtedy słabe, zimowe słońce wpadło do pokoju. Helenę poruszyła się w wielkim łóżku i zwinęła w kłębek, chowając twarz w poduszce. Pokojówka podeszła do marmurowego kominka, uklękła, ułożyła na palenisku kłodę i kilka polan i rozpała ogień. Podsycala płomienie, dopóki nie rozpały się na dobre, a potem wstała. Spojrzała na dziewczynę.

- Pora na śniadanie, mademoiselle.

Helenę usiadła i zamrugowała oczami. Ziewnęła i przetała oczy.

- Która godzina, Marthe?

- Ósma trzydzieści, mademoiselle.
Prosiła pani, aby ją obudzić.

Helene kiwnęła głową. Teraz sobie przypominała. Była sobota. Poprosiła Odile Joly o wolny dzień, bo miała do załatwienia bardzo ważną sprawę. Szybko zerknęła na drugą poduszkę. Hrabia już wyszedł. Tylko wgniecenie na poduszce wskazywało, że spędził tutaj noc.

- W porządku, Marthe. Podaj śniadanie.

Pokojówka wyszła i po chwili wróciła z drewnianą tacą. Umieściła ją na szafce

nocnej. Zaczekała, aż Helenę pochyli się do przodu, a potem podsunęła jej pod plecy poduszkę. Ostrożnie umieściła tacę na kolanach dziewczyny i naląła kawy z porcelanowego dzbanka do jednej z delikatnych filiżanek ze złożonymi brzegami. Helenę wypita łyk i wzdrygnęła się. Odstawiła filiżankę. Nie znosiła czarnej kawy. Lubiła słodką, ze śmietanką i cukrem, ale musiała uważać na wagę. Spojrzała na talerz. Była na nim gorąca bułeczka, a obok miniaturowy kawałek masła i łyżeczka dżemu malinowego. Helenę miała za sobą długą, męczącą noc. Hrabia był nienasycony. Po seksie zawsze czuła większy apetyt. Była głodna jak wilk. Może jeśli zje bułeczkę bardzo powoli,

zaspokoi głód. Westchnęła, Odłamała kawałek i zaczęła starannie smarować masłem.

- Czy życzy sobie pani czegoś jeszcze, mademoiselle?

Helenę rozejrzała się po pokoju. Zauważyła suknię od Balmaina leżącą na oparciu krzesła.

- Weź ją do pralni. Och... i nie zapomnij zmienić pościeli. Marthe dygnęła.

- Oui, mademoiselle. - Wiedziała, że trzeba zmienić dziś pościel. Zawsze po wizycie hrabiego mademoiselle chciała mieć wszystko czyste.

- To wszystko, Marthe, dziękuję.

Pokojówka zabrała suknię i wyszła, cicho zamykając drzwi.

Helene odgryzła kęs bułeczki i żuła go powoli. Nagle spojrzała na resztę i odłożyła ją na talerz. Nie była już głodna. Miała zbyt wiele do zrobienia.

Odstawiła tacę, po czym odrzuciła kołdrę. Po miękkim dywanie przeszła do wielkiej łazienki. Pochyliła się nad wanną, odkręciła złocone kurki i patrzyła, jak parująca woda uderza o gładkie emaliowane dno. Pochyliła się na moment nad wanną, pozwalając, by obłoki pary dosięgły jej twarzy. To luksus, myślała. Gorąca woda w kranie.

Nie pojedynczy lodowaty strumień, jak w domu u ciotki Janine czy u Jeanne.

Nucąc cicho, wlała do wody kolejną porcję perfumowanego olejku do kąpieli. Zdjęła szlafroczek i ostrożnie weszła do wanny. Woda była gorąca i rozkoszna. Helenę zakręciła krany i zanurzyła się po szyję, delektując się przez kilka minut kąpielą. Potem zaczęła się myć migdałowym mydłem. Starannie wymyła łono, a potem spłukała prysznicem. Ta część ciała pozwoliła jej się dostać na Boulevard Maillot. Ona także pomoże jej zrealizować marzenia. Uśmiechnęła się do siebie. Jej marzenia. Jej magazyn. Teraz trzeba jak najszybciej zacząć.

Skończyła się ubierać i zerknęła do lustra. Prawie się nie malowała; z taką karnacją nie potrzebowała tego robić. Tylko jej policzki wymagały cienkiej warstwy różu. Za każdym razem, kiedy hrabia miał orgazm, nazywał ją dziwką i uderzał w twarz. Potem stawał się skruszonym małym chłopcem, wołał z płaczem: „Mamo! Mamo!”, i szybko usypiał z twarzą zalaną łzami na piersiach Helenę. To było dziwaczne i nie rozumiała tego, pragnęła tylko, by nie bił jej tak mocno. Na jej policzkach pojawiały się siniaki i tylko artystyczna mieszanina różnych odcieni pudru i różu tuszowała ślady uderzeń. Co będzie, to będzie,

powiedziała sobie Helenę. Pochyliła się nad lustrem. Nawet w pełnym świetle nie było widać ani siniaków, ani makijażu.

Przeszła przez pokój do obrazu w pozłacanych ramach. Przesunęła dłonią wzdłuż ramy, odnalazła przycisk i obraz rozsunął się na boki. Pod nim znajdował się mały sejf, Helenę szarpnęła za żelazny uchwyt i otworzyła drzwiczki. Sięgnęła do środka i wyjęła pudełko od Cartiera. Były w nim diamentowe kolczyki.

- Żegnaj, Cartier! - wyszeptała.

Baghat Cheops sięgnął po lupę i zbliżył ją do prawego oka. Zmrużył lewe i

oglądał jeden z kolczyków przez szkło powiększające. Potem odłożył go i wziął do ręki drugi. Przyjrzał mu się równie uważnie. Wreszcie odłożył lupę do wysłanego aksamitem pudełeczka.

- Nie są złe - zwrócił się do Helenę na pozór całkiem obojętnie.

Jej twarz była bez wyrazu. Helenę wiedziała, co zamierza mały Egipcjanin. Chciał obniżyć cenę. Zaproponować ułamek prawdziwej wartości klejnotów. Wiedział i ona też wiedziała, że kamienie są bez skazy. Każdy kolczyk składał się z trzech diamentów, trzy-, dwu- i półkaratowego. Ich cena była zapewne równa cenie sześciu limuzyn citroena. Na początek jubiler spróbuje

zaoferować jej jedną szesnastą ich wartości, a skończy się na jednej dwunastej. Potem sprzeda kolczyki dwa lub trzy razy drożej. Jediną pociechę stanowiło zapewnienie Cheopsa, że sprzedaje cudzoziemcom. Bizuterię można łatwo rozpoznać. Szczególnie taką bizuterię. Helenę nie mogła odnieść tych rzeczy do Cartiera. Nawet dyskretnie. Znalazłyby się znowu w sklepie, a to byłoby zbyt niebezpieczne. Hrabia mógłby się zorientować, że sprzedała otrzymaną od niego bizuterię, i byłby wściekły.

Cheops ostrożnie ułożył kolczyki w puzderku. Zamknął je i stuknął w wieczko złotym od nikotyny paznokciem.

- Dwanaście tysięcy - oznajmił,
błyskając złotym zębem.

Twarz Helenę była nieprzenikniona. To najniższa cena, jaką kiedykolwiek mi zaproponował. Widocznie uznał, że znalazł kogoś, kto uprawia hazard lub bierze narkotyki. Spokojnie sięgnęła po puzderko i niedbale wrzuciła je do torebki.

- Do widzenia, panie Cheops -
powiedziała. - Szkoda, że nie dobijemy
dziś targu.

Ruszyła ku drzwiom.

Egipcjanin przyglądał jej się bacznie,
zastanawiając się, czy Helenę naprawdę

wyjdzie. Na pewno zawróci przy drzwiach, pomyślał. Często tak się zdarzało.

Helene zamknęła za sobą drzwi, spojrzała w jedną, a potem w drugą stronę ulicy i energicznie ruszyła przed siebie. Tuż za rogiem dogonił ją zdyszany Cheops. Teraz to ona się uśmiechnęła.

- Dwadzieścia tysięcy - wy sapał jubiler, z trudem chwytając powietrze. Marthe właśnie rozmawiała przez telefon, kiedy Helene wróciła do domu.

- Un moment, monsieur comte! - zawołała szybko. - Mademoiselle właśnie wróciła. - Zakryła dłonią

słuchawkę. - To hrabia! - szepnęła
wzburzonym głosem.

Helene skinęła głową i wzięła
słuchawkę.

- Philippe? - zapytała miękko. - Gdzie
jesteś? Jak zwykle się spieszył. Mówił
szybko.

- Na Orly. Zaraz odlatuję.

- Orly! Dokąd lecisz?

- Do Skandynawii.

Ale nowina, pomyślała. Nic o tym nie
wspomniał zeszłej nocy.

- Mam coś do załatwienia - wyjaśniał szybko. - Wrócę za tydzień.

Jej serce uderzyło mocniej z nadzieją. Miała czas, by zrealizować swój plan. Dbała jednak, aby w jej głosie zabrzmiało rozczarowanie.

- Czy to znaczy, że nie spotkamy się we wtorek? - zapytała, udając zawiedzioną.

- Tak - odrzekł z irytacją. - Zobaczymy się w piątek i sobotę. Zarezerwuj sobie czas. Uśmiechnęła się do siebie. W poniedziałek Marthe zadzwoni do Maison d'Odile

Joly i powie, że Helenę zachorowała. A ona zaraz po rozmowie z Filipem robi

sobie rezerwację na pociąg. Dopiero teraz zobaczyła starannie ułożoną obok telefonu pocztę. Zaczęła przeglądać koperty. Rachunki za elektryczność, od Hermesa, za telefon, a wreszcie list. Natychmiast rozpoznała pismo Jeanne i odłożyła pozostałe koperty.

- Jesteś tam? - zapytał zimno hrabia.

- Tak, oczywiście - odpowiedziała automatycznie. Jest dzisiaj bardzo zdenerwowany, pomyślała. W oddali usłyszała przytłumione głosy.

- Zapowiadają mój lot - oznajmił Philippe. - Muszę iść.

- Życzę ci szczęśliwej podróży.

Nie usłyszał tego, bo odwiesił już słuchawkę. Helenę wykrzywiła się i położyła swoją na widełkach.

Szybko rozdarła kopertę listu Jeanne i czytała, idąc do salonu.

Saint-Nazaire, 30.01.1954

Droga Siostró!

U nas nic się nie dzieje. Edmond wciąż na morzu. Przyjedzie za tydzień. Kiedy wraca, żyjemy w takim chaosie, że postanowiłam napisać do Ciebie teraz, na spokojnie. Strasznie mi żal, że Edmond musi pracować poza domem, szczególnie kiedy jest tak zimno. Zawsze gdy wypływa, modlę się za niego.

Kilka razy widziałam panią Dupré.
Ciągle o Ciebie pyta. Nie wyobrażasz
sobie nawet, jaka jest z Ciebie dumna!
Obwiesiła cały sklep Twoimi zdjęciami
z gazet. Są nawet na wystawie! Nasze
wiszą na drzwiach kuchennego kredensu.
Jesteś najślawniejszą osobą w Saint-
Nazaire, wiesz?

Spotkałam kiedyś na ulicy Twoją ciotkę.
Nie odezwała się do mnie. Nigdy nikt
nie patrzył na mnie z taką nienawiścią.

Nie mogę powiedzieć Edmondowi, bo
jest na morzu, więc ty pierwsza się o
tym dowiesz. Helenę, jestem w ciąży!
Urodzę Edmondowi dziecko! Wiem, że
będzie tak samo zachwycony jak ja. A
jeżeli to będzie dziewczynka, nazwiemy

ją Twoim imieniem! Martwię się tylko, że Edmond zacznie mnie traktować jak inwalidkę, kiedy usłyszy o moim stanie. Tak bardzo bym chciała, żebyś przyjechała na chrzciny. To cała ja, jak zawsze wybiegam myślami za bardzo do przodu!

Nigdy nie zapominaj, że bardzo Cię kochamy.

Twoja siostra, Jeanne

Helena odłożyła list i uśmiechnęła się. Czy to możliwe? Jeanne będzie matką? Tak szybko? Nagle poczuła w kącikach oczu łzy. Jeanne i Edmond są tacy szczęśliwi, pomyślała z nagłym uczuciem zazdrości. Mają siebie

nawzajem. I swoją miłość.

Po raz pierwszy było jej żal samej siebie. A co ją może podtrzymać na duchu? Zastanawiała się chwilę.

Mnóstwo rzeczy, odpowiedziała sobie stanowczo, natychmiast wycierając oczy. Masz swoje marzenia i ambicje, swój magazyn. Masz pracę i zemstę. Pragniesz pieniędzy i władzy. Możesz wiele osiągnąć. A miłość? Pustym wzrokiem spojrzała na list od bratowej.

Nigdy wcześniej nie myślała o dzieciach.

Rozdział 7

Kamienne wieże wielkiej gotyckiej

katedry sterczały groźnie na tle ponurego, szarego nieba. Helenę wysiadła z pociągu, postawiła na ziemi walizkę i podniosła kołnierz futra z norek. Spojrzała na niewzruszone iglice potężnej świątyni. „Köln” - odczytała napis na peronie. Kolonia.

Wąskie uliczki były zatłoczone. Kończyły się godziny szczytu, wkrótce miał zapaść zmrok. Helenę przyglądała się starym kobietom w czarnych chustach ciasno zawiązanych pod brodami. Zauważyła młode pary przystające obok oświetlonych wystaw. Odnotowała w pamięci, że najlepiej ubrane kobiety nosiły futra z karakułów. Dzieci kroczyły cicho przy rodzicach,

grzeczne i schludne. Wszystko było czyste i uporządkowane.

W hotelu turyści i biznesmeni stali wokół eleganckiej, nieskazitelnej recepcji. Słysząc było rozmowy w różnych językach; nie tylko gardłowy niemiecki, który Helenę pamiętała z czasów okupacji.

Kobiety w powojennych Niemczech mogły nosić karkasy świadczące o zamożności i statusie społecznym, ale nic nie robi takiego wrażenia jak norki. Recepcjonista obrzucił uważnym spojrzeniem futro Helenę i natychmiast do niej podszedł.

- Darfich...*

* Czy mogę (niem.)

- Helenę Junot - oznajmiła krótko i dodała po francusku: - Mam rezerwację.

- Oui, madame - odpowiedział, gładko przechodząc na francuski. - Jedną chwileczkę.

Spojrzał w rejestr rezerwacji, przesuwał po nazwiskach zadbanym paznokciem. Helenę przyglądała mu się, nie mogąc przestać myśleć o tym, czy był we Francji w latach wojny. Wiek miał odpowiedni, mówił dobrze po francusku. Nauczył się tego w Paryżu? Służył w gestapo? Czy tylko w Wehrmachcie? Przestań, nakazała sobie surowo. O to samo mogłabyś pytać

wszystkich dorosłych Niemców.

Pracownik recepcji podniósł wzrok i uśmiechnął się profesjonalnie.

- Mam. Madame Junot. Pięć dni, pokój czterdzieści trzy.

Sięgnął po jeden z kluczy wiszących na tablicy. Helenę bez słowa otworzyła torebkę i podała mu paszport. Podpisała się szybko w księdze meldunkowej, a potem ją odsunęła.

- Wkrótce otrzyma pani paszport z powrotem, madame - zapewnił recepcjonista.

- Chciałabym przechować coś w sejfie -

powiedziała i podała mu grubą kopertę. Były tam pieniądze. Dużo pieniędzy. Wszystko, co otrzymała od Baghata Cheopsa. Następnego dnia miała je zamiar zdeponować w jakimś niemieckim banku.

Helenę zatrzymała się przed oszklonymi drzwiami. Złote drukowane litery głosiły: „K. Häberle”. I pod spodem: „Prywatny detektyw”.

Było to jedenaste biuro, które odwiedziła w ciągu ostatnich trzech dni. Z tego czy innego powodu żadne z poprzednich jej nie odpowiadało. Zanim zdążyła zmienić zdanie dotyczące tego, nacisnęła mosiężną klamkę i weszła do środka.

Znalazła się w sekretariacie. Młoda blondynka za biurkiem miała narzucony na ramiona beżowy, rozpinany sweter. Spojrzała na Helenę i uśmiechnęła się uprzejmie.

- Guten morgen - powitała ją. Helenę zmusiła się do uśmiechu.

- Parlez-vous français? - zapytała.

Kobieta uśmiechnęła się, pokazując kciukiem i palcem wskazującym, jaka jest jej znajomość francuskiego.

- Un peu - odpowiedziała. - Czy zechce pani usiąść? - Wskazała ręką lakierowane krzesło naprzeciw biurka.

Helenę potrząsnęła głową. Przekonała się, że szybciej załatwi każdą sprawę, stojąc.

- Nie, dziękuję - odrzekła. - Czy zastałam pana Häberle? Uśmiech blondynki zrobił się szerszy.

- Tak, oczywiście. Proszę chwilę poczekać. - Odsunęła krzesło, wstała i podeszła do drugich szklanych drzwi. Otworzyła je i zaczęła rozmawiać z kimś w środku. Helenę słyszała głosy, ale nie rozumiała ani słowa. Nigdy nie chciała się uczyć niemieckiego.

Sekretarka zaprosiła ją ruchem ręki. Helenę szybko przeszła przez biuro i weszła do gabinetu. Kobieta zamknęła

za nią drzwi, a sama pozostała w sekretariacie.

Za zniszczonym biurkiem siedział szczupły młody mężczyzna o gęstych posiwiałych włosach. Jego niebieskie oczy spoglądały łagodnie, ale czujnie i oceniająco. Był ubrany w ciemny luźny garnitur i białą spraną koszulę, kołnierzyk miał rozpięty, krawat luźno zawiązany. Podniósł się i wyciągnął dłoń.

- Jestem Karl Häberle - przedstawił się oficjalnie po francusku. - Proszę mi wybaczyć słownictwo i wymowę. Minęło dobrych parę lat od czasów, kiedy uczyłem się francuskiego.

Grzecznie wysunął wyściełane krzesło i Helenę usiadła.

- Czy napije się pani kawy? - zapytał.

- Nie, dziękuję. - Potrząsnęła głową.

Häberle obszedł biurko i usiadł. Oparł się wygodnie i obserwował nieznajomą z ciekawością.

- Proszę mi powiedzieć, mademoiselle... czy dobrze mówię, mademoiselle? - Helenę potwierdziła - dlaczego szuka pani prywatnego detektywa?

Popatrzyła na kolana, jakby tam mogła znaleźć odpowiedź. Przez chwilę

milczała. Potem uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Chcę kogoś odnaleźć - wyjaśniła krótko. Karl Häberle skinął głową ze zrozumieniem.

- Kogo?

- Mężczyznę. Kogoś, kto podczas wojny był we Francji. Popatrzył na nią ponuro.

- Niemca.

- Tak - odpowiedziała cicho. - Niemca.

Jego niebieskie oczy wpatrywały się w nią uważnie.

- Dlaczego chce go pani odnaleźć?
Helenę odwróciła wzrok.

- Był dla mnie dobry. On... ocalił mi życie. Detektyw potrząsnął głową.

- Pani kłamie. Nienawidzi go pani.

Helenę popatrzyła na niego, a potem wychyliła się do przodu. Jej oczy zabłyśły.

- Tak! - powiedziała szeptem, który odbijał się echem od ścian pokoju. - Nienawidzę go!

- A dlaczego chce pani odnaleźć tego człowieka? Żeby go postawić przed sądem czy... żeby się zemścić?

- Chcę, by zapłacił za to, co uczynił -
odrzekła drżącym głosem.

- Muszę wiedzieć, co to było.

Zamknęła oczy. Jej głos był pełen bólu,
monotonny, zmęczony.

- W tysiąc dziewięćset czterdziestym
czwartym roku miałam siedem lat -
zaczęła. -Niem... przepraszam,
hitlerowcy przyszli do naszego domu.
Moja matka działała w podziemiu, była
wtedy w ciąży. Znaleźli ukryty nadajnik
radiowy. Bili i kopali mamę w brzuch,
dopóki... dopóki...

- Chwileczkę, mademoiselle.

Helenę drgnęła i zamrugnęła oczami jak ktoś, kogo nagle obudzono z koszmarne snu. Detektyw sięgnął do biurka, wyciągnął butelkę wódki i nalał trochę do kieliszka. Podał jej alkohol. Helenę skinęła głową z wdzięcznością i wypła łyk. Ręce jej drżały.

- Proszę kontynuować - zachęcił ją łagodnie detektyw. Kiwnęła głową i przełknęła ślinę. Odstawiła kieliszek na biurko.

- Moja matka poroniła, panie Häberle. Nigdy nie zapomnę widoku krwi spływającej po szarych pończochach. Michelle, nasza służąca, próbowała nas bronić i została zastrzelona. Mój brat, nasza starsza siostra Catherine, maleńka

siostrzyczka Marie i ja zdołaliśmy uciec. Rozdzieliliśmy się. Kilka tygodni później hitlerowcy znaleźli mnie i brata. Mieli już Catherine i Marie. Catherine udawała, że nas nie zna. Aby nas złamać, tamci torturowali wtedy Marie. Na naszych oczach! Czy ktoś, kto może zrobić krzywdę bezbronnemu dziecku, jest człowiekiem?

Häberle milczał. Nie miał na to odpowiedzi. Helenę na chwilę zabrakło słów.

- Catherine się nie załamała i my oboje zostaliśmy wypuszczeni. Nigdy więcej nie zobaczyłam moich sióstr - zakończyła. - Myślę, że wysłano je do

obożu w Polsce.

Detektyw popatrzył na nią ze współczuciem. -I wie pani, kto był za to odpowiedzialny? Przytaknęła.

- Nigdy go nie zapomnę.

- Możliwe, że ten mężczyzna został już skazany za swoje zbrodnie. Albo uniewinniony. Czy pomyślała pani o tym?

- Tak. Ale w głębi duszy wiem, że go nie schwytano. Jest wolny i żyje gdzieś spokojnie, w Berlinie, Monachium czy w Buenos Aires. Może nawet chodzi sobie po Kolonii. Czuję to!

- Musi pani pamiętać, że we Francji służyło wielu Niemców. Niektórzy zostali potem wysłani na front wschodni albo przeniesieni do Włoch, Holandii czy też z powrotem do kraju... -

Wzruszył ramionami. - Mnóstwo ich zginęło. Akta mogły zostać zniszczone. Trudno będzie prześledzić ludzkie losy w tych latach chaosu.

- Wiem o tym.

- Byłoby łatwiej, gdyby zwróciła się pani do jakiejś organizacji żydowskiej lub amerykańskiej - zasugerował detektyw. - To dużo tańsze.

- Nie! - Gwałtownie potrząsnęła głową, próbując panować nad swoim głosem. -

Nie - powtórzyła cicho. - Nie chcę. Nie chcę, żeby tamci go złapali. Muszę to zrobić sama.

- Czy zna pani jego nazwisko? -Nie.

- Wie pani, skąd pochodził? -Nie.

Häberle westchnął.

- Zatem będzie to bardzo trudne.

Helena pochyliła się i chwyciła go mocno za ramię. Na jej twarzy odmalowało się zdenerwowanie.

- Muszę go odnaleźć - powiedziała posępnie.

- Jak pani sobie tyczy. Ale nie mogę ręczyć za rezultaty i to będzie drogo kosztowało. Osobiście radzę, by pani zrezygnowała. Może to panią wiele kosztować. Zarówno pieniędzy - spojrzał na nią ze współczuciem - jak i nerwów - dodał łagodnie.

Helene instynktownie go polubiła. Był uczciwy. Nie jak inni, którzy, jak czuła, oszukiwaliby ją, by wyciągnąć jak najwięcej pieniędzy.

- Jestem przygotowana na koszty - oświadczyła stanowczo. - Chcę, żeby poświęcił pan tej sprawie niepodzielną uwagę.

- To może potrwać - uprzedził ją. -

Miesiące, a nawet lata.

- Mam czas. - Jej głos był ostry jak brzytwa. Sięgnęła do torebki i wyciągnęła grubą kopertę. Rzuciła ją na biurko. - To zaliczka.

Detektyw bez pośpiechu rozłożył banknoty niczym wachlarz.

- Dwadzieścia tysięcy marek - powiedziała Helenę. - Gotówką. A jeżeli go pan znajdzie, zapłacę najwyższą stawkę i premię.

Zdeponowałam dwieście tysięcy marek w Dresdener Bank. Czekają na pana.

Detektyw uniósł brwi.

- Bardzo pani na tym zależy - zauważył.

- Tak, panie Häberle. Czy przyjmie pan tę sprawę? - Popatrzyła na niego surowo. Häberle z uśmiechem pokiwał głową.

- Skoro pani proponuje takie warunki. Teraz proszę mi opowiedzieć wszystko o tym mężczyźnie.

- Po pierwsze, wiem, że towarzyszył mu sierżant Schmidt. Gruby mężczyzna w średnim wieku.

- W tym kraju są setki tysięcy Schmidtów. To jedno z najbardziej popularnych niemieckich nazwisk. Czy może go pani opisać?

- Był niski, miał ciemne włosy.
Czerwoną twarz. Wydawał mi się
olbrzymi, jak wszyscy dorośli dzieciom.
- Uśmiechnęła się smutno. - Miał
pieprzyk na brodzie. Gdzieś tutaj. -
Wskazała palcem swój podbródek.
- Coś jeszcze?
- Przykro mi, ale nie.
- A ten mężczyzna, którego pani szuka?
Parsknęła krótkim ponurym śmiechem.
- Znam jego stopień wojskowy, wiem,
że był w SS, i mogę go opisać. Wysoki,
długa wąska twarz przypominająca
trupią czaszkę. - Zrobiła pauzę. -
Wydawał mi się ohydny, panie Häberle.

On był albinosem.

Rozdział 8

Hrabia uprzejmie pomógł Helenę zdjąć norki. Położył je niedbale na oparciu jednego z aksamitnych foteli. Usiadła ostrożnie, by nie pognieść sukni, i wychyliła się ponad balkonem loży Filipa de Légera.

Uwielbiała chodzić do opery. Lubiała siedzieć na fotelu, elegancko ubrana i oglądać wystrojonych ludzi. Kiedy wchodziła po wspaniałych schodach, czuła dreszcz podniecenia. Ale nade wszystko uwielbiała słuchać muzyki i obserwować dramat rozgrywający się na scenie. W jakiś sposób ów świat był

zarazem nierealny i prawdziwy. Podczas każdego przedstawienia Helenę dostawała gęsiej skórki.

Jej oczy przesuwwały się po olbrzymiej sali. Wszędzie były kolorowe marmury w bladych odcieniach bieli i różu, a także głębszych, bogatszych barwach zieleni, czerwieni czy błękitu. Ogromny błyszczący żyrandol zwisający spod kopuły sufitu ważył podobno sześć ton. Helenę zerknęła na stronę tytułową programu; „Alceste” - głosiły wielkie litery; kompozytor: Christoph Willibald Gluck. Otworzyła program i zaczęła go czytać ze wzrastającym zainteresowaniem. Nigdy nie słyszała o tej operze i to podwoiło jej podniecenie.

Hrabia pochylił się ku niej.

- Pierwszy rząd naprzeciwko orkiestry.
Widzisz tego starszego mężczyznę z
siwymi włosami?

Helenę zmarszczyła brwi i wyciągnęła
szyję. Spojrzała w dół, a potem
ponownie na swojego towarzysza.

- Tak - powiedziała. - Kto to jest?

- Stanisław Kowalsky, pianista.

W milczeniu skinęła głową. Nie musiała
pytać, kim był Kowalsky. Każde dziecko
we Francji wiedziało, że to jeden z
najlepszych światowych pianistów.
Chociaż raz surowi

krytycy i entuzjastyczna publiczność zgadzali się w swoich ocenach: był lepszy od Rubinsteina i Horowitza.

Nagle drzwi ich łoży się otworzyły.

- Przepraszam - rozległ się dźwięczny głos. - Nie wiedziałem, że ktoś tu jest. Helenę i hrabia odwrócili głowy. W głębi łoży stał Hubert de Léger. A obok niego

wytworna młoda panna w różowej sukni. Obrzuciła Helenę zimnym spojrzeniem.

Helenę i Hubert przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Potem Hubert zwrócił się do swojej towarzyszki:

- Lille, bądź aniołem i poczekaj na zewnątrz. Dziewczyna wyglądała na zmieszaną. Potem niechętnie kiwnęła głową i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Hubert postąpił do przodu.

- Myślałem, że Lille i ja możemy się wybrać do opery, skoro nikt nigdy nie korzysta z naszej loży - powiedział cicho. - Ale widzę, że się myliłem.

- Zaproś ją do nas - zaproponował hrabia. - Miejsca jest dość.

Hubert roześmiał się i spojrzał na Helenę z nagłym błyskiem zrozumienia w oczach.

- Pewnie mieszkasz na Boulevard Maillot? Nie odpowiedziała.

- Ojciec zawsze lokuje tam swoje utrzymanki. Nie wiedziałaś o tym?

- Zapomnę o tych słowach - odezwał się cicho hrabia. - Uważam, że teraz powinieneś przeprosić Helenę i wyjść.

Wracaj do książek. Twoim ocenom na uniwersytecie nie zaszkodzi, jeżeli się więcej pouczysz.

Na twarzy Huberta pojawiły się rumieńce.

- Dlaczego mnie wyrzucasz? Żebyś mógł zostać sam ze swoją dziwką?

Helena wstała. Kiedy spojrzała na Filipa de Légera, jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

- Chyba straciłam ochotę na oglądanie tej opery - oświadczyła ze spokojem. Hrabia podniósł się również. Zrzucił jej futro na ramiona.

- Ucieczka ci nie pomoże - rzucił Hubert przez zęby. - Niczego nie zmieni. Dziwka pozostaje dziwką.

Wzdrygnęła się. Już prawie była przy drzwiach, kiedy Hubert złapał ją za ramię i obrócił twarzą ku sobie.

- Helena! - zawołał. - Zostaw go i chodź ze mną!

- Pozwól mi wyjść - powiedziała zimnym głosem.

- Za chwilę. - Przyciągnął ją bliżej. - Sypiasz z nim, prawda? - zapytał syczącym głosem, zerkając to na ojca, to na dziewczynę. - Ale nie chciałaś sypiać ze mną. Dlaczego? Chodzi ci o pieniądze? Mam fundusz powierniczy. A może wolisz starych mężczyzn?

Szarpnęła się ze złością i uwolniła ramię. Palce Huberta zacisnęły się na jej nadgarstku.

- Puść mnie, to boli - odezwała się, szcękając zębami.

- Dlaczego mnie odrzucasz? - naciskał. -

Chcesz tak po prostu odwrócić się i z nim wyjść? Tak na ciebie działa tytuł hrabiego?

- Puść ją! - szepnął jego ojciec.

Twarz miał napiętą. Hubert spojrzał na niego.

- Lubisz odbijać mi kobiety, nieprawdaż, ojczy? To sprawia, że czujesz się jeszcze mężczyzną, tak?

Nagle Helenę uderzyła go w twarz. Hubert puścił jej nadgarstek i patrzył na nią zaskoczony, ostrożnie przykładając palce do czerwieniejącego policzka.

- Może jestem dziwką - wysyczała - ale

nie zasługujesz na takiego ojca. Nie zasługujesz nawet na mnie! -
Odepchnęła go i wybiegła z łoży.

Kasztanowce w Lasku Bulońskim żółkły już, kiedy taksówka zatrzymała się przy krawężniku.

- Jesteśmy na miejscu - powiedziała Helenę.

Pani Dupré sięgnęła do torebki, ale dziewczyna potrząsnęła głową i powstrzymała madame ruchem ręki.

- Jest pani moim gościem - oznajmiła stanowczo. Pani Dupré zawahała się, a potem posłała jej uśmiech.

- Dobrze. Dziękuję.

Wysiadły z taksówki i patrzyły, jak kierowca wyjmuje z bagażnika walizkę. Postawił ją na chodniku. Helenę szybko mu zapłaciła i chwyciła rączkę walizki.

- Co za uroczy dom! - zachwyciła się pani Dupré, kręcąc głową ze zdumienia. - I jakie sztywne miejsce, Lasek tak blisko.

- Owszem, bardzo tu miło - przytaknęła Helenę.

- Będę często spacerowała po Lasku. - Pani Dupré uśmiechnęła się. - Kocham jesień w Paryżu. Prawie zapomniałam, jaki bywa wtedy piękny. Ale

najcudowniejszy jest wiosną.

Ruszyła za Helenę po marmurowych stopniach i poczekała, aż dziewczyna otworzy drzwi.

- Proszę. - Helenę zrobiła zachęcający ruch ręką. Pani Dupré weszła do holu i rozejrzała się zaskoczona.

- Ależ... myślałam, że wynajmujesz tu tylko pokój! - zawołała. Helenę uśmiechnęła się niewyraźnie.

- Nigdy tego nie twierdziłam. - Zaczęła zamykać drzwi, ale poczekała chwilę. Po schodach biegł młody mężczyzna w pocztowym uniformie. Poczekała, aż dotrze do wejścia.

- Telegram do panny Junot - powiedział.

- To ja.

Podał jej kopertę i bloczek do podpisu.
Potem chciał odejść.

- Chwileczkę - zatrzymała go. Wyjęła z torebki kilka monet i podała je posłańcowi.

- Co to? - zapytała pani Dupré.

- Telegram - odrzekła Helenę zamyślona. Ze zmarszczonymi brwiami rozerwała kopertę. Potem wyciągnęła kartkę, rozłożyła ją i szybko przeczytała:

DZIELNA MAŁA FRANCUZECZKO

STOP MAMY CÓRECZKĘ A TY
BRATANICĘ STOP JEANNE
NALEGA ŻEBY OCHRZCIĆ JĄ
HELENĘ STOP ŻEBY NIE BYŁO
NIEPOROZUMIEŃ BĘDZIEMY JĄ
NAZYWAĆ PETITE HELENĘ STOP
KOCHAMY CIĘ STOP DUMNA
MATKA I OJCIEC JEANNE
IEDMOND

- Jeanne urodziła córeczkę! -
wykrzyknęła uradowana. Wcisnęła
depeszę w dłoń pani Dupré.

Pani Dupré przeczytała wiadomość i
pokiwała głową.

- Musiała urodzić, kiedy byłam w
pociągu! Helenę zaśmiała się głośno.

- Proszę sobie wyobrazić, zostałam...
ciotką! - Potem dodała miękko: - Petite
Helenę - ładnie, prawda?

Starsza dama przytaknęła.

- Oczywiście. I założę się, że jest
pięknym dzieckiem - powiedziała
ciepło. - Jeanne musi być bardzo
szczęśliwa.

Helenę uroczyście skinęła głową.

- Będzie cudowną matką. - Potem się
uśmiechnęła. - Może teraz zaprowadzę
panią do pokoju. Podróż na pewno była
męcząca. Myślę, że chce się pani umyć,
a potem trochę zdrzemnąć, żeby
wypocząć. Zaplanowałam już najbliższe

dni; mamy wyczerpujący program. Jutro pracuję, ale zarezerwowałam dla pani miejsce na pokazie u Odile Joly.

Wprawdzie to tylko zwyczajny pokaz, oczywiście nie tak podniecający jak prezentacja letniej i zimowej kolekcji, ale zobaczy pani jej projekty. - Helenę uściskała mocno krawcową. - Jestem taka szczęśliwa, że przyjechała pani mnie odwiedzić! Nawet jeżeli tylko na pięć dni.

Pani Dupré uśmiechnęła się do niej. -I ja jestem szczęśliwa.

- Chodźmy na górę. Madame chciała wziąć walizkę.

- Proszę to zostawić! - powiedziała

Helenę. - Marthe przyniesie ją później.

- Marthe?

- Moja pokojówka - wyjaśniła nieco zakłopotana.

Pani Dupré w milczeniu kiwnęła głową. Kiedy doszły do pokoju gościnnego, Helenę szeroko otworzyła drzwi i cofnęła się.

- Voila\

Pani Dupré weszła do środka. Zastony były rozsunięte i sypialnię wypełniało światło dnia. Popatrzyła przez okno na Lasek, a potem rozejrzała się po pokoju. Pod jedną z kremowych ścian

znajdowało się wielkie łóżko przykryte kremową satynową kapą.

- Jak tu pięknie! - zachwyciła się madame.

Helenę uśmiechnęła się i otworzyła po kolei różne drzwi.

- Tu jest toaleta, a tu łazienka.

Przygotowałam mydła i ręczniki. Może się pani umyć, zanim Marthe przyniesie walizkę.

Pani Dupré pokiwała głową.

- Co za luksus! - powiedziała z uśmiechem, który zbladł, gdy ujrzała w łazience grube białe ręczniki kąpielowe.

Wyhaftowany był na nich znajomy herb.
Herb rodziny de Légerów.

Helenę zauważyła wyraz twarzy swojej dawnej pracodawczyni. -I znowu oni - zażartowała cicho. - Tylko tym razem to nie są klitki dla służby. Starsza kobieta podeszła bliżej i ujęła ją za rękę. W jej oczach pojawił się smutek zmieszany z obawą.

- Bądź ostrożna - rzekła cicho. - Kiedy kobieta jest w takiej sytuacji... Chodzi mi o to... - zawahała się zażenowana.

- Wiem - odpowiedziała Helenę, starając się, by jej głos zabrzmiał lekko.
- Jestem utrzymanką, która w każdej chwili może się znaleźć na bruku.

Pani Dupré odwróciła wzrok.

- Nie to mnie martwi. My, Francuzi, jesteśmy pobłażliwi. Akceptujemy romanse. Tylko pamiętaj... - Potrząsnęła głową. - Przepraszam. Nie powinnam się wtrącać. Nie powiem już ani słowa.

Twarz Helenę była bez wyrazu.

- Nie. Proszę mówić.

Jej mentorka uniosła dłoń.

- Hubert jest... cóż, tak jak cię ostrzegałam w Hautecloque, jest kobieciarzem. Nie dochowa wierności jednej dziewczynie. Nie wystarczy mu nawet żona i kochanka, jak jego ojcu. To

playboy, on kocha wszystkie kobiety. Teraz, kiedy już cię zdobył, jego zainteresowanie szybko zniknie. Boję się o ciebie, Helenę. Nie chcę, żebyś cierpiała.

Dziewczyna wybuchnęła śmiechem. Chichocząc, usiadła na łóżku i spojrzała na swoje stopy.

- Co cię tak śmieszy? - spytała madame.

Śmiech ucichł i twarz Helenę zrobiła się poważna. Dziewczyna spojrzała w oczy pani Dupré.

- Nie widuję się z Hubertem - odparła cicho. - Jestem kochanką hrabiego.

Punktualnie o siódmej zasiadły do obiadu w wielkiej jadalni. Helenę sama wszystko przygotowała.

- Jak to uroczo wygląda! - zachwyciła się pani Dupré. Helenę starała się dzisiaj wyjątkowo i ta pochwała ją ucieszyła. Przyniosła z piwnicy butelkę Château Hautecloque-de Léger.

Otworzyła ją i

odstawiła, by wino pooddychało. Teraz ostrożnie przelała je do kryształowej karafki, uważając, by nie zmącić osadu. Nappełniła kieliszek pani Dupré.

Starsza kobieta uniosła go i przez chwilę wdychała aromat. Potem wypiła mały łyk i zamknęła oczy, delektując się

smakiem.

- Doskonałe - orzekła.

Zadowolona Helenę dołąła pani Dupré wina i usiadła naprzeciwko niej. Marthe podała główne danie i wyszła. Helenę chciała zostać sama ze swoją dawną pracodawczynią.

- Czy smakują pani żeberka?

Starsza dama zrobiła zachwyconą minę.

- Przepyszne. Nigdy nie jadłam tak smacznych.

- Marthe umie gotować - przyznała Helenę.

Przez chwilę jadły w milczeniu. Potem pani Dupré odłożyła sztucce.

- Czy myślisz nadal o swoim magazynie?

- zapytała. Helenę kiwnęła głową, bawiąc się widelcem.

- Tak, ale jeszcze na to nie pora. Na wydawanie magazynu potrzeba olbrzymich pieniędzy.

- A hrabia? Nie pomoże ci? Nie chodzi mi o... prezent - dodała szybko madame, spuszczać oczy - tylko o pożyczkę lub inwestycję. - Spojrzała na Helenę przez stół.

Dziewczyna uśmiechnęła się smutno.

- Tak, jednak on jest, niestety, bardzo staroświecki. Uważa, że miejsce kobiety jest w domu. Myślę, że z trudem akceptuje moją pracę u Odile Joly.

- Nie próbowałaś mu wytłumaczyć, że nie ma większej różnicy między pracą u kogoś a na swoim?

- Tak. - Helenę westchnęła. - Ale on twierdzi, że kobiety nie mają głowy do interesów.

- Czyżby? - W oczach madame błysnęło oburzenie. - Niech popatrzy na słynne projektantki mody! Chanel, Madame Gres, Madame Vionnet. Wszystkie z powodzeniem prowadzą własne firmy.

-I Odile Joly - dodała Helenę z uśmiechem.

- Przede wszystkim Odile Joly - przytaknęła pani Dupré. - Te kobiety odniosły wielki sukces!

- Obawiam się, że hrabia tego nie widzi. Właściwie chyba się boi, że kiedy wydać swoje pismo, nie będzie miała dla niego wystarczająco dużo czasu.

- Co zatem zamierzasz zrobić?

- Nie wiem. Wiem, że nigdy nie uda mi się wydawać pisma z pensji modelki. Po prostu zarabiam zbyt mało. Nie mogę też liczyć na pomoc i błogosławieństwo

hrabiego. - Westchnęła bezradnie. -
Bardzo mnie to gnębi. Nie przychodzi mi
do głowy żaden pomysł.

Pani Dupré kiwnęła głową.

- Trudno jest stworzyć coś z niczego. A
dwukrotnie trudniej, gdy się jest kobietą.

- Więc co mam zrobić?

- Poczekaj - poradziła łagodnie. - Bądź
cierpliwa, poczekaj na stosowną chwilę,
a wtedy wykorzystaj wszelkie
możliwości. Nauczyłam się w życiu
jednego: każdy ma swój czas. Cały
sekret w tym, by dostrzec, kiedy ów
moment nadchodzi, a wtedy działać
odważnie i wytrwale. Kiedy nadejdzie

twój czas, nie wolno ci się wahać. Ja zaprzepąciłam swoją szansę. I zauważyłam ją dopiero wtedy, gdy było już za późno.

- A więc poczekam - zgodziła się Helenę. - Ale jak długo?

- Jesteś młoda - odparła pani Dupré. - Bardzo młoda. Nie przyspieszaj rozwoju wydarzeń. - Zastanowiła się chwilę. - Może nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale już zaczęłaś działać - dodała.

Helenę poczuła, jak ogarniają fala podniecenia.

- Chyba nie rozumiem... - odrzekła z wahaniem. Ciemne oczy pani Dupré

patrzyły na nią łagodnie i mądrze.

- Nie rozumiesz? To pismo jest twoim przeznaczeniem. Masz to we krwi. I wszystko, co się do tej pory zdarzyło, prowadzi cię do celu. Kiedy weszłaś do mojego sklepu, zrobiłaś pierwszy krok. Pobyt w zamku to drugi. Teraz trwa etap trzeci. Znalazłaś się w świecie mody. Patrzysz na to wszystko od wewnątrz. Posuwasz się naprzód -powoli, ale nieustannie. Zapamiętaj moje słowa, Helenę. Osiągniesz swój cel. Popatrz na winogrona na wino. Trzeba je zerwać w momencie, kiedy są najbardziej dojrzałe. Nie wcześniej i nie później. Ty jeszcze nie dojrzałaś. Jednak wkrótce to nastąpi.

Baghat Cheops uśmiechał się grzecznie, wchodząc za szczupłym młodym mężczyzną do wytwornego gabinetu.

- Pan Bonnard zaraz przyjdzie - oznajmił młody człowiek. Cheops skinął głową uprzejmie.

- Jestem do usług - oświadczył, siadając w fotelu naprzeciwko biurka, na którym były tylko dwie lampy o bardzo intensywnym świetle. Kiedy młody człowiek wyszedł, Baghat zabębnił palcami o walizeczkę na kolanach i rozejrzał się po pokoju. Oszczędnie umeblowane biuro znajdowało się na drugim piętrze budynku pod numerem dziewięć przy Place Vendôme. Wytworny salon jubilerski przypominał

inne luksusowe sklepy na placu. Na pierwszym piętrze prowadzono sprzedaż, drugie było przeznaczone dla kierownictwa i dostawców. Na łukowatych oknach i białych markizach umieszczono napis „Claude Jassel”.

Cheops zapalił jednego ze swoich brązowych egipskich papierosów i zaciągnął się ostrym dymem. Odstawił walizczkę na podłogę, podniósł się i zaczął spacerować po pokoju. Nie lubił czekać. A już na pewno nie chciał wyczekiwać na takiego snoba jak Bonnard. Niecierpliwił się, pragnąc jak najszybciej wymienić przyniesioną biżuterię na sześciocyfrowy czek. Spojrzał na papierosa; popiół już opadał

na podłogę. Baghat poszukał wzrokiem popielniczki, ale jej nie zauważył i zmuszony był strząsnąć papierosa za mankiet spodni. Pomyślał, że musi je wyczyścić po przyjściu do domu.

Zawsze o tym zapominał i jego mankiety pełne były popiołu i niedopałków. Kilka minut później do gabinetu wszedł dystyngowany mężczyzna w eleganckim garniturze.

- Witam, panie Cheops - rzucił opryskliwym tonem.

- Bonjour, panie Bonnard - odpowiedział Baghat głosem słodkim jak miód. Usiadł ponownie przed biurkiem, zgasił niedopałek i umieścił go w mankiecie.

Bonnard zajął miejsce za biurkiem.

- Czym mogę panu służyć, panie Cheops? - zapytał szorstko.

Egipcjanin uśmiechnął się szeroko, a jego złoty ząb odbił światło padające z okna. Czuł, że pot oblewa mu czoło, i sięgnął po chusteczkę.

- Chciałbym panu zaprezentować następny klejnot - wymamrotał ugrzecznionym tonem, osuszając twarz. - Oczywiście w całkowitej dyskrecji.

- Oczywiście. - Bonnard pozwolił sobie na lekki uśmiech. O Cheopsie można było powiedzieć wszystko poza tym, że

był dyskretny.

Egipcjanin przejął to słowo od starszych dam z towarzystwa. Zmuszone do sprzedaży klejnotów matrony nalegały, aby kamienie wyjmowano z opraw, tak by nikt ze znajomych nie mógł rozpoznać biżuterii i domyślić się, że dotychczasowe właścicielki mają kłopoty finansowe. Cheops jednakże nie przejmował się takimi drobiazgami. Dla niego dyskrecja oznaczała nieujawnianie źródła klejnotów.

- To najwspanialsza rzecz, jaką do tej pory przyniosłem - oznajmił teraz głosem pełnym zachwytu. - Kamienie najwyższej jakości. Naszyjnik godny cesarzowej.

- Czy mogę go zobaczyć? - Bonnard wyciągnął dłoń.

- Oczywiście. - Cheops pośpiesznie otworzył walizeczkę. Wyciągnął długie, wąskie etui, położył je na blacie i pchnął w kierunku Bonnarda. Na wierzchu wytłoczony był napis: „Van Clef i Arpels”.

Jubiler podniósł wieczko, wyjął z szuflady kawałek aksamitu i ułożył na nim naszyjnik. Szafiry zaświeciły ciemnoniebieskim blaskiem, otoczone zimnymi diamentami. Cheops aż wstrzymał oddech, lecz Bonnard ledwie na nie spojrział. Włączył obie lampy. Z całkowitą obojętnością wziął do ręki

lupe. Oglądał kamienie dokładnie, ale beznamiętnie. Dla niego był to po prostu towar. Jego zachowanie się zmieni, gdy będzie pokazywał ten klejnot klientom. Wtedy będzie się zachwycał i zachwalał naszymi najwspanialszymi słowami.

Cheops przyglądał mu się w napięciu.

- Niezły, co? - zapytał, szczerząc zęby w uśmiechu. Bonnard milczał, starannie badając każdy kamień.

Co za snob, irytował się w myślach Egipcjanin. Uważa, że wszystko wie najlepiej. Ale zaraz się pocieszył, robiąc szybkie obliczenia. Uznał, że otrzyma prawdopodobnie połowę wartości naszymi. Wiedział, że w

sklepie cena klejnotu wyniesie co najmniej dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Gratulował sobie w duchu, że zapłacił za niego dwadzieścia. Prawdopodobnie dostanie teraz od Bonnarda sto dwadzieścia pięć tysięcy. A zatem sto dziesięć tysięcy zysku z jednej wizyty. Nieźle. Oby ta kobieta nie przestała przynosić mu klejnotów. Pewnie nie przestanie, chyba że spojrzy na witrynę jednego z lepszych salonów jubilerskich w Paryżu. Bo oczywiście Bahrat nie sprzedawał jej biżuterii turystom ani obcokrajowcom, jak obiecał. Większość tych świecidełek wracała zapewne do tego samego miejsca, gdzie została kupiona.

Ponownie wytarł chusteczką czoło. Mam nadzieję, że młoda dama nie odkryje tego zbyt szybko, pomyślał. To moja kura znosząca złote jajka.

Dwudziestoczerokaratowe jajka, poprawił się szybko.

Była druga po południu, w pokoju zrobiło się ciemno. Za oknem, przy którym siedziała Helenę, ciężko padał śnieg. Kolana miała podciągnięte pod brodę, głowę oparła o szybę. Siedziała tak, odkąd zaczęło padać, czyli od kilku godzin.

Wpatrywała się w noc. Przez szklaną szybę świat na zewnątrz wydawał się zniekształcony. Wszystko było albo rozciągnięte, albo rozmazane,

pozbawione konturów. Jak w gabinecie luster, pomyślała, zagryzając wagi. Tylko to nie jest zabawne, ale przerażające. Zbyt przerażające. Do tej pory sprawy układały się dobrze, musiała to przyznać. Była główną modelką Odile Joly i żyło jej się nieźle z hrabią. Dostała od niego całe szafy ubrań, biżuterię, dzięki której mogła zapłacić Häberlemu, i trzy piękne futra. Miała do dyspozycji pałacyk przy Boulevard Maillot. Tysiące mil dzieliły ją od ponurego labiryntu uliczek Montmartre'u i horroru Saint-Nazaire. Znalazła się na szczycie. Ale teraz? Odwróciła głowę od okna i spojrzała ze znużeniem na swoje dłonie. Teraz nagle wszystko się odmieniło. Okres jej się

spóźnił. Nigdy wcześniej to jej się nie przydarzyło, ale powiedziała sobie, że nic się nie stało. Nie dostała go jednak również w następnym miesiącu.

I w trzecim. Wreszcie ogarnięta paniką Helenę poszła do lekarza. Potwierdził jej najgorsze obawy, była w trzecim miesiącu ciąży. Zagryzając wargi do krwi, zastanawiała się, co dalej.

Jestem modelką, myślała. Nikt nie musi mi wyjaśniać, co się dzieje z modelką w ciąży. Nie ma takich. To szczęście, że w ogóle udało mi się dostać tę pracę. Setki, a nawet tysiące pięknych dziewcząt czekają w kolejce na moje miejsce, marząc o swojej szansie. I słyszałam, że po porodzie robią się

rozstępy. Co będzie, jeżeli mi nie znikną? Nie mogę wziąć sobie urlopu na urodzenie dziecka. Kiedy wrócę, moje miejsce będzie zajęte. A jak zdołam utrzymać siebie i dziecko bez pracy? Potrząsnęła głową. To błędne koło.

A co z hrabią? Nie miała co do niego złudzeń. Była zabawką w jego luksusowym domku dla lalek. Niepotrzebna mu kochanka w ciąży. Wyrzuci ją na bruk, kiedy tylko się o tym dowie. Może jedynie się spodziewać, że otrzyma jakieś zabezpieczenie finansowe, póki nie znajdzie sobie czegoś innego.

I wreszcie najważniejsze - jej marzenia.

Wielkie ambicje Helenę. Jej magazyn. Wybrała już nazwę. - „Les Modes”. Wiedziała, że to jedyne dziecko, jakie pragnęła mieć.

Potrząsnęła głową w rozpacz. Dziecko! Jeszcze się nie pojawiło, a już wszystko kręci się wokół niego.

Zdenerwowana wyprostowała nogi, a potem zaczęła obmacywać brzuch palcami. Był wciąż płaski i twardy. Nie wyczuwała żadnej różnicy. Jeszcze nie. Nie będzie nic widać jeszcze przez kilka miesięcy, ale to tam jest, głęboko wewnątrz. Mogła wyczuć, jak rośnie ta nieskończenie drobna iskierka życia.

Helenę zamknęła oczy i wzięła głęboki

oddech. W ciągu ostatnich kilku godzin w jej głowie rysował się pewien plan. Najpierw był przerażającą mroczną chmurą, którą od siebie odsuwała. Ale teraz przeobraził się w ohydny zdecydowany zamysł. To jedyne wyjście.

DZISIAJ Piątek, 12 stycznia

Rozdział 1

Helenę i Edmond wysiedli z windy na dwudziestym pierwszym piętrze Manhattan Banku. Helenę była ubrana niezwykle elegancko. Miała na sobie futro z soboli, pod nim kostium Givenchy'ego w kolorze kości słoniowej i pojedynczy sznur pereł. Buty

i torebka stanowiły komplet: były zrobione ze skóry jaszczurki. Aktówka, którą niosła, pochodziła ze sklepu Bottega Veneta na Madison Avenue i kosztowała dwa tysiące dolarów.

Tego ranka Helenę niezwykle starannie wybrała swoje ubranie. Przejrzała całą szafę, aby skompletować strój, w którym wyglądała elegancko, a zarazem nobliwie i konserwatywnie, jakby kupiła te rzeczy za „stare pieniądze”. Był to swego rodzaju kamuflaż, bo jej pieniądze z pewnością nie należały do starych, ale w dzisiejszych czasach odrobina retuszu nie szkodzi. Uznała, że perły będą w sam raz. Ani za dużo, ani za mało. Perły są zawsze odpowiednie.

Zdecydowała, że musi wyglądać konserwatywnie i niezwykle subtelnie. Nawet powściągliwie.

- Wygląd jest niezwykle ważny - mruknęła do siebie.

Spojrzała na znajome drukowane litery na ścianie ponad recepcją International Commercial Banking Division. Ten dział Manhattan Banku podobnie jak sekcja prywatnych rachunków mieszcząca się piętro niżej należały do tych obszarów bankowego świata, których większość ludzi nigdy nie miała okazji oglądać. Ważni klienci byli tu obsługiwani w wysłanych pluszem prywatnych gabinetach, tylko na umówionych wcześniej spotkaniach.

Tam, gdzie wchodziły w grę miliony dolarów, nie było czasu na czekanie w kolejce do okienek, w których siedzieli niesympatyczni pracownicy. Tutaj wszystko reprezentowało najwyższy poziom profesjonalizmu, kompetencji i dyskrecji.

Recepcjonistka powitała Helenę i Edmonda profesjonalnym uśmiechem.

- Czym mogę służyć? - zapytała uprzejmie.

- Jesteśmy umówieni z panem Rowenem
- oznajmił Edmond. Podniosła słuchawkę i zapytała:

- Kogo mam zaanonsować?

- Pani Junot.

- Proszę chwilę poczekać. - Uśmiechnęła się przepraszająco, wybrała numer i szepnęła coś cicho do słuchawki. Chwilę później odwiesiła ją i uśmiechnęła się ponownie.

- Pokój dwa-jeden-zero-siedem - powiedziała. Wskazała ręką hol. - Po prawej stronie. Pan Rowen oczekuje państwa.

- Dziękujemy - powiedział Edmond.

Ujął siostrę za rękaw futra i poprowadził przez wysłany niebieskim dywanem korytarz. Na białych ścianach wisiały różnokolorowe reklamy

Manhattan Banku.

Przy drzwiach pokoju zastali młodego mężczyznę przymocowującego błyszczącą mosiężną tabliczkę. Helenę spojrzała na nią z ciekawością.

„R. ROWEN - wiceprezes”. Mężczyzna skończył swoją pracę, zauważył ich i odsunął się na bok.

- Przepraszam - rzekł sztywno. - Nie widziałem państwa... Helenę uśmiechnęła się odruchowo.

- W porządku - powiedziała. Ale jej uśmiech zniknął, gdy zauważyła starą mosiężną tabliczkę w jego ręce. Był na niej napis: „J.C. GORE III, wiceprezes”.

Zadrżała. Jak szybko nowe zastępuje stare, pomyślała. Minął raptem dzień od śmierci Gore'a, a już wszelkie ślady po jego urzędowaniu są usuwane. Nagle powietrze w holu stało się ciężkie i duszne. Ucieszyła się, kiedy Edmond otworzył drzwi biura. Biura człowieka, który zmarł.

Alice, sekretarka Gore'a, spojrzała na nich znad biurka. Miała czerwone oczy i wyglądało na to, że płakała.

- Witaj, Alice - odezwała się miękko Helenę.

- Dzień dobry, pani Junot. - Alice pociągnęła nosem i wytarła go w chusteczkę. - Pan Rowen oczekuje

państwa.

- Przykro mi z powodu śmierci pana Gore'a - powiedziała Helenę.

- Dziękuję, pani Junot. - Alice opanowała się, wstała i podeszła z godnością do wyłożonych fornirem drzwi gabinetu. Zapukała dwukrotnie. - Pani Junot i pan Junot, panie Rowen.

Odsunęła się, czekając, aż oboje wejdą, a potem cicho zamknęła drzwi. Gabinet był dziwnie ciemny. Olbrzymia dykta zasłaniała wybitą szybę w oknie, ograniczając światło i większość widoku. Helenę zadrżała.

Pan Rowen wstał i obszedł biurko.

Uścisnął im dłonie.

- Jestem Robert Rowen - powiedział przyjaznym, uspokajającym głosem. Zaprosił ich ruchem ręki, by usiedli.

Helenę zsunęła sobole na oparcie krzesła, po czym usiadła. Edmond zajął miejsce obok niej. Rowen wrócił za biurko. Helenę przekonała się, że ciemna dykta w oknie pozwala jej widzieć dokładnie twarz bankiera. Trudno byłoby wyczytać coś z oblicza pana Rowena, gdyby zza niego padało jasne światło dnia. Poczowała się nieco zdekoncentrowana tym, że nowy wiceprezes był tak bardzo niepodobny do swojego poprzednika. Nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo się

przyzwyczała do pucłowatego i astmatycznego oblicza Gore'a. Ten szczupły, ciemnowłosy mężczyzna po trzydziestce był przedstawicielem nowej kasty Młodych Zdolnych Profesjonalistów. Jak na swój wiek ubrany był tradycyjnie. Nosił konserwatywny prążkowany garnitur i koszulę firmy Turnbull and Asser - stosowne dla bankowej profesji.

Rowen odsunął na bok stertę wydruków z komputera i zaczął mówić, starannie dobierając słowa.

- Na razie zostałem wyznaczony przez zarząd na następcę pana Gore'a. Nie mam pojęcia, czy to nominacja na stałe.

Jednakże postaram się załatwić wszystko ku państwa zadowoleniu. - Spojrzał na Helenę. - Helenę Junot International, Incorporated jest stałym, uznanym klientem Manhattan Banku i nie będę ukrywać, że bardzo sobie cenimy współpracę z państwem. - Uśmiechnął się, pokazując proste białe zęby. - To również ulubione wydawnictwo mojej żony, muszę dodać.

Helenę posłała mu wdzięczny uśmiech. Oczekiwał tego.

- W każdym razie - kontynuował Rowen - jesteśmy bezpośrednio zainteresowani kontynuacją współpracy między pani firmą a naszym bankiem oraz podjęciem obustronnie korzystnej decyzji w kwestii

dziesięciomilionowej pożyczki. - Spojrzał na Helenę, która powoli kiwnęła głową. - Aby zapoznać się jak najszybciej ze wszystkimi okolicznościami sprawy, nie podejmę decyzji dotyczącej pożyczki wcześniej niż w poniedziałek.

Helenę ponownie kiwnęła głową, ale się nie odezwała. Edmond poprosił, aby mu pozwoliła prowadzić negocjacje. Teraz przystąpił do działania:

- Panie Rowen, dokładnie rozumiemy stanowisko Manhattan Banku. Ale jako przedstawiciel wydziału prawnego HJII, a zarazem doradca i brat pani Junot, poprosiłem o spotkanie w celu

zaznajomienia pana z nagłą potrzebą uzyskania przez nas prolongaty. Jak pan wie, HJII jest największym i najpotężniejszym na świecie koncernem prasowym zajmującym się sprawami mody. Mamy prenumeratorów na sześciu kontynentach. Jedno słowo w naszych magazynach może wynieść na szczyty lub zniszczyć największych projektantów i producentów odzieży. Pomogliśmy wielu sławnym dzisiaj projektantom zdobyć ich obecną pozycję - Halstonowi, d'Itriemu, Armaniemu, Geoffreyowi Beene i innym. Nasi wierni czytelnicy - a nasz łączny miesięczny nakład wynosi ponad dwadzieścia osiem milionów egzemplarzy - mają do nas pełne zaufanie i wydają prawie sześć

milionów rocznie na nasze periodyki.
Dochody z reklam...

- Proszę nie opowiadać mi o sukcesie Helenę Junot International, panie Junot - przerwał mu cicho Rowen. - Zgodnie z faktami dziesięciomilionowa pożyczka została udzielona nie spółce, lecz pani Junot.

Edmond potrząsnął głową.

- Pani Junot i HJII to to samo - powiedział gładko. - A ponieważ zaoferowała swoje udziały w HJII jako poręczenie, musi pan przyznać, że pożyczka dotyczy spółki. Szczególnie że przejęcie kontroli nad nią zależy od pańskiej decyzji.

Rowen strzelił palcami.

- Jestem tego świadomy - rzekł ostrożnie. - Ale niezupełnie rozumiem, do czego pan zmierza.

Edmond sięgnął po papierosy.

- Pozwoli pan? - zapytał, wyciągając papierośnicę z osiemnastokaratowego złota.

- Oczywiście.

Edmond wybrał papierosa, uderzył nim o papierośnicę i powoli zapalił. Był to trik, który odkrył już dawno i z którego korzystał, kiedy potrzebował czasu do namysłu. Rowen jest bystry, pomyślał.

Nie uda się z nim tak łatwo negocjować jak z Gore'em.

- Próbuję panu jedynie wyjaśnić, że bez kierownictwa, gustu i zdolności pani Junot koncernowi może zagrozić niebezpieczeństwo utraty osiągniętej pozycji. Bez niej HJII zbankrutuje w ciągu najbliższych pięciu lat. Może wcześniej. I dlatego sprawą najwyższej wagi jest, by Manhattan Bank powstrzymał się od sprzedaży zastawu.

Jak wszystkie wielkie firmy i wielu bogatych przedsiębiorców pani Junot ma przejściowe kłopoty finansowe.

Większość jej pieniędzy jest związana przez inwestycje. Mogę pana zapewnić, że ten brak gotówki jest chwilowy.

Pozwolę sobie również przypomnieć pańską uwagę, że całość spraw finansowych HJII prowadzi Manhattan Bank. Zależy to całkowicie od pani Junot. Jeżeli jej udziały zostaną sprzedane, utraci kontrolę nad HJII i nie będzie pan miał gwarancji, że Manhattan Bank będzie nadal prowadził finanse spółki. Myślę, że nie muszę panu mówić, iż przez ten bank przepływa rocznie ponad sto sześćdziesiąt milionów naszych pieniędzy. Jestem pewien, że pan o tym wie.

Rowen kiwnął głową.

- Owszem. I jak już panu mówiłem wczoraj przez telefon, przed podjęciem

decyzji muszę rozważyć wszelkie czynniki.

Edmond wychylił się do przodu i zgasił niedopałek w wielkiej popielniczce. Jego oczy napotkały spojrzenie bankiera.

- Pan Gore... nadzorował nasze rachunki, prawda? - zapytał lekko.

- Jak również kilkaset innych - odpowiedział Rowen ostrożnie. Edmond odchylił się z powrotem na oparcie.

- Rozumiem, że rachunek HJII był największy z nich.

- Nie jestem pewien. Musiałbym to sprawdzić. Mogę jednak przypuszczać,

że tak. Edmond uśmiechnął się łagodnie.

- Co, oczywiście, znaczy, że jeżeli pan Gore rzeczywiście „pożyczał” sobie pieniądze z różnych rachunków, najwięcej ubyło z kont HJII.

- Panie Junot, chciałbym pana zapewnić, że nasza instytucja jest w pełni ubezpieczona i jeżeli - kładę tu nacisk na słowo Jeżeli” - okaże się to prawdą, będziemy w stanie natychmiast pokryć straty.

- Rozumiem - odrzekł Edmond lekkim tonem. -I spróbuję wytłumaczyć to pani Junot. Ale musi pan przyznać, że będzie to raczej... dwuznaczna sytuacja, jeżeli zostaniemy ofiarami defraudacji,

prowadząc interesy z niereagującym na oszustwo bankiem.

- Co ma pan na myśli?

- Jestem pewien, że większość przedsiębiorstw nie patrzy przez palce na „pożyczanie” sobie ich pieniędzy przez wysokich urzędników bankowych. A pani Junot rozumie, że macie wielu pracowników. Sama ma ich setki na całym świecie. Każda korporacja, a nawet bank, może mieć jedno zgniłe jabłko w beczce dobrych.

Rowen pochylił się nad biurkiem.

- Panie Junot - rzekł cicho - nie próbuje pan chyba szantażować naszego banku,

żeby uzyskać prolongatę pożyczki dla pani Junot, prawda?

Edmond uśmiechnął się szeroko.

- Oczywiście, że nie, proszę pana.

Mówię tylko, że ponieważ interesy HJII i waszego banku są powiązane, mamy nadzieję na kontynuację naszej dotychczasowej, korzystnej dla obu stron współpracy w przyszłości. Pani Junot nie chciałaby przenosić swoich stu sześćdziesięciu milionów dolarów do innego banku. - Edmond wstał i spojrzał na Helenę. Podniosła się również. Pomógł jej włożyć sobole, a potem zwrócił się do bankiera. - To bardzo uprzejme z pana strony, że zechciał się pan z nami zobaczyć, panie Rowen.

Wiemy, że jest pan bardzo zajęty, i nie chcemy zabierać więcej pańskiego cennego czasu.

Po tych słowach oboje opuścili biuro. Dopiero po ich wyjściu Rowen zorientował się, że Helenę Junot nie wypowiedziała ani słowa.

Rozdział 2

Kiedy Robert Rowen wsiadał do taksówki, szalała śnieżycą.

Westchnął z ulgą. Wreszcie jechał do domu. Oczy piekły go koszmarnie. Spędził cały dzień i część wieczoru, przeglądając rachunki imperium Helenę Junot. Wreszcie dał sobie spokój i

zatelefonował po taksówkę. Czekał na jej przyjazd w holu banku. Po godzinach urzędowania Wall Street wyglądała jak wymarła i nie można było znaleźć taksówki, nawet jeżeli zależałoby od tego czyjeś życie. Zawsze, kiedy padało, sytuacja się powtarzała.

Wreszcie, po ponad czterdziestu pięciu minutach oczekiwania, taksówka zajechała przed budynek. Rowen pobiegł do niej przez wirujące płatki śniegu.

- Park Avenue i Siedemdziesiąta Druga - powiedział do kierowcy.

Jadąc przez miasto, nie przestawał myśleć o finansach imperium Helenę

Junot. Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak skomplikowane były to operacje, dopóki nie zaczął przeglądać historii rachunków. Nie było im końca. Były tam konta, z których płacono weksle i listy kredytowe, odrębne rachunki dla każdej agencji reklamowej (razem dwadzieścia siedem), kilkanaście kont, z których przelewano pensje pracownikom, kilka do odprowadzania podatków, jedno na niewielkie wydatki gotówką, jedno, z którego wypłacano dywidendy udziałowcom, i kolejne, na przychody z filii zagranicznych, po jednym na każdą dzielnicę Nowego Jorku, dyskretne konto na nieudokumentowane wydatki, czyli łapówki, osobne na wydatki związane z podróżami, a także konto

ogólne oraz siedem prywatnych kont Helenę Junot i tak dalej. Lista nie miała końca.

Myśli Roberta wciąż krążyły wokół rachunków, kiedy taksówka zajechała przed budynek przy Park Avenue.

- Dobry wieczór, panie Rowen - rzekł odźwierny, otwierając drzwi taksówki. Rowen zapłacił kierowcy i wysiadł.

- Dobry wieczór, Pedro - odpowiedział zirytowanym głosem. Wyjął z kieszeni ćwierć dolara i w duszy przeklął odźwiernego za to, że wybiegł po napiwek.

Pedro przytrzymał mu otwarte drzwi i

Rowen wszedł do ciepłego holu. Podszedł do starej windy, nacisnął guzik i czekał całą wieczność, aż przyjechała. Kiedy wreszcie się zjawiała, wszedł do wyłożonej drewnem kabiny i nacisnął guzik z numerem dwanaście.

Kiedy drzwi windy się rozsunęły, przeszedł wyłożonym kafelkami korytarzu, wyjął klucz i zaczął otwierać drzwi z numerem 12 C. Otworzyły się, kiedy przekręcił klucz.

- Cześć, kochanie. Miałaś dobry dzień? - odezwała się miękko Jennifer. Stała na palcach, zarzuciła mu ręce na szyję i ucałowała go mocno. Potem odsunęła się i posłała mu uśmiech. Jej brązowe włosy połyskiwały w świetle.

Robert połaskotał ją w ucho.

- Jak się miewa moja dziewczyna?
Zachichotała, ale zaraz spoważniała.

- Kochanie, tęskniłam za tobą.

- Ja też.

- Martini?

- To ty powiedziałaś. - Przeszedł za nią do salonu, gdzie stały ciężkie mahoniowe meble, które odziedziczyła po matce. Przyglądał się, jak wyciągała z kredensu kieliszki i znikła w kuchni. Otworzyła lodówkę i wyjęła martini.

- Kochanie? Jesteś głodny? - zawołała.

- Mogę poczekać - odkrzyknął.

Wrzuciła do swojego kieliszka oliwkę, do jego ostrożnie włożyła winogrono, a potem naląła martini.

- No więc mów - rzuciła, siadając obok niego. - Jak ci minął dzień?

- Cóż, sam się zastanawiam. Poznałem bardzo interesującą osobę. Kobietę. Zmrużyła złośliwie oczy.

- Jest piękna?

Robert wyglądał, jakby się zastanawiał.

-Tak.

- Piękniejsza niż ja?

Spojrzał na Jennifer. Była to ich stara gra. Ilekroć poznawał kobietę, zawsze o to pytała. On miał się zawahać, na co ona udawała, że się gniewa. W końcu mówił: „Nie,

kochanie, ty jesteś najpiękniejszą kobietą na świecie”. Wtedy Jennifer czuła się usatysfakcjonowana i całowali się szczęśliwi.

- No? - zażądała odpowiedzi, udając rozdrażnienie.

- Była... bardzo piękna - odrzekł z namysłem. Jennifer wyprostowała się naprawdę zirytowana.

- Mówisz poważnie, tak? Kiwnął głową.

- Więc jest aż tak wyjątkowa - stwierdziła gorzko. Potrząsnęła gniewnie głową, jej oczy rzucały lodowate błyski. - Kim jest ta... Helena Trojańska?

Nie mógł się nie uśmiechnąć, słysząc to niechcący trafne określenie.

- Helenę Junot - powiedział. - Wydaje magazyny o modzie.

Próbowała się roześmiać, ale zabrzmiało to nieszczerze. Robert spojrział na nią zaskoczony.

- A więc zdobyła i ciebie - oświadczyła

oskarżycielskim tonem Jennifer.
Spojrzał na nią nierozumiejącym
wzrokiem.

- O co ci chodzi?

- O co mi chodzi!? No wiesz, Robercie!
Czyżbyś nic o niej nie wiedział? Według
autorów rubryk towarzyskich wszędzie
sieję zniszczenie i zamęt.

Spojrzał na nią ze złością.

- Daj spokój, Jennie. To nie jest
prywatna znajomość. Hej... - Wyciągnął
dłoń, by pogłodzić żonę po policzku, ale
odsunęła się niechętnie. - Nawet z nianie
rozmawiałem. Mówił tylko jej brat. -
Znowu zadumał się na chwilę. - Wiesz

co? - powiedział, jakby myśląc na głos.
- Są bardzo zręczni oboje.

Pomimo złości żona spojrzała na niego z rosnącym zainteresowaniem.

- Co przez to rozumiesz?

- Cóż... - Pociągnął łyk martini. - To było dziwne. Ona siedziała z nami w charakterze manekina z okna wystawowego. Wiesz, o co mi chodzi? - Jennifer kiwnęła głową. - Tylko on mówił. Teraz, kiedy to sobie przypominam, myślę, że nie powiedziała nawet „dzień dobry” i „do widzenia”. - Potrząsnął głową. - Jej brat jest naprawdę sprytny. Zbyt sprytny. Ale to ona stoi za wszystkim. Można to wyczuć.

Jest to rodzaj... zatrzymał się, szukając właściwego słowa.

- Presji? - podpowiedziała.

- Hm... myślę, że można to tak nazwać.

Nagle zadzwonił telefon. Spojrzeli na niego oboje.

- Ja odbiorę - rzuciła szybko Jennifer. Wstała i podeszła do mahoniowego stolika, na którym stał aparat.

- Halo?

Chwilę później zakryła ręką słuchawkę i odwróciła się do Rowena. Na twarzy miała szczególny wyraz.

- Kochanie...

- Kto to?

- Nie wiem. Jakiś mężczyzna. Chce mówić z tobą.

- Cóż, przekonamy się, kto to.

- Kochanie, ciarki mnie przechodzą. On mówi szeptem.

Rowen westchnął, wstał i podszedł do telefonu. Jennifer podała mu słuchawkę, a potem przysunęła się bliżej, by móc podsłuchiwać.

- Tu Robert Rowen.

Przez chwilę po drugiej stronie panowała cisza. Potem w słuchawce rozległo się echo głosu:

- Panie Rowen, czy chciałby pan zarobić milion dolarów?

WCZORAJ IV DECYZJA

Rozdział 1

Paryż, 1955

Śnieg przestał już padać, ale zrobiło się bardzo zimno. Helenę zatrzymała się przed starą kamienicą. Wahala się przez chwilę. Stanęła w bezruchu, mając wrażenie, że jej stopy przymarzły do płyt chodnika. Podniosła wzrok na budynek. Wyglądał tak samo jak wszystkie wokół - brzydkie, szare kamienice, które turyści uważają za malownicze. Ale tam, dokąd szła, nie było nic zachwycającego.

Przygryzła wargi tak mocno, że poczuła

słodki smak krwi. Z determinacją otworzyła drzwi i zaczęła powoli wchodzić na ciemne strome schody, które oświetlała pojedyncza naga żarówka. Śmierdziało uryną i kocimi odchodami. W połowie drogi Helenę nagle ścisnęła palcami poręcz. Bała się, jej serce tłukło o żebra jak młot. Zamknęła oczy. Była zagubiona, zrozpaczona i samotna. Czuła się tak od chwili, kiedy postanowiła odnaleźć Angelique.

Nie wiedziała, czy tamta dziewczyna pracuje w Folies de Babylon, ale miała taką nadzieję. Helenę pamiętała, jak w dniu, kiedy pierwszy raz przyszła wieczorem do klubu, dowiedziała się, że

Angelique jest wściekła, bo zaszła w ciążę i musiała sama zapłacić za skrobankę. Uśmiechnęła się teraz posępnie. Dawna koleżanka była jedyną znaną jej kobietą, która zdecydowała się usunąć ciążę.

O szóstej rano Helenę czekała przed bocznymi drzwiami lokalu. Całą noc nie spała, powieki jej poczerwieniały i zapuchły. Czekwała w ciemnościach prawie godzinę, bo klub wciąż był otwarty. Cofnęła się głębiej w mrok, tak żeby nikt jej nie zobaczył.

Natychmiast rozpoznała Angelique i coś ją ścisnęło w gardle.

Zaczekała, aż dziewczyna zapali

papierosa, a potem patrzyła, jak Angelique otuliła się futrem i ruszyła aleją. Świeży śnieg tłumiał stukanie wysokich obcasów. Helenę szybko wysunęła się z cienia i poszła za nią.

- Angelique! - zawołała nieśmiało.

Tamta odwróciła się i spojrzała na Helenę w słabym świetle latarni. - Tak?

- Pamiętasz mnie? Pracowałam tu kiedyś, byłam szatniarką. - Helenę opuściła kołnierz.

Angelique popatrzyła na nią obojętnie.

- Teraz nie szukają nikogo - powiedziała znużonym głosem i ruszyła przed siebie.

-Pytaj gdzie indziej - dodała.

Helenę podbiegła i złapała ją za ramię.

- Nie szukam pracy - wyjaśniła szybko. -
Potrzebuję twojej pomocy. Angélique
ziewnęła.

- Posłuchaj, moja droga. Miałam ciężką
noc. Bolą mnie nogi, jestem zmęczona i
chcę iść do domu.

- Proszę - błagała Helenę. - Mam tylko
jedno pytanie. Angélique zatrzymała się
i spojrzała na nią zmęczonym wzrokiem.

- Dobrze, o co chodzi?

- Wiem, że zrobiłaś skrobankę...

- Odczep się! - warknęła Angelique. -
Może zrobiłam, a może nie, nie twój
interes! - Potem spojrzała na nią bystro i
zmarszczyła brwi. W jej oczach pojawił
się błysk. -

Teraz sobie przypominam - mruknęła z
ironią - ty jesteś ta przyzwoita. Helenę
poczuła się tak, jakby ją ktoś uderzył w
twarz. Spuściła głowę.

- Muszę się dowiedzieć, gdzie mogę
usunąć ciążę - powiedziała cicho.

- No nie! Więc wcale nie jesteś taka
święta! - zaśmiała się Angelique.
Helenę wbiła w nią błagalny wzrok.

- Proszę - wyszeptała. - Nie wiem,

dokąd mam pójść. Angelique nagle jakby złagodniała, rozumiejąc jej ból.

- Dobrze - powiedziała miękko i objęła ją za ramiona. - Hej, nie płacz! Helenę pociągnęła nosem i otarła oczy.

- Tak naprawdę to chciałabyś urodzić to dziecko, prawda?

- Tak. Ale... nie mogę. - Głos Helenę drżał.

- Chodź - rzuciła Angelique, uśmiechając się. - Już mi się nie chce spać. Może wstąpimy gdzieś na śniadanie?

- Nie jestem głodna - odparła Helenę. -

Ale chętnie napiłabym się kawy.
Angelique kiwnęła głową.

- Znam tu mały lokal. Henri ma najgorszą kawę w Paryżu i nikt jej nie lubi. Ale pod ladą trzyma najlepszy koniak.

Alkohol podawano w filiżankach od kawy. Helenę spojrzała na nie i uśmiechnęła się lekko.

- Henri nie ma koncesji na alkohol - wyjaśniła Angelique. - Omija prawo, podając drinki w filiżankach.

Oczywiście, to nie jest legalne. Ale wygląda niewinnie i niewtajemniczony klient niczego nie podejrzewa. Nawet policja wpada tu od czasu do czasu na

„filizankę kawy”. - Wyciągnęła rękę przez stół i położyła dłoń na dłoni Helenę. - Słuchaj - spytała łagodnie - który to miesiąc?

- Koniec trzeciego - szepnęła drżącymi wargami Helenę. Angelique milczała przez chwilę.

- Długo czekałaś - powiedziała w końcu.
- Teraz to już może być niebezpieczne.
Jesteś pewna, że... chcesz to zrobić? !

Helenę w milczeniu kiwnęła głową.
Angelique bawiła się filizanką.

- Znam pewnego młodego lekarza... -
Wzruszyła ramionami. - W każdym razie
twierdzi, że jest lekarzem. Jeżeli się

zdecydujesz, zatelefonuję do niego i powiem mu o tobie. Potem sam się z tobą porozumie. Tylko dobrze się zastanów. Jeżeli to zrobisz, nie będzie można niczego cofnąć.

- Wszystko już przemyślałam - powiedziała Helenę stanowczo. - Muszę to zrobić. Teraz, ze ściśniętym gardłem, zapukała trzy razy do drzwi na ostatnim piętrze. Ze

środka dał się słyszeć stłumiony głos.

- Kto tam?

- Przyjaciółka Angelique, Helenę. Jestem... byłam umówiona.

Rozległ się zgrzyt przekręcanego klucza, a potem drzwi się otworzyły. Stał w nich niechlujny młody otyły mężczyzna. Palcami skubał brodę. Pokój za nim był ciemny, wokoło unosiła się woń pleśni. Spojrzał na nią.

- Nie stój tak. Prędko! Wchodź!

Helenę szybko weszła do środka. Grubas obrzucił podejrzliwym wzrokiem klatkę schodową, szybko zatrzęsnał drzwi i zamknął je na klucz.

Helenę rozejrzała się wokół, starając się ukryć obrzydzenie. W pokoju było pełno kotów. Lizwały łapy, ocierały się o jej nogi, mruczały, chodziły po rozłożonych na podłodze gazetach.

Grubas zbliżył się do niej, wyciągając dłoń.

- Trzy tysiące franków - powiedział.

Helenę kiwnęła głową i nerwowo sięgnęła do kieszeni futra. „Nie bierz torebki - poinstruowała ją Angelique. - Nie bierz ze sobą niczego, co później musiałabyś nieść. Po zabiegu będziesz bardzo słaba”. Wyjęła kilka banknotów i podała mężczyźnie. Bez słowa poślinił palce i przeliczył pieniądze. Potem skinął głową i schował je do kieszeni.

- Chodź ze mną - polecił.

Helenę z wahaniem przeszła za nim do kuchni. Tutaj też na podłodze leżały

gazety. Na kuchence zobaczyła garnek z gotującą się wodą. W emaliowanym zlewie piętrzyła się sterta brudnych naczyń. Pośrodku znajdował się duży drewniany stół. Pokrywała go warstwa gazet.

- Rozbierz się i połóż tutaj. Spojrzała na stół.

- Tutaj...? - zapytała nieśmiało.

- A widzisz jakieś inne miejsce?
Potrząsnęła głową.

- Nie - odpowiedziała powoli.

Drżącymi palcami zaczęła rozpinać guziki bluzki. Potem zdjęła spódnicę. Spojrzała na mężczyznę, ale stał tyłem

do niej, myjąc ręce nad zlewem. Helenę szybko zdjęła figi i zrzuciła stanik. Ułożyła ubranie na krześle. Nagle zrobiło jej się chłodno. Zadrżała i objęła się rękami.

Grubas popatrzył na nią obojętnie. Helenę odruchowo usiłowała się zasłonić dłońmi.

- Powiedziałem ci, że masz się położyć.

Spojrzała na niego bez słowa. Wzięła głęboki oddech i wspięła się na stół.

- Połóż się na plecach. - Stopą wsunął pod stół metalowy kubek na śmieci.

- A to po co? - zapytała z nagłym lękiem

Helenę.

- Nie zajmuj się tym, to już moja sprawa.

Cała drżąc, położyła się sztywno, tak że jej głowa znalazła się na krawędzi blatu.

- Zsuń się niżej - polecił mężczyzna. - I unieś nogi. Tak jakby ktoś chciał ci coś wepchnąć do środka.

Zagryzła wargi i zrobiła to, co jej kazał. Potem patrzyła, jak sięgał po długi, cienki drut ohydnie zagięty z jednej strony. Włożył go do garnka z wrzątkiem, a po minucie wyjął, trzymając prosty koniec przez ścierkę. Kilka kropel wody opadło na kuchenkę i

zasyczało.

Helenę zamknęła oczy. W najgorszych wyobrażeniach nie sądziła, że to może tak wyglądać. Myślała, że będzie jakoś inaczej. Czyściej. Bardziej profesjonalnie. Z godnością.

- Rozsuń nogi - powiedział. -I nie poruszaj się.

Nabrała głęboko powietrza. Nogi jej drżały, kiedy je rozsuwała. Potem poczuła, że jego palce odsuwają włosy. Zesztywniała i ścisnęła dłońmi krawędzie stołu. Jej piersi unosiły się i opadały w cichym oddechu. Chwilę potem poczuła w sobie gorący metal. Czowała go jak obcy przedmiot, jak coś, co

do niej nie należało. Coś wewnątrz niej chciało krzyczeć, ale opanowała się i zagryzła wargi. Poczwała, że drut zanurza się głębiej. Potem zahaczył o coś.

- Nie! - krzyknęła, uderzając głową w blat stołu. - Nie! - wrzasnęła, czując, że coś się w nią zagłębia. Ból uderzył ją w brzuch tak, jakby coś wewnątrz niej zostało przebite i wyrwane.

Wiedziała, co to. Jej dziecko, które nosiła przez trzy miesiące. Z oczu Helenę popłynęły łzy.

Zmusiła się do otwarcia oczu i spojrzała na mężczyznę. Poruszał drutem wewnątrz niej, wbijał go głębiej i szarpał głębiej. Nagle ból zaatakował

jej ciało przeszywającym żarem. Helenę wbiła palce w drewno, krzycząc głośno.

- Nie patrz - mruknął posepnie mężczyzna.

- Chcę widzieć - wyszeptała udręczonym głosem. - Muszę je zobaczyć!

Uniosła się i otworzyła oczy. A wtedy jęknęła przerażona. Gazety pod nią były przesiąknięte lepką, gęstą krwią. Leżał na niej maleńki płód. Teraz wiedziała już, do czego był potrzebny metalowy kubek pod stołem. Na jej dziecko.

Drzwi zatrzasnęły się za nią i zapadła cisza. Helenę popatrzyła w obie strony

ulicy. Wciąż było jasno. Która godzina?
- zastanawiała się. Powoli odwinęła
rękaw i spojrzała na przegub. Wszystko
to trwało niespełna pół godziny, a
wydawało się, że minęły całe wieki.

Potykała się o chodnik, zataczała jak
pijana. Twarz miała śmiertelnie bladą.
Czuła koszmarny ból. Nagle zrobiło jej
się gorąco. Wytarła czoło rękawem.
Włosy przykleiły jej się do głowy.
Przecież wcześniej było zimno.
Dlaczego jest jej tak ciepło?

Potem osunęła się na ziemię.

Rozdział 2

Helene jęknęła i odwróciła na bok

głowę. Powoli otworzyła oczy i spojrzała wokoło ze zdumieniem. Widziała przed sobą rozmazaną ciemność, w której jaśniała pionowa linia światła poruszająca się przed jej oczyma.

Zmarszczyła brwi i zamrugła. Z mroku zaczął się wyłaniać obraz. W pokoju było ciemno, ale musiał być dzień, bo przez zasłony przedostawały się smugi światła. Poruszały się, gdy wpadający przez otwarte okno wiatr unosił zasłony. Więc to były te tańczące, coraz to inne kształty. Helenę wyobrażała sobie różne rzeczy: wirującą na scenie balerinę, potwora z koszmarnego snu, białego konia stojącego dęba. Ale nie zasłony.

Próbowwała usiąść na łóżku, jednak bez skutku. Z westchnieniem opadła na poduszki. Co się stało? Co się z nią dzieje?

Przypomniała sobie i zmarszczyła nos. Wciąż czuła odór uryny i kocich odchodów. Miała przed oczyma obskurne mieszkanie, przykryty gazetami stół i grubego mężczyznę z zakrzywionym drutem w dłoni.

Przypomniała sobie również łaszące się koty i... płód...

Poczuła gwałtowne mdłości. Szybko, jakby chcąc uciec od tych koszmarów, odwróciła głowę na bok. Nagle zmarszczyła brwi, bo zasłony rozsunęły się i pokój zalało światło dnia. Biała

pościel była ostra i sztywna, zupełnie inna niż miękka, haftowana bawełna z Portland, którą Helenę miała w domu.



Ostrożnie poruszyła kilka razy głową z boku na bok; jej fiołkowe oczy zaczynały widzieć lepiej. Znajdowała się w dużym pokoju, którego nigdy przedtem nie widziała. Było czysto. Żadnych gazet i kotów. Poczowała niezmierną ulgę.

Otworzyły się drzwi i do środka wszedł cicho jakiś mężczyzna. Zbliżył się do łóżka.

- Jak się czujesz? - zapytał łagodnie.

- Kim jesteś? - Spojrzała na niego z ciekawością. Nieznajomy zapalił lampkę. Helenę poczuła, jak materace się ugięły, gdy usiadł na brzegu łóżka.

- Chciałem cię zapytać o to samo - odrzekł z uśmiechem. - Ale to może poczekać. Wyjął z kieszeni okulary w drucianych oprawkach i włożył je ostrożnie. Potem

wziął z szafki termometr, potrząsnął nim i włożył go Helenę do ust. Zacisnęła je odruchowo i zerknęła na mężczyznę.

Był niski i krępy, miał wąskie opadające ramiona, a w jego brodzie i włosach przeplatały się odcienie szarości i czerni. Wydatny nos szlachetnego

kształtu wydawał się dziwnie nie na miejscu w naznaczonej smutkiem twarzy mężczyzny. Ciemne oczy były pełne żalu, jak gdyby widziały zbyt wiele bólu w przeszłości i mogły przewidzieć, że przyszłość przyniesie nie mniej cierpienia.

Mężczyzna przez chwilę czekał cierpliwie. Potem sięgnął po termometr i uniósł go do oczu. Sprawiał wrażenie zadowolonego.

- Temperatura już się nie podnosi. -
Odłożył termometr na szafkę. -
Przetrzymałaś najgorsze. Wczoraj gorączka opadła.

- Wczoraj! - powtórzyła Helenę

niepewnie. W jej oczach pojawił się nagły cień niepokoju. - Jak długo tutaj jestem?

- Cztery dni.

- Cztery dni! - Potrząsnęła z niedowierzaniem głową. - I teraz się obudziłam... Mężczyzna skinął głową.

- Byłaś bardzo słaba - wyjaśnił. - Straciłaś dużo krwi. Nie było to jednak nawet w połowie tak niebezpieczne jak infekcja.

- Infekcja! - Próbowwała usiąść, ale tylko uniosła głowę.

- Nie ruszaj się - ostrzegł ją nieznajomy.

- Jesteś jeszcze za słaba. Dopiero za kilka dni odzyskasz siły.

- Gdzie jestem? - zapytała.

- Pod dobrą opieką. Nie martw się. Jestem lekarzem. Nazywam się Simon Rosen. Helenę uspokoiła się trochę.

- Jak się tu dostałam?

- Znalazłem cię i przyniosłem tutaj. Straciłaś przytomność na ulicy.

- Sprawiałam panu tyle kłopotu - przeprosiła go zawstydzona.

- Nie martw się tym. Powinienem był odwieźć cię do szpitala, ale

pomyślałem, że lepiej zabrać cię tutaj. Lekarze musieliby zawiadomić policję, zadawano by ci dużo nieprzyjemnych pytań.

Teraz zrozumiała, co znaczy mieć wobec kogoś wielki dług wdzięczności. Nie tylko uratował jej życie, ale wybawił ją również z poważnych kłopotów.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam się panu za to odwdzięczyć - powiedziała z przejęciem.

Uśmiechnął się tylko.

- Myśl o tym, żeby wrócić do zdrowia. - Wstał. - Przyniosę ci coś do zjedzenia. Helenę spojrzała na niego z

wdzięcznością. Nagle poczuła się bardzo zmęczona.

Lekarz dostrzegł to; postanowił, że poczeka z obiadem, aż pacjentka odpocznie. Sen jest jej bardziej potrzebny niż jedzenie, uznał. Ale najpierw sięgnął po szklankę, uniósł głowę Helenę i podał jej wodę. Piła powoli. Potem ułożył ją delikatnie.

- Niedługo wrócę - zapewnił ją.

Kiwnęła głową i zamknęła oczy. Czuła, że zaraz zaśnie.

- Jeszcze jedno - powiedział. - Jak się nazywasz?

- Helenę Junot - wyszeptała tak cicho, że ledwie ją usłyszał.

Doktor Rosen pokręcił głową. Dziwne są wyroki boskie. Widocznie przeznaczone mu było poznać następną Junot. Helenę Junot. Zmarszczył brwi i wrócił do wspomnień. Było czworo dzieci. To ta średnia dziewczynka.

Pokręcił smutno głową.

- Śpij, dziecko - szepnęła. - Zbieraj siły, bo będą ci potrzebne. Nigdy nie powinnaś usłyszeć tego, co muszę ci opowiedzieć. Ale nasze drogi by się nie skrzyżowały, gdyby Bóg nie chciał, żebyś usłyszała tę historię.

Helenę przespała dwa dni i dwie noce. Kiedy się obudziła, miała wystarczająco dużo sił, by jeść, siedzieć, rozmawiać i martwić się. Najbardziej obawiała się o pracę.

- Czy mógłby pan zadzwonić do Maison d'Odile Joly i powiedzieć, że jestem chora? Że nie mogę na razie pracować?
- błagała doktora Rosena.

- Odile Joly? - zapytał. - Chodzi ci o tę projektantkę mody? Helenę potwierdziła.

Spojrzał na nią z dziwnym wyrazem twarzy.

- Zaraz zadzwonię. - Wyszedł do

telefonu.

Kiedy wrócił, spojrzała na niego z niemym pytaniem. Uśmiechnął się uspokajająco.

- Rozmawiałem z samą Odile Joly. Martwiła się o ciebie. Ma nadzieję, że wkrótce będziesz zdrowa.

- Nie powiedział jej pan...? - Helenę urwała zakłopotana.

- Oczywiście, że nie! - odrzekł lekko zasmucony, a zarazem dotknięty. - Jestem lekarzem. Obowiązuje mnie tajemnica zawodowa.

- Przepraszam - szepnęła ze skruchą

Helenę. Ale w jej oczach odmalowała się ulga. Tego popołudnia przyniesiono jej olbrzymi bukiet róż.

Doktor Rosen znalazł duży wazon i ustawił kwiaty na szafce nocnej przy łóżku. Helenę wyjęła z małej białej koperty sztywny bilecik. Litery były tak niewyraźne, że ledwie mogła je odczytać. „Zdrowiej szybko. Twoja posada czeka. Niczym się nie martw. Odile Joly i wszystkie dziewczęta”.

Z uśmiechem popatrzyła na róże o długich łodygach. Delikatne różowe płatki układały się ciasno w grube, twarde pączki, co wskazywało, że kwiaty będą olbrzymie. Czowała w powietrzu ich słodki aromat. Odile Joly

może była ostra jak szpilka, ale dla swoich dziewcząt miała miękkie serce.

Następnego dnia doktor Rosen zaczął jej czytać nową powieść, która wywołała prawdziwą sensację: „Witaj, smutku” nieznanej pisarki Françoise Sagan. Nagle, niespodziewanie, Helenę chwycił go mocno za rękę. Przestał czytać i zamknął książkę.

- Doktorze Rosen - odezwała się przerażonym głosem.

- Mów mi Simon. Jesteśmy przyjaciółmi, non? - Spojrzał na nią z łagodnym uśmiechem.

- Tak, jesteśmy dobrymi przyjaciółmi -

odrzekła Helenę.

Jej fiołkowe oczy przesłonił cień.
Chwilę wcześniej były fioletowe, teraz
przypominały barwą ciemny ametyst.
Wydawało się, że jakaś chmura
przesłoniła słońce.

- Muszę cię o coś zapytać, Simon -
powiedziała cicho. - Muszę znać
prawdę. Skinął w milczeniu głową.
Wiedział, o co chciała zapytać.
Zastanawiał się, kiedy to

nastąpi, ale nie oczekiwał, że stanie się
to tak szybko. Helenę zniżyła głos do
szepotu.

- Simon? Czy... czy jeszcze kiedyś będę

mogła mieć dzieci?

Przymknął oczy. Przez całe życie starał się oszczędzić ludziom cierpienia, lecz teraz nie mógł znaleźć właściwych słów.

- Dziękuję, Simon - odrzekła po prostu. -
Dzięki, że nie próbujesz mnie pocieszać.
Że nie dajesz mi fałszywych nadziei. -
Odwróciła się na bok i patrzyła w
ścianę. Leżała tak w milczeniu, po jej
policzkach płynęły łzy. Dopiero teraz
zdała sobie sprawę z wagi swojej
decyzji. Nigdy nie urodzi dziecka. Po
chwili jednak błysnęła jej pewna myśl:
Ale będzie miała dziecko serca i
marzeń: „Les Modes”!

Rozpacz zniknęła. Nie ma czasu do

stracenia, powiedziała sobie Helenę. Zwłoka to luksus, na który nie mogła sobie pozwolić. Każdy dzień spędzony w łóżku to opóźnienie dla „Les Modes”. Zaraz następnego dnia wstała. Nogi miała miękkie, ale zmusiła się do chodzenia. Doktor Rosen był zaskoczony, jednak nic nie mówił. Widział, że jest emocjonalnie silniejsza. Tego wieczoru przyniósł do jej pokoju mały stolik i nakrył go.

- Zjemy razem obiad - oznajmił.

- Będzie mi bardzo miło - zapewniła go z uśmiechem.

Chwilę później, gdy już posadził ją na krześle, spojrzała na zastawę. Była to

zwykła niedroga biała porcelana. Helenę pomyślała, że te proste talerze są dużo piękniejsze od serwisu Limoges i miśnieńskich talerzy, których używała w domu. Ta biel wyglądała uczciwie i bezpretensjonalnie.

Kiedy skończyli jeść, starannie ułożyła na talerzu nóż i widelec.

- Po twoim wyjściu przeszłam do drugiego pokoju i skorzystałam z telefonu -powiedziała cicho. Opuściła wzrok na talerz. - Nie mogę tu dłużej zostać. Jutro wracam do domu.

Doktor Rosen kiwnął głową. Jakie to dziwne, pomyślał, że prosiła go tylko o to, aby skontaktował się z Odile Joly i z

nikim innym. A co z jej przyjaciółmi? Przecież taka piękna młoda kobieta musi mieć mnóstwo przyjaciół. A co z mężczyzną, z którym była w ciąży?

- Myślę, że jesteś już wystarczająco silna, aby wrócić do domu - powiedział.

- Masz silną wolę i szybko wracasz do zdrowia. Jednak przez kilka tygodni powinnaś być bardzo ostrożna. Musisz mi to obiecać.

- Obiecuję.

-I nie... - Zrobił nieokreślony gest dłonią.

- Wiem. Żadnego seksu przez kilka tygodni - powiedziała Helenę z

uśmiechem. Kiwnął głową, twarz mu nagle poczerwieniała. Potem odchrząknął.

- Chciałbym również odwiedzić cię do domu. Nawet wsiadanie i wysiadanie z taksówki jest teraz dla ciebie wielkim wysiłkiem.

Helenę popatrzyła na niego z wdzięcznością.

- Dziękuję. Jesteś dla mnie taki dobry. Nie wiem... czy kiedykolwiek zdołam ci się odwdzięczyć.

Uciszył ją ruchem dłoni.

- Kiedy spotkasz kogoś, komu będzie

potrzebna pomoc, pomożesz mi i w ten sposób mi się odwdzięczysz.

- Zrobię to - zapewniła go uroczyście Helenę. Doktor Rosen spojrział na nią ze smutkiem.

- Bardzo mi żal, że musimy się rozstać.

- Mnie również - odpowiedziała. - Będę za tobą tęskniła. Mam nadzieję, że będziemy się widywać.

- Bardzo bym tego pragnął. - Potem popatrzył na nią uważnie. - Powiedz mi - zaczął ostrożnie. - Teraz, kiedy zaczynasz odzyskiwać siły, jak się czujesz... emocjonalnie?

Helenę pochyliła głowę.

- Jak mogę się czuć? - zapytała cicho. Uśmiechnęła się gorzko. - To zaskakujące, prawda? Myślałam, że postępuję właściwie. Ale teraz wiem, że się myliłam. - Westchnęła. - Nie wiem, czy kiedykolwiek sobie z tym poradzę.

Doktor Rosen spojrział na nią w zadumie. Wyjął z kieszeni fajkę.

- Myślę, że powinnaś wiedzieć to, o czym chcę ci teraz opowiedzieć. Nie wiem, czy jesteś już gotowa, by to usłyszeć, czy też nie. Ale może to pozwoli ci zaakceptować swoją decyzję. Widzisz, Helenę, wszyscy cierpimy wiele razy w życiu. Niektórzy

więcej, niektórzy mniej. To nie znaczy, że próbuję ci wyjaśnić, jak mało cierpiałaś. Chodzi mi o to, że wszyscy musimy znosić nasz ból i że czasami wiedza o czyimś olbrzymim cierpieniu pomaga złagodzić nasze własne. Rozumiesz mnie?

- Tak... tak mi się wydaje - powiedziała z wahaniem.

Napełnił fajkę tytoniem i ostrożnie zapalił. Długą chwilę milczał, wreszcie przemówił:

- Helenę, jestem Żydem. My, Żydzi, cierpimy już od tysiący lat. - Spojrzał na nią smutno. - Czasami zaczynam myśleć, że naszym jedynym celem jest

cierpienie. Dotąd zawsze jakoś udawało się nam przetrwać. Wykrwawialiśmy się, zabijano nas, ale żadne pogromy nie mogły nas usunąć z powierzchni ziemi. Myślę, że sama wiesz o tym, co było kilka lat temu.

W milczeniu kiwnęła głową. Jeszcze w Saint-Nazaire słyszała o obozach. O milionach rozstrzelanych, zagłodzonych i zagazowanych ludzi.

- Było mi przeznaczone przeżyć ten ostatni atak na nasz naród - ciągnął doktor Rosen.

Powoli rozpiął i podwinął rękaw białej koszuli. Helenę spojrziała na przedramię Simona. Miał wytatuowany wyraźny

granatowy numer. Oczy jej zwilgotniały, powoli wyciągnęła dłoń i przesunęła palcami po cyfrach.

- To było piekło na ziemi - mówił dalej.
- A diabły nosiły mundury. - Zgasił fajkę, jakby nagle tytoń przestał mu smakować. - Nie można sobie tego wyobrazić, jeśli się przez to nią przeszło.

Helene kiwnęła głową.

- Obozy koncentracyjne to hańba dla całej ludzkości - powiedziała łagodnie.

- Tak. - Doktor Rosen wziął głęboki oddech. - Były to miejsca przerażające; więźniowie cierpieli tam i umierali.

Uśmiercano w nich tysiące niewinnych
bezbronnych

ludzi. - Starał się opanować drżenie
głosu; pulsowały mu żyły na skroniach. -
Byłem w Oświęcimiu.

- Proszę, przestań - powiedziała cicho. -
Czy nie dość wycierpiałeś? Mówienie o
tym tylko powiększa twój ból.

Potrząsnął głową.

- Muszę ci to opowiedzieć. Widzisz, nie
tylko Żydów wysyłano do Oświęcimia.
Byli tam też Cyganie, homoseksualiści i
„zdrajcy Rzeszy”. - Spojrzał na nią ze
smutkiem. - Byli tam też członkowie
francuskiego ruchu oporu.

Nagle zrobiło się jej zimno. Nie mogła wykrztusić słowa. Domyślała się, co Simon chciał jej powiedzieć.

- Spotkałem tam pewną kobietę -
oznajmił. Z oczu płynęły mu łzy. -
Nazywała się Jacqueline Junot.

Helene zamknęła oczy. Przez chwilę siedziała w martwej ciszy jak porażona. Potem pochyliła się nad stołem. Jej twarz zmieniła się w nieprzeniknioną maskę.

- Powiedz mi! - szepnęła. - Powiedz mi!
Proszę. Muszę wiedzieć! I powiedział
jej.

Maman została zagazowana w

Oświęcimiu.